

AUTOR NAJLEPSZYCH POWIEŚCI  
SZPIEGOWSKICH WSZECH CZASÓW

# DANIEL Silva



Portret  
nieznanej  
kobiety

DANIEL  
Silva

Portret  
nieznanej  
kobiety

Przełożył  
Robert Ginalski

Tytuł oryginału: *Portrait of an Unknown Woman*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2022

Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik

Projekt okładki oryginalnej: Will Staehle

Obraz na okładce: *A Young Woman and Her Little Boy*, Bronzino, Agnolo,  
oil on panel, ca. 1540

Ilustracja na okładce: © Shutterstock

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Monika Ulatowska

© 2022 by Daniel Silva. All Rights reserved

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła  
w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób  
rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers,  
LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

ul. Domaniewska 34a

02-672 Warszawa

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN: 978-83-276-8848-4

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

Burtowi Bacharachowi

i, jak zawsze, mojej żonie Jamie,  
oraz dzieciom, Lily i Nicholasowi

*Nie wszystko złoto, co się świeci.*<sup>[1]</sup>  
William Shakespeare, „Kupiec wenecki”

---

<sup>[1]</sup> Przekład Stanisława Barańczaka (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **KRAKELURA**

# 1

## MASON'S YARD

Kiedy indziej Julian z miejsca cisnąłby go do śmieci. Albo jeszcze lepiej, rzucił na pożarcie niszczarce do dokumentów. Takiej z górnej półki, w której podczas długiej przygnębiającej zimy w czasach pandemii, kiedy nie sprzedali choćby jednego obrazu, Sarah bezlitośnie przetrzebiała opasłe archiwa galerii. Julian, którego ta eksterminacja doprowadzała do rozstroju nerwowego, bał się, że gdy zabraknie jej niepotrzebnych rejestrów sprzedaży i dokumentów przewozowych, przyjdzie kolej na niego. I wrzucony do maszyny zejdzie z tego świata jako maleńki równoległobok pożółkłego papieru, z cotygodniową porcją śmieci trafi do recyklingu, po czym powróci w następnym życiu jako przyjazny środowisku kubek do kawy. Przypuszczał jednak, skądinąd nie bez racji, że można skończyć gorzej.

List dotarł do galerii w deszczowy piątek pod koniec marca. Adresatem był wprawdzie „P. Julian Isherwood”, ale bynajmniej nie powstrzymało to Sarah przed otwarciem koperty – jako była tajna agentka Centralnej Agencji Wywiadowczej bez najmniejszych skrupułów czytała cudzą korespondencję. Zaintrygowana położyła list na jego biurku razem z kilkoma błahymi pismami, które

nadeszły w porannej poczcie, bo ważnych zazwyczaj mu nie podsuwała.

Po raz pierwszy Julian przeczytał go, stojąc w ociekającym wodą prochowcu i z rozwianą na wietrze grzywą siwych włosów. Dochodziło wpół do dwunastej, co samo w sobie było godne odnotowania. W tych czasach rzadko zjawiał się w galerii przed południem. Przychodził w sam raz, by zdążyć wyprowadzić Sarah z równowagi, po czym jak co dzień zniknąć i poświęcić trzy godziny życia na lunch.

Przed wszystkim wrażenie zrobił na nim wykwinny charakter pisma autorki, niejkiej *madame* Valerie Béranger – od wieków nie widział tak kunsztownej kaligrafii. Wychodziło na to, że jej uwagę zwrócił niedawny artykuł w „Le Monde” o sprzedaniu przez galerię Isherwood Fine Arts za wiele milionów funtów „Portretu nieznannej kobiety” – oleju na płótnie o wymiarach 115 na 92 centymetry, pędzla flamandzkiego malarza z epoki baroku, Antoona van Dycka. Najwyraźniej transakcja ta wzbudziła obawy *madame* Béranger, i o nich właśnie chciałyby porozmawiać z Julianem w cztery oczy ze względu na ich charakter tak prywatny, jak i etyczny. Informowała, że w poniedziałek o czwartej po południu będzie czekała na niego w Café Ravel w Bordeaux. Wyraziła życzenie, by Julian zjawił się sam.

– I co o tym myślisz? – zapytała Sarah.

– Jest stuknięta, to oczywiste. – Julian pomachał ręcznie skreślonym listem, jakby dowodził on słuszności jego twierdzenia. – Kto go tu dostarczył? Gołąb pocztowy?

– Kurier DHL.

– Czy na liście przewozowym był adres zwrotny?

– Podała adres filii DHL Express w Saint-Macaire. To jakieś pięćdziesiąt kilometrów od...

– Wiem, gdzie jest Saint-Macaire – przerwał jej Julian i natychmiast pożałował opryskliwego tonu. – Ale dlaczego mam to koszarne uczucie, że ktoś mnie szantażuje?

– Na mój gust ona nie sprawia wrażenia szantażystki.

– I tu się mylisz, kwiatuszku. Wszyscy szantażyści i wydrwigrosze, jakich poznałem, mieli nienaganne maniery.

– Wobec tego może powinniśmy zawiadomić Scotland Yard?

– Wmieszać w to policję? Czyś ty postradała rozum?

– To przynajmniej pokaż ten list Ronniemu.

Ronald Sumner-Lloyd był drogim prawnikiem Juliana urzędującym przy Berkeley Square.

– Mam lepszy pomysł – odparł Julian.

I wtedy to, o jedenastej trzydzieści sześć przed południem, na oczach Sarah, która przyglądała się temu z dezaprobatą, Julian pomachał listem nad swoim wiekowym metalowym kubłem na śmieci, pamiątką po dniach chwały galerii, kiedy mieściła się jeszcze na eleganckiej New Bond Street – albo New Bondstrasse, jak nazywano ją w pewnych kręgach tej branży. Jednak pomimo usilnych starań nie potrafił wypuścić tego draństwa z palców. A raczej, jak myślał o tym później, to list *madame* Bérangar nie chciał się od niego odkleić.

Odłożył go na bok, przejrzał resztę porannej poczty, oddzwonił do kilku osób i wypytał Sarah o szczegóły dotyczące zbliżającej się aukcji. Następnie z braku czegoś lepszego do roboty udał się do hotelu Dorchester na lunch. Przy posiłku towarzyszyła mu osoba pracująca w szacownym londyńskim domu aukcyjnym – rzecz jasna kobieta, świeżo rozwiedziona, bezdzietna i o wiele za młoda, choć nie na tyle, by prowokować niestosowne uwagi. Julian zaskoczył ją znajomością włoskich i niderlandzkich malarzy okresu renesansu i uraczył historyjkami o brawurowym nabywaniu dzieł. Nawet nie

chciał pamiętać, od jak dawna, z umiarkowanym sukcesem, odgrywa tę rolę. Rolę niezrównanego Juliana Isherwooda, dla przyjaciół Julie albo Pieprznego Julie, jak nazywali go kompani podczas sporadycznych wypadów na kielicha. Był bezgranicznie lojalny, ufny aż do bólu i na wskroś angielski. Tak angielski jak podwieczorek i zepsute zęby, jak z upodobaniem powiadał. A jednak gdyby nie wojna, byłby kimś zupełnie innym.

Wróciwszy do galerii, stwierdził, że Sarah przykleiła do listu *madame* Bérangar samoprzylepną karteczkę w kolorze fuksji z radą, by to jeszcze przemyślał. Przeczytał więc pismo po raz drugi, tym razem powoli. List utrzymany był w tonie równie formalnym jak papeteria, na której go napisano. Nawet Julian musiał przyznać, że autorka wyrażała się ze wszech miar rozsądnie, zupełnie nie jak szantażystka. Z pewnością nie zaszkodzi posłuchać, co ma do powiedzenia, pomyślał. Poza tym taka podróż pozwoliłaby mu odetchnąć od nawału pracy w galerii, a bardzo tego potrzebował. No i prognoza pogody dla Londynu przewidywała kilka dni prawie nieustającego deszczu oraz zimna. Za to w południowo-zachodniej Francji nastąpiła już wiosna.

Jednym z pierwszych posunięć Sarah po rozpoczęciu pracy w galerii było poinformowanie Elli – olśniewającej, lecz bezużytecznej recepcjonistki Juliana – że rezygnują z jej usług. Nigdy też nie fatygowała się z szukaniem kogoś na zwolnione miejsce. Oświadczyła, że doskonale sama sobie poradzi z odbieraniem telefonów, odpisywaniem na mejle, pilnowaniem terminarza umówionych spotkań i wciskaniem przycisku domofonu, kiedy goście zjawiali się na Mason's Yard przed stale zamkniętymi drzwiami.

Odmówiła jednak organizowania podróży Juliana, aczkolwiek zgodziła się zaglądać mu przez ramię, kiedy sam się tym zajmował, już choćby po to, by dopilnować, żeby zamiast miejscówki na Eurostar do Paryża nie kupił biletu na Orient Express do Stambułu. Z Paryża do Bordeaux pociągiem TGV pędziło się zaledwie dwie godziny czternaście minut. Julianowi z sukcesem udało się kupić bilet pierwszej klasy, a nawet zarezerwować apartament w InterContinentalu, na wszelki wypadek na dwie doby.

Uporawszy się z tym zadaniem, udał się do baru w Wiltons na drinka z Oliverem Dimblebym i Roddym Hutchinsonem, którzy powszechnie uchodzili za najbardziej szemranych marszandów w Londynie. A ponieważ nasiadówki z Oliverem i Roddym zwykle kończyły się tak samo, Julian padł na łóżko dopiero po drugiej w nocy. Przez całą sobotę leczył kaca, a większość niedzieli poświęcił na pakowanie torby. Niegdyś wskoczenie na pokład concorde'a tylko z aktówką i ładną dziewczyną nie stanowiłoby dla niego problemu. Tymczasem teraz przygotowania do wypadu na drugą stronę kanału La Manche wymagały od niego maksimum skupienia.

Podejrzewał, że jest to kolejna niemiła oznaka procesu starzenia się, podobnie jak niepokojące roztargnienie, wydawanie dziwnych dźwięków albo to, że najwyraźniej nie potrafił przejść przez pokój, aby na coś nie wpaść. Pod ręką miał stale uzupełnianą listę wymówek tłumaczących jego upokarzającą niezdarność. Nigdy nie był typem sportowca. Wszystko przez tę cholerną lampę. To kant stołu rzucił się na niego, a nie odwrotnie.

Spał kiepsko, jak mu się to często zdarzało przed ważnym wyjazdem, i obudził się z niemiłym wrażeniem, że wkrótce do długiej serii koszmarnych błędów dorzuci kolejny. Ale kiedy pociąg wyjechał z Eurotunelu i pędził przez szarozielone pola Pas-de-Calais do Paryża, nastrój mu się poprawił. Z Gare du Nord pojechał metrem

na Gare Montparnasse i z przyjemnością zjadł całkiem przyzwoity lunch w wagonie restauracyjnym TGV, obserwując, jak światło za oknem stopniowo przybiera odcień pejzaży Cézanne'a.

Z zaskakującą jasnością przypomniał sobie chwilę, gdy po raz pierwszy ujrzał to oślepiające światło południa. Wtedy, tak jak teraz, jechał pociągiem z Paryża. Jego ojciec, niemiecki Żyd i marszand Samuel Isakowitz, siedział po drugiej stronie przedziału i jakby nigdy nic czytał wczorajszą gazetę. Matka Juliana, z rękami splecionymi na kolanach, z beznamietną miną patrzyła prosto przed siebie.

W bagażu nad głowami wieźli kilka obrazów zabezpieczonych ochronną powłoką papieru woskowanego. Mniej wartościowe dzieła ojciec Juliana zostawił w swojej galerii przy rue la Boétie w eleganckiej Ósmej Dzielnicy. Ale większość płócien już wcześniej schował w wynajętym *château* na wschód od Bordeaux. Julian mieszkał tam aż do owego strasznego lata 1942 roku, kiedy to para baskijskich pasterzy przemyciła go przez Pireneje do neutralnej Hiszpanii. Jego rodziców aresztowano w 1943 roku i wywieziono do obozu zagłady w Sobiborze, gdzie od razu po przyjeździe zostali wysłani do komory gazowej.

Dworzec Saint-Jean w Bordeaux leży nad brzegiem Garonny, na końcu Cours de la Marne. Tablica odjazdów w odnowionej hali biletowej teraz była nowoczesna – uprzejme oklaski, którymi nagradzano aktualizacje, odeszły w przeszłość – ale wewnątrz w stylu beaux-arts, z dwoma rzucającymi się w oczy zegarami, było takie, jak je zapamiętał Julian. Podobnie jak budynki w kolorze miodu z epoki Ludwika XV stojące przy bulwarach, którymi pędził na tylnym siedzeniu taksówki. Niektóre fasady były tak błyszczące, jak gdyby wewnętrzne źródło światła dodawało im blasku. Inne były poczerniałe. Ojciec wyjaśnił mu, że to efekt porowatości tutejszego

kamienia, który wchłaniał sadzę z powietrza niczym gąbka, więc od czasu do czasu wymagał czyszczenia, dokładnie tak jak obrazy olejne.

Jakimś cudem w hotelu nie zapodziano jego rezerwacji. Wcisnąwszy przesadnie hojny napiwek w rękę śniadoskórego boya hotelowego, powiesił ubrania i przeszedł do łazienki, by się doprowadzić do porządku. Kiedy się w końcu poddał, minęła trzecia. Zamknął kosztowności w sejfie w apartamencie i przez chwilę bił się z myślami, czy powinien wziąć list od *madame* Bérangar do kawiarni. Jakiś wewnętrzny głos – podejrzewał, że należący do jego ojca – kazał mu zostawić list ukryty w bagażu.

Ten sam głos doradził mu, by wziął ze sobą aktówkę, ta bowiem przyda mu – acz bezpodstawnie – autorytetu. Z teczką w ręku przeszedł więc Cours de l'Intendance, mijając rząd luksusowych sklepów. Nie było tam samochodów, a tylko piesi, rowerzyści i eleganckie tramwaje elektryczne niemal bezszelestnie sunące po żelaznych torach. Julian szedł nieśpiesznie, niosąc teczkę w prawej ręce; lewą trzymał w kieszeni, w której miał też kartę magnetyczną do pokoju hotelowego.

W ślad za tramwajem skręcił za róg, w rue Vital Carles. Dokładnie na wprost niego wzbijały się dwie bliźniacze gotyckie iglice katedry w Bordeaux. Szeroki plac wokół świątyni pokrywały wyszorowane płyty chodnikowe. Café Ravel mieściła się na północno-zachodnim rogu. Nie był to lokal powszechnie odwiedzany przez mieszkańców miasta, za to ulokowany w samym centrum i łatwo było tam trafić. Julian podejrzewał, że właśnie z tego powodu *madame* Bérangar wybrała to miejsce.

Na większość stolików w kawiarni padał cień Hôtel de Ville, ale ten od strony katedry stał w pełnym słońcu i był wolny. Julian usiadł, postawił teczkę przy nogach i uważnie przyjrzał się innym klientom

lokalu. Z wyjątkiem może jednego mężczyzny, siedzącego trzy stoliki na prawo od niego, nikt nie wyglądał na Francuza. Byli to sami turyści, przeważnie w zorganizowanych grupach. Julian od razu rzucał się w oczy – we flanelowych spodniach i szarej sportowej marynarce wyglądał jak żywcem wyjęty z powieści E.M. Forstera. Ale przynajmniej *madame* rozpozna go bez trudu.

Zamówił *café crème*, lecz w porę poszedł po rozum do głowy i zamienił kawę na pół butelki białego *bordeaux*, piekielnie zimnego; poprosił też o dwa kieliszki. Kelner podał to w chwili, gdy zegar katedry wybijał czwartą. Julian odruchowo wygładził przód marynarki, przeszukując wzrokiem plac. Ale kiedy o czwartej trzydzieści wydłużające się cienie padły na jego stolik, *madame Valerie Bérangar* nadal się nie pojawiła.

Gdy dopił resztkę wina, dochodziła piąta. Uregulował rachunek gotówką, wziął teczkę i chodząc od stolika do stolika niczym żebrak, mamrotał nazwisko *madame Bérangar*; w odpowiedzi klienci spoglądali na niego obojętnie.

W środku kawiarni było pusto, jeśli nie liczyć mężczyzny za starym kontuarem z cynkowym blatem. Ten nie pamiętał żadnej *Valerie Bérangar*, ale zaproponował, żeby Julian zostawił swoje nazwisko i numer telefonu.

– *Isherwood* – rzekł Julian, widząc, że barman nie może odcyfrować zawijasów nabazgranych na odwrocie serwetki. – *Julian Isherwood*. Mieszkam w *InterContinentalu*.

Na dworze znowu rozdzwoniły się dzwony katedry. Julian poszedł za drepczącym po płytach chodnikowych gołębiem przez plac, po czym skręcił w *rue Vital Carles*. Po chwili zdał sobie sprawę, że ruga sam siebie za to, że wybrał się w bezproduktywną podróż taki kawał drogi do *Bordeaux* – oraz za to, że pozwolił, by ta kobieta,

ta cała *madame* Bérangar, przywołała niepożądane wspomnienia z przeszłości.

– Jak ona śmiała?! – krzyknął, czym wystraszył Bogu ducha winnego przechodnia. Był to kolejny niepokojący objaw starzenia się, ta zauważona niedawno skłonność do wypowiadania myśli na głos.

W końcu dzwony umilkły i powrócił przyjemny dla ucha przytłumiony szum starożytnego miasta. Obok niego przemknął cicho tramwaj elektryczny. Nieco ochłonawszy z gniewu, Julian przystanął przed niewielką galerią sztuki i z przerażeniem zawodowca obejrzał zainspirowane impresjonizmem obrazy na wystawie. Mimochodem uświadomił sobie, że słyszy nadjeżdżający motocykl. Bo to nie skuter, pomyślał. Nie z takim silnikiem. Była to jedna z tych bestii o niskim zawieszeniu, jakimi jeżdżą osobnicy w specjalnych wiatroodpornych kombinezonach.

W progu stanął właściciel galerii, zapraszając do środka na oględziny zasobów sklepu. Julian odmówił i ruszył dalej w kierunku hotelu, jak zwykle trzymając teczkę w lewej ręce. Odgłos silnika motocykla wzmógł się raptownie, teraz był o pół tonu wyższy. Nagle Julian zauważył starszą kobietę – ani chybi sobowtóra *madame* Bérangar – która pokazywała go palcem, krzycząc po francusku coś, czego nie zrozumiał.

W obawie, że znowu wypsnęło mu się coś niestosownego, zawrócił i zobaczył pędzący na niego motocykl oraz dłoń w rękawiczce sięgającą po aktówkę. Przycisnął ją do piersi, wykonał piruet, schodząc z drogi rozpędzonej maszyny, i wyrznął w zimny metal czegoś wysokiego i nieruchomego. Leżąc na chodniku i walcząc z zawrotami głowy, widział kilka nachylających się nad nim współczujących twarzy. Ktoś zaproponował, by wezwać karetkę, a ktoś inny – żandarmów. Upokorzony Julian sięgnął po jedną

z gotowych wymówek. To nie jego wina, wyjaśnił. To ta cholerna latarnia rzuciła się na niego.

# 2

## WENECJA

Nie kto inny jak Francesco Tiepolo, stojąc na grobowcu Tintoretta w kościele Madonna dell'Orto, oświadczył, że prędkiej czy później Gabriel wróci do Wenecji. Nie było to tylko czcze gadanie, o czym Gabriel przekonał się już kilka dni później, podczas potajemnej kolacji ze swoją piękną młodą żoną na wyspie Murano. Zgłosił wtedy do tego planu kilka przemyślanych zastrzeżeń, bez przekonania zresztą i bez powodzenia, a w następstwie elektryzującego konklawe w Rzymie dobito targu. Warunki okazały się godziwe, wszyscy byli szczęśliwi. Zwłaszcza Chiara. A dla Gabriela nic innego się nie liczyło.

Musiał przyznać, że wszystko to miało ręce i nogi. Przecież praktykę zawodową odbywał w Wenecji, gdzie pod pseudonimem odrestaurował wiele wystawianych w tym mieście arcydzieł. Układ ten nie był jednak pozbawiony potencjalnych pułapek, takich jak uzgodniony schemat organizacyjny firmy Konserwacja Zabytków Tiepolo – najpoważniejszego przedsiębiorstwa w tej branży w całej Wenecji. Układ przewidywał, że Francesco pozostanie u steru do czasu przejścia na emeryturę, a potem kontrolę przejmie Chiara, urodzona weneckanka. Tymczasem obejmie ona stanowisko

dyrektora naczelnego, Gabriel zaś zostanie dyrektorem działu malarstwa. Oznaczało to, że praktycznie rzecz biorąc, będzie pracował dla własnej żony.

Zgodził się na zakup luksusowego czteropokojowego apartamentu w piano nobile wychodzącym na Canal Grande w San Polo, ale poza tym zostawił planowanie i realizację rychłej przeprowadzki w fachowych rękach Chiary. Nadzorowała więc renowację i wystrój apartamentu zdalnie, z Jerozolimy, a Gabriel odsłużył tymczasem resztę swojej kadencji przy bulwarze Króla Saula[2]. Ostatnie miesiące minęły mu szybko – wyglądało na to, że zawsze jest jakaś kolejna nasiadówka do odbycia albo kolejny kryzys do zażegnania – i późną jesienią rozpoczął coś, co znany felietonista „Haaretza” określił jako „długie pożegnanie”.

Imprezy obejmowały zarówno skromne koktajle, jak i kolacje, na których powszechnie składano mu hołdy, aż po wyżerkę w hotelu Król Dawid, na której stawiała się wierchuszka szpiegów z całego świata, w tym potężny szef jordańskiego Mukhabaratu oraz jego odpowiednicy z Egiptu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Ich obecność dowodziła, że Gabriel, który utrzymywał partnerskie stosunki ze służbami bezpieczeństwa w całym świecie arabskim, pozostawił niezatarty ślad w regionie rozdartym wojnami od dziesięcioleci. Bo mimo wszelkich problemów, za jego kadencji Bliski Wschód zmienił się na lepsze.

Jako samotnik z natury nie czuł się dobrze w otoczeniu tłumów, więc całe to zainteresowanie było dla niego nie do zniesienia. Zdecydowanie wolał spokojne wieczory w towarzystwie swoich najstarszych rangą pracowników – mężczyzn i kobiet, z którymi przeprowadził wiele operacji w historii tej legendarnej służby. Uziego Nawota błagał o wybaczenie. Michaiłowi Abramowowi i Natalie Mizrahi udzielał porad zawodowych i małżeńskich.

Zaśmiewał się do łez, opowiadając przezabawne anegdoty o tym, jak pod przykrywką spędził trzy lata w Europie Zachodniej z hipochondrykiem Elim Lawonem. Dina Sarid, dokumentująca terroryzm palestyński i islamski, błagała go, by na zakończenie służby zechciał udzielić jej serii wywiadów, bo chciała opisać jego wyczyny w oficjalnej jawnej historii wywiadu. Rzecz jasna, odmówił. Powiedział jej, że nie ma ochoty grzebać się w przeszłości. Obchodzi go tylko przyszłość.

Za jego najbardziej prawdopodobnych następców uchodzili dwaj z najstarszych oficerów, Jossi Gawisz z Badań oraz Jakow Rossman z Operacji Specjalnych. Obaj jednak byli przeszczeniwi na wieść, że zamiast któregoś z nich wybrał Rimonę Stern, szefową wydziału zwanego Kolekcją. I tak oto pewnego wietrznego popołudnia w piątek, w połowie grudnia, Rimona została pierwszą kobietą na stanowisku dyrektora generalnego Biura. A Gabriel, gdy już złożył podpis pod stertą dokumentów dotyczących jego skromnej emerytury i precyzujących, jak poważne konsekwencje go spotkają, gdyby kiedykolwiek wyjawiał sekrety tkwiące w jego głowie, oficjalnie został najsłynniejszym w świecie szpiegiem na emeryturze. A gdy już dokonał rytualnego zdjęcia szat, obszedł siedzibę przy bulwarze Króla Saula od podziemi po dach, ściskając ręce i ocierając z łez policzki. Zapewnił swój zasmucony zespół, że jeszcze się zobaczą, że ani myśli na dobre rozstawać się z branżą. Nikt mu jednak nie uwierzył.

Tego wieczoru wziął udział w ostatnim zebraniu, tym razem na brzegu Jeziora Galilejskiego. W przeciwieństwie do poprzednich to nie obyło się bez kłótni, ale na koniec zawarto coś na kształt pokoju. Nazajutrz z samego rana odbył pielgrzymkę do grobu swojego syna na Górze Oliwnej, a także do szpitala psychiatrycznego niedaleko starej arabskiej wioski Dajr Jasin, gdzie mieszkała matka jego

dziecka, uwięziona w pamięci i zmasakrowanym przez ogień ciele. Z błogosławieństwem Rimony Allonowie odlecieli do Wenecji na pokładzie należącego do Biura gulfstreama, smagani wiatrem przepłynęli błyszczącą drewnianą taksówką wodną na drugą stronę laguny i o trzeciej po południu dotarli do swojego nowego domu.

Gabriel od razu poszedł do wielkiego, pełnego światła pokoju, który zaanektował na pracownię. Stały tam antyczne włoskie sztalugi, dwie lampy halogenowe oraz aluminiowa taca, na której wałały się pędzle z włosia sobola, barwniki, podkłady i rozpuszczalniki firmy Winsor & Newton. Nie było tylko starego, poplamionego farbami odtwarzacza płyt kompaktowych. Jego miejsce zajął brytyjskiej produkcji sprzęt grający wraz z dwoma głośnikami na podłodze, a olbrzymią kolekcję nagrań ułożono według gatunku, kompozytora i wykonawcy.

– I co ty na to? – spytała Chiara od progu.

– Koncerty skrzypcowe Bacha są w dziale z Brahmselem. Ale poza tym jest absolutnie...

– Fantastycznie, moim skromnym zdaniem.

– Jak ci się to udało zorganizować z Jerozolimy?

Lekceważąco machnęła ręką.

– Zostały nam jeszcze jakieś pieniądze?

– Niewiele.

– Kiedy się zadomowimy, załatwię sobie kilka prywatnych zleceń.

– Niestety, to nie wchodzi w rachubę.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie podejmiesz się żadnej pracy, dopóki nie odpoczniesz jak należy i nie dojdiesz do siebie. – Podała mu jakąś kartkę. – Na początek zacznij od tego.

– Lista zakupów?

– W domu nie ma nic do jedzenia.

– A podobno miałem wypoczywać?

– Właśnie odpoczywasz. – Uśmiechnęła się. – Nie śpiesz się, kochany. Dla odmiany zacznij czerpać radość z robienia czegoś normalnego.

Najbliższym supermarketem był Carrefour koło kościoła Frari. Poziom stresu Gabriela spadał ciutkę z każdym produktem, który wkładał do koszyka o barwie limonki. Po powrocie do domu z umiarkowanym zainteresowaniem obejrzał najnowsze wiadomości z Bliskiego Wschodu, a tymczasem Chiara, nucąc cicho pod nosem, szykowała kolację w wypasionej kuchni apartamentu. Ostatki barbaresco dopili na tarasie na dachu, tuląc się do siebie w zimnym powietrzu grudnia. Pod nimi kiwały się stojące na cumach gondole. Na łagodnym zakręcie Canal Grande widać było skąpany w świetle most Rialto.

– A gdybym chciał namalować coś własnego? – zapytał Gabriel. – Czy to też byłaby praca?

– Co ci chodzi po głowie?

– Scena nad kanałem. A może martwa natura.

– Martwa natura? Nudy!

– Skoro tak, to może cykl aktów?

Chiara uniosła brwi.

– Do tego będzie ci chyba potrzebna modelka.

– Owszem – przyznał, pociągając za suwak jej płaszcza. – Bez dwóch zdań.

Chiara odczekała do stycznia i dopiero wtedy objęła nowe stanowisko w Konserwacji Zabytków Tiepolo. Magazyn firmy mieścił się na stałym lądzie, ale jej siedziba znajdowała się na modnej Calle Larga XXII Marzo w San Marco, zaledwie dziesięć minut drogi na pokładzie vaporetto. Francesco przedstawił ją elicie artystycznej

miasta, czyniąc zagadkowe aluzje, że wprowadził plan sukcesji. Ktoś ujawnił tę nowinę redakcji „Il Gazzettino” i pod koniec lutego w dziale kulturalnym gazety ukazał się krótki artykuł. Chiara figurowała w nim pod panieńskim nazwiskiem Zolli; poza tym wspomniano, że jej ojciec był naczelnym rabinem zanikającej w Wenecji społeczności żydowskiej. Jeśli nie liczyć kilku złośliwych komentarzy czytelników wywodzących się głównie z populistycznej skrajnej prawicy, tekst spotkał się z przychylnym przyjęciem.

Artykuł nie wspominał o małżonku ani partnerze życiowym, jedynie o dwójce dzieci w niesprecyzowanym wieku; podobno były to bliźnięta, ale płci nie podano. Chiara uparła się, żeby zapisać Irene i Raphaela do pobliskiej *scuola elementare*, a nie do jednej z licznych w Wenecji prywatnych szkół międzynarodowych. Patronem szkoły był ni mniej, ni więcej tylko Bernard Canal, ojciec Canaletta. Codziennie o ósmej rano Gabriel odwoził dzieci pod wejście i odbierał je o wpół do czwartej. Poza tym każdego dnia chodził na targ Rialto, by kupić produkty na rodzinną kolację, ale na tym jego obowiązki domowe się kończyły.

Skoro Chiara zabroniła mu pracować, a nawet pojawiać się w siedzibie Konserwacji Zabytków Tiepolo, wymyślił, czym wypełnić nadmiar wolnego czasu. Czytał opasłe książki. Słuchał nagrań ze swojej wielkiej kolekcji muzyki na nowym sprzęcie grającym. Malował też akty – oczywiście z pamięci, skoro jego modelka była niedostępna. Od czasu do czasu zaglądała do apartamentu na „lunch”, jak nazywali sesje namiętne kochania się w środku dnia we wspaniałej sypialni z widokiem na Canal Grande.

Głównie jednak chodził. Ale nie były to mordercze górskie wspinaczki, jak te, które uprawiał podczas wygnania w Kornwalii – włóczył się po Wenecji bez konkretnego celu, powoli, jak ktoś, kto prowadzi próżniaczy tryb życia. Czasami nachodziła go ochota, by

obejrzeć któryś z odrestaurowanych przez siebie obrazów, choćby tylko po to, żeby sprawdzić, jak się ma jego praca. Potem wpadał do baru na kawę oraz – jeśli było zimno – kieliszeczek czegoś mocniejszego na rozgrzanie kości. Przeważnie któryś z klientów próbował go wciągnąć w rozmowę o pogodzie albo najświeższych wiadomościach. Kiedyś nie reagowałby na takie zaczepki, teraz jednak chętnie odpowiadał swym rozmówcom doskonałą włoszczyzną, aczkolwiek z lekkim akcentem, dorzucając od siebie jakiś dowcip lub wnikliwe komentarze.

Dręczące go demony pierzchały jeden za drugim, a brutalna przeszłość, te noce skąpane w ogniu i krwi, znikwały z jego myśli oraz snów. Częściej się śmiał. Zapuścił włosy. Sprawił sobie nowe ubrania – eleganckie, szyte na miarę spodnie i kaszmirowe marynarki stosowne dla człowieka o jego pozycji. Wkrótce z trudem poznawał postać, którą co rano oglądał w lustrze w garderobie. Uważał, że jego transformacja niemal dobiegła końca. Nie był już izraelskim aniołem zemsty, tylko dyrektorem działu malarstwa Konserwacji Zabytków Tiepolo. Chiara i Francesco dali mu drugą szansę. Poprzysiągł sobie, że tym razem nie popełni tych samych błędów.

Na początku marca, w okresie ulewnych deszczów, poprosił Chiare, by pozwoliła mu wrócić do pracy. A kiedy po raz kolejny nie spełniła jego prośby, zamówił dwunastometrowy jacht Bavaria C42 i przez następne dwa tygodnie obmyślał szczegółowy plan letniego rejsu po Adriatyku i Morzu Śródziemnym. Przedstawił go Chiarze podczas wyjątkowo udanego lunchu w sypialni ich apartamentu.

– Muszę przyznać, że tym razem spisałeś się nadzwyczajnie – mruknęła z uznaniem.

– To pewnie zasługa tego nieustannego wypoczywania.

– A wypocząłeś?

- Aż za bardzo, jestem tym już śmiertelnie znudzony.
  - Wobec tego może zrobimy coś, dzięki czemu to popołudnie będzie dla ciebie bardziej interesujące.
  - Obawiam się, że już nie dam rady.
  - Co powiesz na drinka ze starym przyjacielem?
  - Zależy, co to za przyjaciel.
  - Właśnie wychodziłam z biura, kiedy zadzwonił Julian. Powiedział, że jest w Wenecji, i spytał, czy znalazłbyś dla niego chwilkę.
  - I co mu odpowiedziałas?
  - Że spotkasz się z nim na drinka, kiedy już mi wygodzisz.
  - Na pewno pominęłaś drugą część tego zdania.
  - Ależ skąd. Nie.
  - O której mnie oczekuje?
  - O trzeciej.
  - A co z dziećmi?
  - Nie martw się, odbiorę je za ciebie. – Spojrzała na zegarek. – Pytanie, co będziemy robili do tego czasu?
  - Skoro nie jesteś ubrana...
  - Tak?
  - To chodź do mojej pracowni, będziesz mi pozowała.
  - Mam lepszy pomysł.
  - Jaki?
  - Chiara uśmiechnęła się.
  - Deser.
- 

[2] Przy bulwarze Króla Saula mieści się siedziba Mossadu.

# 3

## HARRY'S BAR

Stojąc pod kaskadą gorącej wody, wyprany z pożądania, Gabriel zmył ze skóry ostatnie ślady Chiary. Jego ubranie leżało rozrzucone u stóp nieposłanego łóżka, pogniecione, a w koszuli był oderwany guzik. Z garderoby wziął nowy strój, ubrał się szybko i zszedł na parter. Ślepym trafem do mola na przystanku San Tomà akurat przybijał tramwaj linii 2. Pojechał nim na San Marco i punktualnie o trzeciej wszedł do zacisznego wnętrza Harry's Bar.

Przy stoliku w rogu Julian Isherwood wpatrywał się z zadumą w telefon komórkowy, trzymając przy ustach na wpół wypity koktajl bellini. Gdy Gabriel się do niego przysiadł, podniósł wzrok z marsową miną, jakby zirytował go ten natręt. Ale w końcu rozpoznał przybysza i jego twarz się rozpogodziła, wręcz pojaśniała.

– Chiara chyba nie żartowała, kiedy mówiła, w jaki sposób spędzacie godzinkę przerwy na lunch.

– Julianie, jesteśmy we Włoszech. Tu na lunch potrzeba co najmniej dwóch godzin.

– Odmłodniałeś o trzydzieści lat. Jaki jest twój sekret?

– Dwugodzinne lunche z Chiarą.

Julian zmrużył oczy.

– W tym się kryje coś więcej, prawda? Wyglądasz całkiem jak... – Jego głos zamarł.

– Jak co, Julianie?

– Jak odrestaurowany – odparł po chwili Julian. – Usunąłeś brudny lakier i naprawiłeś uszkodzenia. Zupełnie jakby twoje dawne przygody nigdy się nie wydarzyły.

– Bo się nie wydarzyły.

– Zabawne, bo przypominasz troszeczkę młodego ponuraka, który jakieś sto lat temu zajrzał do mojej galerii. A może minęło już dwieście lat?

– Czegoś takiego również nigdy nie było. W każdym razie nie zdarzyło się to oficjalnie – odrzekł Gabriel. – Zamykając za sobą drzwi na bulwarze Króla Saula, zakopałem twoją opasłą teczkę na samym dnie Kartoteki. Twoje związki z Biurem są już oficjalnie zerwane.

– Ale nie z tobą, mam nadzieję.

– Obawiam się, że ze mną jesteś związany na zawsze. – Kelner przyniósł do ich stolika dwa kolejne bellini. Gabriel uniósł kieliszek w geście powitania. – A zatem co cię sprowadza do Wenecji?

– Te oliwki... – Julian wziął jedną z miski pośrodku stołu i zamaszystym ruchem włożył ją do ust. – Są nieprzyzwoicie pyszne.

Miał na sobie jeden ze swoich garniturów z Savile Row oraz niebieską wyjściową koszulę z mankietem francuskim. Jego siwym włosom, jak zwykle, przydałby się fryzjer, ale w sumie wyglądał całkiem nieźle, pomijając plaster na prawym policzku jakieś dwa, trzy centymetry pod okiem.

Gabriel ostrożnie spytał, skąd się to wzięło.

– Rano pokłóciłem się z brzytwą, a ona, wstyd przyznać, wygrała. – Julian wyłowił z miski kolejną oliwkę. – A co właściwie porabiasz, kiedy nie celebrujesz lunchów ze swoją piękną żoną?

– Jak najwięcej czasu spędzam z dziećmi.  
– Nie mają cię jeszcze dość?  
– Nic na to nie wskazuje.  
– Nie martw się, wkrótce im się znudzisz.  
– Powiedział zatwardziały kawaler.  
– Wiesz, stan kawalerski ma swoje zalety.  
– Wymień choćby jedną.  
– Daj mi chwilkę, coś wymyślę. – Julian dopił swoje pierwsze bellini i napoczął drugie. – A co z twoją pracą? – zapytał.  
– Namalowałem trzy akty mojej żony.  
– Biedaku! A przynajmniej się udały?  
– Prawdę mówiąc, są całkiem niezłe.  
– Na wolnym rynku za trzy oryginalne Allony można by wziąć kupę forsy.

– Te są tylko dla moich oczu, Julianie.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do baru wszedł przystojny ciemnowłosy Włoch w obcisłych spodniach i pikowanej kurtce Barbour. Usiadł przy sąsiednim stoliku i z akcentem południowca zamówił campari z wodą sodową.

Julian wpatrywał się w miskę z oliwkami.

– Czyściłeś coś ostatnio?  
– Moją kolekcję płyt kompaktowych.  
– Miałem na myśli obrazy.  
– Konserwacja Zabytków Tiepolo podpisała niedawno kontrakt z Ministerstwem Kultury na odnowienie czterech ewangelistów Giulia Lamy w kościele San Marziale. Chiara obiecała, że jeśli będę grzeczny, przydzielą mi tę robotę.

– A ile Konserwacja Zabytków Tiepolo zarobi na tym zleceniu?

– Nawet nie pytaj.

– Może mógłbym cię skusić czymś bardziej intratnym.

– Na przykład?

– Śliczną wedutą przedstawiającą Canal Grande, którą mógłbyś doprowadzić do ładu w tydzień czy dwa, jednocześnie patrząc na oryginał przez okno pracowni.

– Atrybucja?

– Szkoła północnowłoska.

– Szalenie konkretne – mruknął Gabriel.

Przypisywanie dzieła „szkole” było najbardziej niejasnym określeniem pochodzenia obrazu starego mistrza. W przypadku weduty Juliana oznaczało to tyle, że namalował ją ktoś gdzieś na północy Włoch, w bliżej nieokreślonej przeszłości. Na przeciwnym biegunie tego spektrum stało natomiast określenie „pędzla...”, czyli oświadczenie, że marszand albo dom aukcyjny są pewni, iż autorem dzieła jest konkretny, wymieniony z nazwiska malarz. Pośrodku zaś leżał szereg subiektywnych i najczęściej opartych na domysłach kategorii, poczynając od „z pracowni...” po wieloznaczne „według...”; takie opisy miały zaostrzyć apetyt potencjalnych nabywców, zarazem chroniąc sprzedającego przed pozwem sądowym.

– Zanim zaczniesz kręcić nosem i odmówisz, to wiedz, że zapłacę tyle, że wystarczy ci na tę twoją nową żaglówkę. A nawet dwie.

– To za dużo jak za tego typu obraz.

– Jako szef Biura dawałeś mi mnóstwo intratnych zleceń. Przynajmniej tak mogę się odwdzięczyć.

– To by było nieetyczne.

– Kwiatuszku, ja jestem marszandem. Gdybym się przejmował etyką, pracowałbym dla Amnesty International.

– Czy omówiłeś to ze swoją współpracowniczką?

– Trudno uznać Sarah i mnie za współników – odparł Julian. – Moje nazwisko wciąż wisi na drzwiach, ale ostatnio tylko płacę jej

się pod nogami. – Uśmiechnął się. – Za to też chyba powinienem ci podziękować.

To Gabriel załatwił, żeby Sarah Bancroft, była tajna agentka i znakomicie wykształcona historyk sztuki, przejęła bieżące zarządzanie galerią Isherwood Fine Arts. Przyczynił się też do tego, że niedawno zdecydowała się na ślub. A ponieważ jej wybranek miał skomplikowaną przeszłość, uroczystość była tajna i odbyła się w lokalu konspiracyjnym MI6 gdzieś na zadupiu w Surrey. Julian należał do garstki zaproszonych gości. Gabriel, który spóźnił się nieco po locie z Tel Awiwu, poprowadził pannę młodą do ołtarza.

– Gdzie jest to twoje arcydzieło? – zapytał.

– W Londynie, pilnowane przez uzbrojonych strażników.

– A jaki jest ostateczny termin na wykonanie zlecenia?

– Masz jakieś inne pilne zobowiązania?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak odpowiesz na moje następne pytanie.

– Chcesz wiedzieć, co naprawdę mi się stało z twarzą?

Gabriel skinął głową.

– Tym razem mów prawdę, Julianie.

– Napadła na mnie latarnia.

– Znowu?

– Niestety tak.

– Powiedz mi, proszę, że to było w nocy i że w Londynie zalegała akurat mgła.

– Prawdę mówiąc, to się zdarzyło wczoraj po południu w Bordeaux. Pojechałem tam na zaproszenie kobiety, niejkiej Valerie Bérangar. Napisała, że chce mi coś powiedzieć o obrazie, który niedawno sprzedałem.

– Chyba nie o van Dycku?

- Właśnie o nim.
- A na czym polega problem?
- Sam chciałbym wiedzieć. Madame Bérrangar zginęła w wypadku samochodowym w drodze na nasze spotkanie.
- A jak to było z tą latarnią? – dopytywał się Gabriel.
- Kiedy wracałem piechotą do hotelu, dwaj mężczyźni na motocyklu próbowali mi ukraść teczkę. W każdym razie tak mi się wydaje. A poza tym – dorzucił Julian – próbowali mnie też zabić.

# 4

## SAN MARCO

Na placu Świętego Marka znużony kwartet smyczkowy przygrywał ostatnim klientom Caffè Florian.

– Czy oni nie potrafią grać niczego innego niż Vivaldi? – zapytał Julian.

– Masz coś przeciwko Vivaldiemu?

– Uwielbiam go. Ale dla odmiany może by tak coś Corelliego? Albo Haendla, na miłość boską!

– Albo Antoona van Dycka. – Gabriel zatrzymał się przed witryną sklepu pod arkadami na południowym boku placu. – Pierwszy artykuł na ten temat w „ARTnews” nie wspominał, gdzie znalazłeś ten obraz. Nie podawał też tożsamości nabywcy. Za to nad ceną rozwodził się często gęsto.

– Sześć i pół miliona funtów. – Julian się uśmiechnął. – A teraz zapytaj mnie, ile zapłaciłem za to draństwo.

– Właśnie do tego zmierzałem.

– Trzy miliony euro.

– Czyli zarobiłeś na nim ponad sto procent.

– Kwiatuszku, właśnie tak działa rynek wtórny dzieł sztuki. Marszandzi tacy jak ja wyszukują obrazy, które zaginęły, zostały

zbyt nisko wycenione albo ich autora nie rozpoznano, i wprowadzają je na rynek z taką smykałką i takim rozmachem, żeby przyciągnąć jak najwięcej dzianych nabywców. No i nie zapominaj, że miałem wydatki.

– Długie lunche w najlepszych londyńskich restauracjach?

– Po prawdzie, większość z tych lunchów odbyła się w Paryżu. Widzisz, kupiłem ten obraz w galerii w Ósmej Dzielnicy. Konkretnie na rue la Boétie.

– A ta galeria ma jakąś nazwę?

– Galerie Georges Fleury.

– Czy wcześniej robiłeś z nimi interesy?

– Mnóstwo. *Monsieur* Fleury specjalizuje się w malarstwie francuskim z siedemnastego i osiemnastego wieku, ale nie gardzi dziełami niderlandzkimi i flamandzkimi. Ma świetne stosunki z wieloma z najstarszych i najbogatszych rodzin we Francji. Tych mieszkających w *châteaux*, w których hulają przeciągi i gdzie roi się od dzieł sztuki. Odzywa się do mnie, jeśli znajdzie coś ciekawego.

– A gdzie znalazł „Portret nieznannej kobiety”?

– Podobno w starej prywatnej kolekcji. Nic więcej nie chciał zdradzić.

– Atrybucja?

– Coś „w stylu” Antoona van Dycka.

– Pod czym mogą się kryć wszelkiego rodzaju grzeszki.

– To prawda – przytaknął Julian. – Ale *monsieur* Fleury uważał, że ma dowody na rękę starego mistrza. Poprosił mnie o drugą ekspertyzę.

– I?

– Gdy tylko spojrzałem na to płótno, poczułem znajome mrowienie na karku.

Wyszli z podcieni na zamierające popołudniowe światło. Po ich lewej ręce wznosiła się dzwonnica. Gabriel poprowadził jednak Juliana w prawo, wzdłuż ozdobnej fasady Pałacu Dożów. Na Ponte della Paglia dołączyli do grupy turystów gapiących się na Most Westchnień.

– Szukasz czegoś? – zapytał Julian.

– Znasz to powiedzenie o starych nawykach.

– Obawiam się, że ja miałem wyłącznie złe. Za to ty jesteś najbardziej zdyscyplinowaną osobą, jaką znam.

Po drugiej stronie mostu leżała dzielnica Castello. Szybkim krokiem minęli kioski z pamiątkami stojące wzdłuż Riva degli Schiavoni, po czym przeszli pasażem na Campo San Zaccaria, gdzie mieściła się lokalna komenda *carabinieri*. Julian spędził tu kiedyś bezsenną noc w pokoju przesłuchań na pierwszym piętrze.

– A co słyhać u twojego starego przyjaciela generała Ferrariego? – zapytał. – Nadal wrywa muchom skrzydełka? Czy znalazł sobie inne hobby?

Generał Cesare Ferrari był dowódcą Wydziału Ochrony Dziedzictwa Kulturalnego *carabinieri*, potocznie zwanego Brygadą Sztuki. Jej centrala mieściła się w *palazzo* na rzymskim Piazza di Sant’Ignazio, choć trzech jego oficerów stacjonowało na stałe w Wenecji. Kiedy nie szukali skradzionych obrazów, nie spuszczała z oka byłego izraelskiego szpiega nad szpiegami i zabójcy, który teraz mieszkał spokojnie w San Polo. To właśnie generał Ferrari załatwił Gabrielowi *permesso di soggiorno*, czyli zezwolenie na pobyt stały we Włoszech. W rezultacie Gabriel starał się utrzymywać z nim dobre stosunki, co wcale nie było łatwe.

Obok komendy *carabinieri* stał kościół, od którego plac wzięła swoją nazwę. Wśród wielu monumentalnych dzieł sztuki upiększających nawę była scena ukrzyżowania wykonana przez

Antoona van Dycka w okresie, gdy przez sześć lat studiował i pracował we Włoszech. Gabriel stanął przed płótnem, podparł brodę ręką i lekko przekrzywił głowę.

– Miałeś mi powiedzieć o pochodzeniu obrazu.

– Według mnie nie budziło zastrzeżeń.

– To znaczy?

– Jest to portret wykonany pod koniec lat dwudziestych siedemnastego wieku, który przez wieki przewędrował z Flandrii do Francji. Nie było żadnych rażących dziur w czasie ani innych sygnałów ostrzegawczych.

– Czy wymagał renowacji?

– *Monsieur* Fleury oczyścił obraz, zanim mi go pokazał. Miał własnego fachowca. Nie takiej klasy jak ty, rzecz jasna. Ale niezłego. – Julian przeszedł na drugą stronę nawy i stanął przed majestatycznym obrazem „Madonna z Dzieciątkiem i świętymi” Belliniego. – Wykonałeś z nim kawał dobrej roboty. Stary Giovanni byłby pełen uznania.

– Tak myślisz?

Julian z lekką naganą obejrzał się na niego przez ramię.

– Ze skromnością ci nie do twarzy, chłopcze. O twojej renowacji tego obrazu było głośno w całym świecie sztuki.

– Oczyszczenie go zajęło mi więcej czasu, niż Giovanni potrzebował, żeby go namalować.

– Jeśli dobrze pamiętam, były okoliczności łagodzące.

– Jak zwykle. – Gabriel dołączył do Juliana przed obrazem ołtarzowym. – Zakładam, że ty i Sarah zleciliście drugą ekspertyzę na temat pochodzenia, kiedy już obraz znalazł się w Londynie.

– Nie tylko drugą ekspertyzę, ale też trzecią, czwartą i piątą. I wszyscy nasi czyści jak łąza eksperci orzekli, że obraz jest dziełem Antoona van Dycka, a nie któregoś z jego późniejszych

naśladowców. Nie minął tydzień, a licytacja rozgrzała ludzi do czerwoności.

– Kto był szczęśliwym zwycięzcą?

– Masterpiece Art Ventures. To zajmujący się głównie sztuką fundusz hedgingowy prowadzony przez jednego ze starych znajomków Sarah z jej czasów w Nowym Jorku. Gość nazywa się Phillip Somerset.

– Gdzie już słyszałem to nazwisko – powiedział Gabriel.

– Masterpiece Art Ventures kupuje i sprzedaje obrazy w niesamowitych ilościach. Wszystko, poczynając od dawnych mistrzów po dzieła współczesne. Phillip Somerset stale pokazuje swoim inwestorom roczny zysk w wysokości dwudziestu pięciu procent, z czego potrąca dla siebie pokaźną działkę. A jeśli uzna, że ktoś go okantował, od razu gna do sądu. Procesowanie się to jego ulubiona rozrywka.

– I dlatego kiedy dostałeś ten dosyć mętny list od kompletnie obcej osoby, od razu pognałeś do Bordeaux.

– Właściwie to Sarah przekonała mnie, że powinienem pojechać. A co do listu, to ci na motocyklu najwyraźniej uważali, że mam go w teczce. Dlatego próbowali ją ukraść.

– Wiesz, to mogli być zwyczajni złodzieje. Dzisiaj przestępczość uliczna jest we Francji jedną z nielicznych kwitnących branż.

– To nie złodzieje.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że kiedy wypisali mnie z *l'hôpital* i wróciłem do hotelu, zorientowałem się, że przeszukano mój pokój. – Julian poklepał front marynarki. – Na szczęście nie znaleźli tego, czego szukali.

– Kto go przeszukał?

– Dwaj dobrze ubrani mężczyźni. Dali boyowi hotelowemu pięćdziesiąt euro, żeby ich wpuścił do mojego pokoju.

– A ile boy dostał od ciebie?

– Stówkę – odparł Julian. – Jak możesz sobie wyobrazić, spędziłem dość niespokojną noc. Kiedy się dziś rano obudziłem, przed drzwiami pokoju czekał na mnie egzemplarz „Sud Ouest”. Przeczytawszy, że w tragicznym wypadku auta na południe od Bordeaux zginęła kobieta, szybko spakowałem się i pierwszym pociągami wróciłem do Paryża. I zdążyłem na lot o jedenastej do Wenecji.

– Bo miałeś chętkę na oliwki w Harry’s Bar?

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się...

– Czy zdołasz mnie nakłonić, żebym odkrył, co Valerie Bérangar miała ci do powiedzenia na temat „Portretu nieznannej kobiety” Antoona van Dycka.

– Masz przecież wysoko postawionych przyjaciół we francuskim rządzie – zauważył Julian. – Co pomoże ci prowadzić śledztwo z absolutną dyskrecją i w ten sposób zmniejszy ryzyko wywołania skandalu.

– A jeśli mi się powiedzie?

– Przypuszczam, że będzie to zależało od charakteru tych informacji. Jeżeli z tą sprzedażą rzeczywiście wiążą się problemy natury prawnej albo etycznej, po cichu oddam Phillipowi Somersetowi sześć i pół miliona funtów, zanim zaciągnie mnie do sądu i zrujnuje resztki mojej niegdyś świetlanej reputacji. – Julian podał Gabrielowi list od *madame* Bérangar. – Nie mówiąc już o reputacji twojej serdecznej przyjaciółki Sarah Bancroft.

Gabriel zawahał się, ale wziął list.

– Będą mi potrzebne ekspertyzy twoich fachowców dotyczące atrybucji. No i zdjęcia obrazu, rzecz jasna.

Julian wyjął smartfon.

– Gdzie mam je wysłać?

Gabriel podał mu adres na ProtonMail, serwisie webmail oferującym szyfrowane połączenia, z siedzibą w Szwajcarii. Po chwili z zabezpieczonym telefonem w ręku uważnie oglądał zdjęcie detalu w wysokiej rozdzielczości, na którym widniał blady policzek nieznanej kobiety.

– Czy któryś z twoich ekspertów przyjrzał się bliżej krakelurze? – spytał w końcu.

– Dlaczego pytasz?

– Pamiętasz to znajome mrowienie na karku, które poczułeś, kiedy po raz pierwszy spojrzaleś na ten obraz?

– Oczywiście.

– Ja właśnie poczułem to samo.

Julian zarezerwował na noc pokój w Gritti Palace. Gabriel odprowadził go do drzwi, po czym udał się na Campo Santa Maria del Giglio. W zasięgu wzroku nie było ani jednego turysty. Zupełnie jakby otworzyła się studzienka kanalizacyjna i wszystkich zmyło do morza, pomyślał.

Po zachodniej stronie placu, obok hotelu Ala, znajdował się wylot wąskiej i ciemnej *calle*. Gabriel poszedł nią na przystanek vaporetto i dołączył do trojga innych czekających pod wiatą pasażerów – na pierwszy rzut oka bogatej pary Skandynawów pod siedemdziesiątkę oraz zmęczonej życiem, mniej więcej czterdziestoletniej weneckianki. Skandynawowie byli zgarbieni nad mapą. Weneckianka patrzyła, jak tramwaj wodny linii 1 nadpływa wolno Canal Grande od strony San Marco.

Gdy tramwaj dobił do mola, pierwsza wsiadła weneckianka, a po niej para ze Skandynawii. Cała trójka zajęła miejsca w kabinie. Gabriel tradycyjnie stanął na świeżym powietrzu, w przejściu za

sterownią. Stamtąd przyglądał się, jak z *calle* w ostatniej chwili wychodzi spóźniony pasażer.

Ciemne włosy. Obcisłe spodnie. Pikowana kurtka Barbour.

Mężczyzna z Harry's Bar.

# 5

## CANAL GRANDE

Wszedł do kabiny pasażerskiej i usiadł na niebiesko-zielonym plastikowym siedzeniu w przednim rzędzie. Był wyższy, niż Gabriel zapamiętał, a jego potężna budowa budziła grozę. Miał niewiele ponad trzydzieści, góra trzydzieści pięć lat. Roztaczał cuchnącą woń świadczącą o tym, że jest palaczem. Lekkie wybrzuszenie kurtki na lewym boku nasuwało podejrzenie, że jest uzbrojony.

Na szczęście Gabriel także miał pistolet, berettę 92FS, kaliber 9 mm, z uchwytem z okładziną z orzecha włoskiego. Nosił ją za wiedzą i zgodą generała Ferrariego i carabinieri. Niemniej zamierzał rozwiązać sytuację bez konieczności sięgania po broń, ponieważ nawet w obronie własnej byłby to akt przemocy, ten zaś spowodowałby natychmiastowe cofnięcie permesso, co z kolei naraziłoby na szwank jego pozycję w domu.

Najbardziej oczywistym posunięciem byłoby jak najszybsze pozbycie się tego gościa. W mieście takim jak Wenecja, z labiryntem uliczek i mrocznych sotoportegi, zgubienie go nie byłoby trudne. Tyle że Gabriel straciłby szansę na ustalenie, dlaczego ten człowiek go śledzi. Uznał, że zamiast go zgubić, lepiej będzie pogadać z nim spokojnie w jakimś ustronnym miejscu.

W polu widzenia Gabriela pojawił się Palazzo Venier dei Leoni mieszczący Kolekcję Peggy Guggenheim. Skandynawska para wysiadła przy Accademii, a wenejanka przy Ca' Rezzonico. Następny był przystanek Gabriela, San Tomà. Stał nieruchomo za sterówką, kiedy vaporetto zatrzymał się na chwilę, by wziąć jednego pasażera.

Tramwaj ruszył dalej. Gabriel szybko zerknął na strzeliste okna swojego nowego mieszkania, z których padało bursztynowe światło. Dzieci odrabiały prace domowe. Żona szykowała kolację. Z pewnością jest zaniepokojona jego przedłużającą się nieobecnością. Ale wkrótce będę w domu, pomyślał. Muszę tylko załatwić jedną drobną sprawę.

Vaporetto przepłynął na drugą stronę kanału, na przystanek Sant'Angelo, po czym wrócił na stronę San Polo i przybił do San Silvestri. Tym razem Gabriel wysiadł i pokonawszy pomost, wszedł do nieoświetlonego sotoportego. Za sobą usłyszał odgłos kroków – kroków potężnie zbudowanego mężczyzny w kwiecie wieku. Może jednak trzeba będzie uciec się do niewielkiej przemocy, pomyślał.

Przyjął spokojne, nieśpieszne tempo swoich codziennych przechadzek po mieście. Mimo to dwukrotnie musiał sterczeć przed witrynami sklepów, by prześladowca nie stracił go z oczu. Włoch nie był zawodowym specem od inwigilacji, to nie ulegało wątpliwości. Chyba też nie znał ulic tej sestiere, a ten jego mankament dawał Gabrielowi przewagę wynikającą z gry na własnym boisku.

Nadal szedł na północny zachód – przez Campo Sant'Aponal, kolejnymi wąskimi alejkami i mostem łukowym – aż dotarł do corte otoczonego z trzech stron kamienicami. Wiedział na pewno, że mieszkania tutaj były w opłakanym stanie i niezamieszkałe, i właśnie dlatego na cel wyprawy wybrał akurat ten dziedziniec.

Przesunął się w ciemniejszy kąt i nasłuchiwał zbliżających się kroków swojego prześladowcy. Minęła dłuższa chwila, zanim tamten się pojawił. Zatrzymał się w kałuży światła księżyca, a uświadomiwszy sobie, że stąd nie ma wyjścia, odwrócił się i chciał odejść.

– Szukasz czegoś? – odezwał się Gabriel spokojnie, po włosku.

Mężczyzna odwrócił się na pięcie, odruchowo sięgając pod kurtkę.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Mężczyzna zamarł w bezruchu.

– Dlaczego mnie śledzisz?

– Wcale cię nie śledzę.

– Byłeś w Harry's Bar. Jechałeś tramwajem linii jeden. A teraz jesteś tutaj. – Gabriel wyszedł z mroku. – Dwa razy to przypadek. Ale trzy to celowe działanie.

– Szukam restauracji.

– Podaj mi nazwę, a cię tam zaprowadzę.

– Osteria da Fiore.

– Nie ta okolica. – Gabriel zrobił kolejny krok w głąb dziedzińca. – Sięgnij jeszcze raz po broń, proszę.

– Po co?

– Żebym bez wyrzutów sumienia mógł ci złamać nos, szczękę i kilka żeber.

Młody Włoch bez słowa odwrócił się bokiem, uniósł lewą rękę do bloku, a prawą zacisnął w pięść i oparł o biodro.

– No cóż. – Gabriel westchnął z rezygnacją. – Skoro nalegasz.

Izraelską sztukę walki znaną jako krav maga cechują nieustająca agresja, jednoczesne stosowanie ataku i obrony oraz całkowity brak litości. Najbardziej ceni się szybkość. Starcia przeważnie trwają bardzo krótko, nie więcej niż kilka sekund, a rozstrzygnięcie jest

ostateczne. Rozpoczętego ataku nie przerywa się aż do chwili, gdy przeciwnik jest całkowicie obezwładniony. Na porządku dziennym są trwale uszkodzenia ciała. A śmierć wcale nie jest wykluczona.

Wolno atakować każdą część ciała. Uprawiających krav magę wręcz zachęca się do celowania w najbardziej bezbronne i czułe miejsca. Gabriel na dobry początek skierował miażdżące kopnięcie w lewe kolano przeciwnika, poparte uderzeniem piętą w grzbiet jego lewej stopy. Potem zaatakował wyżej, w krocze i splot słoneczny, a następnie wyprowadził serię szybkich ciosów łokciami i kantem dłoni w grdykę, nos oraz głowę. Młodszy i większy Włoch w żadnym momencie nie miał okazji trafić go ręką ani nogą. A jednak Gabriel nie wyszedł z tego bez szwanku. Jego prawa dłoń pulsowała z bólu – w krav madze jest to odpowiednik strzelenia samobója.

Palcami lewej dłoni sprawdził, czy obalony przeciwnik ma wyczuwalne tętno i czy oddycha. Upewniwszy się, że tak, sięgnął pod marynarkę mężczyzny i potwierdził, że istotnie był uzbrojony – w berettę 8000, krótką broń palną na wyposażeniu funkcjonariuszy carabinieri. Pistolet pasował do dokumentów tożsamości, które Gabriel znalazł w kieszeni nieprzytomnego Włocha. Według nich był to kapitan Luca Rossetti z weneckiego wydziału Il Nucleo Tutela Patrimonio Artistico.

Brygada Sztuki...

Gabriel schował broń do kabury, a dokumenty tożsamości do kieszeni kapitana, po czym zadzwonił do lokalnego oddziału carabinieri i zgłosił, że na corte obok Campo Sant'Aponal leży ranny mężczyzna. Dzwonił anonimowo, z zastrzeżonego numeru telefonu, i mówił doskonałym akcentem veneziano. Z generałem Ferrarim pogada sobie rankiem. Na razie musi wymyślić wiarygodną historyjkę, by wytłumaczyć Chiarze, dlaczego ma uszkodzoną dłoń.

Na pomysł wpadł, idąc przez Ponte San Polo. Powie jej, że to nie jego wina. To ta cholerna latarnia rzuciła się na niego.

# 6

## SAN POLO

Pięć minut później, wchodząc schodami prowadzącymi do mieszkania, poczuł kuszący zapach cielęciny duszonej w winie z przyprawami. Wstukał kod na klawiaturze i przekręcił klamkę, obie te czynności wykonując lewą ręką. Prawą trzymał w kieszeni marynarki. I nie wyjął jej, wchodząc do salonu, gdzie zastał Irene – leżała na dywanie z ołówkiem w piątce i marszczyła maleńkie porcelanowe czoło.

– A wiesz, że w swoim pokoju masz śliczne biurko? – zwrócił się do niej po włosku.

– Wolę pracować na podłodze. Łatwiej mi się skupić.

– Nad czym pracujesz?

– Nad głupią matmą. – Spojrzała na Gabriela oczami swojej matki. – A ty gdzie byłeś?

– Na spotkaniu.

– Z kim?

– Ze starym przyjacielem.

– Czy on też pracuje w Biurze?

– Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

– Bo zdaje się, że wszyscy twoi starzy przyjaciele są stamtąd.

– Nie wszyscy – zaprzeczył Gabriel i spojrzał na Raphaela. Chłopiec leżał na kanapie i w irytującym skupieniu wpatrywał się zielonymi jak nefryt oczami o długich rzęsach w przenośną konsolę gier wideo. – W co on gra?

– W Maria.

– W kogo?

– To taka gra komputerowa.

– A dlaczego nie odrabia pracy domowej?

– Już skończył. – Czubkiem ołówka Irene wskazała zeszyt brata. – Sam zobacz.

Gabriel przechylił głowę na bok i sprawdził pracę syna. Dwadzieścia podstawowych równań zawierających dodawanie i odejmowanie, a wszystkie rozwiązane prawidłowo, za pierwszym podejściem.

– Jako dziecko byłeś dobry z matematyki? – spytała Irene.

– Nie bardzo mnie interesowała.

– A mama?

– Ona studiowała historię Rzymu.

– W Padwie?

– Tak.

– Czy to tam Raphael i ja pójdziemy na uniwersytet?

– Nie sądzisz, że jesteś jeszcze za młoda, żeby się tym przejmować?

Z westchnieniem pośliniła czubek palca wskazującego i przewróciła kartkę w zeszycie do ćwiczeń. Gabriel zastał Chiareę w ciepłej kuchni – właśnie otwierała butelkę brunello di montalcino. Towarzyszył jej Andrea Bocelli – jego głos płynął ze stojącego na blacie głośnika na bluetooth.

– Od zawsze uwielbiam tę piosenkę – odezwał się Gabriel.

– Ciekawe dlaczego. – Chiara posłużyła się telefonem, by ściszyć dźwięk. – Wybierasz się gdzieś?

– Słucham?

– Wciąż masz na sobie płaszcz.

– Trochę przemarzłem, po prostu. – Podszedł wolno do błyszczącego piekarnika z nierdzewnej stali firmy Vulcan i zajrzał przez szybkę. W środku stało pomarańczowe naczynie żaroodporne, w którym Chiara gotowała osso buco. – Czym sobie na to zasłużyłem?

– Przychodzą mi na myśl ze dwie rzeczy. A nawet trzy – dodała.

– Kiedy będzie gotowe?

– Musi posiedzieć w piecu jeszcze ze trzydzieści minut. – Nalała dwa kieliszki brunello. – W sam raz, żebyś zdążył mi opowiedzieć o rozmowie z Julianem.

– Porozmawiamy o tym po kolacji, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Czy jest jakiś problem?

Odwrócił się do niej gwałtownie.

– Dlaczego pytasz?

– Kiedy w grę wchodzi Julian, zawsze są problemy. – Przyglądała mu się przez chwilę. – A ty wydajesz się czymś zdenerwowany.

Gnębiony wyrzutami sumienia uznał, że najlepszym wyjściem będzie zrzuć swoje podenerwowanie na Raphaela.

– Twój syn był tak pochłonięty tą swoją grą komputerową, że nawet nie zauważył, że wróciłem do domu.

– Pozwoliłam mu pograć.

– Dlaczego?

– Dlatego że odrobienie pracy domowej z matematyki zajęło mu całe pięć minut. Jego nauczyciele uważają, że jest bardzo zdolny. Chcą, żeby zaczął pracować ze specjalistą.

– Z pewnością nie odziedziczył tego po mnie.

– Po mnie też nie. – Chiara podała mu kieliszek. – W pracowni czeka na ciebie jakaś przesyłka. Wygląda, jakby wysłała ją twoja dziewczyna Anna Rolfe. – Uśmiechnęła się chłodno. – Posłuchaj muzyki, odpręż się. Od razu poczujesz się lepiej.

– Ależ czuję się świetnie.

Gabriel wziął kieliszek lewą ręką i przeszedł do głównej łazienki, gdzie w świetle z toaletki Chiary dokładnie zbadał uszkodzoną kończynę. Ostry ból pod wpływem lekkiego dotyku dowodził, że ma co najmniej pęknięcie włoskowate piątej kości śródrezcza. W oczy rzucała się znaczna opuchlizna, ale siniaków nie było jeszcze widać. Absolutnym minimum było jak najszybsze unieruchomienie dłoni i okład z lodu. Niestety w tych okolicznościach nie było to możliwe, dlatego kuracja musiała się ograniczyć do alkoholu oraz środków przeciwbólowych.

Z apteczki wyjął butelkę ibuprofenu, wytrząsnął kilka szmaragdowych kapsulek na dłoń i połknął je, popijając solidnym łykiem brunello. Przeszedł do pracowni i znalazł przesyłkę. Wysłała ją dział reklamy Deutsche Grammophon. W środku na dwóch płytach CD znajdowało się pięć wybitnych koncertów skrzypcowych Mozarta o tyle godnych uwagi, że solista grał na tym samym instrumencie, na którym je skomponowano.

Gabriel położył pierwszą płytę na tacce odtwarzacza, wcisnął przycisk i podszedł do sztalug. Tam zapatrzył się na piękną młodą kobietę leżącą nago na pokrytej brokatem kanapie i spoglądającą melancholijnym wzrokiem na tego, kto ją obserwował, w tym przypadku na malarza, który ją stworzył. Czy jest jakiś problem? Nie, pomyślał, czując pulsujący ból w dłoni. Nie ma żadnego problemu.

Zanim Chiara zawołała go do jadalni, zdążył przesłuchać pierwsze dwa koncerty. Potrawy, które wjechały na stół, wyglądały niczym inscenizacja do sesji fotograficznej dla „Bon Appétit” – risotto, półmisek pieczonych warzyw skropionych błyszczącą oliwą z oliwek oraz, rzecz jasna, grube gicze cielęce skąpane w gęstym sosie pomidorowym z ziołami i winem. Jak zawsze, były tak miękkie, że można je było jeść samym widelcem, dzięki czemu Gabriel mógł się posługiwać jedną ręką, a drugą trzymać ostrożnie na kolanie. Kuracja złożona z kieliszka brunello i kapsułek advilu działała cuda, więc niemal zapomniał o bólu. Był jednak pewny, że ten powróci ze zdwojoną siłą, gdy tylko środek przeciwbólowy przestanie działać, prawdopodobnie około trzeciej nad ranem.

Oczy Chiary błyszczały w blasku świateł, kiedy sterowała rozmową. Wróciła dyplomatycznie do matematycznych zdolności Raphaella, co z kolei rozwinęło się w dyskusję o tym, jak można używać talentu w dobrej sprawie. Irene, rodzinna ekolożka, podsunęła myśl, że jej brat mógłby rozważyć karierę klimatologa.

– Dlaczego? – zaciekawiał się Gabriel.

– Czytałeś raport ONZ na temat globalnego ocieplenia?

– A ty czytałaś?

– Nie, ale rozmawialiśmy o nim w szkole. Signora Antonelli twierdzi, że Wenecja wkrótce znajdzie się pod wodą na skutek topnienia lodowców na Grenlandii. Mówi, że nie doszłoby do tego, gdyby Amerykanie nie wycofali się z porozumienia paryskiego.

– To dyskusyjna teza.

– Poza tym utrzymuje, że już za późno na powstrzymanie znaczącego wzrostu temperatury na świecie.

– Tu akurat ma rację.

– Dlaczego Amerykanie się wycofali?

– Dlatego, że ich ówczesny prezydent uważał globalne ocieplenie za żart.

– Kto mógł uwierzyć w coś takiego?

– To dosyć powszechna przypadłość wśród amerykańskiej skrajnej prawicy. Ale porozmawiajmy lepiej o czymś przyjemnym, dobrze?

To Raphael zmienił temat.

– Kto to jest „woke”?

Gabriel przeniósł wzrok na syna i odpowiedział najlepiej, jak potrafił:

– To słowo powstało w czarnej społeczności w Stanach Zjednoczonych. „Woke” to ktoś, kto przejmuje się kwestiami nietolerancji rasowej i niesprawiedliwości społecznej.

– A ty jesteś woke?

– Bez dwóch zdań.

– Bo mnie się zdaje, że też jestem woke.

– Na twoim miejscu bym się z tym nie obnosił.

Po kolacji dzieci na ochotnika zgłosiły się do sprzątnięcia naczyń ze stołu, co udało im się wykonać niemal bez kłótni i bez strat w zastawie. Chiara naląła do kieliszków resztę wina i uniosła swój pod światło świecy.

– Od czego zaczynamy? – spytała. – Od twojego spotkania z Julianem czy od nowego tatuażu na prawej dłoni?

– To nie tatuaż.

– Od razu mi ulżyło. A więc co to jest?

Gabriel podniósł rękę z kolana i położył ją ostrożnie na obrusie.

Chiara się skrzywiła.

– Wygląda paskudnie.

– Owszem – przyznał ponuro. – Ale żałuj, że nie widziałaś tego drugiego.

# 7

## SAN POLO

- Próbowalesz utrzymać pędzel?
- Nie jestem pewny, czy jeszcze kiedyś wezmę go do ręki.
- Bardzo boli?
- W tej chwili akurat nic nie czuję – odparł Gabriel.

Siedział na stołku przy kuchennej wyspie, z ręką w misce pełnej wody z lodem. Ale nijak nie zmniejszało to opuchlizny. Jeśli już, to ręka puchła coraz bardziej.

- Naprawdę powinieneś ją prześwietlić – powiedziała Chiara.
- A jeśli lekarz mnie spyta, jak ją złamałem?
- A jak?
- Chyba po ciosie kantem dłoni.
- A w co trafiłeś?
- Wolałbym nie mówić.
- Jesteś pewny, że go nie zabiłeś?
- Wydobrzeje.
- Na pewno?
- Prędzej czy później.

Chiara westchnęła z dezaprobatą i wzięła list od madame Valerie Bérangar.

- Jak sądzisz, co chciała powiedzieć Julianowi?
  - Przychodzi mi na myśl kilka możliwości – odparł Gabriel. – Poczynając od najbardziej oczywistej.
  - Czyli?
  - Że obraz należał do niej.
  - Gdyby tak było, dlaczego nie zawiadomiła policji?
  - A kto powiedział, że tego nie zrobiła?
  - Zanim Julian wprowadził obraz na rynek, na pewno zajrzał do Art Loss Register[3]?
  - Żaden marszand nie kupuje ani nie sprzedaje dzieła sztuki, zanim nie sprawdzi, czy nie jest kradzione.
  - Chyba że woli nie wiedzieć, czy jest trefne.
  - Julian z pewnością nie jest wzorem cnót – zauważył Gabriel – ale nigdy świadomie nie sprzedał kradzionego obrazu.
  - Nawet kiedy robił coś dla ciebie?
  - Nie sądzę.
- Chiara uśmiechnęła się.
- A druga możliwość?
  - Dzieło skonfiskowano rodzinie Bérangar podczas wojny i od tej pory jego los pozostawał nieznany.
  - Myślisz, że Valerie Bérangar była Żydówką?
  - Czy ja coś takiego sugerowałem?
- Chiara odłożyła list.
- Możliwość numer trzy?
  - Odblokuj mój telefon.
- Chiara wstukała jego składające się z czternastu znaków hasło.
- Na co patrzę?
  - Na zdjęcie fragmentu „Portretu nieznannej kobiety”.
  - A na czym polega problem?
  - Co ci przypomina rysunek krakelury?

– Korę drzewa.

– I co ci to mówi?

– Zdam się na twoją dużo większą wiedzę.

– Spękania powierzchni obrazu przypominające korę drzewa są typowe dla płócien flamandzkich – wyjaśnił. – Van Dyck był twórcą flamandzkim, rzecz jasna. Ale w pracy używał materiałów podobnych do tych, które stosowali współcześni mu malarze w Holandii.

– Czyli jego spękania powierzchni wyglądają raczej na niderlandzkie niż flamandzkie?

– Otóż to. Jeśli spojrzysz na „Portret lady Elizabeth Thimbleby i jej siostry wicehrabiny Andover” na stronie internetowej National Gallery, przekonasz się, o czym mówię.

– Wierzę ci na słowo – odparła Chiara, stukając kciukami w ekran telefonu Gabriela.

– Czego szukasz?

– Artykułu w „Sud Ouest”. – Czubkiem palca wskazującego przejechała w dół ekranu. – Mam. Wypadek wydarzył się wczoraj po południu na drodze D10, kawałek na północ od Saint-Macaire. Żandarmi uważają, że z jakiegoś powodu straciła panowanie nad kierownicą.

– Ile miała lat?

– Siedemdziesiąt cztery.

– Mężatka?

– Wdowa. Zdaje się, że ma córkę, Juliette Lagarde. – Chiara zamilkła na chwilę. – Może ona zgodzi się z tobą spotkać.

– A myślałem, że mam odpoczywać.

– Odpoczywasz. Ale w tych okolicznościach będzie lepiej, jeśli na kilka dni wyjedziesz z Wenecji. Przy pewnej dozie szczęścia będziesz w powietrzu, zanim generał Ferrari się zorientuje, że zniknąłeś.

Gabriel wyjął rękę z wody z lodem.

– I co powiesz?

– Powinna wystarczyć szyna. Możesz ją kupić w aptece po drodze na lotnisko. Ale radziłabym, żebyś w Bordeaux już nikogo nie bił.

– To nie była moja wina.

– A czyja, kochanie?

Madame Bérangar, pomyślał. Zamiast wysłać Julianowi list, powinna była po prostu zadzwonić do jego londyńskiej galerii. A teraz już nie żyje.

[3] Art Loss Register to największa na świecie baza skradzionych i zaginionych dzieł sztuki, antyków i przedmiotów kolekcjonerskich.

# 8

## SAN POLO

Wyczerpany wczuł się do łóżka i delikatnie trzymając rękę na piersi, zapadł w sen; nic mu się nie śniło. Ból obudził go o czwartej nad ranem. Leżał jeszcze przez godzinę, nie śpiąc, tylko nasłuchując, jak barki płyną Canal Grande na targ Rialto. W końcu poczłapał do kuchni i włączył automatico firmy Lavazza.

Czekając, aż kawa się zaparzy, uruchomił telefon i z ulgą przekonał się, że generał Ferrari nie pisał do niego w środku nocy. Rzut oka na stronę „Sud Ouest” upewnił go, że siedemdziesięcioczworoletnia Valerie Bérangar nie żyła. Ukazało się niewielkie postscriptum do artykułu omawiające szczegóły dotyczące pochówku. Pogrzeb miał się odbyć o dziesiątej rano w piątek, w Église Saint-Sauveur w Saint-Macaire. Pal licho przynależność religijną madame Bérangar u zarania życia, pomyślał Gabriel. Ostatecznie i tak skończyła jako katoliczka.

Popił kawą kolejną dawkę ibuprofenu. Wziął prysznic, ubrał się i wrzucił nieco ubrań do torby podróźnej, a tymczasem Chiara, zaplątana w egipską bawełnę, spała w sąsiednim pokoju. Dzieciaki wyskoczyły z łóżek o wpół do siódmej i domagały się, żeby je

nakarmić. Irene przyspiliła Gabriela oskarżycielskim wzrokiem sponad tradycyjnych na śniadanie muesli z jogurtem.

– Mama mówi, że wyjeżdżasz do Francji.

– Nie na długo.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że przez najbliższe kilka dni ze szkoły będzie was odbierała babcia.

– Ile dni?

– Się okaże.

– Wolimy, kiedy to ty nas odbierasz – oświadczył Raphael.

– Dlatego, że po drodze do domu zawsze zabieram was do pasticcerii.

– Nie tylko dlatego.

– Ja też lubię po was przyjeżdżać – powiedział Gabriel. – W sumie to jedno z moich ulubionych zajęć w ciągu dnia.

– A jakie jest to inne ulubione?

– Następne pytanie.

– Dlaczego znowu musisz wyjechać? – spytała Irene.

– Muszę pomóc przyjacielowi.

– Kolejnemu przyjacielowi?

– Prawdę mówiąc, temu samemu.

Wydęła policzki, bez apetytu mieszając zawartość talerza. Gabriel doskonale zdawał sobie sprawę, jaki jest powód jej niepokoju. Kiedy piastował stanowisko dyrektora generalnego Biura, trzykrotnie dokonano zamachów na jego życie. Ostatnią próbę podjęto w dniu zaprzysiężenia prezydenta Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie, kiedy to strzeliła mu w pierś kongresmenka z amerykańskiego środkowego zachodu, uważająca go za członka sekty pijących krew i uprawiających kult szatana pedofilów. Dwie poprzednie próby, choć bardziej prozaiczne, miały miejsce we

Francji. Dzieci przeważnie udawały, że nic takiego się nie wydarzyło, chociaż oba te incydenty były szeroko nagłośnione w mediach. Gabriel też przyjmował taką postawę, zwłaszcza że nadal odczuwał niemiłe efekty powikłań.

– Nic złego się nie stanie – zapewnił córkę.

– Zawsze tak mówisz. A potem zawsze coś się dzieje.

Gabriel nie miał na to gotowej odpowiedzi. Podniósł wzrok i ujrzał, że w progu kuchni stoi Chiara z nieco ogłupiałą miną.

– Wiesz, że nasza córka ma rację. – Chiara naląła sobie filiżankę kawy i spojrzała na dłoń Gabriela. – Jak twoja ręka?

– Jak nowa.

Uścisnęła ją delikatnie.

– W ogóle nie boli?

Skrzywił się i nie odpowiedział.

– Tak myślałam. – Puściła jego dłoń. – Spakowałeś się już?

– Prawie.

– Kto zawiezie Ktosia Jeden i Ktosia Dwa do szkoły?

– Papa! – zakrzyknęły bliźniaki jednym głosem.

Wrócił do sypialni i otworzył sejf ukryty w garderobie. Trzymał w nim dwa fałszywe niemieckie paszporty, dwadzieścia tysięcy euro w gotówce oraz berettę. Wziął jeden paszport, ale pistolet zostawił, ponieważ jego układ z władzami włoskimi nie pozwalał mu wnosić broni palnej na pokład samolotu. Poza tym gdyby okoliczności tego wymagały, wystarczyłby jeden telefon, a zdobyłby we Francji broń o niemożliwym do ustalenia pochodzeniu, za cichym przyzwoleniem swojej dawnej służby albo i bez niego.

Postawił torbę w holu wejściowym i o siódmej czterdzieści pięć zszedł za Chiarą i dziećmi po schodach palazzo. Na ulicy Chiara skierowała się na przystanek vaporetto San Tomà. Nagle zatrzymała się i pocałowała Gabriela w usta.

- Będziesz ostrożny we Francji, obiecuj.
- Przysięgam z ręką na sercu.
- Zła odpowiedź, kochanie. – Położyła dłoń z lewej strony piersi męża i nagle poczuła wibracje jego telefonu. – O masz! Ciekawe, kto to może być.

## BAR DOGALE

Powierzywszy Irene i Raphaela signorze Antonelli, ich nauczycielce o proekologicznych i socjaldemokratycznych zapatrywaniach, Gabriel poszedł pustymi ulicami na Campo dei Frari. Plac pogrążony był w porannym cieniu, ale słońce łaskawie objęło w posiadanie czerwone dachówki potężnej gotyckiej bazyliki. U stóp dzwonnicy, drugiej co do wysokości w Wenecji, stało osiem chromowanych stolików zakrytych niebieskimi obrusami – własność Baru Dogale, jednej z najlepszych kawiarni dla turystów w San Polo.

Przy jednym ze stolików siedział generał Ferrari. Porzucił niebieski mundur obwieszony licznymi medalami i insygniami na rzecz garnituru oraz płaszcza. Dłoni, którą wyciągnął na powitanie, brakowało dwóch palców – był to rezultat bomby w liście, który otrzymał w 1988 roku, gdy piastował stanowisko szefa carabinieri w Neapolu. Mimo to uścisk tej ręki był żelazny.

- Coś ci się stało? – zapytał, kiedy Gabriel usiadł.
- Rezultat zbyt wielu lat trzymania pędzla.
- Masz szczęście. Ja musiałem się nauczyć robić większość rzeczy lewą ręką. A na domiar złego mam jeszcze to. – Generał wskazał

sztuczne prawe oko. – Za to ty, jak się wydaje, z ostatniego bliskiego spotkania ze śmiercią wyszedłeś prawie bez szwanku.

– Prawie.

– W Waszyngtonie chyba niewiele brakowało, żebyśmy cię stracili?

– Umarłem dwukrotnie. Za drugim razem znajdowałem się w stanie śmierci klinicznej przez niemal dziesięć minut.

– A przypadkiem nie ujrzałeś czegoś?

– Na przykład?

– Jasnego białego światła? Oblicza Wszechmogącego?

– Nie przypominam sobie.

Odpowiedź Gabriela najwyraźniej rozczarowała generała.

– Obawiałem się, że to powiesz.

– To wcale nie znaczy, że nie ma życia po życiu, Cesare. Tylko tyle, że nie pamiętam nic z tego, co działo się po tym, jak straciłem przytomność.

– A czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

– Nad istnieniem Boga? Życiem po życiu?

Generał pokiwał głową.

– Zagłada okradła moich rodziców z wiary w Boga. Religią mojego dzieciństwa był syjonizm.

– Jesteś całkowicie świecki?

– Wiara opuszcza mnie i powraca.

– A twoja żona?

– Jest córką rabina.

– Wiem z najwyższych kręgów władzy, że kulturalni i artystyczni strażnicy Wenecji są nią wręcz oczarowani. Wygląda na to, że czeka was tu wspaniała przyszłość. – Przez chwilę generał mierzył Gabriela niewidzącym sztucznym okiem. – I dlatego tym trudniej przychodzi mi wyjaśnienie twojego niedawnego zachowania.

Wstukał kod do smartfonu i położył go na stoliku. Gabriel przelotnie zerknął na ekran. Ujrzał posiniaczoną i opuchniętą twarz, nijak niepodobną do tej, którą widział poprzedniego wieczoru.

– Trzeba mu było zdrutować szczękę – oznajmił generał. – Dla Włocha to gorsze niż śmierć.

– Gdyby się zechciał przedstawić, zasiadłby dzisiaj do obfitego lunchu.

– Twierdzi, że nie dałeś mu szansy.

– Zaczniemy od tego, dlaczego mnie śledził?

– Nie śledził cię – odparł Ferrari. – Śledził twojego przyjaciela.

– Juliana Isherwooda? Dlaczego?

– W rezultacie tej niefortunnej historii nad jeziorem Como sprzed kilku lat signore Isherwood pozostaje pod obserwacją Brygady Sztuki. Mamy go na oku za każdym razem, kiedy zjawia się we Włoszech. A młody Rossetti, którego przydzielono do Wenecji zaledwie tydzień temu, wyciągnął krótszą zapalną.

– Kiedy zobaczył Juliana ze mną, natychmiast powinien był wyjść z Harry's Bar.

– To ja mu kazałem zostać.

– Bo chciałeś wiedzieć, o czym rozmawiamy?

– Chyba tak.

– Ale to nadal nie tłumaczy, dlaczego szedł za mną do vaporetto.

– Chciałem się upewnić, że bezpiecznie dotarłeś do domu. A ty jak się odwdzięczyłeś za tę uprzejmość? Bijąc na kwaśne jabłko jednego z moich najlepszych młodych rekrutów.

– To było nieporozumienie.

– Tak czy owak postawiłeś mnie przed bardzo trudnym wyborem.

– Czyli?

– Natychmiastową deportacją albo długoletnim więzieniem. Skłaniam się do tej drugiej opcji.

– A co musiałbym zrobić, żeby uniknąć tego losu?

– Na początek możesz wykazać odrobinę skruchy.

– Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.

– O wiele lepiej. A teraz mów, po co signore Isherwood przyleciał do Wenecji. Bo inaczej – generał spojrział na zegarek – nie zdążysz na samolot.

Przy śniadaniu złożonym z cappuccini i cornetti Gabriel powtórzył to, co usłyszał od Juliana. Przez cały ten czas Ferrari patrzył na niego sztucznym okiem, nie mrugnawszy powieką. Jego mina nic nie zdradzała, nic poza lekkim znużeniem, pomyślał Gabriel. Generał był dowódcą największej na świecie i najbardziej wyrobionej brygady ścigającej przestępstwa związane ze sztuką. Znał takie historyjki na pamięć.

– Wiesz, że to wcale nie takie proste. Zaaranżowanie śmiertelnego wypadku samochodowego.

– Chyba że to była robota zawodowców.

– Robiłeś kiedyś coś takiego?

– Czy zabiłem kogoś z pomocą samochodu? Nie przypominam sobie – odparł Gabriel. – Ale zawsze musi być ten pierwszy raz.

Generał skwitował to suchym śmiechem.

– A jednak najbardziej logiczne wyjaśnienie brzmi tak, że ta Bérrangar była spóźniona na spotkanie z signore Isherwoodem, śpieszyła się i zginęła w tragicznym wypadku.

– A ci dwaj, którzy próbowali ukraść Julianowi teczkę?

Ferrari wzruszył ramionami.

– Zwyczajni złodzieje.

– A ci, którzy przeszukali jego pokój w hotelu?

– To akurat trudniej jest wyjaśnić – przyznał generał. – I dlatego radzę twojemu przyjacielowi, żeby powiedział francuskim specjalistom od łapania złodziei dzieł sztuki wszystko, co wie. To wydział Police Nationale o nazwie Centralne Biuro do Walki z Nielegalnym Handlem Dobrami Kultury.

– Chwytiliwa nazwa – mruknął Gabriel.

– Po francusku prawdopodobnie brzmi lepiej.

– Jak większość rzeczy.

– Chętnie nawiążę kontakt z moim francuskim odpowiednikiem.

To Jacques Ménard. Nie przepada za mną.

– Signore Isherwood nie życzy sobie mieszać do tego policji.

– A co czemu?

– Podejrzewam, że ma alergię.

– Powszechna przypadłość wśród marszandów i kolekcjonerów. No chyba że któryś z ich cennych obrazów zostaje skradziony. Wtedy nagle mamy wzięcie. – Generał zdobył się na coś zbliżonego do uśmiechu. – Zakładam, że na pierwszy ogień weźmiesz córkę.

– Jeżeli zgodzi się ze mną spotkać.

– Kto zrezygnowałby z szansy poznania wielkiego Gabriela Allona?

– Kobieta oplakująca śmierć matki.

– A co z tym paryskim marszandem?

– Julian ręczy za jego uczciwość.

– Jeśli chcesz, mogę go przepuścić przez naszą bazę danych; a nuż coś wyskoczy.

– Mam własne kontakty w paryskim światku sztuki.

– Z tego, co pamiętam, w jego szemranych kręgach. – Generał Ferrari głośno wypuścił powietrze z płuc. – I tak oto wracamy do tematu młodego capitano Rossettiego.

– Może powinienem z nim porozmawiać.

– Wierz mi, że Rossetti nie ma ochoty cię widzieć. Prawdę mówiąc, wstydzi się tego, jak się wczoraj potoczyły sprawy. W końcu jesteś od niego dwa razy mniejszy.

– I dwa razy starszy.

– To prawda.

Gabriel spojrział na zegarek.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał generał.

– Mam nadzieję, że na lotnisko.

– O dziesiątej łódź patrolowa carabinieri odbierze cię z przystanku San Tomà.

– Nie sądzisz, że dziesiąta to trochę późno?

– Przedstawiciel Alitalii przeprowadzi cię przez ochronę prosto do samolotu. I nie martw się o Chiarę i dzieci – dodał generał, zamówiwszy jeszcze dwa cappuccini. – Przypilnujemy ich pod twoją nieobecność.

# 10

## VILLA BÉRRANGAR

W średniowieczu, kiedy angielscy królowie rościli sobie pretensje do całej Francji, malownicza wioska Saint-Macaire otrzymała miano ville royale d'Angleterre. Z biegiem stuleci prawie się nie zmieniła. Wejścia na stare miasto broniła średniowieczna wieża; jej tarcza zegarowa wskazywała wpool do szóstej. Obok niej mieściła się kawiarnia o nazwie La Belle Lurette. Gabriel dał kelnerowi dwadzieścia euro i spytał go o adres madame Valerie Bérrangar.

– W poniedziałek po południu zginęła w wypadku samochodowym.

Gabriel bez słowa wręczył mu kolejny banknot.

– Jej willa stoi obok Château Malromé. Jakies dwa kilometry na wschód. – Kelner wsunął pieniądze do kieszeni fartucha. – Wjazd będzie pan miał po lewej. Nie sposób go przegapić.

Château stał na szerokim zboczu góry na północ od Saint-Macaire, w gminie Saint-André-du-Bois. Tę zajmującą czterdzieści hektarów posiadłość znaną z wysokiej jakości zwirowo-gliniastej gleby nabyła pod koniec dziewiętnastego wieku hrabina Adèle de Toulouse-Lautrec. Jej syn, malarz i ilustrator często szukający

natchnienia w paryskich burdelach i kabaretach, przyjeżdżał tam na lato.

Droga na wchód od château była niebezpiecznie wąska; z obu stron otaczały ją winnice. Jednym okiem zerkając na tablicę rozdzielczą wynajętego sedana, Gabriel przejechał dokładnie dwa kilometry i zgodnie z przewidywaniami po lewej stronie drogi zauważył jakąś siedzibę. Na dziedzińcu stał peugeot kombi, niebieski metalik, paryska rejestracja. Gabriel zaparkował obok niego i zgasił silnik. Gdy otworzył drzwi, usłyszał zajadłe szczekanie psa. Jakżeby inaczej, pomyślał, wysiadając.

Ze znużeniem ruszył do wejścia willi. Właśnie wyciągał rękę do przycisku dzwonka, gdy drzwi otworzyły się i w progu stanęła kobieta w ciemnej sukni, z ponurą miną i bladą cerą kogoś, kto starannie wystrzega się słońca. Na pierwszy rzut oka miała niewiele ponad czterdzieści lat, chociaż Gabriel nie był tego pewny. Wiek obrazu, który wyszedł spod ręki któregoś z dawnych mistrzów, potrafił wiarygodnie określić z dokładnością do kilku lat. Natomiast współczesne kobiety, dysponujące ukrywającymi wiek balsamami i zastrzykami, stanowiły dla niego zagadkę.

– Madame Lagarde?

– Oui – potwierdziła. – Czym mogę służyć, monsieur?

Gabriel przedstawił się. Nie użył jakiegoś służbowego pseudonimu ani nie rzucił pierwszego lepszego nazwiska, tylko podał prawdziwe.

– Czy kiedyś się poznaliśmy? – spytała Juliette Lagarde.

– Szczerze wątpię.

– A jednak pańskie nazwisko brzmi znajomo. – Zmrużyła oczy. – Pana twarz też nie jest mi obca.

– Być może czytała pani o mnie w gazetach.

– Dlaczego?

– Swego czasu byłem szefem izraelskiej służby wywiadowczej. Ściśle współpracowałem z władzami francuskimi w walce z Państwem Islamskim.

– To pan jest tym słynnym Gabrielem Allonem?

Uśmiechnął się do niej ze skruchą.

– Niestety, tak się składa.

– Cóż więc pan tu robi?

– Mam do pani kilka pytań na temat matki.

– Moja matka...

– W poniedziałek po południu zginęła w wypadku drogowym. – Gabriel zerknął przez ramię na wielkiego owczarka belgijskiego, który ujadł na dziedzińcu. – Czy moglibyśmy porozmawiać w środku?

– Chyba nie boi się pan psów?

– Non – zaprzeczył Gabriel. – Chyba że takich brytanów jak ten.

Okazało się, że Juliette Lagarde również nie przepada za tym psem. Należał on do Jean-Luca, dozorca, który pracował dla rodziny Bérangar od ponad trzydziestu lat, pilnując domu, kiedy przebywali w Paryżu, i zajmując się niewielką winnicą. Ojciec Juliette, znakomicie zarabiający prawnik od prawa handlowego, własnoręcznie zasadził tę winorośl. Zmarł na rozległy zawał serca, kiedy Juliette studiowała jeszcze na paryskiej Sorbonie. Zrobiwszy nieprzydatne magisterium z literatury, pracowała teraz w dziale marketingu jednego z największych we Francji domów mody. Jej matka, zdenerwowana atakami terrorystycznymi dokonanymi w Paryżu przez dżihadystów, ostatnio większość czasu spędzała w Saint-André-du-Bois.

– Dla jasności, matka nie cierpiała na islamofobię ani nie popierała skrajnej prawicy. Po prostu wolała życie na wsi od gwaru

miasta. Martwiłam się, że przebywa tu sama, ale w okolicy miała wielu przyjaciół. I żyła po swojemu.

Stali w przestronnej kuchni, czekając, aż w elektrycznym czajniku zagotuje się woda. Wokół nich w domu panowała cisza.

– Często pani z nią rozmawiała? – zapytał Gabriel.

– Raz, dwa razy na tydzień. – Juliette Lagarde westchnęła. – Ostatnio nasze stosunki były dość napięte.

– Mogę spytać o powód?

– Kłóciłyśmy się w kwestii ponownego wyjścia za mąż.

– Czyżby była z kimś związana?

– Moja matka? Boże uchroni. – Juliette Lagarde uniosła lewą rękę. Nie nosiła obrączki. – Chciała, żebym sobie znalazła nowego męża, zanim będzie za późno.

– A co się stało z pierwszym?

– Byłam zbyt pochłonięta pracą, aby zauważyć, że uprawiał namiętne cinq à sept z młodą kobietą ze swojego biura.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Tak to już bywa. Zwłaszcza we Francji. – Nalała gorącej wody z elektrycznego czajnika do czajniczka w kwiatowy wzór. – A jak tam z panem, monsieur Allon? Jest pan żonaty?

– I to szczęśliwie.

– Dzieci?

– Bliźnięta.

– Też są szpiegami?

– Na razie chodzą do podstawówki.

Juliette Lagarde wzięła tacę i zaprowadziła Gabriela centralnym korytarzem do salonu. Był bardzo oficjalny, bardziej paryski niż w stylu Bordeaux. Na ścianach wisiały liczne olejne płótna w ozdobnych antycznych francuskich ramach. Były to prace

znakomitej jakości, ale niezbyt wiele warte. Ktoś wybrał je bardzo starannie.

Juliette Lagarde postawiła tacę na niskim drewnianym stoliku i otworzyła drzwi balkonowe, wpuszczając zimne popołudniowe powietrze.

– Wie pan, kto tam mieszkał? – spytała, ruchem głowy wskazując widoczny w oddali Château Malromé.

– Malarz, którego prace zawsze podziwiałem.

– Interesuje się pan sztuką?

– Można tak powiedzieć.

Usiadła i nalała dwie filiżanki herbaty.

– Czy zawsze odpowiada pan tak wymijająco?

– Proszę mi wybaczyć, madame Lagarde. Po prostu dopiero niedawno zmieniłem tajny świat na jawny. Nie przywykłem mówić o sobie.

– Więc proszę wreszcie spróbować.

– Kiedy studiowałem malarstwo, zwerbował mnie wywiad izraelski. Chciałem być malarzem, a w rezultacie zostałem konserwatorem. Przez wiele lat pracowałem w Europie pod przybraną tożsamością.

– Po francusku mówi pan wyśmienicie.

– Lepszy jest mój włoski. – Gabriel wziął filiżankę i podszedł z nią do kominka. Na gzymsie stały fotografie w ładnych srebrnych ramkach. Jedna przedstawiała rodzinę Bérangar w szczęśliwszych czasach. – Jest pani uderzająco podobna do matki. Ale na pewno pani to wie.

– Byliśmy bardzo podobne do siebie. Może nawet za bardzo. – Zapadła cisza. W końcu Juliette Lagarde podjęła: – Skoro już przedstawiliśmy się sobie jak należy, monsieur Allon, może zechce

mi pan wyjaśnić, dlaczego ktoś taki jak pan interesuje się jej śmiercią.

– Ten wypadek wydarzył się, kiedy jechała do Bordeaux na spotkanie z moim przyjacielem. To Julian Isherwood, marszand. – Podał Juliette Lagarde list. – To dotarło do jego londyńskiej galerii w zeszły piątek.

Spojrzała na kartkę i przeczytała wiadomość.

– Czy to jest charakter pisma pani matki?

– Tak, oczywiście. Mam całe pudła jej listów. Była bardzo staroświecka. Nie znosiła mejli i stale zawieruszała gdzieś komórkę.

– Ma pani jakiś pomysł, do czego się odnosiła w tym liście?

– Prawne i etyczne problemy związane z obrazem pańskiego przyjaciela? – Juliette Lagarde wstała raptownie. – Tak, monsieur Allon. Chyba wiem, o co chodzi.

Zaprowadziła go przez dwuskrzydłowe drzwi do sąsiedniego pokoju. Był mniejszy od głównego salonu, bardziej intymny. To pokój, w którym się czyta książki i pisze listy do londyńskich marszandów, pomyślał Gabriel. Na ścianach wisiało sześć obrazów dawnych mistrzów, przepięknie oprawionych i oświetlonych, a wśród nich portret kobiety, olej na płótnie o wymiarach mniej więcej 115 na 92 centymetry, niewątpliwie autorstwa jakiegoś Holendra albo Flamanda.

– Czy nie wygląda znajomo? – spytała Juliette Lagarde.

– Bardzo – odparł Gabriel i w zamyśleniu podparł brodę ręką. – Czy pamięta pani przypadkiem, gdzie pani ojciec go nabył?

– W małej galerii przy rue la Boétie w Paryżu.

– Galerie Georges Fleury?

– O właśnie.

– Kiedy?

– Trzydzieści cztery lata temu.

– Ma pani dobrą pamięć.

– Ojciec podarował go mojej matce na czterdzieste urodziny.

Uwielbiała ten obraz.

Wciąż podpierając brodę ręką, Gabriel przekrzywił głowę na bok.

– Czy ona się jakoś nazywa?

– Tytuł obrazu brzmi „Portret nieznannej kobiety”. – Juliette Lagarde zamilkła i po chwili dodała: – Tak samo jak tytuł obrazu pańskiego przyjaciela.

– A atrybucja?

– Musiałabym to sprawdzić w papierach ojca, ale zdaje się, że to jakiś naśladowca Antoona van Dycka. Szczerze mówiąc, uważam, że różne kategorie atrybucji są dosyć arbitralne.

– Podobnie myśli wielu marszandów. Dlatego przeważnie wybierają taką, która może im przynieść najwięcej pieniędzy. – Gabriel wyjął telefon, zrobił zdjęcie twarzy kobiety na portrecie i je powiększył.

– Szuka pan czegoś konkretnego?

– Rysunku spękań powierzchni.

– Czy to jest jakiś problem?

– Ależ skąd – odparł Gabriel. – Nie ma żadnego problemu.

## VILLA BÉRRANGAR

Wspólnymi siłami zdjęli obraz z uchwytów i przenieśli do sąsiedniego pokoju, gdzie było więcej naturalnego światła. Tam Gabriel wyjął płótno z ramy i zbadał je pobieżnie, zaczynając od wizerunku – był to trzyćwierciový portret młodej kobiety, dwudziestokilkuletniej, najwyżej tuż po trzydziestce, w sukni ze złotego jedwabiu obszytej białą koronką. Identyczny strój miała kobieta na obrazie Juliana, chociaż kolory nie były tak jaskrawe, a subtelne fałdy i zagięcia materiału oddano mniej przekonująco. Ręce kobiety były niezgrabnie ułożone, wzrok miała pusty. Kimkolwiek był malarz, nie potrafił uzyskać tej głębi charakteru, by modelka wyglądała jak żywa – a z tego właśnie słynął Antoon van Dyck, jeden z najbardziej wziętych portrecistów swoich czasów.

Gabriel odwrócił obraz i dokładnie przyjrzał się tylnej stronie płótna. Było takie samo jak w innych holenderskich i flamandzkich obrazach z siedemnastego wieku, które restaurował. Podobnie blejtram. Drewniana konstrukcja wydawała się oryginalna, miała tylko dwa poziome wzmocnienia pochodzące z dwudziestego wieku. Krótko mówiąc, nie znalazł nic niezwykłego ani podejrzanego. Sądząc z wyglądu, obraz ten był kopią oryginalnego portretu pędzla

van Dycka, który Julian sprzedał Phillipowi Somersetowi, inwestorowi z Nowego Jorku, za sumę sześciu i pół miliona funtów.

Powstał jednak oczywisty problem.

Oba dzieła pojawiły się w tej samej galerii w paryskiej Ósmej Dzielnicy w odstępie trzydziestu czterech lat.

Gabriel oparł obraz należący do rodziny Bérangar o stolik do kawy i usiadł obok Juliette Lagarde. Po chwili milczenia odezwała się:

– Jak pan myśli, kim była ta nasza nieznana kobieta?

– Zależy od tego, gdzie ją namalowano. Van Dyck z powodzeniem prowadził pracownię w Londynie i Antwerpii i kursował między nimi. Tę w Londynie nazywano salonem piękności. Działało to jak dobrze naoliwiona maszyna.

– Ile portretów właściwie namalował?

– Zwykle malował tylko głowę i twarz. Nie próbował schlebiać swoim modelom, poprawiając ich wygląd, przez co uchodził za kontrowersyjnego. My sądzimy, że stworzył około dwustu portretów, ale niektórzy historycy sztuki są zdania, że powstało ich blisko pięćset. Miał tylu naśladowców i wielbicieli, że potwierdzenie autentyczności to często trudna sprawa.

– Ale nie dla pana?

– Sir Antoon i ja znamy się na wylot.

Juliette Lagarde odwróciła się do obrazu.

– Ona nie wygląda na Angielkę, raczej na Holenderkę albo Flamandkę.

– Zgadza się.

– Była żoną albo córką jakiegoś bogacza?

– Albo kochanką – podsunął Gabriel. – Właściwie to mogła być jedną z kochanek samego van Dycka. Miał ich mnóstwo.

– Malarze! – rzuciła Juliette Lagarde z udawaną pogardą, dolewając Gabrielowi herbaty. – No dobrze, założmy więc hipotetycznie, że Antoon van Dyck namalował oryginalny portret nieznanej kobiety w latach czterdziestych siedemnastego wieku.

– Założmy – zgodził się Gabriel.

Ruchem głowy wskazała wyjęte z ramy płótno.

– Wobec tego kto namalował ten obraz? I kiedy?

– Jeżeli był to tak zwany naśladowca van Dycka, to wprawdzie pracował w jego stylu, ale niekoniecznie należał do kręgu jego bliskich znajomych.

– Pan Nikt? To chce pan powiedzieć?

– Jeśli ten obraz daje pojęcie o jego kunszcie, to wątpię, żeby cieszył się wielkim powodzeniem.

– W jaki sposób mógł tego dokonać?

– Skopiować obraz? Mógł się pokusić o szkic odręczny. Ale ja na jego miejscu odnalazłbym oryginał van Dycka i dopiero wtedy przeniósł wizerunek na płótno o tych samych wymiarach.

– A jak można było tego dokonać w siedemnastym wieku?

– Ja bym zaczął od podziurkowania maleńkimi otworkami linii mojego szkicu. Potem położyłbym ten papier na zagruntowanym płótnie i posypał go sproszkowanym węglem drzewnym, uzyskując upiorną, ale geometrycznie dokładną kopię oryginału van Dycka.

– Podmalówka?

– Otóż to.

– A potem?

– Potem przygotowałbym paletę i zabrał się do malowania.

– Mając oryginał pod ręką?

– Prawdopodobnie stał nieopodal na sztalugach.

– Czyli malarz go sfalszował?

– O fałszerstwie można by mówić dopiero wtedy, gdyby próbował sprzedać swoją wersję jako oryginalnego van Dycka.

– A pan zrobił kiedyś coś takiego? – spytała Juliette Lagarde.

– Czy skopiowałem obraz?

– Nie, monsieur Allon. Czy pan jakiś sfałszował.

– Jestem konserwatorem sztuki – odparł Gabriel z uśmiechem. – Są i tacy krytycy naszego zawodu, którzy twierdzą, że odnawiając dzieła sztuki, nie robimy nic innego, tylko bez przerwy je fałszujemy.

W pokoju nagle powiało chłodem. Juliette Lagarde zamknęła drzwi i rozejrzała się, a tymczasem Gabriel przymocował ramę do obrazu. Razem zanieśli go do sąsiedniego pokoju i zawiesili na jego dawnym miejscu.

– Który jest lepszy? – spytała Juliet Lagarde. – Ten czy sprzedany przez pańskiego przyjaciela?

– Niech pani sama osądzi. – Gabriel przyłożył swój telefon do obrazu. Na ekranie był „Portret nieznannej kobiety” w wersji posiadanej przez Juliana. – I co pani powie?

– Muszę przyznać, że wersja pana przyjaciela jest znacznie lepsza. A z drugiej strony to dosyć niepokojące widzieć je tak obok siebie.

– Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że oba obrazy przeszły przez tę samą galerię – zauważył Gabriel.

– Czy w grę może wchodzić przypadek?

– Ja w nie nie wierzę.

– Moja matka też nie wierzyła.

I dlatego już nie żyje, pomyślał Gabriel.

Schował telefon do górnej kieszonki marynarki.

– Czy żandarmi zwrócili rzeczy osobiste pani matki?

– Wczoraj wieczorem.

– I nie zauważyła pani nic niezwykłego?

- Chyba brakowało jej komórki.
- Nie wzięła jej, wyjeżdżając do Bordeaux?
- Żandarmi nic nie mówili.
- Sprawdziła pani w domu?
- Szukałam wszędzie. Prawdę mówiąc, rzadko z niej korzystała.

Wolała te swoje stare telefony stacjonarne. – Juliette Lagarde wskazała stojące w pokoju eleganckie antyczne biurko. – Tego używała najczęściej.

Gabriel podszedł do biurka i zapalił lampę. W pamięci telefonu znalazł pięć połączeń przychodzących z Galerie Georges Fleury oraz trzy z numeru posterunku Police Nationale w centrum Paryża. A w leżącym na blacie kalendarzu madame Bérangar zobaczył notatkę przypominającą o spotkaniu o czwartej po południu w ostatnim dniu jej życia.

„M. Isherwood. Café Ravel”.

Odwrócił się do Juliette Lagarde.

- Czy ostatnio próbowała pani dzwonić na jej komórkę?
- Ostatnio dziś rano. Mam wrażenie, że padła jej bateria.
- Pozwoli pani, że spróbuję?

Juliette Lagarde podała mu numer. Gdy go wybrał, od razu włączyła się poczta głosowa. Przerwał połączenie i wytrzymując niewzruszone spojrzenie nieznannej kobiety na portrecie, po raz pierwszy nabrał przekonania, że Valerie Bérangar została zamordowana.

- Czy pani matka miała komputer?
- Ależ tak, oczywiście. Apple’a.
- Nie zaginął, prawda?
- Non. Dziś rano sprawdzałam mejle.
- Było coś ciekawego?

– W dniu, kiedy matka zginęła w wypadku samochodowym, jej agencja ubezpieczeniowa przysłała zawiadomienie o planowanym podniesieniu stawki. Za Boga ojca nie mam pojęcia dlaczego. Była znakomitym kierowcą – odparła Juliette Lagarde. – Nigdy nie dostała nawet mandatu za złe parkowanie.

Podczas jego jazdy powrotnej do Saint-Macaire z nieba lunęło jak z cebra. Gabriel zameldował się w hotelu i poszedł na kolację do La Belle Lurette, niosąc pod pachą dla towarzystwa książkę. Zamówiwszy poulet rôti z pommes frites, zadzwonił do Chiary w Wenecji. Oboje używali wyprodukowanych w Izraelu telefonów Solaris – najlepiej zabezpieczonych komórek na świecie. A mimo to starannie dobierali słowa.

– Już się zaczynałam o ciebie martwić – powiedziała.

– Wybacz. Pracowite popołudnie.

– Mam nadzieję, że owocne.

– I to jak.

– Zgodziła się na spotkanie?

– Poczęstowała mnie herbatą – odparł Gabriel. – A potem pokazała mi obraz.

– Atrybucja?

– Naśladowca Antoona van Dycka.

– Temat?

– Portret nieznannej kobiety. Tuż przed trzydziestką albo niewiele po. Nie grzeszyła urodą.

– Co miała na sobie?

– Złotą suknię obszytą białą koronką.

– Wygląda na to, że mamy problem.

– A nawet kilka. Jednym z nich jest nazwa galerii, w której jej ojciec nabył płótno.

– Myślisz, że jej matkę...

- Myślę.
- Powiedziałaś jej?
- Nie widziałem powodu.
- Jakie masz plany?
- Muszę pojechać do Paryża pogadać ze starym przyjacielem.
- Pozdrów go ode mnie.
- Pozdrowię, spokojna głowa – obiecał Gabriel.

# 12

## BORDEAUX - PARYŻ

Gabriel spał kiepsko, obudził się wcześniej i zanim jeszcze na dobre się rozwidniło, wyjechał do Bordeaux. Kilometr na północ od wioski Sainte-Croix-du-Mont w jego reflektorach pojawiła się białoszara plama po zużytej flarze ostrzegawczej. Kilka sekund później ujrzał ślady opon – dwie czarne krechy na przeciwległym pasie.

Zjechał na trawiaste pobocze i rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie drogi w dół stromego zbocza góry maszerowały kolumny winorośli. Po lewej, bliżej rzeki, także ciągnęły się winnice, ale teren był płaski jak stół. I prawie pozbawiony drzew, zauważył Gabriel, jeśli nie liczyć zagajnika topoli o białej korze, do którego prowadziły ślady opon.

Ze skrytki samochodu wyjął latarkę diodową, odczekał, aż minie go ciężarówka, po czym wysiadł i przeszedł na drugą stronę szosy. Nie zapuścił się daleko za białą kreskowaną linię na skraju asfaltu, nie było takiej potrzeby. Ze swojego punktu obserwacyjnego doskonale widział zniszczenia.

W wyniku zderzenia złamały się dwie topole, a rozmokła ziemia była usiana kostkami szkła bezodpryskowego. Gabriel przypuszczał, że zważywszy na siłę kolizji, Valerie Bérangar musiała zginąć na

miejscu. Ale być może zachowała przytomność na tyle, by ujrzeć dłoń w rękawiczce sięgającą przez rozbite okno. Nie po to, żeby udzielić jej pomocy, lecz by ukraść telefon. Gabriel znów wybrał numer z nadzieją, że pośród drzew rozlegnie się może agonalne rżenie, ale i tym razem natychmiast włączyła się poczta głosowa.

Przerwał połączenie, odwrócił się i dokładnie obejrzał równoległe ślady opon. Przecinały pas ruchu pojazdów jadących na południe pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni. Tak, pomyślał, całkiem możliwe, że Valerie Bérangar coś rozproszyło i mimowolnie skręciła ostro w lewo, dokładnie w kierunku jedyne go skupiska drzew w zasięgu wzroku. Jednak dużo bardziej prawdopodobne było to, że jej samochód został zepchnięty z drogi przez pojazd jadący za nią.

Od północy nadjechał jakiś samochód, zwolnił na chwilę i pojechał dalej ku Sainte-Croix-du-Mont. Minęły dwie minuty, zanim pojawił się kolejny pojazd, tym razem jadący od południa. Nie był to ruchliwy odcinek drogi. W poniedziałek o trzeciej piętnaście po południu byłoby tu równie spokojnie. Ale i tak współnicy człowieka, który zepchnął samochód Valerie Bérangar na drzewa, prawdopodobnie postarali się zatrzymać ruch na szosie w obu kierunkach, by nie było świadków. Generał Ferrari miał rację, wcale nie jest łatwo spowodować wypadek drogowy ze skutkiem śmiertelnym. Jednak ci, którzy zabili Valerie Bérangar, znali się na swojej robocie. No ale w końcu byli zawodowcami, pomyślał Gabriel. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Przeszedł na drugą stronę szosy i usiadł za kierownicą wynajętego samochodu. Jazda na lotnisko zajęła mu trzydzieści minut. Samolot do Paryża wystartował punktualnie o dziewiątej, a o wpół do dwunastej, zostawiwszy torbę w portierni hotelu Bristol, Gabriel szedł rue de Miromesnil w Ósmej Dzielnicy.

Na północnym skraju tej ulicy znajdował się niewielki sklepik o nazwie Antiquités Scientifiques. W oknie wisiała tabliczka z napisem ouvert. Kiedy nacisnął dzwonek, rozległo się nieprzyjemne wycie. W końcu usłyszał głuchy odgłos odsuwanej zasuwki i wszedł do środka.

Rankiem 22 sierpnia 1911 roku Louis Béroud zjawił się w Musée du Louvre, by wznowić pracę nad kopią portretu włoskiej szlachcianki – oleju na desce z topoli o wymiarach 77 na 53 centymetry – wiszącego w Salon Carré. Luwr nie utrudniał pracy artystom takim jak Béroud. Przeciwnie, pozwalał im zostawiać na noc w muzeum swoje farby i sztalugi. Nie wolno im było tylko tworzyć kopii o wymiarach identycznych z oryginałami, ponieważ europejski rynek sztuki zalewały fałszywe obrazy dawnych mistrzów.

Tego ranka, we wtorek, ubrany wyjściowo w czarny surdut i sztuczne spodnie Béroud wszedł do Salon Carré i stwierdził, że ktoś wyjął portret, „Monę Lisę” Leonarda da Vinci, z zabezpieczającej go przeszklonej drewnianej gabloty. Przyjął to z rozczarowaniem, acz bez specjalnego niepokoju. Obaw nie miał też Maximilien Alphonse Paupardin, strażnik, który siedząc na stołku w progu, pilnował Salon Carré i znajdujących się w nim bezcennych skarbów. W Luwrze robiono właśnie zdjęcia całości zbiorów malarstwa oraz innych objets d’art. Brygadier Paupardin był przekonany, że Mona Lisa poszła się właśnie sfotografować.

Jednak nieco później, po wizycie w pracowni fotograficznej, Paupardin w panice poinformował pełniącego obowiązki dyrektora Luwru, że „Mona Lisa” zniknęła. O pierwszej przybyli żandarmi i natychmiast zamknęli muzeum. Pozostało nieczynne przez następny tydzień, podczas gdy policja przetrząsała Paryż w poszukiwaniu tropów. W sumie śledztwo to było komedią

pomyłek. Jednymi z pierwszych podejrzanych byli arogancki hiszpański malarz Pablo Picasso oraz jego przyjaciel, poeta i prozaik Guillaume Apollinaire.

Kolejnym był Vincenzo Peruggia, urodzony we Włoszech stolarz, który pomagał w budowie ochronnej gabloty dla „Mony Lisy”. Ale po krótkim przesłuchaniu przeprowadzonym w jego paryskim apartamencie policja oczyściła go z podejrzeń. A właśnie tam przebywała „Mona Lisa”, ukryta w kufrze w sypialni aż do roku 1913, kiedy to skromny cieśla spróbował sprzedać obraz znanemu marszandowi z Florencji. Marszand przekazał dzieło galerii Uffizi, a Peruggię bez zwłoki aresztowano. Za największą w historii zbrodnię w świecie sztuki włoski sąd wymierzył mu karę roku więzienia, ale odsiedziawszy za kratkami zaledwie siedem miesięcy, Peruggia wyszedł na wolność.

Podczas ponurej zimy 1985 roku ta niezwykła historia kradzieży „Mony Lisy” zainspirowała nerwowego paryskiego sklepikarza Maurice’a Duranda do dokonania pierwszej kradzieży obrazu – niewielkiej martwej natury pędzla Jean-Baptiste-Siméona Chardina, wiszącej w rzadko odwiedzanym zakątku Musée des Beaux-Arts w Strasburgu. W przeciwieństwie do Vincenza Peruggii Durand miał już umówionego kupca, podejrzanego kolekcjonera, który chciał kupić jakiegoś Chardina, nie wnikając w zbędne szczegóły, takie jak pochodzenie płótna. Klient był zadowolony, Durand otrzymał sositą zapłatę i tak oto narodziła się lukratywna profesja.

Dwadzieścia lat później upadek z okna w dachu zakończył karierę Duranda jako profesjonalnego złodzieja dzieł sztuki. Teraz działał wyłącznie jako pośrednik w procederze znanym jako kradzieże na zamówienie. Albo, jak mawiał sam Durand, zarządzał nabywaniem obrazów, które formalnie rzecz biorąc, nie były na sprzedaż. Pracując ze stajnią zawodowych złodziei rodem z Marsylii,

był niewidzialną ręką stojącą za częścią najbardziej spektakularnych kradzieży dzieł sztuki w dwudziestym pierwszym wieku. Tylko latem roku 2010 jego ludzie ukradli dzieła Rembrandta, Picassa, Caravaggia i van Gogha. Z wyjątkiem Rembrandta, który wisiał w waszyngtońskiej Narodowej Galerii Sztuki, żaden z tych obrazów już nie wypłynął.

Durand kierował swoim ogólnościowym imperium złodziei ze sklepu Antiquités Scientifiques, który od trzech pokoleń należał do jego rodziny. Na oświetlonych ze smakiem półkach stały drobiazgowo poukładane antyczne mikroskopy, aparaty fotograficzne, okulary, barometry, przyrządy miernicze oraz globusy. Równie drobiazgowo Maurice Durand dbał o swój wygląd. Nosił granatowy, szyty na miarę garnitur i wyjściową koszulę w paski, a do tego krawat o barwie płotka złota. Łysą głowę miał wypolerowaną na wysoki połysk.

– Jak widać, to jednak prawda – odezwał się na powitanie.

– To znaczy co? – spytał Gabriel.

– Że ludzie pańskiej profesji nigdy właściwie nie przechodzą na emeryturę.

– Jak widać, twojej też nie.

Durand z uśmiechem uniósł pokrywkę lakierowanej prostokątnej szkatułki.

– To pana powinno zainteresować. Zestaw próbnych soczewek do dobierania okularów przez optyka. Z przełomu wieków. Wielka rzadkość.

– Niemal taka jak ta akwarela, którą kilka miesięcy temu ukradłeś z Musée Matisse. Albo ta urocza scenka rodzajowa Jana Steena, którą zwędziłeś z Musée Fabre.

– Nie miałem nic wspólnego ze zniknięciem żadnego z tych dwóch dzieł.

– A z ich sprzedają?

Durand bezszelestnie zamknął pokrywkę.

– Przez lata moi wspólnicy i ja zdobyliśmy dla pana i pańskiej służby wiele cennych przedmiotów, w tym niesamowitą hydrię z terakoty, która wyszła spod ręki Malarza Amykosa. No i, rzecz jasna, nie zapominajmy o robocie w Amsterdamie. Narobiliśmy wtedy sporo szumu, przyzna pan?

– I dlatego powstrzymałem się przed ujawnieniem twojego nazwiska francuskiej policji.

– A co z generałem Cyclophem, pańskim przyjacielem z carabinieri?

– On nie zna twojej tożsamości. Ani tożsamości twoich wspólników z Marsylii.

– A co muszę zrobić, żeby utrzymać ten stan rzeczy?

– Musisz mi udzielić informacji.

– Na temat?

– Galerie Georges Fleury. Mieści się przy rue...

– Wiem, gdzie ona jest, monsieur Allon.

– Prowadzisz z nimi interesy?

– Z Georges'em Fleurem? Nie. Ale kiedyś przez głupotę zgodziłem się ukraść jeden z jego obrazów.

– Co to było?

Twarz Duranda sposepniała.

– To była katastrofa.

## RUE DE MIROMESNIL

– Obiło się panu o uszy nazwisko Pierre-Henri de Valenciennes?

Gabriel westchnął i dopiero potem odpowiedział:

– Valenciennes był jednym z najważniejszych pejzażystów okresu neoklasycyzmu. Należał do pierwszych orędowników malowania en plein air, a nie w pracowni. – Przerwał. – Mogę mówić dalej?

– Nie chciałem pana obrazić.

– Nie obraziłeś mnie, Maurice.

Przeszli do ciasnego gabinetu Duranda na zapleczu. Gabriel usiadł na niewygodnym drewnianym krześle przeznaczonym dla gości; Durand zajął miejsce za swoim nieskazitelnie uporządkowanym biurkiem. Światło antycznej lampy odbijało się w okularach bez oprawek, przesłaniając jego czujne piwne oczy.

– Wiele lat temu – podjął antykwariusz – Galerie Georges Fleury wystawiła olśniewający pejzaż rzekomo namalowany przez Valenciennes'a w roku tysiąc osiemset czwartym. Przedstawiał on wieśniaków tańczących o zmroku wokół jakichś klasycznych ruin. Olej na płótnie, sześćdziesiąt sześć na dziewięćdziesiąt osiem centymetrów. W nienagannym stanie, jak wszystkie obrazy monsieur Fleury'ego. Kolekcjoner o olbrzymiej wiedzy

i dysponujący znacznymi środkami finansowymi, nazwijmy go monsieur Didier, rozpoczął pertraktacje na temat kupna obrazu. Ale rozmowy niemal od razu się urwały, ponieważ monsieur Fleury ani myślał zejść z ceny.

– Która wynosiła?

– Powiedzmy, że czterysta tysięcy.

– A ile monsieur Didier był skłonny zapłacić za to, że ukradniesz dla niego ten obraz?

– Na czarnym rynku z zasady obraz osiąga zaledwie dziesięć procent prawdziwej wartości.

– Czterdzieści tysięcy to dla ciebie przecież drobnostka.

– Powiedziałem mu to samo.

– I ile zaproponował?

– Dwieście tysięcy.

– A ty się zgodziłeś?

– Niestety.

Z szafki za biurkiem Durand wyjął butelkę calvadosu i dwa zabytkowe kieliszki z rżniętego szkła. Niemal wszystko w tym pokoju pochodziło z innej epoki, łącznie z małym czarno-białym ekranem od kamery wideo, na którym widać było, co dzieje się przed wejściem od frontu.

Nalał dwa kieliszki brandy i podał jeden Gabrielowi.

– Dla mnie to trochę za wcześnie.

– Bzdura – skwitował Durand, spojrzawszy na zegarek. – Poza tym kropelka alkoholu w południe dobrze robi na krew.

– Z moją krwią jest wszystko w porządku, dziękuję.

– Żadnych trwałych efektów ubocznych po tej niemiłej historii w Waszyngtonie?

– Tylko niezłomna troska o przyszłość amerykańskiej demokracji.

– Gabriel niechętnie wziął kieliszek. – Kto wykonał dla ciebie tę

robotę?

– Pana stary przyjaciel, René Monjean.

– Jakież komplikacje?

– Nie z samą kradzieżą. System alarmowy galerii był cokolwiek przestarzały.

– Z pewnością nie wziąłeś tylko tego jednego obrazu.

– Oczywiście, że nie. René zakosił jeszcze cztery inne, żeby zmylić trop.

– Coś wartościowego?

– Pierre Révoil. Nicolas-André Monsiau. – Durand wzruszył ramionami. – Dwa portrety Ingres’a.

– Pięć obrazów to niezły łup. A jednak nie przypominam sobie, żeby było coś o tym w gazetach.

– Widocznie monsieur Fleury nie zgłosił tej kradzieży na policję.

– Niespotykane.

– Też tak pomyślałem.

– Mimo to nie zrezygnowałeś ze sprzedaży?

– A miałem wybór?

– Kiedy wszystko wzięło w łeb?

– Mniej więcej dwa miesiące po przejęciu obrazu monsieur Didier zażądał zwrotu pieniędzy.

– Również niespotykane – orzekł Gabriel. – Przynajmniej w twoim fachu.

– Niesłychane – mruknął Durand.

– Dlaczego chciał dostać pieniądze z powrotem?

– Twierdził, że ten Valenciennes to nie jest Valenciennes.

– Sądził, że to jakaś późniejsza kopia?

– Można by i tak to ująć.

– A inaczej mówiąc?

– Monsieur Didier był przekonany, że ten obraz to współczesny falsyfikat.

Jakżeby inaczej, pomyślał Gabriel. Od chwili, kiedy zauważył osobliwą flamandzką krakelurę na zdjęciu obrazu Juliana, w głębi ducha spodziewał się, że dojdzie do czegoś takiego.

– I jak to załatwiłeś?

– Wyjaśniłem monsieur Didierowi, że wypełniłem swoją część umowy, więc powinien skierować pretensje do Galerie Georges Fleury. – Durand uśmiechnął się blado ponad krawędzią kieliszka. – Na szczęście nie poszedł za moją radą.

– Zwróciłeś mu pieniądze?

– Połowę – odparł Durand. – Okazało się, że podjąłem mądrą decyzję. Od tej pory ubiłem z nim wiele interesów.

Gabriel po raz pierwszy podniósł kieliszek calvadosu do ust.

– A przypadkiem on nie leży teraz u ciebie?

– Fałszywy Valenciennes? – Durand pokręcił głową. – Spaliłem go.

– A pozostałe cztery obrazy?

– Sprzedałem je za bezcen marszandowi z Montrealu. Z trudem wystarczyło na opłacenie Renégo. – Westchnął ciężko. – To był jeden wieki niewypał.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Chyba że ktoś zaopatruje się w Galerie Georges Fleury.

– Fałszywy Valenciennes to nie był przypadek?

– Non. Wygląda na to, że zasada działania galerii polega na sprzedaży falsyfikatów. Proszę mnie źle nie zrozumieć, Fleury sprzedaje także wiele autentycznych obrazów. Ale nie na tym zarabia prawdziwe pieniądze. – Durand zamilkł. – Tak przynajmniej słyszałem z wiarygodnych źródeł.

– Jakich?

– Pan ma swoich informatorów, ja swoich. Zapewnili mnie, że Fleury od lat sprzedaje bezwartościowe podróby.

– Mam koszmarne przeczucie, że mój przyjaciel nabył jedną z nich.

– Czy ten przyjaciel jest kolekcjonerem?

– Marszandem.

– Czyżby to był monsieur Isherwood?

Po chwili wahania Gabriel wolno skinął głową.

– Dlaczego po prostu go nie odda i nie zażąda zwrotu pieniędzy?

– Bo sprzedał obraz Amerykaninowi, który kocha się procesować.

– A istnieją inni? – Durand przyjrzał się na monitorze komuś, kto oglądał wystawę. – Za pozwoleniem, monsieur Allon, mam jeszcze jedno pytanie.

– Skoro nalegasz.

Durand się skrzywił.

– Co, u licha, stało się panu w rękę?

Wyszedłszy ze sklepu Maurice'a Duranda, Gabriel skierował się rue de Miromesnil na południe, na rue la Boétie. Na chwilę przystanął przed domem pod numerem 19, po czym ruszył elegancką, lekko zakręcającą ulicą do Galerie Georges Fleury. Na wystawie stały trzy wielkie obrazy olejne. Dwa utrzymane były w stylu rokoko. Trzeci, portret młodego mężczyzny pędzla François Gérarda, pochodził z późniejszego okresu zwanego neoklasycyzmem.

Tak przynajmniej wydawało się na pierwszy rzut oka. Ale dokładne badanie przeprowadzone przez dobrego fachowca – na przykład konserwatora sztuki – mogłoby wykazać coś przeciwnego. Z tą ekspertyzą nie należałoby się jednak śpieszyć. Konserwator musiałby spokojnie obejrzeć pozostałe prace w galerii, przyjmując uświęcony tradycją sposób zachowania konesera. Mógłby dotykać

obrazów, oglądać ich powierzchnię przez lupę, a nawet przemawiać do nich z nadzieją, że one przemówią do niego. Byłoby to z pożytkiem, gdyby właściciel galerii – który prawdopodobnie był zamieszany w działalność przestępczą, a zatem oczywiście zachowywał czujność – nie oglądał się przez ramię, gdy konserwator uprawiałby ten rytuał. A najlepiej gdyby jego uwagę odwróciła obecność w pomieszczeniu jeszcze kogoś innego.

Tylko kogo?

Gabriel szukał odpowiedzi na to pytanie podczas krótkiego spaceru od galerii do hotelu Bristol. Kiedy już znalazł się w pokoju, zadzwonił do Chiary i przedstawił swój dylemat. Odpowiedziała mu natychmiast, wysyłając wykaz najbliższych koncertów Orchestre de Chambre de Paris.

– Twoja dziewczyna będzie w mieście przez cały weekend. Może jutro po południu znajdzie chwilkę, żeby ci pomóc w rozproszeniu jego uwagi.

– Nadałaby się idealnie. Ale na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– Że spędzisz weekend w Paryżu z kobietą, w której kiedyś kochałeś się na zabój?

– Nigdy się w niej nie kochałem.

– Przypomnij jej o tym przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Spokojna głowa – rzucił Gabriel, zanim połączenie zostało przerwane. – Przypomnę jej.

# 14

## PARYSKI LE BRISTOL

Zatrzymała się w hotelu Crillon, w apartamencie Leonarda Bernsteina. Był jednym z nielicznych dyrygentów, z którymi nigdy nie miała romansu, wyjaśniła ze śmiechem.

– Jesteś tam teraz?

– Skąd, przerwałam próbę, żeby odebrać twój telefon. Cała Orchestre de Chambre de Paris słucha każdego mojego słowa.

– Kiedy wrócisz do hotelu?

– Najwcześniej o czwartej. Ale do szóstej mam umówione wywiady dla prasy.

– Współczuję.

– Zamierzam się zachowywać wprost koszmarnie.

– A kiedy już skończysz, zejdiesz na drinka do Les Ambassadeurs?

– Chodźmy lepiej na kolację.

– Kolację?

– To taki posiłek, który większość ludzi jada wieczorem. No chyba że się jest Hiszpanem, ma się rozumieć. Poproszę w recepcji, żeby zarezerwowali nam zaciszny stolik w najbardziej romantycznej

restauracji w Paryżu. Jeśli dopisze nam szczęście, znajdą nas paparazzi i wybuchnie skandal.

Zanim Gabriel zdążył zaprotestować, połączenie zostało przerwane. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawiadomić Chiary o nowym dylemacie, lecz uznał, że nie byłoby to mądre. Wybrał więc numer zaginionego telefonu Valerie Bérangar. I znów od razu odezwała się poczta głosowa.

Rozłączył się i przewinął listę kontaktów w swoim telefonie, aż znalazł numer Juwala Gerszona. Juwal był dyrektorem generalnym Jednostki 8200, budzącego grozę izraelskiego wywiadu elektronicznego. Gabriel nie rozmawiał z nim – ani z żadnym z dawnych kolegów z pracy, skoro już o tym mowa – od czasu wyjazdu z Izraela. Był to doniosły krok, taki, który mógł sprowokować dalsze kontakty, być może też niechciane. Mimo to uznał, że warto zaryzykować. Jeżeli ktokolwiek mógł namierzyć telefon madame Bérangar, to tylko Juwal i jego hakerzy z jednostki.

Juwal odebrał natychmiast, jak gdyby spodziewał się telefonu od Gabriela. Biorąc pod uwagę nadzwyczajne możliwości jednostki, nie można było tego wykluczyć.

– Stęskniłeś się za mną, co?

– Jak za francją.

– To po kiego dzwonicz?

– Bo mam problem, który tylko ty możesz rozwiązać.

Juwal westchnął ciężko do słuchawki.

– Jaki to numer?

Gabriel podyktował.

– A problem?

– Właścicielkę kilka dni temu zamordowano. Mam przecucie, że zabójcy w głupocie swojej zabrali jej komórkę. Chciałbym, żebyś mi ją znalazł.

– Żaden problem, jeśli urządzenie jest nietknięte. Ale jeżeli rozbili je na kawałki albo wrzucili do Sekwany...

– Juwał, skąd ci przyszła do głowy Sekwana?

– Bo dzwoniisz z Paryża.

– Drań.

– Wystrzelę flarę, kiedy na coś trafię. A wieczorem baw się dobrze na kolacji.

– Skąd wiesz o kolacji?

– Anna Rolfe właśnie wysłała do ciebie esemesa. Mam ci go przeczytać?

– Czemu nie?

– Macie rezerwację na ósmą piętnaście.

– Gdzie?

– Nie napisała. Ale to gdzieś koło Bristolu, bo podjedzie po ciebie o ósmej.

– Nie wspominałem, że zatrzymałem się w Bristolu.

– Zdaje się, że masz pokój na drugim piętrze.

– Na trzecim – sprostował Gabriel. – Ale kto by to liczył.

Kiedy po raz pierwszy Gabriel zobaczył Annę Rolfe, stała na estradzie w Brukseli i porywająco grała Koncert skrzypcowy D-dur Czajkowskiego. Wychodząc wieczorem z sali koncertowej, nie sądził, że kiedykolwiek spotkają się osobiście. A jednak kilka lat później – po zabójstwie ojca Anny, niezwykle bogatego szwajcarskiego bankiera Augustusa Rolfe’a – przedstawiono ich sobie oficjalnie. Wtedy na powitanie Anna podała mu rękę. Teraz, gdy Gabriel usiadł obok niej na tylnym siedzeniu hotelowej limuzyny Mercedes-Maybach, zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała go w policzek.

– Uważaj się za mojego jeńca – powiedziała, gdy samochód ruszył spod hotelu. – Tym razem mi nie uciekniesz.

– Dokąd zamierzasz mnie zabrać?

– Do mojego apartamentu w Crillon, gdzieżby indziej?

– Ktoś mi obiecał kolację.

– Taki sprytny fortel z mojej strony. – Anna była ubrana swobodnie, miała na sobie džinsy, kaszmirowy sweter i skórzany płaszcz do połowy uda. Ale i tak nie można było w niej nie rozpoznać najsłynniejszej skrzypaczki na świecie. – Czy moja rzeczniczka prasowa wysłała ci moją nową płytę?

– Dostałem ją przedwczoraj.

– I?

– Triumf.

– Recenzent „Timesa” napisał, że pokazuje nowo odkrytą dojrzałość. – Anna zmarszczyła czoło. – Jak myślisz, co chciał przez to powiedzieć?

– Kulturalnie dał do zrozumienia, że się starzejesz.

– Po fotografii na okładce tego nie widać. Niesamowite, co potrafią dziś zdziałać jednym kliknięciem myszki. Wyglądam na młodszą niż Nicola Benedetti.

– Możesz być pewna, że jako dziecko widziała w tobie idolkę.

– Nie chcę być niczyją idolką. Chcę znowu mieć trzydzieści trzy lata.

– A niby po co? – Gabriel wyjrzał przez okno na eleganckie budynki Haussmanna po obu stronach rue du Faubourg Saint-Honoré. – Gdzie jemy kolację?

– Niespodzianka.

– Nienawidzę niespodzianek.

– Tak, pamiętam – mruknęła Anna chłodno.

## CHEZ JANOU

Restauracją okazało się Chez Janou, jasne i tłoczne bistro na zachodnim skraju Marais. Gdy prowadzono ich do stolika, po sali jadalnej przeszedł cichy pomruk. Anna nie śpieszyła się, zdejmując płaszcz i siadając na czerwonej kanapie. Gabriel uznał, że było to wirtuozerskie przedstawienie.

Kiedy zgiełk ucichł, pochyliła się nad małym drewnianym stolikiem i szepnęła:

– Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowany, że nie wybrałam czegoś bardziej romantycznego.

– Prawdę mówiąc, ulżyło mi.

– Przecież wiesz, że tylko żartowałam.

– Czyżby?

– Gabrieliu, już dawno temu się z ciebie wyleczyłam.

– Konkretnie to dwóch mężów temu.

– Taka pamiętliwość jest zupełnie niepotrzebna.

– Może i tak – przyznał. – Za to całkowicie zgodna z prawdą.

Oba małżeństwa Anny były krótkie oraz nieszczęśliwe i oba zakończyły się spektakularnymi rozwodami. Potem wdawała się w katastrofalne romanse jeden po drugim, przy czym wybrankami

zawsze byli bogaci i sławni. Gabriel był wyjątkiem od schematu Anny. Dłużej niż większość wytrzymał jej huśtawki nastrojów oraz epizody skrajnej lekkomyślności – sześć miesięcy i czternaście dni – i pomijając jeden rozbity wazon, rozstali się dosyć grzecznie. To prawda, że w gruncie rzeczy nigdy jej nie kochał, ale bardzo mu na niej zależało i cieszył się, że po trwającym blisko dwadzieścia lat bezkrólewiu odnowili przyjaźń. Anna w pewnym sensie przypominała Juliana Isherwooda. Dzięki niej życie było zdecydowanie ciekawsze.

Jak zwykle, menu przejrzała pośpiesznie, a wyboru potraw dokonała bez wahania. Gabriel znalazł się przez to w defensywie, ponieważ zamierzał zamówić te same dania. Jego wyjście awaryjne – ratatouille oraz wątróbka z ziemniakami – spotkało się z szyderczą reprimendą, która pojawiła się na słynnej twarzy jego towarzyszki.

– Wieśniak! – syknęła.

Kelner odkorkował butelkę bordeaux i nalał odrobinę Gabrielowi do spróbowania. O ile wiedział, część winogron użytych do produkcji tego wina pochodziła z winnicy na północ od Saint-Macaire, gdzie skończył się żywot Valerie Béranger. Powąchał wino, skosztował i ruchem głowy dał znak kelnerowi, żeby napełnił kieliszki.

– Za co pijemy? – spytała Anna.

– Za starych przyjaciół.

– Koszmarna nuda. – Jej szminka zostawiła ślad na brzegu kieliszka. Odstawiła go na stół i obracała powoli kciukiem i palcem wskazującym, z pełną świadomością, że jej ruchy śledzą oczy wszystkich obecnych. – Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak potoczyłoby się życie każdego z nas, gdybyś mnie nie rzucił?

– Ja bym tego tak nie określił.

– Wrzuciłeś swój skromny dobytek do torby podróżnej i najszybciej, jak mogłeś, odjechałeś z mojej willi w Portugalii. I nie dostałam od ciebie ani jednego...

– Proszę, nie wałkujmy tego od nowa.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że nie zmienię przeszłości. Poza tym gdybym nie wyjechał, prędzej czy później sama byś mnie wyrzuciła.

– Nie ciebie, Gabrielu. Byłeś moim aniołem stróżem.

– A co miałbym robić pod twoją nieobecność, kiedy wyruszałaś w trasę?

– Mogłeś jeździć ze mną i mnie pilnować, może dzięki temu bym się nie wpakowała w te wszystkie kłopoty.

– Jeździć za tobą od miasta do miasta, a tymczasem ty byś się pławiała w hołdach swoich oddanych wielbicieli?

Uśmiechnęła się.

– Dobre podsumowanie.

– A jak byś tłumaczyła moją obecność? Kim ja bym był?

– Zawsze uwielbiałam Maria Delvecchio.

– Mario to było jedno wielkie kłamstwo – podsumował Gabriel.

– Ale w łóżku robił ze mną cuda! – Westchnęła i upiła więcej wina. – Nie powiedziałeś mi, jak ma na imię twoja żona.

– Chiara.

– Jak wygląda?

– Przypomina trochę Nicolę Benedetti, ale jest ładniejsza.

– Rozumiem, że to Włoszka.

– Z Wenecji.

– Co wyjaśnia, dlaczego znowu tam mieszkasz.

Gabriel skinął głową.

– Ona kieruje największą w mieście firmą zajmującą się odnawianiem dzieł sztuki. W końcu będę dla niej pracował.

- W końcu?
- Do odwołania jestem na urlopie tymczasowym.
- Z powodu tego, co się stało w Waszyngtonie?
- I różnych innych traumatycznych przeżyć.
- Na świecie są gorsze miejsca na rekonwalescencję niż Wenecja.
- Dużo gorsze – przytaknął.
- Chyba zorganizuję sobie tam występ. Wieczór Brahmsa i Tartiniego w Scuola Grande di San Rocco. Wynajmę apartament w tym małym hoteliku Luna Baglioni w San Marco i zostanę tam na miesiąc czy dwa. Mógłbyś wpadać codziennie po południu i...
- Anno, bądź grzeczna.
- A przedstawiś mnie chociaż kiedyś swojej rodzinie?
- Nie sądzisz, że byłoby to trochę niezręczne?
- Nie. Przeciwnie, uważam, że twoje dzieci dobrze by się ze mną bawiły. Pomimo rozlicznych wad i przywar, które bezlitośnie opisano w brukowcach, w opinii większości ludzi jestem bezgranicznie fascynująca.
- I właśnie dlatego chciałbym cię pożyczyć jutro na godzinę albo dwie.
- Co ci chodzi po głowie?
- Wyjaśnił jej.
- Czy wizyta w paryskiej galerii sztuki w twoim towarzystwie naprawdę jest bezpieczna?
- To było dawno temu, Anno.
- W innym życiu – przyznała. – Ale dlaczego akurat ja?
- Jesteś mi potrzebna, żeby odwrócić uwagę właściciela, podczas gdy ja będę dokładnie badał jego inwentarz.
- Może wezmę skrzypce i wykonam partitę albo i dwie?
- To nie będzie konieczne. Po prostu bądź sobą, czarująca jak zwykle.

– Laleczką?

– Otóż to.

Przesunęła palcem wzdłuż szczęki.

– Nie sądzisz, że jestem na to trochę za stara?

– Nie zmieniłaś się ani trochę, odkąd...

– Odkąd mnie rzuciłeś? – Kelner podał przystawki i odszedł.

Anna spuściła wzrok. – Bon appétit – mruknęła.

# 16

## RUE LA BOÉTIE

Nazajutrz o dziesiątej rano Gabriel zadzwonił do galerii i po gniewnej wymianie zdań z recepcjonistą imieniem Bruno został połączony z monsieur Georges'em Fleuryem we własnej osobie. Nic dziwnego, że nieuczciwy francuski marszand nigdy nie słyszał o niejakim Ludwigu Zieglerze.

– Jestem doradcą klientki uwielbiającej obrazy z okresu neoklasycyzmu – wyjaśnił Gabriel po francusku, z niemieckim akcentem. – Tak się składa, że w ten weekend jest akurat w Paryżu i chciałaby odwiedzić pańską galerię.

– Galerie Georges Fleury to nie atrakcja turystyczna, monsieur Ziegler. Jeśli pańska klientka pragnie obejrzeć francuskie obrazy, proponuję wizytę w Luwrze.

– Moja klientka nie przyjechała tu na wakacje. W ten weekend koncertuje w Philharmonie de Paris.

– Czy pańską klientką jest...

– Tak.

Fleury nagle przybrał uprzejmy ton.

– O której godzinie madame Rolfe chciałaby do nas zajrzeć?

– Dzisiaj, o pierwszej po południu.

– Niestety, o tej porze jestem umówiony z innym klientem.

– Niech pan przełoży to spotkanie. I wyśle Bruna na długi lunch. Skoro wkurzył mnie, to zirytuje też madame Rolfe. A jeśli chce pan wiedzieć, ona pija wodę mineralną w temperaturze pokojowej. Sans gaz, z plasterkiem cytryny. Z plasterkiem, monsieur Fleury. Nie z klinem.

– Jakiś konkretny gatunek wody?

– Cokolwiek, byle nie Vittel. I żadnych fotografii ani uścisków rąk. Z oczywistych powodów madame Rolfe nigdy nie podaje nikomu ręki przed występem.

Gabriel rozłączył się, po czym wybrał numer Anny. Odebrała po dłuższej chwili.

– Która godzina? – jęknęła zaspanym głosem.

– Kilka minut po dziesiątej.

– Rano?!

– Tak, Anno.

Klnąc pod nosem, rozłączyła się. Gabriel przypomniał sobie, że madame Rolfe nigdy nie wstaje przed południem.

O wpół do pierwszej wyszedł z Bristolu i pod ołowianym paryskim niebem ruszył do hotelu Crillon. Anna, w dzinsach i zapinanym na suwak swetrze, opuściła apartament i zeszła na parter dopiero o pierwszej piętnaście. Na zewnątrz wsiedli na tylne siedzenie maybacha, by zawiózł ich do pobliskiej Galerie Georges Fleury.

– Jakież ostatnie instrukcje? – spytała, przeglądając się w lusterku w osłonie przeciwsłonecznej.

– Bądź czarująca, ale trudna.

– Chcesz powiedzieć, że mam się zachowywać naturalnie?

Pociągnęła błyszczącym wygięte na kształt serca usta, samochód zaś skręcił w rue la Boétie i po chwili zatrzymał się przed galerią. Jej

właściciel niczym odźwierny czekał na chodniku. Stał na baczność, z rękami zwieszonymi sztywno po bokach, gdy Anna wysiadała z limuzyny.

– Witam w Galerie Georges Fleury, madame Rolfe. Spotkanie z panią to prawdziwy zaszczyt.

Anna skwitowała powitanie marszanda królewskim skinieniem głowy. Ten, wytrącony z równowagi, wyciągnął rękę do Gabriela.

– Herr Ziegler, dobrze mnie mam?

– Dobrze pan mnie ma – odparł Gabriel spokojnie.

Fleury przyglądał mu się przez chwilę przez okulary bez oprawek.

– Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? Może na jakiejś aukcji?

– Madame Rolfe i ja unikamy aukcji. – Gabriel zerknął na ciężkie szklane drzwi galerii. – Może wejdziemy do środka? Ona za chwilę przyciągnie tłumy.

Fleury otworzył drzwi pilotem. W holu na cokole z czarnego marmuru stało naturalnej wielkości popiersie z brązu młodego Greka albo Rzymianina. Obok znajdowało się niezajęte biurko recepcjonisty.

– Tak jak pan prosił, Herr Ziegler, jesteśmy tylko we troje.

– Mam nadzieję, że pan się nie gniewa.

– Ależ skąd. – Fleury położył pilota na biurku i zaprowadził ich do pokoju z wysokim sufitem, podłogą z ciemnego drewna i czerwonymi jak granat ścianami. – To moja główna sala wystawowa. Lepsze obrazy trzymam na górze. Jeśli państwo chcecie, możemy zacząć stamtąd.

– Madame Rolfe nigdzie się nie śpieszy.

– Ja też nie.

Zachwycony Fleury wziął swojego światowej sławy gościa na znużone oglądanie zbiorów w tym pomieszczeniu, a tymczasem

Gabriel bez nadzoru przeprowadził swoją inspekcję. Pierwszą pracą, która przykuła jego wzrok konesera, był wielki rokokowy obraz przedstawiający nagą Wenus z trzema młodymi pannami. Napis u dołu płótna sugerował, że jest to dzieło Nicolasa Colombela, powstałe w roku 1697. Gabriel szczerze w to wątpił.

Podparł ręką brodę i przekrzywił głowę na bok. Dopiero po chwili Fleury zauważył jego zainteresowanie płótnem i dołączył do niego.

- Nabyłem go kilka miesięcy temu.
- A gdzie, jeśli wolno zapytać?
- We Francji, w starej prywatnej kolekcji.
- Wymiary?

Fleury uśmiechnął się.

- Niech pan mi powie, monsieur Ziegler.
- Sto dwanaście na sto czterdzieści cztery centymetry. – Gabriel zamilkł i dorzucił z rozbijającym uśmiechem: – Plus minus dwa centymetry.

- Był pan bardzo blisko.

Tylko dlatego, że Gabriel specjalnie podał błędne wymiary obrazu. Każdy głupi widział, że dzieło miało 114 na 148 centymetrów.

- Jest w nadzwyczajnym stanie – zauważył.
- Po zakupie zleciłem renowację.
- Mógłbym zobaczyć raport konserwatora?
- Teraz?
- Jeśli to nie kłopot.

Gdy Fleury wyszedł, Anna podeszła do obrazu.

- Jest piękny.
- Ale za duży, żeby można go łatwo przewieźć.
- Chyba nie myślisz o kupieniu tu czegoś, co?

– Ja nie, ale ty na pewno tak – odparł.

Zanim Anna zdążyła zaprotestować, wrócił Fleury, ale z pustymi rękami.

– Obawiam się, że Bruno musiał go schować w innych aktach. Ale jeśli madame Rolfe jest zainteresowana tym obrazem, prześlę panu raport mejlem.

Gabriel wyjął swój telefon.

– Czy pozwoli pan, że zrobię jej zdjęcie obok tego obrazu?

– Ależ bardzo proszę. To dla mnie zaszczyt.

Anna przysunęła się do obrazu i odwracając się, przywdziała na twarz uśmiech, jakim witała owacje wypełnionej po brzegi sali koncertowej. Gabriel zrobił zdjęcie, po czym przeszedł do sąsiedniego dzieła.

– Naśladowca Canaletta – oświadczył Fleury.

– I to bardzo dobry.

– Też tak uznałem. Zdobyłem go zaledwie w ubiegłym tygodniu.

– Skąd?

– Z prywatnej kolekcji. – Francuz uśmiechnął się blado do Anny. – Ze Szwajcarii.

Gabriel nachylił się do płótna.

– Czy jest pan pewien tej atrybucji?

– Dlaczego pan pyta?

Dlatego że obraz mający raptem 56 na 78 centymetrów jest łatwy do przewiezienia. Zwłaszcza po wyjęciu z ramy.

– Myśli pan, że raport o jego stanie Bruno też gdzieś zapodział?

– Niestety, ten obraz już jest zarezerwowany.

– A gdyby madame Rolfe złożyła konkurencyjną ofertę?

– Przyjąłem już zapłatę od nabywcy.

– Czy jest nim marszand, czy kolekcjoner?

– Dlaczego pan pyta?

- Bo jeśli to marszand, chętnie pomogę mu się go pozbyć.
- Nie mogę ujawnić jego tożsamości. Warunki sprzedaży przewidują całkowitą poufność.
- Nie na długo – mruknął Gabriel porozumiewawczo.
- Co pan ma na myśli, monsieur?
- Powiedzmy, że patrząc na ten obraz, odnoszę dziwne wrażenie.
- Zrobił zdjęcie płótna. – A teraz może pokaże nam pan te lepsze dzieła, monsieur Fleury.

## GALERIE FLEURY

Fleury zaprowadził ich schodami do sali wystawowej na pierwszym piętrze. Tu ściany nie były czerwone, tylko posępnie szare, a obrazy, na pozór, zdecydowanie lepszej jakości. Wśród nich znalazło się kilku portrecistów holenderskich i flamandzkich, w tym dwa dzieła namalowane w stylu Antoona van Dycka. Był tam też „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”, olej na płótnie, 36 na 58 centymetrów, z wyraźnymi inicjałami Aelberta Cuypa, malarza z holenderskiego złotego wieku.

Gabriel wątpił w autentyczność tych inicjałów. Po chwili niezakłócanej przez nikogo zadumy doszedł do wniosku, choć nie dysponował dowodami w postaci analizy technicznej, że ten obraz to falsyfikat.

– Ma pan doskonałe oko – odezwał się Fleury z drugiej strony pokoju. Wrzucił plasterek cytryny do wody mineralnej Anny i zapytał: – Znalazł pan coś dla siebie, monsieur Ziegler?

– Chętnie zobaczyłbym atrybucję tego obrazu.

– Wielu ekspertów bez wahania orzekło, że jest to dzieło samego Cuypa.

– A w jaki sposób ci eksperci tłumaczą brak pełnego podpisu? Przecież Cuyp z zasady podpisywał swoje dzieła własnoręcznie, a inicjały stawiał tylko na obrazach, które powstały pod jego nadzorem.

– Jak pan wie, istnieją wyjątki.

Co prawda, to prawda, pomyślał Gabriel.

– A pochodzenie?

– Bez zarzutu, mające wieloletnią historię.

– Ostatni właściciel?

– Kolekcjoner o wyjątkowym guście.

– Francuz czy Szwajcar? – zapytał oschle Gabriel.

– Prawdę mówiąc, Amerykanin.

Fleury podał Annie szklankę wody i prowadził ją od jednego obrazu do drugiego, a Gabriel został sam i po raz drugi mógł spokojnie przeprowadzić prywatny remanent zbiorów galerii. W końcu cała trójka zebrała się przed „Krajobrazem rzeczny z młynami w oddali”, olejem na płótnie, 36 na 58 centymetrów, który wyszedł spod ręki fałszerza o niezaprzeczalnym talencie.

– Pozwoli pan, że go dotknę?

– Słucham?

– Obraz – wyjaśnił Gabriel. – Chciałbym go dotknąć.

– Byle ostrożnie – przestrzegł Fleury.

Gabriel delikatnie dotknął płótna czubkiem palca wskazującego i przeciągnął nim po fakturze.

– Czy to pański fachowiec go oczyścił?

– Dostałem go w takim stanie.

– Są ubytki farby?

– Niewielkie. Ale owszem, są otarcia. Zwłaszcza na niebie.

– Zakładam, że raport o stanie obrazu zawiera także zdjęcia?

– Nawet kilka, monsieur.

Gabriel spojrział na Annę.

– Czy madame Rolfe podoba się ten pejzaż?

– Zależy od ceny. – Odwróciła się do Fleury'ego. – Na ile go pan wycenił?

– Półtora miliona.

– No nie, bądźmy realistami – wtrącił Gabriel.

– A ile madame Rolfe byłaby skłonna za niego zapłacić?

– Chce pan, żebym negocjowała sama z sobą?

– Ależ skąd. Po prostu daję pani możliwość podania własnej ceny.

Gabriel w milczeniu kontemplował bezwartościowe płótno.

– No i? – zapytał Fleury.

– Madame Rolfe zapłaci panu milion euro i ani jednego euro więcej.

Marszand uśmiechnął się.

– Sprzedane.

W gabinecie Fleury'ego na parterze Gabriel przejrzał raport o stanie obrazu i dokumenty dotyczące pochodzenia, Anna zaś, przyciskając do ucha komórkę, przelała milion euro ze swojego rachunku w Credit Suisse na konto galerii w Société Générale. Ostateczna cena sprzedaży obejmowała koszt ramy oraz transportu. Mimo to Gabriel zrezygnował z jednego i drugiego. Wyjaśnił, że madame Rolfe nie zależy na ramie, a co do transportu, zajmie się tym osobiście.

– Zezwolenie na wywóz powinienem dostać najpóźniej w środę – rzekł Fleury. – Wtedy możecie odebrać obraz.

– Niestety, środa nie wchodzi w rachubę.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ madame Rolfe i ja zabieramy obraz teraz.

– C'est impossible. Trzeba przedłożyć papiery, zdobyć podpisy.

– Papiery i podpisy to pański problem. Poza tym coś mi mówi, że pan wie, jak zdobyć licencję na wywóz za granicę obrazu, który już opuścił kraj.

Marszand nie zaprotestował przeciwko temu oskarżeniu.

– A co z należyтым zapakowaniem płótna? – zapytał.

– Niech mi pan wierzy, monsieur Fleury, wiem, jak się obchodzić z obrazami.

– Galeria nie ponosi żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody powstałe po odebraniu obrazu.

– Ale gwarantuje pan atrybucję, a także prawdziwość raportu o stanie dzieła oraz jego pochodzenie.

– Tak, oczywiście. – Fleury podał Gabrielowi certyfikat autentyczności stwierdzający, że obraz jest bezsprzecznie dziełem Aelberta Cuypa. – Tutaj jest to napisane czarno na białym.

Marszand położył przed Anną umowę kupna-sprzedaży i pokazał, w którym miejscu powinna podpisać. Następnie dodał swój podpis, skopiował dokument i włożył go do koperty razem z kopiami pochodzenia oraz raportu o stanie dzieła. Obraz zawinął w pelur i folię bąbelkową, chociaż falsyfikat nie zasługiwał na taką aż ochronę. O trzeciej piętnaście płótno spoczywało na tylnym siedzeniu maybacha, który zajechał przed hotel Bristol.

– Myślałam, że mam robić tylko za laleczkę – powiedziała Anna.

– Co znaczy milion między przyjaciółmi?

– To dużo pieniędzy.

– Będą na twoim koncercie najpóźniej w poniedziałek po południu.

– Szkoda – skwitowała. – Liczyłam, że pozostaniesz moim dłużnikiem jeszcze przez jakiś czas.

– A gdyby tak było?

– Poprosiłabym cię, żebyś wieczorem przyszedł na mój występ. Potem będzie gala, na którą przybędzie cała śmietanka.

– Zdawało mi się, że nie znosisz takich imprez.

– Szczerze ich nienawidzę. Ale mając ciebie u boku, jakoś bym to zniosła.

– A jak byś tłumaczyła moją obecność, Anno? Jako kogo byś mnie przedstawiała?

– Może jako Herr Ludwiga Zieglera? – Zmarszczyła czoło, patrząc na przedmiot leżący między nimi na siedzeniu. – Szanowanego doradcę do spraw sztuki, który właśnie wydał milion z moich pieniędzy na bezwartościowy falsyfikat.

Gabriel zaniósł obraz na górę do swojego pokoju i wyjął płótno z ramy. Godzinę później leżało zwinięte w jego torbie podróżnej, którą ciągnął za sobą, idąc przez przepastną halę biletową Gare du Nord.

Bez problemu przeszedł kontrolę paszportową i o piątej wsiadł do pociągu linii Eurostar jadącego do Londynu. Kiedy za oknem migały północne przedmieścia Paryża, dumiał nad zmieniającymi się losami jego kariery. Zaledwie przed czterema miesiącami był dyrektorem generalnym jednej z najgroźniejszych służb wywiadowczych na świecie. A teraz, pomyślał z uśmiechem, znalazł sobie nowy zawód.

Przemytnika dzieł sztuki.

## JERMYN STREET

Od czasu wybuchu pandemii, kiedy świat sztuki dotknęło coś w rodzaju zatrzymania krążenia, Sarah Bancroft nie przeżyła równie koszmarnego tygodnia. Zaczął się od katastrofalnej wizyty Juliana w Bordeaux, a zakończył się dziś po południu zerwaniem potencjalnej transakcji – kupujący się spietrał, a Sarah uparła się, że za żadne skarby nie sprzeda rzeczony obraz, „Adoracji Trzech Króli” Luki Cambiaso, poniżej kosztów. Co gorsza, jej nowy mąż wyjechał z Londynu w interesach. A że robił w branży szpiegowskiej, nie miała pojęcia ani dokąd pojechał, ani kiedy wróci. Wiedziała tylko, że zanim znów go zobaczy, może nadejść lato.

Tłumaczyło to, dlaczego włączony system alarmowy galerii i zamknięty za sobą drzwi frontowe, udała się prosto do Wiltons i usiadła przy swoim stałym stoliku w kącie baru. Po chwili zjawiono się przed nią doskonałe martini Belvedere z trzema oliwkami, wytrawne jak gust konesera, które podał przystojny młody kelner w niebieskiej marynarce i czerwonym krawacie. Może jednak życie nie jest tak okropne, jak się wydaje, pomyślała, unosząc kieliszek do ust.

I natychmiast wybuchnęła salwa gromkiego śmiechu. Sprowokował ją Julian, który wyjaśniał Oliverowi Dimbleby'emu i Jeremy'emu Crabbe'owi, dyrektorowi działu dawnych mistrzów w domu aukcyjnym Bonhams, skąd się wziął paskudny fioletowoczerwony siniak na jego policzku. W tej opowieści zderzenie z latarnią nastąpiło nie w Bordeaux, tylko w Kensington, i nie wynikało z niczyjej złośliwości, a jedynie z zagapienia się, kiedy idąc, próbował wysłać esemesa.

Z telefonem komórkowym w ręku Julian odegrał fikcyjny incydent ku uciechu innych marszandów, kustoszy i licytatorów okupujących bar. W nagrodę dostał całusa czerwonymi usteczkami byłej modelki, która obecnie prowadziła świetnie prosperującą galerię sztuki nowoczesnej przy King Street. Obserwując to przedstawienie ze swojego stolika w rogu, Sarah upiła łyk martini i syknęła:

– Zdzira!

Pocałunek był marnym pocieszeniem, Sarah widziała to z daleka. Julian wstydził się swojego wyglądu i był załamany podejrzaną śmiercią kobiety, na której prośbę przyjechał do Francji. Tak samo zresztą jak Sarah. Ona jednak dodatkowo martwiła się o obraz, który sprzedała Phillipowi Somersetowi – człowiekowi poznanemu w czasach, gdy pracowała w nowojorskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jej stary przyjaciel Gabriel Allon zgodził się zbadać tę sprawę. Dotąd nie zawiadomił jej jednak o postępach w śledztwie.

Amelia March z „ARTnews” oderwała się od baru i podeszła do stolika Sarah. Była szczupłą kobietą o wyprostowanej postawie, krótkich ciemnych włosach i zbyt wielkich oczach niczym z emotki Apple'a, którymi nigdy nie mrugała. To właśnie ona, z anonimową pomocą Sarah, opublikowała wiadomość o „Portrecie nieznannej kobiety”. Teraz Sarah żałowała, że spowodowała ten przeciek. Gdyby

trzymała język za zębami, odnalezienie i sprzedaż obrazu okryte byłyby tajemnicą. A madame Valerie Bérangar nadal by żyła, pomyślała.

– Doszła mnie brzydka plotka na twój temat – oznajmiła Amelia.

– Tylko jedna? – spytała Sarah. – Jestem rozczarowana.

Wyobrażała sobie, jakiego rodzaju plotki docierały czasami do wiecznie czujnych uszu Amelii. Jak by na to nie patrzeć, Sarah miała na koncie służbę w CIA jako tajna agentka, a jej mąż, zanim wstąpił do Secret Intelligence Service, był profesjonalnym zabójcą. Poza tym pracowała krótko jako doradczynie do spraw sztuki następcy tronu Arabii Saudyjskiej. I to właśnie ona przekonała Jego Wysokość, by wybulił czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów za „Salvatora Mundi” Leonarda da Vinci – była to najwyższa kwota kiedykolwiek zapłacona na aukcji za dzieło sztuki.

Tyle że o żadnej z tych rzeczy nie chciałyby przeczytać w prasie. Dlatego też nie protestowała, gdy Amelia bez zaproszenia przysiadła się do niej. Uznała, że lepiej wysłuchać dziennikarki i, jeśli się uda, skorzystać z okazji, by samemu spłatać jej jakiś figiel. Taki akurat miała nastrój.

– O co chodzi tym razem? – spytała Amelię.

– Z wiarygodnego źródła usłyszałam...

– Na litość boską!

– Z bardzo wiarygodnego źródła usłyszałam – ciągnęła Amelia – że masz zamiar przenieść Isherwood Fine Arts z odwiecznej siedziby przy Mason’s Yard w miejsce, nazwijmy to, mniej ustronne.

– Nieprawda – oświadczyła Sarah.

– W zeszłym tygodniu oglądałaś dwa potencjalne lokale przy Cork Street.

Tak, ale nie z powodów, które podejrzewała Amelia. Sarah miała ambicję otworzyć drugą galerię, specjalizującą się w sztuce

współczesnej i noszącej jej nazwisko. Nie zdążyła jednak omówić tego jeszcze z Julianem, więc nie chciała, by przeczytał o jej planach w „ARTnews”.

– Na Cork Street raczej nie będzie mnie stać – mruknęła.

– Dopiero co sprzedaliście nowo odkrytego van Dycka za sześć i pół miliona funtów. – Amelia zniżyła głos. – Wszystko tajne przez poufne. Kupiec nieznany, źródło owiane tajemnicą.

– Tak, zdaje się, że gdzieś o tym czytałam – rzekła Sarah.

– Przez te wszystkie lata byłam dla ciebie i Juliana bardzo dobra – powiedziała Amelia. – I wielokrotnie powstrzymywałam się przed publikowaniem historii, od których reputacja galerii mogłaby ucierpieć.

– Na przykład jakich?

– Zacznijmy od roli, jaką odegrałaś w objawieniu się tamtego płótna Artemisii.

Sarah upiła łyk martini, ale nie odpowiedziała.

– I jak? – spytała Amelia.

– Isherwood Fine Arts nigdy nie wyprowadzi się z Mason’s Yard. Tam się mieści teraz i tam zostanie na zawsze. Na wieki wieków. Amen.

– To dlaczego rozglądasz się za czymś do wynajęcia na dłużej na Cork Street?

Dlatego że chciała zakasować galerię byłej modelki, która szeptala właśnie coś na ucho Simonowi Mendenhallowi, przypominającemu manekina licytatorowi z Christie’s.

– Przysięgam jako kobieta i przyjaciółka, że wyjaśnię ci wszystko we właściwym czasie – obiecała Sarah.

– Usłyszę to od ciebie jako pierwsza – rzekła Amelia z naciskiem.

– A tymczasem daj mi coś soczystego.

– Obejrzyj się szybko przez prawe ramię.

Amelia poszła za sugestią Sarah.

– Śliczna panna Watson i obleśny Simon Mendenhall?

– Gorąco – rzuciła Sarah.

– Myślałam, że ona chodzi z tamtym aktorem.

Jak na zawołanie z drugiego końca baru doleciał kolejny huragan śmiechu – to Julian na bis powtórzył przedstawienie rzekomego incydentu w Kensington, tym razem na użytek Nicky’ego Lovegrove’a, doradcy do spraw sztuki dla nieprzyzwoicie bogatych.

– Czy to naprawdę tak było? – spytała Amelia.

– Nie. – Sarah uśmiechnęła się smutno. – To latarnia rzuciła się na niego.

Dopiwszy drinka, Sarah starła ślad szminki z policzka Juliana i wyszła na Jermyn Street. W zasięgu wzroku nie było żadnych taksówek, skręciła więc na rogu w Piccadilly i tam złapała taryfę. Jadąc przez Londyn na zachód, przewijała oferty w serwisie Deliveroo, wahając się między restauracją tajską a hinduską. W końcu zamówiła coś włoskiego i natychmiast pożałowała tej decyzji. W trakcie pandemii przytyła dwa i pół kilograma i drugie tyle od czasu wyjścia za Christophera. I chociaż trzy razy w tygodniu biegła po ścieżkach w Hyde Parku, waga ani trochę nie spadała.

Kiedy taksówka mijала Royal Albert Hall, Sarah postanowiła przejść na kolejną dietę. Ale nie dzisiaj; dzisiaj była tak głodna, że mogłaby zjeść swoje pantofle od Ferragama. Po kolacji, którą zje, oglądając w telewizji jakiś niewymagający myślenia program, wczołga się do pustego małżeńskiego łóżka i spędzi w nim większą część weekendu, słuchając na okrągło „When Your Lover Has Gone”. Oczywiście w klasycznym nagraniu Billie Holiday z 1956 roku. Na depresję żadne inne wykonanie nie pomaga.

Próbowała naśladować Lady Day[4], gdy taksówka skręciła w Queen’s Gate Terrace i zatrzymała się przed eleganckim

georgiańskim domem pod numerem 18. Nie byli właścicielami tej nieruchomości, do nich należało jedynie luksusowe mieszkanie z osobnym wejściem na dwóch najniższych poziomach. Sarah była zachwycona, widząc, że w kuchni na dole pali się światło. Jako świadoma ekolożka była pewna, że rano nie zostawiła włączonej lampy. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem było to, że jej kochanek jednak nie wyjechał.

Zapłaciwszy kierowcy, zbiegła schodkami do dolnego wejścia do mieszkania. Zastała uchylone drzwi i wyłączony system alarmowy. A w środku, na kuchennej wyspie, leżało wyjęte z blejtramu płótno – pejzaż rzeki z młynami w oddali, o wymiarach około 40 na 60 centymetrów, z czymś, co wyglądało na inicjały Aelberta Cuypa, malarza z holenderskiego złotego wieku.

Obok obrazu leżała koperta z paryskiej Galerie Georges Fleury, przy niej zaś stała butelka wyborowego sancerre, którą Gabriel, krzywiąc się z bólu, próbował odkorkować. Sarah zamknęła drzwi i mimowolnie śmiejąc się, zrzuciła płaszcz. To idealne zakończenie tego koszmarnego tygodnia, pomyślała.

[4] Lady Day – pseudonim artystyczny Billie Holiday.

## QUEEN'S GATE TERRACE

Sprawdziła na Deliveroo status swojego zamówienia i zobaczyła, że wciąż jest otwarte.

– Tagliatelle z ragù czy cielęcina alla Milanese?

– Nie chciałbym się narzucać.

– Mąż wyjechał. Przyda mi się towarzystwo.

– Skoro tak, to dla mnie cielęcina.

– Dostaniesz tagliatelle. – Sarah uzupełniła zamówienie i spojrzała na pozbawione ramy i blejtramu płótno leżące na kuchennym blacie. – Nie wątpię, że da się to wyjaśnić w całkowicie racjonalny sposób. To, a także twoją opuchniętą dłoń.

– Od czego mam zacząć?

– Może od ręki?

– Po spotkaniu z Julianem w Wenecji napadłem na funkcjonariusza carabinieri po cywilnemu.

– A obraz?

– Kupiłem go dziś po południu w Galerie Georges Fleury.

– Tyle to sama widzę. – Sarah postukała w kopertę. – Ale jak za niego zapłaciłeś, na miłość boską?

Gabriel wyjął z koperty umowę kupna-sprzedaży i wskazał wyćwiczony podpis nabywczyni.

– Bardzo hojny gest z jej strony – skwitowała Sarah.

– Hojność nie ma tu nic do rzeczy. Ona liczy na zwrot pełnej sumy.

– Od kogo?

– Od ciebie, rzecz jasna.

– Czyli że ten obraz jest mój? Dobrze cię rozumiem?

– Na to wychodzi.

– Ile za niego dałeś?

– Milion euro.

– Za tyle to mogłabym dostać jeszcze ramę. – Pociągnęła za wystrzępiony rąbek płótna. – A także blejtram.

– Dyrekcja hotelu Bristol nabrałaby podejrzeń, gdybym zwalnając pokój, zostawił w nim antyczną ramę.

– A blejtram?

– Leży w śmietniku przed Gare du Nord.

– Jakżeby inaczej. – Westchnęła. – Z samego rana powinieneś go naciągnąć na nowy blejtram, żeby się nie zniszczył.

– Jeśli to zrobię, nie zmieści się do mojej torby.

– A dokąd się z nim wybierasz?

– Do Nowego Jorku – odparł. – A ty jedziesz ze mną.

– Dlaczego?

– Dlatego że ten pejzaż to falsyfikat. I coś mi mówi, że obraz, który sprzedałaś Phillip Somerssetowi za sześć i pół miliona funtów, też jest fałszywy.

– Cholera! – rzuciła Sarah. – Obawiałam się, że to powiesz.

Gabriel wyjął telefon komórkowy i odszukał zdjęcie obrazu, który widział w willi Valerie Bérangar w Saint-André-du-Bois. „Portret nieznannej kobiety”, olej na płótnie o wymiarach 115 na 92

centymetry, przypisywany naśladowcy flamandzkiego malarza z epoki baroku, Antoona van Dycka.

– To tłumaczy list, który napisała do Juliana.

– Tylko częściowo.

– To znaczy?

– Najpierw zadzwoniła do Georges’a Fleury’ego.

– Po co?

– Chciała się dowiedzieć, czy jej wersja obrazu również jest cennym dziełem van Dycka.

– I co jej powiedział monsieur Fleury?

– Nie znam go wprawdzie na wylot, ale zapewniam cię, że nie miało to nic wspólnego z prawdą. W każdym razie cokolwiek powiedział, wzbudziło to jej podejrzenia na tyle, że zawiadomiła wydział Police Nationale zajmujący się nielegalnym handlem dobrami kultury.

Sarah zakłęła pod nosem, wyciągając korek z butelki sancerre.

– Nie martw się, jestem prawie pewny, że policja powiedziała madame Bérangar, że nie zamierza zajmować się tą sprawą. Właśnie dlatego poprosiła Juliana o przyjazd do Bordeaux. – Gabriel zamilkł na chwilę. – I dlatego nie żyje.

– Czy ją...

– Zamordowano? – Gabriel skinął głową. – Na dokładkę zabójcy zabrali jej telefon komórkowy.

– Kim oni są?

– Wciąż nad tym pracuję. Nie mam jednak cienia wątpliwości, że to zawodowcy.

Sarah naląła dwa kieliszki wina i podała jeden Gabrielowi.

– Jaki marszand wynajmuje profesjonalnych zabójców, żeby zabili kogoś tylko z powodu sporu o obraz?

– Taki, który macza palce w intratnej działalności przestępczej.

Sarah wzięła telefon Gabriela i powiększyła zdjęcie.

– Czy obraz madame Bérangar także jest fałszywy?

– Moim zdaniem to dzieło późnego naśladowcy van Dycka – odparł Gabriel. – Czterdzieści osiem godzin temu powiedziałem córce Valerie Bérangar, że według mnie to kopia obrazu, który sprzedałaś Phillipowi Somersetowi. Ale teraz uważam, że jest odwrotnie. To tłumaczy, czemu tego obrazu nie ma w katalogu raisonné van Dycka.

– Fałszerz skopiował naśladowcę?

– Poniekąd tak. Przy okazji wprowadził wyraźne poprawki. On jest niesamowity. Maluje dokładnie tak jak Antoon van Dyck. Nic dziwnego, że wyprowadził w pole twoich pięciu ekspertów.

– A jak wyjaśnisz ubytki farby i retusz, które pojawiły się, kiedy obejrzelśmy obraz w świetle ultrafioletowym?

– Fałszerz sztucznie postarza i uszkadza swoje obrazy. A następnie odnawia je, używając współczesnych barwników i mediów malarskich, żeby wyglądały autentycznie.

Sarah zerknęła na leżące na blacie płótno.

– Ten też?

– Oczywiście.

Gabriel wyjął z koperty raport na temat stanu obrazu. Dołączono do niego trzy zdjęcia. Pierwsze przedstawiało płótno w obecnym stanie: po retuszu, ze świeżą warstwą niezabrudzonego lakieru. Drugie zdjęcie, zrobione w świetle ultrafioletowym, pokazywało ubytki farby oraz archipelag małych czarnych wysepek. Ostatnia fotografia ukazywała obraz w wersji najbliższej prawdy, bez retuszu i lakieru. Ubytki farby pojawiały się jako białe plamy.

– Wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać czterystuletni obraz – oświadczył Gabriel. – Trudno mi to wyznać, ale mógłby zmylić nawet mnie.

– Więc dlaczego nie dałeś się wyprowadzić w pole?

– Dlatego, że poszedłem do tej galerii w poszukiwaniu fałszerstw. I dlatego, że od stu lat żyję wśród obrazów. Znam pociągnięcia pędzli dawnych mistrzów równie dobrze, jak własne zmarszczki pod oczami.

– Z całym szacunkiem, to trochę za mało, żeby uznać obraz za fałszywy – odparła Sarah.

– I właśnie dlatego damy go Aidenowi Gallagherowi.

Gallagher był założycielem Equus Analytics, dysponującej najnowszymi zdobyczami techniki firmy badawczej specjalizującej się w wykrywaniu fałszerstw. Sprzedawał swoje usługi muzeom, marszandom, kolekcjonerom, domom aukcyjnym oraz, od czasu do czasu, Jednostce do spraw Zwalczania Fałszerstw Sztuki FBI. To właśnie Aiden Gallagher dziesięć lat wcześniej udowodnił, że jedna z najbardziej wziętych galerii sztuki współczesnej z Nowego Jorku sprzedała nieświadomym klientom fałszywe obrazy o wartości niemal osiemdziesięciu milionów dolarów.

– Jego laboratorium mieści się w Westport, w Connecticut – ciągnął Gabriel. – Jeżeli fałszerz popełnił jakiś techniczny błąd, Gallagher to znajdzie.

– A w czasie, kiedy będziemy czekali na wyniki?

– Załatwisz, żebym mógł obejrzeć obraz, który sprzedałaś Phillipowi Somersetowi. Jeśli, jak podejrzewam, jest fałszywy...

– Julian i ja staniemy się pośmiewiskiem całego świata sztuki.

Nie, pomyślał Gabriel, sięgając po kieliszek wina. Jeżeli „Portret nieznannej kobiety” okaże się fałszywy, to Isherwood Fine Arts z Mason’s Yard, od 1968 roku dostawca muzealnej klasy obrazów włoskich i holenderskich dawnych mistrzów, pójdzie z torbami.

## WESTPORT

Przez odprawę na Heathrow przeszli osobno – Gabriel pod swoim prawdziwym nazwiskiem, z płótnem Cuypa upchanym w torbie podróżnej – i spotkali się znowu w hali odlotów. Czekać na wywołanie ich rejsu, Sarah napisała mejla do Aideny Gallaghera, w którym informowała, że Isherwood Fine Arts z Londynu pragnie zlecić Equus Analytics ocenę techniczną obrazu. Nie podała, o jakie dzieło chodzi, zaznaczyła tylko, że sprawa jest pilna. W Nowym Jorku powinna wylądować w południe, więc jeśli nie utknie w korku, dotrze do Westport najpóźniej o trzeciej po południu. Czy mogłaby przekazać im wtedy obraz?

Na pokładzie samolotu poinformowała stewardesę, że nie będzie nic piła ani jadła w trakcie ośmiogodzinnego lotu przez północny Atlantyk. Potem zamknęła oczy i nie otworzyła ich, dopóki samolot ze stukaniem nie wylądował na pasie międzynarodowego lotniska imienia Johna F. Kennedy'ego. Uzbrojona w amerykański paszport oraz kartę członkowską Global Entry szybko prześliznęła się przez procedurę wjazdową, natomiast Gabriel, który utracił uprzywilejowany status, spędził godzinę na torowaniu sobie drogi przez gąszcz przeszkód zarezerwowanych dla niepożądanych

obcokrajowców. Jego podróż zakończyła się w pozbawionym okien pokoju, gdzie został poddany szybkiemu przesłuchaniu przez dobrze odkarmionego funkcjonariusza służby celnej i straży granicznej.

– Co pana znów sprowadza do Stanów Zjednoczonych, dyrektorze Allon?

– Prywatne badania.

– Czy Agencja wie o pańskim przylocie do kraju?

– Teraz już tak.

– Jak się ma pańska pierś?

– Lepiej niż moja ręka.

– Przewozi pan coś w tej torbie?

– Dwie sztuki broni palnej i zwłoki.

Funkcjonariusz uśmiechnął się.

– Miłego pobytu.

Niebieska linia zaprowadziła Gabriela do odbioru bagażu, gdzie Sarah patrzyła w zadumie na swój telefon komórkowy.

– Aiden Gallagher – odezwała się, nie podnosząc wzroku. – Chce wiedzieć, czy można z tym poczekać do poniedziałku. Odpisałam, że nie można.

W tym momencie jej telefon pisnął na znak, że przyszedł nowy mejl.

– No i?

– Chce dostać opis obrazu.

Gabriel podał na głos szczegóły:

– „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”. Olej na płótnie. Trzydzieści sześć na pięćdziesiąt osiem centymetrów. Obecnie uważany za dzieło Aelberta Cuypa.

Sarah wysłała mejla. Gallagher odpisał po dwóch minutach.

– Spotka się z nami w Westport o trzeciej.

Equus Analytics mieściła się w starym budynku z czerwonej cegły przy Riverside Avenue, niedaleko wiaduktu nad Connecticut Turnpike. Gabriel i Sarah przyjechali kilka minut po drugiej, na tylnym siedzeniu SUV-a Ubera. W Dunkin' Donuts przy tej samej ulicy kupili kawę i usiedli na ławce na zalanym słońcem brzegu Saugatuck. Po nieskazitelnym skądinąd błękitnie nieba płynęły grube białe chmury. W niewielkiej przystani drzemały na swoich miejscach statki wycieczkowe niczym porzucone zabawki.

– To wygląda jak coś, co Aelbert Cuyp chętnie by namalował – zauważył Gabriel.

– Westport niewątpliwie ma swój urok. Zwłaszcza przy takiej pogodzie.

– Żałujesz?

– Że wyjechałam z Nowego Jorku? – Sarah pokręciła głową. – Myślę, że nie wyszłam na tym najgorzej, prawda?

– Zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy jako żona Christophera jesteś naprawdę szczęśliwa.

– Wręcz nieprzytomnie. Choć muszę przyznać, że moja praca w galerii nie jest tak ciekawa jak zadania, które wykonywałam dla ciebie. – Wystawiła twarz na ciepłe słońce. – Pamiętasz nasz wyjazd na Saint-Barthélemy z Zizi al-Bakarim?

– Jak mógłbym zapomnieć?

– A lato, które spędziliśmy z Iwanem i Jeleną Charkowami w Saint-Tropez? Albo ten dzień, w którym zastrzeliłam rosyjskiego zabójcę w Zurychu? – Sarah sprawdziła na ekranie telefonu godzinę. – Dochodzi trzecia. Chodźmy. Nie chciałabym, żeby na nas czekał.

Ruszyli Riverside Avenue i dotarli do Equus Analytics w chwili, gdy na parking zajęchało czarne bmw serii 7. Zza kierownicy

wysiadł mężczyzna o kruczoczarnych włosach i niebieskich oczach; zupełnie nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt cztery lata.

Podał rękę Sarah.

– Pani Bancroft, jak sądzę?

– Miło mi pana poznać, doktorze Gallagher. Dziękuję, że przyjął nas pan tak szybko. W dodatku w sobotę.

– Nie ma za co. Prawdę mówiąc, i tak chciałem popracować kilka godzin przed kolacją.

Jego akcent, acz tylko śladowy, zdradzał dzieciństwo spędzone w Dublinie. Spojrzał na Gabriela.

– A pan to...?

– Johannes Klemp – przedstawił się Gabriel, wygrzebując nazwisko ze swojej powikłanej przeszłości. – Pracuję z Sarah w Isherwood Fine Arts.

– Czy ktoś już panu mówił, że jest pan niesamowicie podobny do tego Izraelczyka, którego postrzelono w dniu zaprzysiężenia prezydenta? Jeśli mnie pamięć nie myli, nazywał się Gabriel Allon.

– Ciągle to słyszę.

– Nie wątpię. – Gallagher uśmiechnął się do niego porozumiewawczo i odwrócił się do Sarah. – Zostaje już tylko obraz.

Sarah ruchem głowy wskazała torbę podróżną Gabriela.

– Oho – mruknął Gallagher. – Akcja się zagęszcza.

## EQUUS

Zamki w zewnętrznych drzwiach były godne muzeum, podobnie jak system alarmowy oraz wyposażenie laboratorium. Wśród wysoce specjalistycznych gadżetów znajdowały się: mikroskop elektronowy, krótkofalowa kamera termowizyjna na podczerwień oraz spektrometr mikrofluorescencji rentgenowskiej M6 Jetstream firmy Bruker – wyszukany sprzęt do obrazowania przestrzennego. Mimo to Gallagher zaczął analizę staromodnie, od oględzin obrazu gołym okiem, w normalnym świetle.

– Wygląda na to, że przetrwał lot bez uszkodzeń, ale radzę jak najszybciej napiąć go na blejtram. – Zerknął z naganą na Gabriela. – Rzecz jasna, jeżeli Herr Klemp nie zgłasza zastrzeżeń.

– Chyba jednak powinien pan używać mojego prawdziwego nazwiska – odrzekł Gabriel. – Jeśli chodzi o blejtram, nada się standardowy czternaście na dwadzieścia dwa. A co do płótna, odsunąłbym je na pięć ósmych.

Gallagher spojrział na niego pytająco.

– Jest pan malarzem, panie Allon?

Gabriel odpowiedział mu tak samo jak siedemdziesiąt dwie godziny wcześniej córce Valerie Bérangar, w gminie Saint-André-

du-Bois. Aiden Gallagher był nie mniej zaintrygowany, aczkolwiek z innego powodu.

– Okazuje się, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Przykro mi to słyszeć – zażartował Gabriel.

– Oczywiście w sensie artystycznym. Uczyłem się malarstwa w National College of Art and Design w Dublinie, a po przeprowadzce do Stanów Zjednoczonych zapisałem się na Columbię.

Gdzie obronił doktorat z historii sztuki i magisterium z konserwacji. Pracując jako konserwator w Metropolitan Museum of Art, specjalizował się w ustalaniu pochodzenia dzieł, a później w naukowym wykrywaniu fałszerstw. W 2005 roku odszedł z Met i założył Equus Analytics. Niedawno magazyn „Art Newspaper” ochrzcił go „gwiazdą rocka” niemającą sobie równych w swej dziedzinie. Nie dziwiło zatem nowiutkie bmw serii 7 zaparkowane przed drzwiami jego biura.

Skierował wzrok na obraz.

– Gdzie go kupiono?

– W Gallery Georges Fleury w Paryżu – odparł Gabriel.

– Kiedy?

– Wczoraj po południu.

Gallagher gwałtownie uniósł głowę.

– A pan już podejrzewa, że coś z nim jest nie tak?

– Nie, ja to wiem – sprostował Gabriel. – Ten obraz to falsyfikat.

– A jak pan doszedł do tego wniosku? – zapytał Gallagher z powątpiewaniem.

– Instynkt.

– Niestety, panie Allon, to za mało. – Gallagher znów przyjrzał się obrazowi. – Jak wygląda jego pochodzenie?

– To jeden wielki żart.

- A raport na temat stanu?
- Ten to prawdziwe dzieło sztuki.

Gabriel wyjął z teczki oba dokumenty i położył je na stole. Aiden Gallagher zaczął badanie od pochodzenia i zakończył na trzech zdjęciach. Obraz w obecnej postaci. Obraz w świetle ultrafioletowym. I obraz z widocznymi ubytkami farby.

– Jeśli to falsyfikat, to fałszerz niewątpliwie znał się na swojej robocie. – Gallagher zgasił górne światła i zbadał obraz w świetle latarki na ultrafiolet. Archipelag czarnych plam zgadzał się z tymi na zdjęciu. – Jak na razie jest dobrze. – Znowu zapalił górne światła i spojrzął na Gabriela. – Zakładam, że zna pan prace Cuypa?

– Doskonale.

– Wobec tego wie pan, że jego dzieła przez stulecia były mylone, a ich autorstwo przypisywano innym twórcom. Czerpał pełnymi garściami z Jana van Goyena, a jego naśladowcy pełnymi garściami czerpali z niego. Był wśród nich Abraham van Calraet. Tak jak Cuyp, pochodził z holenderskiego miasteczka Dordrecht. A ponieważ mieli te same inicjały, często trudno jest odróżnić ich prace.

– I właśnie dlatego fałszerz wybrał malarza takiego jak Cuyp. Dobrzy fałszerze sprytnie wybierają artystów, których dzieła w przeszłości błędnie przypisywano innym. Dzięki temu, kiedy cudownym sposobem w pokrytej kurzem europejskiej kolekcji pojawia się nowy obraz, tak zwani eksperci są bardziej skłonni uważać go za prawdziwy.

– A jeśli i ja dojdę do wniosku, że ten obraz to dzieło Aelberta Cuypa?

- Jestem przekonany, że tak się nie stanie.
- Postawi pan na to pięćdziesiąt tysięcy dolarów?
- Ja nie. – Gabriel wskazał Sarah. – Ale ona tak.

– Przed przystąpieniem do badań wymagam zaliczki w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy. Reszta jest płatna, kiedy przekażę wyniki ustaleń.

– Jak długo to potrwa? – zapytała Sarah.

– Trudno powiedzieć, może kilka tygodni, a może kilka miesięcy.

– Czas odgrywa tu wielką rolę, doktorze Gallagher.

– Kiedy planujecie powrót do Londynu?

– To zależy od pana.

– Wstępny raport mogę przedłożyć w poniedziałek po południu.

Ale za pilne zlecenia pobieram dopłatę.

– Jaką?

– Pięćdziesiąt tysięcy z góry – odparł Gallagher. – I dwadzieścia pięć po przekazaniu materiałów.

Podpisawszy formularze przekazania dzieła oraz wystawiwszy czek, Gabriel i Sarah pośpiesznie ruszyli Riverside Avenue na stację Metro North i kupili dwa bilety na Grand Central.

– Następny skład przyjeżdża o czwartej dwadzieścia sześć – powiedziała Sarah. – Przy odrobinie szczęścia o szóstej będziemy popijali martini w Mandarin Oriental.

– Myślałem, że wolisz Four Seasons.

– Nie mieli wolnych pokoi.

– Nawet dla ciebie?

– Wierz mi, nagadałam do słuchu szefowi rezerwacji.

– Jak myślisz, gdzie Phillip Somerset spędza ten weekend?

– Jak go znam, może być wszędzie. Oprócz kamienicy na Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej ma jeszcze pensjonat narciarski w Aspen, posiadłość na wschodnim skraju Long Island i znaczną część Lake Placid w Adirondacks. Przemieszcza się między nimi gulfstreamem.

– Nieźle jak na byłego handlarza obligacjami w Lehman Brothers.

- Najwyraźniej poczytałeś sobie o nim.
- Znasz mnie, Sarah. Nigdy nie sypiam w samolocie. – Zerknął na nią z ukosa. – Jaka jest pogoda w Lake Placid o tej porze roku?
- Marna.
- A w Aspen?
- Nie ma śniegu.
- Czyli zostaje Manhattan albo Long Island.
- Zadzwońię do niego z samego rana w poniedziałek.
- Miejmy to z głowy. Od razu poczujesz się lepiej.
- Chyba że van Dyck okaże się fałszywy. – Sarah weszła w pocztę elektroniczną i wstukała adres Phillipa Somerset. – Jaki podać temat?
- Odnowienie znajomości.
- Dobry pomysł. Mów dalej.
- Napisz mu, że niespodziewanie przyleciałaś do Nowego Jorku. I zapytaj, czy poświęci ci kilka minut.
- Wspomnieć o obrazie?
- W żadnym wypadku.
- A jak mam opisać ciebie?
- Jesteś marszandką pracującą kiedyś dla CIA. Na pewno sama coś wymyślisz.

Skończyła pisać mejla, kiedy pociąg zwalniał przed stacją. A o wpół do szóstej, gdy wsiadali do taksówki przed Grand Central, zadzwonił Phillip Somerset.

- Lindsay i ja zapraszamy jutro kilkoro przyjaciół do naszego domu na Long Island. Będziesz mile widziana. I przyprowadź swojego przyjaciela – dodał. – Bardzo chętnie go poznam.

## NORTH HAVEN

Sarah nie skorzystała z propozycji Phillipa Somerseta, że przyśle po nich samochód, i wynajęła europejską limuzynę klasy premium. Odebrali ją nazajutrz o wpół do jedenastej z parkingu w Turtle Bay i w południe pędzili już przez Suffolk autostradą Long Island. Dla zabicia czasu Sarah odczytywała na głos niezwykle nazwy mijanych miasteczek i wiosek pojawiające się na spłowiących zielonych tabliczkach – najpierw Commack, potem Hauppauge, Ronkonkoma i Patchogue. Wyjaśniła Gabrielowi, że to taka głupia zabawa, którą lubiła jako dziecko, kiedy Bancroftowie, z równie bogatymi jak oni rodzinami z Manhattanu, spędzali lato w East Hampton.

– Ci nowi teraz są o wiele bogatsi niż my wtedy i nie wstydzą się z tym obnosić. Groteskowe pokazy bogactwa są teraz obowiązkowe.  
– Pociągnęła za rękaw ciemnego kostiumu, który przywiozła z Londynu. – Szkoda, że nie miałam czasu kupić czegoś bardziej stosownego.

– Wyglądasz pięknie – zapewnił ją Gabriel, trzymając rękę na górze kierownicy.

– Ale nie jestem odpowiednio ubrana na weekendowe przyjęcie w posiadłości Phillipa Somerseta w North Haven.

- A jak należy się ubrać?
- Możliwie jak najdrożej. – Telefon Sarah pisnął na znak, że dostała esemesa. – O wilku mowa.
- Odwołuje zaproszenie?
- Sprawdza, jak nam idzie.
- Myślisz, że kontaktuje się ze wszystkimi gośćmi, czy tylko z tobą?
- Co sugerujesz?
- Że Phillip Somerset wydawał się przesadnie zadowolony, kiedy się do niego wczoraj odezwałaś.
- Znamy się zarówno na płaszczyźnie zawodowej, jak i prywatnie
- przyznała Sarah.
- Jak bardzo prywatnie?
- Poznał nas wspólny przyjaciel na dorocznym garden party połączonym ze zbiórką funduszy dla MoMA. Phillip właśnie borykał się z paskudnym rozwodem. Przez kilka miesięcy chodziliśmy ze sobą.
- Kto to zakończył?
- On, jeśli już musisz wiedzieć.
- Co on sobie właściwie wyobrażał?
- Ja dobiegałam wtedy czterdziestki, a Phillip rozglądał się za kimś nieco młodszym. Więc kiedy poznał śliczną Lindsay Morgan, joginkę i modelkę młodszą ode mnie o dwanaście lat, rzucił mnie jak nic niewartą akcję.
- A jednak nie wycofałaś swoich inwestycji z Masterpiece Art.
- Skąd o tym wiesz?
- Domyśliłem się.
- Jeszcze zanim zaczęliśmy się spotykać, powierzyłam Phillipowi niewielką część moich oszczędności – wyjaśniła. – I nie widziałam

powodu, żeby wycofać pieniądze tylko dlatego, że nasz związek się rozpadł.

– Jak niewielką?

– Dwa miliony dolarów.

– Rozumiem.

– Kiedy ostatnio byliśmy w Nowym Jorku, chyba jasno dałam do zrozumienia, że ojciec zostawił mi spory majątek.

– Owszem – przyznał Gabriel. – Mam tylko nadzieję, że Phillip dobrze zadbał o twoje interesy.

– Obecnie moje saldo wynosi cztery przecinek osiem miliona dolarów.

– Mazel tov.

– W porównaniu z innymi klientami Phillipa jestem nędzarką. On naprawdę ma coś z Midasa. To dlatego tyle osób ze świata sztuki u niego inwestuje. Jego fundusz konsekwentnie daje dwadzieścia pięć procent zysku rocznie.

– Jak to możliwe?

– Jakaś magiczna strategia inwestowania środków własnych w instrumenty finansowe, ale Phillip zazdrośnie jej strzeże. W przeciwieństwie do innych funduszy inwestujących w sztukę Masterpiece nie ujawnia, jakimi obrazami dysponuje. Ich stan posiadania jest całkowicie nieprzejrzysty. I najwyraźniej całkiem spory. Obecnie Phillip kontroluje dzieła sztuki o wartości jeden i dwie dziesiąte miliarda dolarów. Cały czas kupuje i sprzedaje obrazy, osiągając niesamowite zyski.

– Dzięki skali i szybkości obrotów?

– I z arbitrażu, oczywiście – dodała Sarah. – Masterpiece działa na tej samej zasadzie co fundusz hedgingowy. Nowi inwestorzy muszą wnieść minimum milion dolarów, a wkład jest zamrożony na pięć lat. Struktura wypłat to ogólnie przyjęte w tej branży dwa

dwadzieścia. Dwa procent na opłaty z tytułu zarządzania i dwadzieścia procent udziału w zyskach.

– Podejrzewam, że firma ma siedzibę na Kajmanach?

– A kto nie ma? – Sarah wzniosła oczy do nieba. – Przyznaję, że z przyjemnością patrzę, jak suma na moim koncie rośnie z roku na rok. Chociaż po części buntuję się na myśl, że obrazy są towarem, który można kupować i sprzedawać jak transakcje terminowe na soję albo ropę naftową.

– Musisz przestać tak myśleć, jeśli chcesz odnieść sukces jako marszandka. Większość obrazów kupowanych na aukcjach nigdy nie jest już wystawiana na widok publiczny. Ląduje w sejfach bankowych albo w Geneva Freeport.

– Albo w klimatyzowanym magazynie obsługiwanym przez Chelsea Fine Arts Storage. To tam Phillip kazał mi wysłać van Dycka. – Sara wskazała znak kierujący na zjazd 66 i dodała kolejną dziwną nazwę: – Yaphank.

Jajowaty półwysep zwany North Haven wcina się w zatokę Peconic między Sag Harbor a Shelter Island. Weekendowe ustronie Phillipa Somerseta – rezydencja z cedrów i szkła o powierzchni blisko trzech tysięcy metrów kwadratowych – mieściła się na wschodnim brzegu. Olśniewająca młoda żona Phillipa powitała Gabriela i Sarah w strzelistym holu wejściowym; ubrana w lniany kostium bez rękawów przewiązany paskiem w szczupłej talii, miała skórę tak gładką i nieskazitelną, że wyglądała jak fotografia przepuszczona przez Photoshop w mediach społecznościowych. Gdy Gabriel się przedstawił, Lindsay Somerset spojrzała na niego pustym wzrokiem, natomiast nazwisko Sarah od razu sobie przypomniała.

– To pani jest tą marszandką z Londynu, która sprzedawała mojemu mężowi van Gogha.

– Van Dycka.

- Ciągłe mi się mylą.
- To się często zdarza – pocieszyła ją Sarah.

Lindsay Somerset odwróciła się, by powitać nowo przybyłą prezydentkę głównego wydania wiadomości i jej męża. W przepięknym olbrzymim salonie byli już inni dziennikarze prasowi i telewizyjni, jak również dyrektorzy funduszy hedgingowych, malarze, marszandzi, projektanci mody, modelki, aktorzy, scenarzyści, słynny reżyser kasowych superprodukcji, kultowy muzyk śpiewający właśnie o niedoli klas pracujących na Long Island, postępową kongresmenkę z Bronxu i do kompletu stadko młodych asystentek z nowojorskiego wydawnictwa. Najwyraźniej zostały zaproszone dlatego, że była to impreza poświęcona książkom.

– Carl Bernstein – szepnęła Sarah. – Był partnerem Boba Woodwarda w „Washington Post” w czasie afery Watergate.

– W przeciwieństwie do ciebie ja już byłem na świecie za prezydentury Richarda Nixona, Sarah. Wiem, kim jest Carl Bernstein.

– Chciałbyś go poznać? Jest tam. – Chwyliła kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera. – Jest też Ina Garten. I ten aktor, którego nazwiska nigdy nie pamiętam. Ten, który właśnie wyszedł z odwyku.

– Jest także Rothko – dodał cicho Gabriel. – I Basquiat. I Pollock. Są też Lichtenstein, Diebenkorn, Hirst, Adler, Prince oraz Warhol.

– Powinieneś zobaczyć jego kamienicę na Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej. Jest jak muzeum Whitney.

– Przesada – rozległ się baryton za ich plecami. – Ale zapraszam w każdej chwili.

Mężczyznę mówiącym barytonem okazał się Phillip Somerset. Najpierw przywitał się z Sarah – cmoknął ją w policzek

i skomplementował jej wygląd – a potem podał politurowaną słońcem rękę Gabrielowi. Był to wysoki, dbający o kondycję facet dobrze po pięćdziesiątce, z chłopcą czupryną siwiejących blond włosów i pewnym siebie, swobodnym uśmiechem charakterystycznym dla prawdziwych bogaczy. Na nadgarstku miał kolosalny chronometr firmy Richard Mille, sportowy model noszony przez nadzianych gości udających, że mają pojęcie o żeglarstwie. Jego zapinany na suwak kaszmirowy sweter też miał się kojarzyć z morzem, podobnie jak jasne bawełniane spodnie oraz jaskrawoniebieskie mokasyny. Krótko mówiąc, Phillip Somerset wyglądał tak, jakby właśnie zszedł z pokładu jachtu.

Gabriel uściśnął jego rękę i przedstawił się z imienia i nazwiska.

Phillip Somerset spojrzał na Sarah, oczekując wyjaśnienia.

– To stary przyjaciel – powiedziała.

– A już myślałem, że spędzę popołudnie na odpieraniu pytań o moją strategię handlową. – Phillip Somerset puścił dłoń Gabriela. – To prawdziwa niespodzianka, panie Allon. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Liczyłem, że uda mi się obejrzeć obraz.

– No to dobrze pan trafił. Czy chciałby pan obejrzeć coś konkretnego?

– „Portret nieznannej kobiety”.

– Antoona van Dycka?

Gabriel się uśmiechnął.

– Mam taką nadzieję.

Phillip Somerset zaprowadził Gabriela i Sarah schodami do wielkiego słonecznego gabinetu z ogromnymi ekranami komputerów i panoramicznym widokiem na fale zatoki. Zapadło długie milczenie, kiedy przyglądał im się z namysłem zza ziemi

niczyjej, czyli wielkiego jak boisko piłkarskie biurka. W końcu spojrział Sarah prosto w oczy i rzekł:

– Może mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Odpowiedziała mu precyzyjnie, jak prawniczka:

– Isherwood Fine Arts zatrudniła pana Allona, żeby przeprowadził dyskretne śledztwo w sprawie okoliczności związanych z odkryciem „Portretu nieznannej kobiety” i odsprzedaniem go Masterpiece Art Ventures.

– A dlaczego uznano takie dochodzenie za konieczne?

– Pod koniec zeszłego tygodnia galeria otrzymała list, którego nadawca wyrażał zaniepokojenie tą transakcją. Kilka dni później kobieta, która wysłała ten list, zginęła w wypadku drogowym niedaleko Bordeaux.

– Czy policja podejrzewa, że doszło do przestępstwa?

– Nie – odpowiedział mu Gabriel. – Ale ja tak.

– Dlaczego?

– Jej zmarły mąż kupił kilka obrazów w tej samej paryskiej galerii, w której Julian i Sarah nabyli „Portret nieznannej kobiety”. W piątek odwiedziłem tę galerię i zauważyłem trzy obrazy, które wyglądały na fałszywe. Kupiłem jeden z nich i przekazałem do Equus Analytics.

– Aiden Gallagher jest w tej branży najlepszy. Sam z niego korzystam.

– Na jutro po południu obiecał przygotować wstępny raport. Ale zanim to nastąpi...

– Pomyślał pan, że rzuci okiem na van Dycka.

Gabriel skinął głową.

– Chętnie bym go panu pokazał. Niestety, to niemożliwe – oświadczył Phillip Somerset.

– Wolno spytać, dlaczego?

– Masterpiece Art Ventures sprzedała go jakieś trzy tygodnie temu. Dodam, że ze znacznym zyskiem.

– Komu?

– Przykro mi, panie Allon, transakcja była poufna.

– Czy brał w tym udział pośrednik?

– Jeden z największych domów aukcyjnych.

– A czy ten dom dokonał drugiej recenzji atrybucji?

– Kupiec na to nalegał.

– No i?

– „Portret nieznannej kobiety” namalował Antoon van Dyck, prawie na pewno w swojej pracowni w Antwerpii, jakoś tak pod koniec lat trzydziestych siedemnastego wieku. Co oznacza, że jeśli chodzi o Isherwood Fine Arts i Masterpiece Art Ventures, sprawa jest zamknięta.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym to dostać na piśmie – powiedziała Sarah.

– Przyślij mi coś jutro rano – odparł Phillip Somerset. – Rzucę na to okiem.

## GALERIA 617

Nazajutrz z samego rana Sarah zadzwoniła do swojego doradcy w banku HSBC w Londynie i zleciła mu przelanie miliona euro na rachunek najsłynniejszej skrzypaczki na świecie w Credit Suisse. Następnie wybrała numer Ronalda Sumner-Lloyda, prawnika Juliana z Berkeley Square, i wspólnie naszkicowali wstępną wersję listu chroniącego galerię Isherwood Fine Arts przed wszelkimi roszczeniami, teraz i w przyszłości, dotyczącymi sprzedaży „Portretu nieznannej kobiety” pędzla flamandzkiego malarza z epoki baroku, Antoona van Dycka. Krótco przed dziewiątą wysłała gotowy dokument Phillipowi Somersetowi. Po kilku minutach zadzwonił do niej z pokładu swojego firmowego śmigłowca Sikorsky, lecącego z East Hampton na Manhattan.

– Nie sądzisz, że język jest trochę zbyt napastliwy? Zwłaszcza w punkcie dotyczącym poufności.

– Muszę dbać o nasze interesy, Phillipie. A jeśli z twoją sprzedażą coś pójdzie nie tak, nie chcę zobaczyć słów ‘Isherwood Fine Arts’ na łamach „New York Timesa”.

– Chyba wyraziłem się jasno, że nie masz najmniejszych powodów do niepokoju.

- Kiedyś zapewniałeś mnie, że interesuje cię stały związek.
- Czyżbyś wciąż była na mnie z tego powodu zła?
- Nigdy nie byłam zła – skłamała. – A teraz bądź tak dobry i podpisz zrzeczenie się wszelkich roszczeń.
- Pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Powiedz mi, jak poznałaś Gabriela Allona.
- Poznaliśmy się, kiedy pracowałam w Waszyngtonie.
- To było bardzo dawno temu.
- Owszem – przyznała Sarah. – Śliczna Lindsay pewnie chodziła wtedy do podstawówki.
- Ona mówi, że byłaś dla niej nieuprzejma.
- Ona nie odróżnia van Gogha od van Dycka.
- Kiedyś też ich nie odróżniałem. A spójrz na mnie teraz – rzekł Phillip i się rozłączył.

Pięć minut później dokument znalazł się w skrzynce odbiorczej Sarah, podpisany elektronicznie i opatrzony datą. Dodała swój podpis i przesłała go dalej, Julianowi oraz Ronniemu w Londynie. Następnie, potwierdziwszy dwie rezerwacje na lot z Heathrow liniami British Airways o siódmej trzydzieści wieczorem, zadzwoniła do Gabriela i zawiadomiła go, że galeria Isherwood Fine Arts w sensie prawnym i etycznym jest wolna od podejrzeń.

– A to oznacza, że Julian i ja zachowamy reputację, nie mówiąc o sześciu i pół milionie funtów. W sumie – dodała – obrót wydarzeń okazał się całkiem pomyślny.

- Jakie masz plany na przedpołudnie?
- Najpierw się spakuję. A potem będę się gapiała na telefon i czekała, aż Aiden Gallagher z Equus Analytics powie mi, że bez sensu wydałeś mój milion euro na „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”.

– A może zamiast tego wybrałabyś się ze mną na miły długi spacer?

– To znacznie lepszy pomysł.

Był piękny wiosenny poranek, słoneczny i bezchmurny; znad Hudsonu wiał figlarny wietrzyk. Przeszli Zachodnią Pięćdziesiątą Dziewiątą do Piątej Alei i skręcili ku elegantszym dzielnicom.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Do Metropolitan Museum of Art.

– Po co?

– W ich kolekcji znajduje się kilka ważnych dzieł Antoona van Dycka. – Gabriel uśmiechnął się. – Prawdziwych.

Sarah zadzwoniła do znajomej pracującej w dziale reklamy Met i poprosiła o dwa bezpłatne bilety wstępu. Te czekały na nich w recepcji. Na piętrze skierowali się do Galerii 617 poświęconej portrecistom z epoki baroku. Wisiały w niej cztery prace van Dycka, w tym kultowy portret Henrietty Marii, żony króla Karola I. Gabriel zrobił zdjęcie królowej małżonki i pokazał je Sarah.

– Krakelura – powiedziała.

– Zauważyłaś w niej coś niezwykłego?

– Nie.

– Ja też nie. Wygląda dokładnie tak, jak powinna wyglądać krakelura van Dycka. Ale spójrz tutaj. – Wskazał twarz nieznannej kobiety w wersji, którą Julian i ona sprzedali Phillipowi Somersetowi. – Tutaj wzór spękań jest inny.

– Nieznacznie. Ale owszem, są różnice – przyznała.

– Dlatego że fałszerz używa chemicznego utwardzacza, żeby sztucznie postarzyć obraz. W ten sposób krakelurę powstającą przez cztery stulecia tworzy w ciągu kilku dni. Tyle że taka krakelura jest inna.

– Dwie niezależne ekspertyzy stwierdziły, że „Portret nieznannej kobiety” jest pracą Antoona van Dycka. Rzym przemówił, Gabrielu. Sprawa skończona.

– Tyle że obie te ekspertyzy były oparte na zdaniu ekspertów, nie na nauce.

Sarah westchnęła z irytacją.

– Może patrzysz na to ze złej strony.

– A jaka jest dobra?

Wskazała na portret Henrietty Marii.

– Może to ten jest fałszywy?

– Nie.

– Taki jesteś pewny? – Zaprowadziła go do sąsiedniej sali. – Co powiesz na tamten pejzaż? Jesteś absolutnie pewny, że namalował go Claude Lorrain? Czy tylko jesteś skłonny w to wierzyć, bo wisi w Metropolitan Museum of Art?

– A puenta?

– Puenta jest taka, że w gruncie rzeczy nikt nie wie, czy wszystkie te piękne dzieła sztuki wystawiane w najlepszych muzeach świata są prawdziwe czy fałszywe – odparła Sarah scenicznym szeptem. – A zwłaszcza uczeni kustosze i konserwatorzy zatrudniani przez instytucje takie jak ta. To taka wstydliva tajemnica, o której nikt nie chce mówić. A prawda wygląda tak, że eksperci bez przerwy są wyprowadzani w pole. Szacuje się, że co najmniej dwadzieścia procent obrazów w londyńskiej National Gallery to dzieła przypisane złym autorom albo wręcz jawne fałszerstwa. A zapewniam, że statystyki dotyczące rynków prywatnych wyglądają jeszcze gorzej.

– Wobec tego może należałoby coś z tym zrobić?

– Wypychając Galerie Georges Fleury z interesu? – Sarah wolno pokręciła głową. – Kiepski pomysł, Gabrielu.

– Dlaczego?

– Bo to, co się zacznie w Paryżu, na Paryżu się nie skończy. Rozejdzie się po świecie sztuki wszędzie jak zaraza. I skazi domy aukcyjne, marszandów, kolekcjonerów i zwyczajnych klientów muzeów takich jak Met. Nikt, nawet najbardziej prawy z nas, nie uniknie niszczących skutków takiej akcji.

– A jeśli Aiden Gallagher powie nam, że obraz jest fałszywy?

– Po cichu dokonamy zwrotu mienia i zapłaty, a potem rozejdziemy się każde w swoją stronę i nigdy więcej nie poruszymy tego tematu. Bo inaczej zniszczymy złudzenie, że wszystko złoto, co się świeci.

Sarah zmarszczyła czoło i spojrzała na zegarek.

– Oświadczam, że właśnie minęło południe.

Wrócili do Mandarin Oriental i zajęli ostatni wolny stolik w bardzo popularnym hotelowym barze. O drugiej piętnaście, kiedy kończyli lunch, telefon Sarah zawibrował na znak, że ma połączenie. Dzwoniono z Equus Analytics.

– Może to ty powinieneś odebrać? – podsunęła Sarah.

Gabriel stuknął w ikonkę ODBIERZ i przyłożył urządzenie do ucha.

– Dziękuję – powiedział po chwili. – Ale to nie będzie konieczne. Już jedziemy.

Sarah odzyskała swój telefon.

– Co nie będzie konieczne?

– Dodatkowa analiza chemiczna barwnika.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że Aiden Gallagher odkrył kilka granatowych włókien polaru tkwiących w różnych miejscach obrazu, także w tych, które nigdy nie były retuszowane. A skoro ten materiał wynaleziono w Massachusetts w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym

dziewiątym, spokojnie można założyć, że Aelbert Cuyp nie nosił kurtki ani kamizelki z polaru w połowie siedemnastego wieku. Co oznacza...

– Że Georges Fleury wisi mi milion euro.

Sarah zmieniła rezerwację na lot i pobiegła na górę po swój bagaż. Pomyślała, że szybko załatwią tę sprawę i nigdy więcej do niej nie wrócą.

## GALERIE FLEURY

Nawigacja w jej telefonie podawała, że jazda z Columbus Circle do Westport w stanie Connecticut zajmie dziewięćdziesiąt minut. Jednak Gabriel za kierownicą wynajętej europejskiej limuzyny zdołał pokonać ten dystans w niewiele ponad godzinę. Przed wejściem do Equus Analytics stało szpanerskie bmw serii 7 Aideny Gallaghera, a na stole w laboratorium leżał rozpięty na nowym blejtramie „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”. Obok obrazu był dwustronicowy list stwierdzający, że dzieło jest współczesnym fałszerstwem. Do listu dołączono trzy zdjęcia spod mikroskopu potwierdzające wnioski Gallaghera.

– Szczerze mówiąc, aż się zdziwiłem, że ocena jest tak bezdyskusyjna. Zważywszy na klasę jego stylu malowania, spodziewałem się po nim czegoś więcej. – Gallagher wskazał ciemne włókna polaru na fotografiach. – Taki błąd to czysta amatorszczyzna.

– Czy istnieje jakieś inne wyjaśnienie obecności tych włókien? – zapytał Gabriel.

– Absolutnie nie. Mimo to niech pan się spodziewa, że Fleury poczuje się bardzo dotknięty moim odkryciem. – Gallagher spojrział

na Sarah. – Z doświadczenia wiem, że większość marszandów oburza się na żądanie zwrotu miliona euro.

– Jestem przekonany, że monsieur Fleury podzieli nasz punkt widzenia. Zwłaszcza kiedy przeczyta pana raport.

– Kiedy zamierzacie mu to przedstawić?

– Wieczorem wylatujemy do Paryża. Właściwie to już powinniśmy być w drodze – dodała Sarah, spoglądając na zegarek.

Wystawiła czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów jako końcówkę honorarium Gallaghery, a tymczasem Gabriel wyjął „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali” z blejtramu, zwinął go i schował do swojej torby. Odprawa na ich lot liniami Air France zaczęła się o osiemnastej czterdzieści pięć. A o wpół do dziewiątej lecieli już nad wschodnim krańcem Long Island.

– Tu jest North Haven – powiedziała Sarah, wskazując coś przez okno. – Chyba widzę nawet dom Phillipa.

– Nie mogę wyjść z podziwu, jak on i Lindsay radzą sobie na zaledwie trzech tysiącach metrów kwadratowych.

– Powinieneś zobaczyć ich posiadłość w Adirondacks. – Zniżyła głos. – Kiedyś spędziłam tam długi weekend.

– Pływałaś kajakiem i chodziłaś po górach?

– Między innymi. Phillip ma mnóstwo zabawek.

– Ale van Dycka jakoś długo nie trzymał.

– Niektórzy kupują i sprzedają domy. Phillip kupuje i sprzedaje obrazy.

Sarah wzięła od stewardesy kieliszek szampana i nalegała, by Gabriel też się napił.

– Za co pijemy? – zapytał.

– Za zapobieżenie katastrofie.

– Mam szczerą nadzieję – odparł Gabriel, ale szampana nie tknął.

Nazajutrz, kilka minut po dziewiątej rano, samolot opadł z bezchmurnego nieba na pas lotniska imienia Charles'a de Gaulle'a. Po przejściu kontroli paszportowej oraz celnej Gabriel i Sarah wsiedli do taksówki i pojechali do centrum Paryża. Najpierw zatrzymali się przy Brasserie L'Alsace na Avenue des Champs-Élysées, skąd o dziesiątej czterdzieści pięć Gabriel po raz pierwszy zadzwonił do Galerie Georges Fleury. Nikt nie odebrał, tak samo jak za drugą próbą. Ale za trzecim razem na linii odezwał się recepcjonista Bruno. Podając się znów za Ludwiga Zieglera, doradcę do spraw sztuki słynnej szwajcarskiej skrzypaczki Anny Rolfe, Gabriel zażądał natychmiastowego połączenia z monsieur Fleurym.

- Przykro mi, ale monsieur Fleury ma teraz innego klienta.
- Koniecznie muszę się z nim zobaczyć, i to natychmiast.
- Można spytać, w jakiej sprawie?
- „Krajobrazu rzeczno-żeglarskiego z młynami w oddali”.
- A ja nie mogę panu pomóc?
- Nie może pan, to akurat pewne.

Recepcjonista przełączył rozmowę w tryb oczekiwania. Minęły dwie minuty, zanim znów się odezwał.

– Monsieur Fleury przyjmie pana o drugiej – oznajmił i połączenie zostało przerwane.

Gabriel i Sarah mieli więc trzy długie godziny do zabicia. Do południa siedzieli przy kawie w Brasserie L'Alsace, a potem przez Champs-Élysées udali się do Fouqueta na nieśpieszny lunch. Później przeszli na drugą stronę alei i ciągnąc za sobą bagaż, oglądali wystawy sklepowe przez całą drogę na rue la Boétie. Punktualnie o drugiej weszli do Galerie Georges Fleury. Gabriel wyciągnął uszkodzoną prawą rękę do domofonu, ale zanim zdążył palcem wskazującym nacisnąć guzik, zamek otworzył się automatycznie. Pchnął szklane drzwi i wszedł za Sarah do środka.

Hol wejściowy był pusty, jeśli nie liczyć naturalnej wielkości popiersia z brązu młodego Greka albo Rzymianina, umieszczonego na cokole z czarnego marmuru. Gabriel zawołał Fleury'ego, a nie otrzymawszy odpowiedzi, wziął Sarah do sali wystawowej na parterze. Tutaj również nie było nikogo. Wielki rokokowy obraz przedstawiający nagą Wenus i trzy młode panny zniknął, tak samo jak wenecki pejzaż przypisywany naśladowcy Canaletta. Na ich miejscu nie powieszono innych płócien.

– Wygląda na to, że monsieur Fleury energicznie prowadzi biznes – zauważyła Sarah.

– Oba brakujące obrazy były fałszywe – powiedział Gabriel, ruszając do gabinetu Fleury'ego.

Zastał marszanda siedzącego przy biurku, z uniesioną do sufitu twarzą i otwartymi ustami. Ściana za jego plecami była obryzgana wciąż wilgotną krwią i tkanką mózgową w wyniku dwóch strzałów z przyłożenia oddanych niedawno w sam środek czoła. Leżący na podłodze młodszy mężczyzna również został postrzelony z bliska – dwukrotnie w klatkę piersiową i co najmniej raz w głowę. Było oczywiste, że nie żyje, tak samo jak Georges Fleury.

– Dobry Boże! – szepnęła Sarah od progu.

Gabriel nie odpowiedział, bo zabrzączał jego telefon. To Juwal Gerszon dzwonił ze swojego biura w siedzibie Jednostki 8200 pod Tel Awiwem. Nie tracił czasu na powitanie.

– Ktoś włączył telefon zmarłej o pierwszej trzydzieści czasu lokalnego. Dostaliśmy się do niego dwie minuty temu.

– Gdzie on jest?

– Ósma Dzielnica w Paryżu. Na rue la Boétie.

– Jestem w tym samym miejscu.

– Wiem – odparł Juwal. – Z naszej strony wygląda na to, że jesteś w tym samym pokoju.

Gabriel rozłączył się i w spisie ostatnich połączeń odnalazł Valerie Bérangar. Już miał wybrać jej numer, gdy jego wzrok konesera padł na aluminiową walizkę firmy Tumi, 52 na 77 na 28 centymetrów, stojącą w kącie zagraconego gabinetu. Niewykluczone, że monsieur Fleury zginął w chwili, gdy planował wybrać się w podróż. Jednak bardziej prawdopodobne było to, że walizka zawierała bombę.

Bombę detonowaną połączeniem z numerem telefonu madame Bérangar, pomyślał Gabriel.

Nie fatygował się z wyjaśnianiem tego Sarah. Wziął ją za ramię i pociągnął przez salę wystawową do wyjścia z galerii. Szklane drzwi były zamknięte, a leżący na biurku recepcjonisty klucz zniknął. Gabriel musiał przyznać, że było to arcydzieło planowania i realizacji. Ale też nie spodziewał się niczego innego. W końcu miał do czynienia z zawodowcami.

Jednak nawet zawodowcy popełniają błędy, pomyślał nagle. Ich błąd polegał na zostawieniu naturalnej wielkości popiersia z brązu młodego Greka albo Rzymianina na cokole z czarnego marmuru. Gabriel uniósł ciężki przedmiot nad głowę i nie zważając na palący ból ręki, cisnął nim w szklane drzwi Galerie Georges Fleury.

**CZĘŚĆ DRUGA**

# **SZKICOWANIE**

## QUAI DES ORFÈVRES

Nic dziwnego, że francuska policja zakładała najgorsze, kiedy minutę po drugiej po południu, w ten skądinąd przyjemny wiosenny dzień, elegancką Ósmą Dzielnicą Paryża wstrząsnął grzmot wybuchu. Już po chwili na miejsce dojechały pierwsze jednostki i zobaczyły, że sprzedająca dawnych mistrzów galeria sztuki stoi w płomieniach. Ale i tak funkcjonariuszy uspokoiło to, że nie było widać masowych ofiar w ludziach, utożsamianych zazwyczaj z atakami terrorystycznymi dżihadystów.

Na pierwszy rzut oka jedyną ofiarą wydawało się popiersie z brązu młodego Greka albo Rzymianina, otoczone niebieskoszarymi kostkami hartowanego szkła. Pewien śledczy o wieloletnim stażu, dowiedziawszy się, w jakich okolicznościach to ciężkie dzieło sztuki opuściło galerię, oświadczył, że jest to pierwszy udokumentowany przypadek w annałach francuskiej przestępczości, kiedy ktoś wyłamał się z galerii, a nie odwrotnie.

Sprawcy tego niespotykanego wyczynu – mężczyzna w zaawansowanym wieku średnim i atrakcyjna jasnowłosa kobieta około czterdziestki – oddali się w ręce policji kilka minut po wybuchu. A o drugiej czterdzieści pięć, po pośpiesznych, pełnych

niedowierzania rozmowach najwyższych oficjeli francuskiego wywiadu i służb bezpieczeństwa, zapakowano ich na tylne siedzenie nieoznakowanego peugeota i zawieziono na Quai des Orfèvres 36, do kultowej siedziby wydziału kryminalnego Police Nationale.

Tam zamknięto ich w osobnych pomieszczeniach i odebrano im rzeczy osobiste. Torebka i bagaż kobiety nie zawierały niczego niezwykłego, za to jej towarzysz posiadał kilka godnych uwagi drobiazgów. Był wśród nich fałszywy niemiecki paszport, izraelskiej produkcji telefon komórkowy Solaris, włoskie permesso di soggiorno, obraz bez ramy i blejtramu, dokumenty z Galerie Georges Fleury oraz Equus Analytics i wreszcie odręczny list od niejakiej Valerie Bérrangar do Juliana Isherwooda, jedyne go właściciela Isherwood Fine Arts, galerii mieszczącej się przy Mason's Yard 7–8 w londyńskiej dzielnicy St. James's.

O wpół do czwartej przedmioty te wyłożono na stole w pokoju przesłuchań, do którego zaprowadzono mężczyznę w zaawansowanym wieku średnim. Obecny był tam wymuskany osobnik w wieku około pięćdziesięciu lat, ubrany w garnitur jakby zdjęty z bankiera. Serdecznie podał aresztantowi rękę i przedstawił się jako Jacques Ménard, dowódca Centralnego Biura do Walki z Nielegalnym Handlem Dobrami Kultury. Zatrzymany uśmiechnął się, siadając na krześle. Po francusku ta nazwa brzmiała zdecydowanie lepiej.

Jacques Ménard otworzył niemiecki paszport.

– Johannes Klemp?

– Mały, nic nieznaczący człowieczek z pretensjami do całego świata – wyjaśnił Gabriel. – Znienawidzony przez restauratorów i hotelarzy od Kairu po Kopenhagę.

– Czy Niemcy wiedzą, że niecnie wykorzystujesz ich paszport?

– Z mojego punktu widzenia Niemcy mogą zrobić chociaż tyle, że czasami pozwalają mi podróżować na jednym z ich paszportów.

Ménard wziął do ręki telefon Solaris.

– Naprawdę jest tak zabezpieczony, jak powiadają?

– Mam nadzieję, że nie próbowałeś go odblokować. Straciłbym wzrok, próbując znowu załadować wszystkie moje kontakty.

Ménard sięgnął po dokumenty sprzedaży z Galerie Georges Fleury.

– Czy to ta Anna Rolfe?

– W ten weekend była w mieście. Pożyczyłem ją sobie na kilka godzin.

– Ma upodobanie do Aelberta Cuypa?

– To nie jest Cuyp. – Gabriel pchnął po stole raport z Equus Analytics. – Tylko falsyfikat. I właśnie dlatego go kupiłem.

– Potrafisz na oko rozpoznać, czy obraz jest fałszywy?

– A ty nie?

– Nie – przyznał Ménard. – Nie potrafię. Ale chyba powinniśmy zacząć od tego. – Wskazał odręcznie napisany list. – Od madame Bérrangar.

– Czemu nie? – odrzekł Gabriel. – W końcu gdybyście przyjęli jej skargę w związku z „Portretem nieznannej kobiety”, nadal by żyła.

– Madame Bérrangar zginęła w wypadku drogowym, w którym brał udział tylko jeden pojazd.

– To nie był wypadek, Ménard. Została zamordowana.

– Skąd wiesz?

– Jej telefon.

– A co on ma do tego?

– Ten, kto podłożył bombę, użył go do zdetonowania ładunku.

– Chyba jednak powinniśmy zacząć od początku – zaproponował Ménard.

Tak, pomyślał Gabriel. Powinniśmy.

Gabriel przedstawił swoje śledztwo dotyczące pochodzenia i autentyczności „Portretu nieznannej kobiety” w porządku chronologicznym i w dużej mierze zgodnie z prawdą. Zaczął od pechowego wyjazdu Juliana do Bordeaux, a zakończył zniszczeniem Galerie Georges Fleury i brutalnym zabójstwem jej właściciela oraz jego asystenta. Pomiął wątek swojej wizyty w pewnym antykwariacie przy rue de Miromesnil oraz kwestię pomocy, jakiej udzielił mu Juwal Gerszon z Jednostki 8200. Nie ujawnił też nazwiska bogatego amerykańskiego inwestora, który kupił w Isherwood Fine Arts „Portret nieznannej kobiety”, powiedział tylko, że obraz sprzedano już kolejnemu anonimowemu kupcowi oraz że sprawę załatwiono ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych stron.

– Czy to jest van Dyck, czy nie? – spytał Ménard.

– Dom aukcyjny, który pośredniczył w sprzedaży, twierdzi, że tak.

– Czyli twoje śledztwo było stratą czasu? Tak mam to rozumieć?

– Śmierć Valerie Béranger i wydarzenia z dzisiejszego popołudnia przemawiają za czymś innym. – Gabriel spojrzął na fałszywy obraz. – Tak samo jak i to płótno.

– Naprawdę sądziłeś, że Georges Fleury odda pieniądze tylko z powodu opinii jednego eksperta?

– Ten ekspert uchodzi za najlepszego na świecie. Byłem prawie pewny, że zdołam przekonać Fleury’ego do uznania ekspertyzy i zwrotu pieniędzy.

– Zamierzałeś mu grozić?

– Ja? Nigdy w życiu.

Ménard mimowolnie się uśmiechnął.

– I jesteś pewny, że Fleury już nie żył, kiedy ty i madame Bancroft dotarliście do galerii?

– Absolutnie pewny – odparł Gabriel. – Bruno Gilbert też był martwy.

– W takim razie kto was wpuścił?

– Morderca, rzecz jasna. Otworzył drzwi za pomocą pilota, który zwykle leżał na biurku recepcjonisty. Na szczęście czekał o piętnaście sekund za długo, zanim zadzwonił na telefon Valerie Bérangar.

– Skąd wiesz...

– Nieważne, skąd wiem – przerwał mu Gabriel. – Liczy się to, że teraz macie dowód wiążący jej zabójstwo z podłożeniem bomby w galerii.

– Numer identyfikacyjny telefonu i karty SIM?

Gabriel pokiwał głową.

– Pod warunkiem, że przetrzymały wybuch. Ale mimo wszystko to raczej niedbalstwo z jego strony, nie sądzisz?

– Niemal takie jak pozostawienie tego popiersia z brązu obok drzwi. Ten, kto go wynajął, pewnie się obawiał, że jeśli nie zobaczą tam tej rzeźby, nabiorę podejrzeń. Przecież w zaledwie kilka minut od wejścia do galerii wykryłem trzy falsyfikaty. – Gabriel zniżył głos. – I dlatego musiałem zginąć.

– Bo stanowiłeś zagrożenie dla siatki fałszerzy? – zapytał Ménard sceptycznie.

– To nie jest siatka w tradycyjnym sensie. Raczej wyrafinowane przedsięwzięcie handlowe zalewające rynek sztuki falsyfikatami najwyższej próby. A ten, kto tym rządzi, zarabia dostatecznie dużo, żeby stać go było na wynajęcie zawodowców, którzy usuną każdego, kto zagraża jego interesom.

Ménard teatralnie udał, że się zastanawia.

– Ciekawa hipoteza, Allon. Ale nie masz dowodów.

– Gdybyś posłuchał Valerie Bérangar, miałbyś wszelkie potrzebne dowody.

– Wysłuchałem jej – powiedział z naciskiem Ménard. – Ale Fleury mnie zapewnił, że obraz, który sprzedał monsieur Isherwoodowi, jest absolutnie w porządku, po prostu istnieją dwie kopie tego samego portretu.

– A ty mu uwierzyłeś?

– Georges Fleury był szanowaną postacią w paryskim świecie sztuki. Moja jednostka nigdy nie dostała na niego ani jednej skargi.

– Tylko dlatego, że sprzedawał fałszywki mogące zmylić najlepszych fachowców na świecie. Sądząc z prac tego fałszerza, które widziałem, mógłby spokojnie zostać jednym z dawnych mistrzów.

– Z tego, co słyszałem, ty też nie jesteś najgorszy, Allon. Jeden z najlepszych konserwatorów sztuki na świecie. W każdym razie tak powiadają.

– Tyle że ja używam swojego talentu do leczenia istniejących obrazów. – Gabriel postukał w powierzchnię falsyfikatu. – A ten człowiek tworzy całkowicie nowe dzieła, które wyglądają, jakby wyszły spod ręki największych artystów, jacy kiedykolwiek żyli.

– Masz jakiś pomysł, kim on jest?

– To ty jesteś śledczym, Ménard. Jestem pewny, że go znajdziesz, jeśli się przyłożysz.

– A ty kim teraz jesteś, Allon?

– Jestem dyrektorem działu obrazów Konserwacji Zabytków Tiepolo. A teraz chciałbym pojechać do domu.

Ménard uparł się, że zatrzyma fałszywy obraz i oryginały dokumentów, w tym list Valerie Bérangar. Gabriel, którego obecna pozycja nie pozwalała na stawianie żądań, poprosił tylko o anonimowość – dla siebie oraz dla Isherwood Fine Arts.

Francuski śledczy niezobowiązująco potarł brodę.

– Sam wiesz, jak to jest, Allon. Śledztwa w sprawach kryminalnych trudno utrzymać w tajemnicy. Ale nie martw się o niemiecki paszport. To będzie nasz malutki sekret.

Dochodziła już ósma wieczorem. Ménard wyprowadził Gabriela na dziedziniec, gdzie na tylnym siedzeniu tego samego nieoznakowanego peugeot czekała Sarah. Zawieziono ich na Gare du Nord w samą porę, by zdążyli na ostatni tego wieczoru pociąg Eurostar do Londynu.

– W sumie wydarzenia potoczyły się raczej katastrofalnie – skwitowała Sarah.

– Mogło być gorzej.

– Dużo gorzej – przytaknęła. – Ale jak to jest, że kiedy przebywam w twoim towarzystwie, zawsze coś wybucha?

– Widocznie wkurzam nie tych, co trzeba.

– Ale nie Jacques’a Ménarda?

– Nie – odparł. – Nam się układa znakomicie.

– No i cała tajemnica wokół tej sprawy wzięła w łeb. Ale przypuszczam, że w końcu osiągnąłeś dokładnie to, o co ci chodziło.

– Czyli?

– Wszczęcie przez francuską policję formalnego śledztwa.

– I nikogo nie oszczędzą?

– Nikogo – odpowiedziała Sarah, zamykając oczy. – Nawet ciebie.

## SAN POLO

Aż do końca tego wspaniałego kwietnia francuska policja oraz prokuratorzy przetrząsali ruiny Galerie Georges Fleury. Świat sztuki patrzył na to z przerażeniem, wstrzymując dech. Ci, którzy znali Fleury'ego, wypowiedali się powściągliwie, zarówno w rozmowach prywatnych, jak i – zwłaszcza! – w prasie. A ci, którzy robili z nim interesy, mówili mało albo wcale. Dyrektor Musée d'Orsay powiedział, że dla francuskiego świata sztuki był to najbardziej niepokojący miesiąc od czasu, gdy w czerwcu 1940 roku Niemcy wkroczyli do Paryża. Kilku komentatorów skrytykowało tę uwagę jako nietaktowną, ale mało kto dyskutował z tą opinią.

Ponieważ w sprawie Fleury'ego pojawiła się bomba i dwa trupy, śledztwo przejął wydział do spraw ciężkich przestępstw – tak zwana Centralna Dyrekcja Policji Sądowej – a tajni agenci od sztuki Jacques'a Ménarda zostali zepchnięci do roli pomagierów. Doświadczeni dziennikarze od spraw kryminalnych od razu wyczuli, że coś tu nie gra, ponieważ ich źródła na Quai des Orfèvres nie potrafiły odpowiedzieć nawet na najbardziej podstawowe pytania.

Czy police judiciaire ma tropy wskazujące na miejsce przebywania zamachowca?

Gdybyśmy mieli, padła cierpka odpowiedź z Quai des Orfèvres, dawno byśmy go już aresztowali.

Czy to prawda, że Fleury i jego asystent zostali zabici jeszcze przed zdetonowaniem bomby?

Quai des Orfèvres nie czuło się upoważnione do odpowiedzi.

Czy motywem była kradzież?

Quai des Orfèvres bada kilka tropów.

Czy zamieszanych jest więcej osób?

Quai des Orfèvres niczego nie wyklucza.

A co z mężczyzną w zaawansowanym wieku średnim i atrakcyjną jasnowłosą kobietą, których widziano, jak rozbili drzwi galerii i wybiegli na dwór kilka sekund przed wybuchem bomby? Tym razem Quai des Orfèvres również unikało konkretów. Tak, policja dysponuje zeznaniami naocznych świadków i właśnie je sprawdza. Na razie, ze względu na dobro toczącego się śledztwa, nie ma na ten temat nic więcej do powiedzenia.

Z czasem prasa straciła cierpliwość i przeniosła się na zieleńsze pastwiska. Strumień nowych rewelacji zamienił się w strużkę, aż w końcu całkiem wysechł. Nareszcie mieszkańcy świata sztuki odetchnęli z ulgą. Skoro ich reputacja i kariery nie ucierpiały, wrócili do interesów, jak gdyby nic się nie stało.

W mniejszym stopniu dotyczyło to także mężczyzny w zaawansowanym wieku średnim. Przez kilka dni po powrocie do Wenecji starał się oszczędzać żonie szczegółów tego, jak po raz kolejny otarł się o śmierć. Wyznał jej prawdę, kiedy – z umiarkowanym sukcesem – próbował wiernie odtworzyć na płótnie jej nakrapiane miodem i złotem tęczę. Zadanie było tym

trudniejsze, że popołudniowe słońce padało ukosem na dolną część jej lewej piersi.

– Pogwałciłeś wszelkie możliwe zasady branży – obrugła go. – Starszy oficer zawsze kontroluje otoczenie. I nigdy nie pozwala, żeby to cel wyznaczał termin spotkania.

– Nie odbierałem sprawozdania od głęboko zakonspirowanego agenta w bocznej uliczce zachodniego Bejrutu. Próbowałem zwrócić fałszywy obraz nieuczciwemu marszandowi w Ósmej Dzielnicy w Paryżu.

– Czy spróbują znowu?

– Zabić mnie? Nie sądzę.

– Dlaczego nie?

– Bo nie mają powodu. Powiedziałem już francuskiej policji wszystko, co wiem.

– A dlaczego w ogóle on próbował cię zabić?

– Ponieważ się mnie boi.

– Kto?

– Przestań mówić, naprawdę. – Zamoczył pędzel w farbie i przysunął go do płótna. – Kiedy otwierasz usta, zmienia się kształt twoich oczu.

– Kiedy cię nie było, twojej córce śniło się, że umarłeś – powiedziała, jakby go nie usłyszała. – Okropny koszmar senny. I jak się okazuje, proroczy.

– Dlaczego?

– Kiedy zginąłeś, leżałeś na chodniku.

– Widocznie śnił jej się Waszyngton.

– Ten sen był inny.

– W jakim sensie?

– Nie miałeś rąk ani nóg.

Tego wieczoru Gabrielowi przyśniło się to samo. Sen był tak obrazowy, że nie ośmielił się znów zamknąć oczu ze strachu, że powróci. Przeszedł do pracowni i w ciągu kilku gorączkowych godzin nieprzerwanej pracy ukończył obraz Chiary. Rano, obejrzawszy go w świetle dziennym, oświadczyła, że od lat nie namalował nic równie dobrego.

– Przypomina mi Modiglianiego.

– Uznam to za komplement.

– Inspirowałeś się nim?

– Trudno, żeby było inaczej.

– Mógłbyś go namalować?

– Modiglianiego? Oczywiście.

– Podoba mi się ten, który kilka lat temu osiągnął na aukcji sto siedemdziesiąt milionów.

Obrazem tym był „Akt leżący”. Gabriel zaczął go malować, gdy tylko zawiózł dzieci do szkoły, i kończył go dwa dni później, słuchając najnowszej płyty Anny Rolfe. A potem wykonał drugą wersję tego obrazu, oglądaną z innej perspektywy i z subtelną zmianą pozycji kobiety. W górnym prawym rogu płótna złożył charakterystyczny podpis Modiglianiego.

– Jak widać, twoja dłoń nie odniosła trwałego uszczerbku – zauważyła Chiara.

– Malowałem lewą.

– Niesamowite. Wygląda dokładnie jak Modigliani.

– Bo to jest Modigliani. Tylko nie on go namalował.

– Czy ktoś dałby się na to nabrać?

– Nie, bo płótno i blejtram są współczesne. Ale gdybym zdobył takie płótno, jakiego używał na Montmartre w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, i mógł wypichcić przekonujące pochodzenie...

– Mógłbyś go wypuścić na rynek jako zaginionego Modiglianiego?

- Nie inaczej.
- Ile byś za niego wziął?
- Powiedziałbym, że dwieście.
- Tysięcy?

– Milionów. – Gabriel w zamyśleniu podparł ręką brodę. –  
Pytanie, co zrobimy z tym tutaj?

- Spal go – powiedziała. – I nie waz się namalować kolejnego.

Na przekór zaleceni Chiary Gabriel powiesił obu Modiglianich w ich sypialni i wrócił do spokojnego, powolnego życia częściowego emeryta. Co rano o ósmej wysadzał dzieci przed szkołą i odbierał je o wpół do czwartej. Chodził na targ Rialto, by kupić produkty na rodzinną kolację. Czytał opasłe książki i słuchał muzyki na nowym brytyjskim sprzęcie grającym. A jeśli nachodziła go ochota, malował. Jednego dnia Moneta, innego Cézanne’a, a także zachwycającą reinterpretację „Autoportretu z zabandażowanym uchem” Vincenta, która gdyby nie współczesne płótno i farby Gabriela, rozpaliby cały świat sztuki.

Wiadomości z Paryża śledził z mieszanymi uczuciami. Z ulgą przekonał się, że Quai des Orfèvres zdołał ukryć jego rolę w tej aferze i że reputacja jego starych przyjaciół, Sarah Bancroft i Juliana Isherwooda, wcale nie ucierpiała. Ale gdy przez trzy kolejne tygodnie nie dokonano żadnego aresztowania – a w prasie nie pojawiły się sugestie, że Galerie Georges Fleury zalewała rynek obrazami, które wyszły spod ręki jednego z największych fałszerzy sztuki w historii – Gabriel doszedł do niepokojącego wniosku, że we Francji szalę sprawiedliwości przycisnął ministerialny kciuk.

Miłą odmianą okazało się dostarczenie bawarii C42. Gabriel odbył nią kilka próbnych rejsów na osłoniętych wodach laguny. A potem, w pierwszą sobotę maja, rodzina Allonów popłynęła na kolację do Triestu. Wracając pod rozgwieżdżonym niebem do Wenecji, Gabriel

zdradził, że Sarah Bancroft zaproponowała mu niewielkie, ale lukratywne zlecenie. Chiara odparła, że lepiej namalowałyby coś własnego. Zaczął więc pracować nad martwą naturą w stylu Picassa, ale zamalował ją swoją wersją „Portretu Vincenza Mostiego” Tycjana. Francesco Tiepolo oświadczył, że to arcydzieło, i poradził Gabrielowi, by nigdy nie malował kolejnej wersji.

On zaś nie zgadzał się z przychylną oceną Francesca – w żadnym razie nie było to arcydzieło, nie według wygórowanych standardów Tycjana – wyciął więc płótno z blejtramu i je spalił. Następnego dnia rano, podrzuciwszy dzieci do szkoły, udał się do Baru Dogale, by wymyślić, na co najlepiej zmarnować pozostałe godziny dnia. Gdy delektował się un 'ombra – małym kieliszkiem vino bianco, które weneccjanie piją do śniadania, na jego stolik padł cień. Cień ten rzucił nie kto inny, tylko Luca Rossetti z Brygady Sztuki. Z jego twarzy prawie całkiem zniknęły już ślady obrażeń sprzed sześciu tygodni. Przyniósł wiadomość od Jacques'a Ménarda z Police Nationale.

- Jest ciekawy, czy znajdzie pan czas na przyjazd do Paryża.
- Kiedy?
- Ma pan rezerwację na dwunastą czterdzieści, linie Air France.
- Dzisiaj?
- A ma pan coś pilniejszego do roboty, Allon?
- To zależy od tego, czy Ménard zamierza mnie aresztować, gdy tylko wysiądę z samolotu.
- Niestety nie.
- To po co chce mnie widzieć?
- Chce panu coś pokazać.
- Mówił co?
- Nie – odparł Rossetti. – Ale powiedział, że może pan zabrać pistolet.

## MUSÉE DU LOUVRE

Jacques Ménard czekał w hali przylotów na lotnisku imienia Charles'a de Gaulle'a, gdy Gabriel wyszedł z rękawa z przewieszoną przez ramię torbą i berettą kaliber 9 mm krzepiąco wpijającą się w jego krzyż. Po przyspieszonej odprawie paszportowej obaj wsiedli na tylne siedzenie nieoznakowanego samochodu i ruszyli w stronę centrum Paryża. Ménard nie zdradził, dokąd jadą.

– Kiedy ostatnim razem ktoś mi zrobił niespodziankę w Paryżu, nie skończyło się to najlepiej.

– Nic się nie martw, Allon. Tym razem chyba ci się spodoba.

Jadąc autostradą, minęli Stade de France, a potem skręcili w prawo w Périphérique, szybką obwodnicę Paryża. Pięć minut później ukazał się przed nimi Pałac Elizejski.

– Powinieneś był mnie uprzedzić – rzekł Gabriel. – Włożyłbym coś stosownego.

Ménard uśmiechnął się, gdy kierowca minął pałac prezydencki, po czym skręcił w lewo, w Avenue des Champs-Élysées. Zanim dojechali do Place de la Concorde, skręcili w tunel i pojechali Quai des Tuileries do Pont du Carrousel. Skręt w prawo zaprowadziłby ich na drugą stronę Sekwany, do Dzielnicy Łacińskiej. Skręcili

jednak w lewo i przejechawszy pod ozdobnym łukiem, wyhamowali na olbrzymim centralnym dziedzińcu najsłynniejszego muzeum na świecie.

– Luwr?

– Tak, oczywiście. A myślałeś, że dokąd cię zabieram?

– W jakieś bardziej niebezpieczne miejsce.

– Jeżeli szukasz niebezpieczeństwa, to trafiliśmy we właściwe miejsce – oświadczył Ménard.

Młoda kobieta o długich kończynach właściwych tancerkom Degasa powitała Gabriela i Ménarda przed kultową piramidą ze szkła i stali projektu I.M. Peiego. Bez słowa poprowadziła ich przez olbrzymi Cour Napoléon do drzwi przeznaczonych wyłącznie dla personelu muzeum. Po drugiej stronie czekali dwaj strażnicy w mundurach. Kiedy Gabriel uruchomił magnetometr, żaden z nich się tym nie zainteresował.

– Tędy, proszę – odezwała się kobieta, prowadząc ich korytarzem zalany światłem jarzeniówek.

Pokonawszy jakieś pół kilometra, stanęli przed wejściem do Narodowego Centrum Badań i Konserwacji, najbardziej zaawansowanego naukowo obiektu na świecie zajmującego się konserwacją i badaniem autentyczności dzieł sztuki. Jego przełomowa technologia obejmowała między innymi elektrostatyczny akcelerator cząstek pozwalający badaczom określać skład chemiczny przedmiotu bez konieczności uszkodzenia próbki.

Kobieta wstukała kod i Ménard wprowadził Gabriela do środka. Wielkie jak katedra laboratorium sprawiało wrażenie, jakby nagle zostało porzucone.

– Poprosiłem dyrektora, żeby zamknął wcześniej, bo chcemy mieć trochę prywatności.

- W jakim celu?
- Żeby obejrzeć obraz, Allon. To chyba oczywiste.

Płótno stało na laboratoryjnych sztalugach, okryte czarnym sukniem. Ménard zdjął materiał, odsłaniając naturalnej wielkości portret Lukrecji wbijającej sobie sztylet w środek piersi.

– Lucas Cranach starszy? – zapytał Gabriel.

– Tak stoi na tabliczce.

– Skąd się tu wziął?

– A jak myślisz?

– Z Galerie Georges Fleury?

– Zawsze słyszałem, że jesteś dobry, Allon.

– A gdzie go znalazł monsieur Fleury?

– W bardzo starej i znaczącej francuskiej kolekcji – odparł Ménard z powątpiewaniem. – Pokazując go kustoszowi Luwru, Fleury powiedział, że jest to prawdopodobnie dzieło późnego naśladowcy Cranacha. Kustosz miał inne zdanie, więc przysłał obraz tutaj, do ekspertyzy. Nie wątpię, że domyślasz się dalszego ciągu.

– Najbardziej zaawansowany na świecie ośrodek konserwacji i badania autentyczności obrazów orzekł, że jest to dzieło Lucasa Cranacha starszego, a nie późnego naśladowcy.

Ménard skinął głową.

– Ale poczekaj. Im dalej, tym lepiej.

– Jak to możliwe?

– Otóż dyrektor Luwru ogłosił to dzieło skarbem narodowym i zapłacił dziewięć i pół miliona euro, aby zagwarantować, że obraz na zawsze pozostanie we Francji.

– A teraz się zastanawia, czy to jest Cranach, czy gówno?

– Mocno powiedziane. – Ménard zapalił stojącą lampę halogenową. – Zechcesz na niego zerknąć?

Gabriel podszedł do najbliższego wózka z nierdzewnej stali, na którym leżały narzędzia, i po chwili znalazł profesjonalną lupę. Korzystając z niej, obejrzał pociągnięcia pędzla i krakelurę. Potem cofnął się od obrazu i w zadumie podparł ręką brodę.

– I jak? – zapytał Ménard.

– To najlepszy Lucas Cranach starszy, jakiego widziałem.

– No to mi ulżyło.

– Przedwcześnie – orzekł Gabriel.

– Dlaczego?

– Ponieważ Lucas Cranach starszy tego nie namalował.

– Ile ich jeszcze jest?

– Trzy – odparł Ménard. – Wszystkie przysły z Galerie Georges Fleury z podobnym świadectwem pochodzenia i równie wątpliwą atrybucją. Po dokładnych badaniach eksperci Narodowego Centrum Badań i Konserwacji orzekli jednak, że wszystkie trzy dzieła są nowo odkrytymi obrazami, które wyszły spod ręki samych mistrzów.

– Czy to coś dobrego?

– Jest Frans Hals, jest Gentileschi, a do tego najwspanialszy van der Weyden, jakiego oczy widziały.

– Jesteś wielbicielem Rogiera?

– A kto nie jest?

– Zdziwiłbyś się.

Siedzieli przy stoliku w Café Marly, stylowej restauracji w Luwrze. Zachodzące słońce podpaliło szklane tafle piramid. Światło raziło Gabriela w oczy.

– Masz formalne przeszkolenie? – zapytał.

– Z historii sztuki? – Ménard pokręcił głową. – Ale czterech moich ludzi ma dyplomy Sorbony. Ja specjalizowałem się w oszustwach i praniu pieniędzy.

– Bóg jeden wie, że w świecie sztuki takie rzeczy się nie zdarzają.

Ménard z uśmiechem wyjął z szarej koperty trzy zdjęcia – Fransa Halsa, Gentileschiego oraz wyśmienity portret pędzla Rogiera van der Weydena.

– Luwr nabył je w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Van der Weydena i Cranacha kupiono za kadencji obecnego dyrektora. Frans Hals i Gentileschi trafili do muzeum z jego rekomendacji, kiedy był szefem działu obrazów.

– Czyli jego odciski palców są na wszystkich czterech.

– Bez dwóch zdań on i Fleury byli w dobrej komitywie. – Ménard zniżył głos i dodał: – Na tyle dobrej, że krążą już plotki.

– Łapówki?

Ménard wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– Czy jest w tym ziarno prawdy?

– Nie mam pojęcia. Widzisz, Centralne Biuro do Walki z Nielegalnym Handlem Dobrami Kultury dostało zakaz zajmowania się tą sprawą.

– A co będzie, jeśli okaże się, że wszystkie cztery obrazy są fałszywe?

– Najlepiej wyposażony na świecie ośrodek konserwacji i badania autentyczności obrazów orzekł, że są prawdziwe. A zatem jeżeli fałszerz nie przyzna się na wideo do tego, co zrobił, Luwr będzie obstawał przy swoim.

– Skoro tak, to po co ściągałeś mnie do Paryża?

Ménard wyjął z koperty jeszcze jedno zdjęcie i położył je na stole.

## CAFÉ MARLY

Człowiek ze zdjęcia bynajmniej nie wyglądał na kogoś, kto pasuje do galerii sztuki sprzedającej dawnych mistrzów w eleganckiej Ósmej Dzielnicy Paryża. Nie pasowała też jego czapka bez logo, nasunięta nisko na czoło. Ani zachodzące na skronie okulary przeciwsłoneczne ukrywające oczy. Ani przylepiona do twarzy fałszywa broda. A już na pewno nie aluminiowa walizka marki Tumi o wymiarach 52 na 77 na 28 centymetrów, którą ciągnął za sobą chodnikiem rue la Boétie. Był krzepkiej budowy ciała, niewielkiego wzrostu i pewny siebie w obejściu. Niegdyś mógł być sportowcem albo żołnierzem. Miał na sobie nijakiego koloru płaszcz chroniący przed chłodem u zarania wiosny, oraz skórzane rękawiczki – zapewne po to, by nie zostawić odcisków palców na rączce walizki ani w taksówce, która odjeżdżała właśnie od krawężnika.

Znacznik czasu na zdjęciu wskazywał 13:39:35. Jacques Ménard podał Gabrielowi drugie zdjęcie, zrobione w tej samej chwili.

– Pierwsze zdjęcie pochodzi z kamery w tabac naprzeciwko. Drugie jest ze sklepu Monoprix nieco dalej po tej samej stronie.

– A z waszych kamer monitoringu nic nie ma?

– To jest Paryż, Allon. Nie Londyn. Mamy około dwóch tysięcy kamer w obleganych atrakcjach turystycznych i wokół ważnych budynków rządowych. Ale one nie obejmują wszystkiego. Ten na zdjęciach potrafi ich unikać.

– Gdzie wsiadł do taksówki?

– W małej gminie na wschód od Paryża, w departamencie Seine-Marne. Moim kolegom z Quai des Orfèvres nie udało się ustalić, jak się tam dostał.

– A znaleźli chociaż kierowcę?

– To imigrant z Côte d’Ivoire. Twierdzi, że pasażer mówił jak rodowity Francuz i że zapłacił gotówką.

– Sprawdziliście go?

– Kierowcę? – Ménard skinął głową. – Jest czysty.

Gabriel spuścił wzrok na drugie zdjęcie. Ten sam znacznik czasu, nieco inny kąt. Trochę jak moja przeróbka „Aktu leżącego” Modiglianiego, pomyślał.

– Ile czasu spędził w galerii?

Ménard wyjął z koperty kolejne dwa zdjęcia. Pierwsze pokazywało, jak mężczyzna wychodzi z galerii o 13:43:34. Na drugim siedział przy stoliku w Brasserie Baroche. Lokal mieścił się jakieś czterdzieści metrów od galerii, na rogu rue la Boétie i rue de Ponthieu. Znacznik wskazywał 13:59:46. Zabójca spoglądał na jakiś przedmiot w ręku. Był to pilot otwierający drzwi, który zabrał z biurka Bruna Gilberta.

– Ty i madame Bancroft przyszedliście do galerii z przeciwnego kierunku. – Jakby na potwierdzenie swoich słów Ménard pokazał zdjęcie, na którym Gabriel i Sarah wchodzą do galerii. – Inaczej byście go minęli.

– Gdzie poszedł potem?

– Pojechał taksówką do Szesnastej Dzielnicy. Zrobił sobie dłuższy spacer w Bois de Boulogne. Aż nagle bach! i zniknął.

– Zawodowiec pełną gębą.

– Nasi eksperci od materiałów wybuchowych byli pod wrażeniem jego bomby.

– Czy udało im się zidentyfikować telefon, którym zdetonował ładunek?

– Twierdzą, że nie.

– Jestem pewny, że w galerii był telefon Valerie Bérangar.

– Moi koledzy z Quai des Orfèvres mają co do tego wątpliwości. Co więcej, skłaniają się do poparcia wniosku miejscowej żandarmerii, jakoby Valerie Bérangar zginęła w pechowym wypadku drogowym.

– Cieszę się, że chociaż to sobie wyjaśniliśmy. A do jakich jeszcze wniosków doszli na Quai des Orfèvres?

– Że ci dwaj, którzy próbowali ukraść teczkę monsieur Isherwoodowi, to zapewne zwyczajni złodzieje.

– A co z ludźmi, którzy przeszukali jego pokój w InterContinentalu?

– Według szefa ochrony hotelu oni nie istnieją.

– A czy ktoś się pofatygował i sprawdził nagrania hotelowego monitoringu?

– Wygląda na to, że ktoś skasował zapis.

– Kto?

– Tego na Quai des Orfèvres nie potrafią powiedzieć.

– A co oni w ogóle potrafią? – zapytał Gabriel.

Ménard odetchnął głęboko.

– Na Quai des Orfèvres doszli do wniosku, że zabójstwo Georges'a Fleury'ego i zniszczenie jego galerii to rezultat planu zagarnięcia pieniędzy przez Bruna Gilberta i mężczyznę z walizką.

– Czy jest choćby cień dowodu na poparcie tych bredni?

– Kilka godzin przed tym, jak z madame Bancroft zjawiliście się u Fleury’ego, ktoś przelał całe fundusze galerii z konta w Société Générale na konto firmy krzak z Kajmanów. Ta anonimowa firma krzak następnie przelała te pieniądze na rachunek innej spółki wydmuszki na Bahamach, a ta z kolei wpłaciła je na konto jeszcze innej spółki na Kajmanach. Potem...

– Bach!?

Ménard skinął głową.

– O jakich pieniądzach mówimy?

– Dwanaście milionów euro. Quai des Orfèvres jest zdania, że ten, kto podłożył bombę, nie chciał się nimi dzielić.

– Czyste i proste – podsumował Gabriel. – I dużo bardziej strawne niż skandal związany z fałszywymi obrazami o wartości wielu milionów euro, które wiszą na ścianach najsłynniejszego muzeum na świecie.

– Konkretnie trzydziestu czterech milionów euro. Które trzeba było zebrać od zewnętrznych ofiarodawców. Gdyby to się przedostało do wiadomości publicznej, reputacja najcenniejszych instytucji Francji bardzo by ucierpiała.

– A do tego nie możemy dopuścić – uznał Gabriel.

– Non – przytaknął Ménard.

– A jak Sarah i ja pasujemy do tej ich hipotezy?

– Ciebie i madame Bancroft w ogóle tam nie było, prawda?

Gabriel wskazał zdjęcie z ich przybycia do galerii.

– A co będzie, jeśli to się dostanie do wiadomości publicznej?

– Nie martw się, Allon. Nie ma takiej możliwości.

Gabriel położył zdjęcie na wierzchu pozostałych.

– Jak wysoko to sięga?

– Niby co?

- Zmowa.
- Zmowa to bardzo nieładne słowo, Allon. Takie américain.
- La conspiration du silence.
- O wiele lepiej.
- Do szefa Police Nationale? Prefekta?
- Ależ skąd – odparł Ménard. – O wiele wyżej. Zamieszani są w to ministrowie spraw wewnętrznych i kultury. A może nawet pałac.
- Nie pochwalasz tego?
- Jestem lojalnym sługą Republiki Francuskiej. Ale mam też sumienie.
- Chętnie go posłucham.
- A ty nigdy nie postąpiłeś wbrew sumieniu?
- Ja byłem agentem wywiadu – odparł Gabriel, nie rozwijając tego tematu.
- A ja jestem wysokim funkcjonariuszem Police Nationale i moim obowiązkiem jest wykonywać rozkazy przełożonych co do joty.
- A w razie nieposłuszeństwa?
- Byłbym skończony. Avec la guillotine. – Ménard skinął głową na zachód. – A la Place de la Concorde.
- Co powiesz na przeciek do zaprzyjaźnionego dziennikarza z „Le Monde”?
- A czego konkretnie miałyby ten przeciek dotyczyć? Historii londyńskiego marszanda, który kupił fałszywy portret van Dycka w paryskiej galerii i sprzedał go amerykańskiemu inwestorowi?
- Może udałoby się zawęzić zakres tego przecieku.
- Jak bardzo?
- Do Cranacha, Halsy, Gentileschiego i najwspanialszego van der Weydena, jakiego oczy widziały.
- Wybuchłby kolosalny skandal. – Ménard zamilkł. – I nie pomogłoby nam to osiągnąć wspólnego celu.

– Czyli czego konkretnie? – zapytał Gabriel ostrożnie.

– Zakończenia działalności tego fałszerza. – Ménard popchnął zdjęcia kilka milimetrów bliżej Gabriela. – A przy okazji pewnie chciałbyś dopaść tego, kto próbował zabić ciebie i madame Bancroft.

– Niby jak miałbym to zrobić?

Ménard się uśmiechnął.

– To ty jesteś byłym agentem wywiadu, Allon. Jestem pewny, że go znajdziesz, jeśli się przyłożysz.

Następnie Jacques Ménard zaproponował une petite collaboration, której warunki przedstawił Gabrielowi, gdy szli ścieżkami Jardin des Tuileries. Ich związki miały być utrzymane w całkowitej tajemnicy, przy czym Ménard miałby być policjantem prowadzącym sprawę, a Gabriel jego informatorem i pomagierem. Tylko i wyłącznie Ménard decydowałby, jak postąpią z tym, co odkryją. Jeśli się uda, rozwiąże problem dyskretnie, nie wyrządzając niepotrzebnej szkody opinii zatrzymanych osób.

– Ale jeśli trzeba będzie stłuc kilka jajek, to trudno.

W zamian Gabriel miał tylko jedną prośbę: żeby Ménard nie próbował patrzeć mu na ręce ani śledzić jego działań. Francuz o choczko zgodził się przymykać oczy. Prosił tylko, by Gabriel unikał niepotrzebnej przemocy, zwłaszcza na terenie Republiki.

– A jeżeli znajdę tego, kto próbował mnie zabić?

Ménard przybrał wystudiowaną minę wyrażającą galijską obojętność.

– Zrobisz z nim, co zechcesz. Trochę przelanej krwi to nie jest coś, nad czym bym płakał. Tylko dopilnuj, żeby mnie nie obryzgała.

Co ustalwszy, nowi wspólnicy rozstali się i każdy poszedł w swoją stronę – Ménard na Quai des Orfèvres, Gabriel na Gare de Lyon. Kiedy krótko po piątej po południu pociąg ruszył z dworca, Gabriel wykonał dwa telefony – jeden do żony w Wenecji, drugi do

Sarah. Żadna z nich nie była zadowolona z wieści ani z jego planów podróży, zwłaszcza Sarah. Mimo to, skonsultowawszy się z mężem na osobnej linii, niechętnie przystała na prośbę Gabriela.

- Jak się tam dostaniesz? – spytała.
- Porannym promem z Marsylii.
- Wieśniak – syknęła i się rozłączyła.

## AJACCIO

Następnego dnia o siódmej piętnaście wieczorem Christopher Keller siedział w nadmorskiej kafejce w korsykańskim porcie Ajaccio; przed sobą miał pusty kieliszek po winie, a pomiędzy palcem wskazującym a środkowym twardej jak młot prawej ręki trzymał świeżo zapalone marlboro. Ubrany był w jasnoszary garnitur od Richarda Andersona z Savile Row, rozpiętą pod szyją białą wyjściową koszulę i ręcznie szyte oxfordy. Włosy miał spłowiałe od słońca, skórę napiętą i ciemną, a oczy jasnoniebieskie. Dołek pośrodku szerokiej brody wyglądał jak wyciosany dłutem. Z jego ust nie schodził ironiczny półuśmieszek.

Kelnerka wzięła go za Europejczyka z kontynentu i powitała odpowiednio, z apatią ocierającą się o pogardę. Ale kiedy zwrócił się do niej w płynnym corsu, w dialekcie z północno-zachodniego skraju wyspy, od razu poczuła do niego sympatię. Pogadali sobie jak to Korsykanie – o rodzinie, cudzoziemcach i szkodach wyrządzonych przez wiosenne wichury – a kiedy dopił pierwszy kieliszek rosé, postawiła przed nim następny, nawet nie pytając, czy ma na niego ochotę.

Ten drugi kieliszek wina nie był dobrym pomysłem, podobnie jak papieros – czwarty, odkąd przyszedł do kafejki. Nawyku palenia nabrał, gdy pracował jako głęboko zakonspirowany agent w katolickim zachodnim Belfaście w jednym z najbardziej ohydnych okresów konfliktu w Irlandii Północnej.

Teraz służył w jednostce operacji tajnych Secret Intelligence Service, czasami błędnie nazywanej Increment. Ale na Korsykę pojechał z powodów czysto prywatnych. Przyjaciel potrzebował pomocy człowieka, dla którego Christopher kiedyś pracował, niejakiego don Antona Orsatiego, głowy jednego z najbardziej osławionych klanów na wyspie. A ponieważ kłopot przyjaciela związany był też z próbą zabicia żony Christophera, skwapliwie pośpieszył na pomoc.

W tym momencie dziób przyplływającego promu Corsica Linea wcisnął się do portu wewnętrznego, obok murów obronnych starożytnej cytadeli. Christopher wsunął banknot o nominale dwudziestu euro pod pusty kieliszek, przeciął Quai de la République i wszedł na parking przed nowoczesnym terminalem portu. Zza kierownicy zdezelowanego renaulta hatchbacka patrzył, jak świeżo przybyli pasażerowie schodzą po schodkach. Objuczeni bagażami turyści. Powracający Korsykanie. Francuzi z kontynentu. Mężczyzna średniego wzrostu i takiej samej budowy ciała w świetnie skrojonej włoskiej sportowej marynarce i spodniach z gabardyny.

Przyjezdny wrzucił torbę podróżną na tylne siedzenie renaulta i usiadł obok kierowcy. Jego szmaragdowozielone oczy z naganą spojrzały na tłącego się w popielniczce papierosa.

– Musisz? – spytał ze znużeniem.

– Tak – odparł Christopher, zapalając silnik. – Niestety, muszę.

Pokonali pasmo gór na północ od Ajaccio, po czym krętą drogą zjechali do Golfu di Liscia. Koziołkujące fale zalewające plażę

w kształcie półksiężyca były nadzwyczaj duże, gnane przez maestral – jak Korsykanie nazywają gwałtowny nieprzyjazny wiatr wiejący zimą i na wiosnę znad dolin Rodanu.

– Zjawileś się w ostatniej chwili – powiedział Christopher, wystawiwszy łokieć za otwarte okno. – Gdybyś zaczekał jeszcze jeden dzień, ta przeprawa promem byłaby koszmarna.

– Teraz też nie była najprzyjemniejsza.

– Dlaczego nie przyleciałeś z Paryża samolotem?

Gabriel wyjął berettę spod koszuli na plecach i położył ją na centralnej konsoli.

– Miło wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają. – Christopher zerknął na Gabriela z ukosa. – Przydałby ci się fryzjer. Ale poza tym wyglądasz całkiem nieźle jak na człowieka w tak zaawansowanym wieku.

– To moja nowa wersja.

– A co było nie tak ze starą?

– Miałem nadmiar bagażu, który musiałem zgubić.

– To tak jak ja. – Christopher odwrócił głowę i spojrzał na toczące się z zachodu fale. – Ale w tym momencie nagle przypomniałem sobie, kim kiedyś byłem.

– Dyrektorem sprzedaży na północną Europę w Orsati Olive Oil Company?

– Coś w tym rodzaju.

– Czy Jego Świątobliwość wie, że wróciłeś na wyspę?

– Mamy zaproszenie na kolację. Jak sobie pewnie wyobrażasz, ekscytacja jest wielka.

– Może powinieneś pójść sam?

– Ostatni, który odmówił zjedzenia kolacji z don Antonem Orsatim, leży gdzieś tam. – Christopher wskazał wody Morza Śródziemnego. – W betonowej trumnie.

- Wybaczył mi już, że mu cię ukradłem?
- Obwinia Brytyjczyków. Poza tym don Orsati nie zna takiego słowa jak wybaczenie.
- Ja też nie jestem specjalnie skłonny do wybaczenia – powiedział cicho Gabriel.
- A twoim zdaniem jak ja się czuję?
- Chcesz zobaczyć zdjęcie człowieka, który próbował zabić twoją żonę?
- Nie kiedy siedzę za kierownicą – odparł Christopher. – Bo jeszcze zabiłbym nas obu.

Kiedy dotarli do miasteczka Porto, pomarańczowa tarcza słońca dotykała już ciemnej krawędzi morza. Christopher skierował się w głąb lądu długą górską drogą prowadzącą wśród szpaleru sosen czarnych. W powietrzu unosił się zapach macchii, gęstego poszycia złożonego z kolcolistu, wrzośca, czystka, rozmarynu i lawendy, pokrywającego większą część interioru wyspy. Korsykanie przyprawiali tym potrawy, zimą używali do ogrzewania domów i ukrywali się w niej podczas wojny albo vendetty. Jak głosi popularne korsykańskie przysłowie, macchia nie ma oczu, ale widzi wszystko.

Przejechali przez osady Chidazzu i Marignany i kilka minut po dziesiątej dotarli do wioski Orsatich. Powiadano, że była tam już w czasach Wandalii, kiedy ludzie mieszkający nad morzem schronili się w górach. Za nią, w niewielkiej dolinie gajów oliwkowych, z których pochodziła najlepsza oliwa na wyspie, leżała rozległa posiadłość dona. Wjazdu pilnowali dwaj uzbrojeni po zęby mężczyźni w charakterystycznych korsykańskich czapkach. Kiedy Christopher skręcił w bramę, z szacunkiem mu zaszalutowali.

Na jasno oświetlonym dziedzińcu okazałej willi stało, niczym posągi, jeszcze kilku ochroniarzy. Gabriel zostawił berettę

w samochodzie i po kamiennych schodach wszedł za Christopherem do gabinetu don Orsatiego. Od progu zobaczyli, że siedzi przy biurku nad otwartą, oprawioną w skórę księgą. Jak zwykle miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, luźne bawełniane spodnie i zakurzone skórzane sandały, które wyglądały jak kupione na lokalnym targu. Pod ręką miał ozdobną butelkę oliwy marki Orsati – bo firma produkująca oliwę służyła mu za legalną przykrywkę, dzięki której prał zyski z handlu śmiercią.

Don wstał ociężale. Jak na Korsykanina był ogromny, miał grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary, kruczoczarne włosy, gęste wąsy i psie oczy z brązowymi plamkami. Niegościnnie spojrzął na Christophera.

– Przyjmuję twoje przeprosiny – zwrócił się do niego w corsu.

– Za co?

– Za ślub – odparł don. – Nikt nigdy mnie tak nie obraził. W dodatku zrobiłeś to akurat ty!

– Twoja obecność na naszej uroczystości zdziwiłaby moich nowych pracodawców.

– A niby skąd wzięłeś osiem milionów funtów na apartament w Kensington?

– To tylko mieszkanie z osobnym wejściem. I dałem za nie osiem i pół.

– Zarobione wyłącznie dzięki pracy dla mnie. – Don zmarszczył czoło. – Czy dostałeś chociaż mój prezent ślubny?

– Kryształy Baccarat za pięćdziesiąt tysięcy funtów? Wysłałem ci długi odręczny list z wyrazami wdzięczności.

Don Orsati odwrócił się do Gabriela i zapytał po francusku:

– Zakładam, że pan tam był?

– Tylko dlatego, że ktoś musiał poprowadzić pannę młodą do ołtarza.

- Czy to prawda, że jest Amerykanką?
- Częściowo.
- Co to znaczy?
- Dzieciństwo spędziła głównie w Anglii i we Francji.
- I to ma mi poprawić humor?
- Dobrze chociaż, że nie jest Włoszką – zauważył Gabriel znacząco.

– Na końcu większości katastrof zawsze stoi jakiś Włoch. – Don Orsati zacytował korsykańskie przysłowie. – Ale pańska śliczna żona zdecydowanie jest wyjątkiem od tej reguły.

- Jestem przekonany, że to samo powie pan o Sarah.
- Jest inteligentna?
- Zrobiła doktorat na Harvardzie.

– Atrakcyjna?

– Olśniewająca.

– Czy jest dobra dla matki?

– Jeśli akurat są na takim etapie, że z sobą rozmawiają.

Don Orsati z przerażeniem spojrział na Christophera.

– Co to za kobieta, która nie rozmawia z własną matką?

– Różnie to między nimi bywało.

– Chętnie bym sobie z nią o tym porozmawiał, jak najszybciej.

– Mamy nadzieję, że latem spędzimy tydzień czy dwa na wyspie.

– Kto żyje nadzieją, umiera w gównie.

– Cóż za elokwencja, don Orsati.

– Nasze przysłowia są święte i zawsze na miejscu – oświadczył Korsykanin.

– I macie je na każdą okazję.

Don Orsati delikatnie położył granitową rękę na policzku Christophera.

– Tylko łyżka zna smutki garnka.

- Nawet ksiądz przy ołtarzu popełnia błędy.
- Lepiej mieć mało niż nic.
- Kto nic nie ma, ten nie je.
- Właśnie, może coś zjemy? – zapytał don Orsati.
- A może najpierw omówimy problem naszego wspólnego przyjaciela – zaproponował Christopher.
- Tę sprawę z galerią sztuki w Paryżu?
- Tak.
- Czy to prawda, że zamieszana w to jest twoja piękna amerykańska żona?
- Niestety tak.
- W takim razie ty też masz problem – oświadczył don Orsati.

## VILLA ORSATI

Gabriel położył na biurku don Orsatiego dwa zdjęcia. Ten sam znacznik czasu, ujęcia pod nieco innym kątem. Don zapatrzył się na nie, jakby to były obrazy dawnych mistrzów. Był koneserem śmierci i ludzi, którzy żyją z jej zadawania.

– Rozpoznaje go pan?

– Wątpię, żeby własna matka rozpoznała go w tym cudacznym przebraniu. – Don zerknął na Christophera. – Ty za żadne skarby byś się tak nie przebrał.

– Za nic – potwierdził Anglik. – Pewne standardy obowiązują.

Don Orsati uśmiechnął się i wrócił spojrzeniem do fotografii.

– Czy może mi pan coś powiedzieć na jego temat?

– Taksówkarz twierdzi, że mówił po francusku jak rodowity Francuz – odparł Gabriel.

– Ten taksiarz to samo powiedziała by o Christopherze. – Don zmrużył oczy. – Wygląda mi na byłego żołnierza.

– Też mi to przyszło do głowy. Niewątpliwie ma dobre pojęcie o materiałach wybuchowych.

– Chyba że bombę zmajstrował mu ktoś inny. W naszej branży działa wielu świetnych konstruktorów bomb. – Orsati znów

odwrócił się do Christophera. – Zgodzisz się ze mną?

– Już nie tak wielu jak kiedyś. Ale nie rozpamiętujemy przeszłości.

– A może jednak powinniśmy – wtrącił Gabriel. I dodał cicho: – Tylko przez chwilę.

Don splótł dłonie pod brodą.

– Chciałby mnie pan o coś zapytać?

– Mniej więcej dwa lata temu w Paryżu był podobny przypadek. Właścicielem galerii był szwajcarski marszand handlujący obrazami skradzionymi przez nazistów podczas wojny. Bombę podłożył były brytyjski komandos, który...

– Dobrze to pamiętam – wtrącił don Orsati.

– Ja również.

– A teraz zastanawia się pan, czy ten człowiek ze zdjęć pracuje dla mojej organizacji.

– Pewnie tak.

Orsati spochmurniał.

– Możesz być pewny, stary przyjacielu, że ktokolwiek proponowałby mi pieniądze za zabicie ciebie, nie wyjechałby żywy z tej wyspy.

– Całkiem możliwe, że wzięli mnie za kogoś innego.

– Z całym szacunkiem, wątpię. Jak na kogoś żyjącego w świecie tajnych służb pańska twarz jest wręcz sławna. – Don Orsati spojrzał na Christophera i westchnął ciężko. – Jako były brytyjski komandos, jasnowłosy, niebieskooki, władający doskonałą angielszczyzną i po elitarnym przeszkoleniu wojskowym, był w stanie wypełniać zlecenia daleko wykraczające poza umiejętności moich urodzonych na Korsyce taddunaghiu. Nie muszę dodawać, że moje interesy ucierpiały po jego decyzji o powrocie do domu.

– Ponieważ rezygnował pan ze zleceń, jeżeli ryzyko wpadki było zbyt duże?

– Częściej, niż jestem w stanie zliczyć. – Orsati postukał w oprawioną w skórę okładkę swojej książki śmierci. – W rezultacie moje zyski drastycznie spadły. Tylko proszę mnie dobrze zrozumieć. Nadal mam mnóstwo roboty związanej z przestępcami i mścicielami. Ale moi najważniejsi klienci przeszli do kogoś innego.

– Do kogoś konkretnego?

– Do bardzo ekskluzywnej nowej organizacji oferującej wyjątkową opiekę ludziom podróżującym własnymi odrzutowcami i ubierającymi się jak Christopher.

– Bogatym biznesmenom?

– Chodzą takie słuchy. Organizacja ta specjalizuje się w wypadkach i w pozorowaniu samobójstw, czyli w rzeczach, którymi Orsati Olive Oil Company nigdy nie zawracała sobie głowy. Podobno jeśli chodzi o inscenizację miejsc zbrodni, są znakomici, może dlatego, że zatrudniają kilku byłych oficerów policji. Plotka głosi, że poza tym mają spore możliwości techniczne.

– Włamywanie się do telefonów i komputerów?

Don wzruszył potężnymi ramionami.

– To już jest pańska specjalność, nie moja.

– Czy ta organizacja jakoś się nazywa?

– Jeśli tak, to nic o tym nie wiem. – Orsati spojrział na fotografię. – Dużo ważniejsze pytanie brzmi: kto mógł wynająć tę organizację, żeby pana zabiła?

– Szef bardzo wyrafinowanej siatki fałszerzy.

– Obrazy?

Gabriel skinął głową.

– Musi zarabiać kupę forsy.

– Tylko z samego Luwru trzydzieści cztery miliony euro.

– Chyba wybrałem zły zawód.

– Często tak samo myślę o sobie, don Orsati.

– A właściwie czym pan się teraz zajmuje?

– Jestem dyrektorem działu obrazów w Konserwacji Zabytków Tiepolo. – Gabriel zamilkł. – Chwilowo wypożyczonym przez Police Nationale.

– Oględnie mówiąc, komplikuje to sprawę. – Orsati się skrzywił. – Ale proszę mi powiedzieć, jak mógłbym pomóc panu i pańskim przyjaciółom z francuskiej policji.

– Chciałbym, żeby pan znalazł człowieka z tych zdjęć.

– A jeśli mi się uda?

– Zadam mu proste pytanie.

– O nazwisko człowieka, który go wynajął, żeby pana zabił?

– Wie pan, co powiadają o zabójstwach, don Orsati. Nieważne, kto pociąga za spust, tylko kto zapłacił za kulę.

– Kto tak powiedział? – spytał zaintrygowany don.

– Eric Ambler.

– Mądre słowa, nie da się ukryć. Ale mężczyzna, który próbował pana zabić w Paryżu, najprawdopodobniej nie zna nazwiska zleceniodawcy.

– Może i nie, ale na pewno będzie mógł mi wskazać dobry kierunek. A w najgorszym razie dostarczy cennych informacji o pana konkurencji. – Gabriel zniżył głos. – Myślę, że to powinno pana zainteresować, don Orsati.

– Jedna ręka myje drugą, a obie myją twarz.

– Bardzo stare żydowskie przysłowie.

Don lekceważąco machnął olbrzymią ręką.

– Z samego rana puszczę te zdjęcia w obieg. A tymczasem pan i Christopher możecie przez kilka dni wypocząć tu na wyspie.

– Nie ma to jak wakacje z człowiekiem, który kiedyś próbował nas zabić.

– Gdyby Christopher naprawdę chciał pana zabić, już dawno by pan nie żył.

– Tak jak człowiek, który zapłacił za kulę – zauważył Gabriel.

– Czy Eric Ambler naprawdę powiedział te słowa o zabójstwach?

– To cytat z „Maski Dimitrosa”.

– Ciekawe – odrzekł don. – Nigdy nie sądziłem, że Ambler był Korsykaninem.

Z wystawnej uczy, która czekała na nich w ogrodzie don Orsatiego, unosił się charakterystyczny zapach macchii. Nie zostali tam długo. W sumie nie minęło pięć minut, odkąd usiedli, a z północnego zachodu sieknął ich ostry podmuch maestralu. Przy pomocy ochroniarzy pośpiesznie wycofali się do jadalni i znów zasiedli do posiłku, tyle że teraz przy akompaniamencie wycia i jęków znienawidzonego natręta znad morza.

Było dobrze po północy, kiedy don Orsati rzucił w końcu serwetkę na stół, dając znak, że wieczór dobiegł końca. Gabriel wstał, podziękował don Orsatiemu za gościnność i poprosił o dyskrecję w prowadzeniu poszukiwań. Don odparł, że zleci to wyłącznie swoim najbardziej zaufanym ludziom. Był pewny, że wszystko zakończy się sukcesem.

– Jeśli pan sobie życzy, każę swoim ludziom ściągnąć go tutaj, na Korsykę. Dzięki temu nie będzie pan musiał ubrudzić sobie rąk.

– Nigdy się tym specjalnie nie przejmowałem. A poza tym – Gabriel zerknął na Christophera – mam jego.

– Teraz Christopher jest szanowanym angielskim szpiegiem. Mężczyzną wytwornym, mieszkającym pod jednym z najbardziej eleganckich adresów w Londynie. On raczej nie mógłby się mieszać w tak paskudną sprawę.

A potem Gabriel i Christopher wyszli w wietrzną noc i wsiedli do renaulta. Wyjechawszy z posiadłości, skręcili na wschód, do kolejnej

doliny. Willa Christophera stała w ustronnym miejscu, na końcu częściowo szutrowej, a częściowo nieutwardzonej drogi otoczonej z obu stron wysokimi ścianami macchii. Gdy reflektory samochodu oświetliły trzy wiekowe drzewa oliwne, zdjął nogę z gazu i z niepokojem pochylił się nad kierownicą.

– Na pewno już jest martwy – odezwał się Gabriel.

– Za chwilę się dowiemy.

– Nie spytałeś don Orsatiego?

– Miałem zepsuć skądinąd uroczy wieczór?

W tym momencie z macchii wyszedł rogaty domowy kozioł ważący dobrze ponad sto kilogramów i stanął na samym środku drogi. Ubarwiony był jak koń palomino, miał czerwoną brodę i mnóstwo blizn po stoczonych dawno temu walkach. W świetle reflektorów jego oczy błyszczały wyzywająco.

– To musi być inny kozioł.

– Nie – odparł Christopher, wciskając hamulec. – To ta sama cholera.

– Uważaj – ostrzegł Gabriel. – Moim zdaniem cię usłyszał.

Olbrzymi kozioł, tak jak i trzy wiekowe drzewa oliwne, należał do don Casabianki. Uważał tę drogę za swoją prywatną własność i domagał się hołdów od wszystkich, którzy nią przejeżdżali. Christophera, Anglika bez kropli korsykańskiej krwi w żyłach, doprowadzało to do szewskiej pasji.

– Może ty byś z nim pogadał zamiast mnie? – zaproponował Gabrielowi.

– Nasza ostatnia rozmowa nie skończyła się najlepiej.

– A co mu powiedziałaś?

– Całkiem możliwe, że znieważylem jego przodków.

– Na Korsyce? Coś ty sobie wyobrażał? – Christopher podjechał autem nieco do przodu, ale kozioł opuścił łeb i ani myślał ustąpić.

Dźwięk klaksonu też nic nie dał. – Ale nie powiesz o tym Sarah, co?

– Za żadne skarby! – przysiągł Gabriel.

Christopher przestawił bieg na „postój” i westchnął ciężko. W końcu otworzył gwałtownie drzwi i wymachując rękami jak szaleniec, rzucił się na kozła w swoim szytym na miarę garniturze od Richarda Andersona.

Do tej pory ta taktyka skutkowałą natychmiastową kapitulacją. Jednak tym razem, pierwszej nocy, kiedy powiał maestral, zwierz dzielnie stawiał opór, zanim w końcu pierzchnął w macchię. Na szczęście Gabriel zdążył uwiecznić całość tego starcia na wideo, które czym prędzej wysłał Sarah do Londynu. Pomyślał, że w sumie to znakomity początek ich wakacji na Korsyce.

## HAUTE-CORSE

Willa miała czerwone dachówki, wielki niebieski basen, a także szeroki taras nasłoneczniony z rana, a po południu ocieniony przez sosnę czarną. Gdy Gabriel wstał następnego dnia, granitowe płyty chodnikowe były zasypane gałęziami i różnymi innymi roślinami. W świetnie urządzonej kuchni zastał Christophera, który w butach trekkingowych i wodoodpornej kurtce szykował café au lait na turystycznym piecyku gazowym na butan. Z radia na baterie dobiegały lokalne wiadomości.

– Około trzeciej nad ranem straciliśmy elektryczność. Wiatr osiągał w nocy prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Powiadają, że najstarsi ludzie nie pamiętają równie koszmarnego maestralu o tej porze roku.

– Czy mówili już o incydencie, w którym brał udział pewien Anglik i podstarzały kozioł?

– Jeszcze nie. Za to dzięki tobie gada już o tym cały Londyn. – Christopher podał Gabrielowi filiżankę kawy. – Udało ci się pospać?

– Nie zmrużyłem oka. A ty?

– Ja jestem zaprawiony w walce. Potrafię spać w każdych warunkach.

- Długo to potrwa?
- Trzy dni. Może cztery.
- Domyślam się, że windsurfing nie wchodzi w rachubę?
- Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się wspięli na Monte Rotondo. Idziesz ze mną?

– Brzmi to kusząco, ale chyba spędzę przedpołudnie przy kominku z dobrą książką – odparł Gabriel.

Przeszedł z kawą do wygodnie urządzonego salonu. Na półkach stało kilkaset tomów literatury pięknej i książek historycznych, na ścianach wisiała skromna kolekcja obrazów współczesnych oraz impresjonistów. Najcenniejszy był prowansalski pejzaż Moneta, który Christopher kupił przez pośrednika w paryskiej filii Christie's. Tego dnia jednak wzrok Gabriela przykuło sąsiednie dzieło – kolejny pejzaż, tym razem Paula Cézanne'a.

Zdjął obraz i wyjął go z ramy. Na pierwszy rzut oka blejtram, tak samo zresztą jak płótno, przypominał te, których Cézanne używał w połowie lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Brakowało podpisu – ale nie było w tym nic dziwnego, ponieważ Cézanne podpisywał tylko te prace, które uznał za ostatecznie skończone – a lakier był koloru nikotyny. Poza tym obraz wydawał się w całkiem dobrym stanie.

A jednak...

Gabriel ustawił obraz w rombie jasnego porannego światła wpadającego przez przeszklone drzwi, po czym zrobił telefonem zdjęcie powiększonego fragmentu. Kciukiem i palcem wskazującym powiększył zdjęcie jeszcze bardziej i przyjrzał się pociągnięciom pędzla. Był tak zamyślony, że nie zauważył, jak Christopher, spec od inwigilacji, wśliznął się do pokoju.

– Wolno wiedzieć, co robisz?

– Szukam czegoś do czytania – odparł Gabriel z roztargnieniem.

Christopher zdjął biografię Kima Philby'ego pióra Bena McIntyre'a.

- To chyba bardziej cię zainteresuje.
- Jest trochę niepełna. – Gabriel znów spojrział na obraz.
- Jakiś problem?
- Gdzie go kupiłeś?
- W galerii w Nicei.
- A ona się jakoś nazywa?
- Galerie Edmond Toussaint.
- Czy zasięgnąłeś opinii zawodowców?
- Monsieur Toussaint dał mi świadectwo autentyczności.
- Mogę je zobaczyć? I pochodzenie.

Christopher poszedł na górę do swojego gabinetu. Po powrocie podał Gabrielowi dużą kopertę, po czym zarzucił na potężne ramię nylonowy plecak.

- Masz ostatnią szansę.
- Baw się dobrze – odrzekł Gabriel, a przeszklone drzwi zagrzecotały na wietrze. – I pozdrów ode mnie swojego przyjaciela kozła.

Christopher zachował spokój, wyszedł i wsiadł do renaulta. Po chwili Gabriel usłyszał ryk klaksonu, a następnie stek gróźb zapowiadających krwawą przemoc. Ze śmiechem wyjął zawartość koperty.

- Idiota – mruknął po chwili sam do siebie.

Około jedenastej maestral zelżał, ale późnym popołudniem hulał już tak, że obluzował kilka dachówek. Christopher wrócił o zmroku i z dumą pokazał Gabrielowi odczyt wiatru, który zrobił na północnej ścianie Monte Rotondo – wiało z prędkością stu trzydziestu sześciu kilometrów na godzinę. Gabriel zrewanżował się troską o autentyczność Cézanne'a, którego Christopher kupił na

falszywe francuskie nazwisko, kiedy jeszcze pracował jako profesjonalny zabójca.

– I dlatego nie możesz się domagać zadośćuczynienia na drodze prawnej. Moralnego zresztą też nie.

– Może paru co groźniejszych ludzi don powinno pogadać sobie w moim imieniu z monsieur Toussaintem.

– A może powinieneś zapomnieć, co mówiłem, i odpuścić – odparował Gabriel.

Nazajutrz wiało bezlitośnie, podobnie jak kolejnego dnia. Gabriel krył się przed wiatrem w willi, a Christopher porwał się na jeszcze dwie góry – najpierw na Renoso, a potem d’Oro, gdzie jego kieszonkowy wiatromierz zarejestrował wicherę o prędkości stu czterdziestu jeden kilometrów. Tego wieczoru jedli kolację w Villa Orsati. Przy kawie don przyznał, że jego ludzie nie zdołali ustalić tożsamości ani miejsca pobytu mężczyzny, który wniósł bombę do Galerie Georges Fleury. Następnie obrugał Christophera za przebieg i ton jego ostatnich starć z kozłem don Casabianki.

– Dzwonił do mnie rano. Jest bardzo zdenerwowany.

– Don czy kozioł?

– Christopher, to jest poważna sprawa.

– A skąd w ogóle don Casabianca wie, że sprawy mają się coraz gorzej?

– Wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

– Ja na pewno nikomu o tym nie mówiłem.

– Widocznie to macchia – stwierdził Gabriel i powtórzył starodawne przysłowie o tym, jakoby owa aromatyczna roślinność widziała wszystko.

Don przyznał mu rację, poważnie kiwając głową. I doszedł do wniosku, że to jedyne możliwe wyjaśnienie.

Wichura szalała przez całą noc, ale o świcie przeszła do historii. Gabriel przez cały ranek pomagał Christopherowi naprawić uszkodzony dach i usunąć bałagan z tarasu i basenu. Potem, pod wieczór, pojechał do wioski.

Tworzyła ją grupka chat w kolorze piaskowca skupionych wokół dzwonnicy kościoła, przed którym był zakurzony plac. Kilku mężczyzn w świeżo odprasowanych białych koszulach toczyło wyrównaną walkę w grze w pétanque. Kiedyś pewnie patrzyliby na Gabriela podejrzliwie albo na korsykańską modłę wytykali go palcami – pierwszym i czwartym, by ustrzec się przed działaniem occhju, złego oka. Teraz jednak powitali go ciepło, bo cała wieś już wiedziała, że jest przyjacielem don Orsatiego oraz Anglika imieniem Christopher, który – Bogu dzięki – po długiej nieobecności powrócił na wyspę.

– To prawda, że on ma żonę? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Tak powiadają.

– I zabił tego kozła? – spytał inny.

– Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu.

– Może przemówisz mu jakoś do rozumu.

– Próbowałem. Ale obawiam się, że doszli do punktu, z którego nie ma odwrotu.

Mężczyźni nalegali, żeby Gabriel dołączył do gry, bo potrzebowali jeszcze jednego gracza. Odmówił jednak i udał się do kafejki w rogu po drugiej stronie placu na kieliszek korsykańskiego rosé. Kiedy dzwony kościelne wybiły piątą, małe dziecko, siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka, zapukało do drzwi przekrzywionego domku sąsiadującego z plebanią. Uchyliły się na kilka centymetrów i wysunęła się mała blada dłoń trzymająca skrawek niebieskiego papieru. Dziewczynka zaniósła karteczkę do kawiarni i położyła ją na stole Gabriela. Mała była niesamowicie podobna do Irene.

– Jak ci na imię? – zapytał.

– Danielle.

Akurat, pomyślał.

– Masz ochotę na lody?

Dziewczynka usiadła i pchnęła niebieską karteczkę po stole.

– Nie przeczyta pan?

– Nie muszę.

– Dlaczego?

– Wiem, co tam jest napisane.

– Skąd?

– Ja też mam moc.

– Ale nie taką jak ona – powiedziało dziecko.

Nie, przyznał Gabriel. Nie taką jak ona.

## HAUTE-CORSE

Dłoń, którą kobieta podała Gabrielowi na powitanie, była ciepła i lekka. Ujął ją delikatnie, jakby była ptakiem w klatce.

– Ukrywałeś się przede mną – oświadczyła.

– Nie przed tobą – odparł. – Przed maestralem.

– Ja zawsze lubiłam wiatr. – I dodała, jakby się zwierzała: – Dobrze robi na interesy.

Kobietą tą była signadora. Korsykanie wierzyli, że posiadała moc uzdrawiania tych, których dotknęło occhju. Kiedyś Gabriel podejrzewał, że była zwyczajną iluzjonistką i cwana wróżbitką, ale już tak nie myślał.

Dotknęła dłonią jego policzka.

– Trawi cię gorączka.

– Zawsze tak mówisz.

– To dlatego, że zawsze jesteś rozpalony. – Przesunęła dłoń na górę jego piersi. W lewo, nieco nad sercem. – To tutaj trafiła cię kula tej wariatki.

– Christopher ci o tym mówił?

– Nie rozmawiałam z Christopherem, odkąd wrócił. – Uniosła przód wyjściowej koszuli Gabriela i obejrzała bliznę. – Przez kilka

minut byłeś martwy, mam rację?

– Dwie albo trzy.

Zmarszczyła czoło.

– Dlaczego próbujesz mnie okłamywać?

– Bo wolę nie rozprawiać o tym, że nie żyłem przez prawie dziesięć minut. – Gabriel uniósł niebieską karteczkę. – Gdzie znalazłaś to dziecko?

– Danielle? A czemu pytasz?

– Kogoś mi przypomina.

– Twoją córkę?

– Jak to możliwe, że wiesz, jak ona wygląda?

– A może po prostu ty widzisz to, co chcesz zobaczyć.

– Nie mów do mnie zagadkami.

– Dałeś dziecku na imię Irene po matce. Za każdym razem, kiedy na ciebie spogląda, widzisz twarz twojej matki i cyfry zapisane na jej ramieniu w obozie, który wziął nazwę od drzewa.

– Kiedyś będziesz musiała mi pokazać, jak to robisz.

– To dar od Boga. – Puściła jego koszulę i przyjrzała mu się czarnymi oczami bez dna. Twarz, w której były osadzone, była biała jak mąka piekarza. – Cierpisz na skutek occhju. To jasne jak słońce.

– Pewnie zaraziłem się nim od kozła don Casabianki.

– On jest demonem.

– Opowiedz mi o tym.

– Ja nie żartuję. To zwierzę jest opętane. Trzymaj się od niego z daleka.

Signadora zaciągnęła go do bawialni swojego małego domku. Na niewielkim stoliku stały świeca, płaski talerz z wodą oraz naczynie z oliwą. To były jej narzędzia pracy. Zapaliła świecę i usiadła na swoim stałym miejscu. Po chwili wahania Gabriel dołączył do niej.

– Wiesz przecież, że nie ma czegoś takiego jak złe oko. To tylko przesąd rozpowszechniony wśród starożytnych ludów znad Morza Śródziemnego.

– Sam jesteś starożytnym człowiekiem znad Morza Śródziemnego.

– Trudno o starszego.

– Urodziłeś się w Galilei, niedaleko miasta, w którym mieszkał Jezus. Większość twoich przodków zabili Rzymianie podczas oblężenia Jerozolimy, ale kilku przeżyło i dotarło do Europy. – Pchnęła naczynie z oliwą po blacie. – Zaczynaj.

Gabriel przesunął naczynie na jej stronę stołu.

– Ty pierwsza.

– Chcesz, żebym udowodniła, że to nie sztuczka?

– Tak.

Stara kobieta zamoczyła palec wskazujący w oliwie. Potem przesunęła go nad talerz i trzymała tak, aż do wody spadły trzy krople, które połączyły się w jedną.

– Teraz ty.

Gabriel wykonał ten sam rytuał. Tym razem oliwa rozprysnęła się na tysiąc kropelek, a wkrótce znikła bez śladu.

– Occhju – szepnęła stara kobieta.

– Magia i wprowadzanie w błąd – skwitował Gabriel.

– Jak twoja ręka? – zapytała z uśmiechem.

– Która?

– Ta, którą uszkodziłeś, napadając na człowieka pracującego dla jednookiego.

– Nie powinien był mnie śledzić.

– Pogódź się z nim – powiedziała signadora. – On ci pomoże odnaleźć kobietę.

– Jaką kobietę?

– Hiszpankę.

– Ja szukam mężczyzny.

– Tego, który próbował cię zabić w galerii sztuki?

– Tak.

– Don Orsati nie zdołał go znaleźć. Ale nic się nie martw, Hiszpanka cię doprowadzi do tego, kogo szukasz. Don Orsati ją zna.

– Skąd?

– Nie jest w mojej mocy, żeby ci to zdradzić.

Nie mówiąc nic więcej, signadora ujęła rękę Gabriela i rozpoczęła dobrze znany mu rytuał. Wypowiedziała słowa starożytnej korsykańskiej modlitwy. Zapłakała, gdy zło przeszło z jego ciała w nią. Zamknęła oczy i zapadła w głęboki sen. Gdy w końcu się obudziła, kazała Gabrielowi powtórzyć próbę wody i oliwy. Tym razem oliwa zebrała się w jedną kroplę.

– Teraz ty – powiedział.

Stara kobieta westchnęła, ale spełniła jego prośbę. Oliwa się rozprysła.

– Tak samo jak drzwi galerii sztuki – powiedziała. – Ale nie martw się, occhju nie zostanie ze mną długo.

Gabriel położył na stole kilka banknotów.

– Czy jest jeszcze coś, co możesz mi powiedzieć?

– Namaluj cztery obrazy – powiedziała stara kobieta. – A ona przyjdzie po ciebie.

– Czy to wszystko?

– Nie – odparła. – Nie zleciłeś likwidacji occhju kozła don Casabianki.

Po powrocie do willi Gabriel poinformował Christophera, że śledztwo don Orsatiego będzie bezowocne oraz że kozioł don Casabianki to wcielony diabeł. Christopher powątpiewał w prawdziwość obu twierdzeń, jako że oba wyszły z ust signadory.

Mimo to odradził prośenie dona, by przedwcześnie przerwał poszukiwania. Powiedział, że będzie dużo lepiej, jeśli pozwolą koło się toczyć, dopóki kulka nie wpadnie do przegródki.

– No chyba że koło będzie się kręcić przez kolejny tydzień albo i dwa.

– Nie będzie, zaufaj mi.

– Niestety, to jeszcze nie wszystko.

Gabriel opowiedział o przepowiedni starej kobiety dotyczącej Hiszpanki.

– Czy powiedziała, skąd don ją zna?

– Powiedziała, że nie jest w jej mocy, żeby mi to zdradzić.

– Tak twierdzi. To jej wersja słów „Bez komentarza”.

– Czy pracując dla dona, poznałeś kiedyś jakąś Hiszpankę?

– Jedną czy dwie – szepnął Christopher pod nosem.

– Jak poruszymy z nim ten temat?

– Z najwyższą ostrożnością. Jego Świątobliwość nie przepada za tymi, co grzebią w jego przeszłości. Zwłaszcza jeśli to robi signadora.

Tak więc dwa dni później, siedząc pod przesłoniętym chmurami księżycem w ogrodach Villa Orsati, Gabriel udał niedowierzanie na wieść, że ludziom dona nie udało się namierzyć człowieka, który dostarczył fachowo zrobioną bombę do Galerie Fleury. Wreszcie, po dłuższej chwili przyjaznej ciszy, ostrożnie zapytał don Orsatiego, czy nie zna przypadkiem Hiszpanki mającej powiązania z przestępcami w świecie sztuki.

Don podejrzliwie zmrużył cętkowane na brązowo oczy.

– Kiedy z nią rozmawiałeś?

– Z tą Hiszpanką?

– Z signadorą.

– Myślałem, że to macchia widzi wszystko.

– Chcesz się dowiedzieć czegoś o tej Hiszpance czy nie?

- Rozmawialiśmy dwa dni temu – przyznał Gabriel.
- Przypuszczam, że wiedziała też, że nie uda mi się znaleźć człowieka, którego szukasz.
- Chciałem ci powiedzieć, ale Christopher ostrzegł, że to byłby błąd.
- Tak powiedział? – Don Orsati spiorunował Christophera wzrokiem i znów spojrzał na Gabriela. – Kilka lat temu, pięć czy sześć, przyjechała do mnie jakaś kobieta. Pochodziła z Roussillon, wioski w masywie Lubéron. Pod czterdziestkę, bardzo opanowana. Odnosiło się wrażenie, że w obecności przestępców czuje się jak u siebie w domu.
- Nazwisko?
- Françoise Vionnet.
- Prawdziwe?
- Don Orsati skinął głową.
- Z czym przyszła?
- Któregoś dnia po południu mężczyzna, z którym żyła, wybrał się na spacer w okolicach Aix-en-Provence i nie wrócił. Kilka tygodni później policja znalazła jego zwłoki niedaleko Mont Ventoux. Dostał dwie kulki w tył głowy.
- Chodziło o zemstę?
- Don skinął głową.
- Zakładam, że zgodziłeś się jej dokonać.
- Przyjacielu, śpiewanie nie przynosi pieniędzy. – Było to jedno z ulubionych korsykańskich przysłów dona i nieoficjalny slogan Orsati Olive Oil Company. – Pieniądze zarabia się, przyjmując i wypełniając kontrakty.
- O kogo chodziło tym razem?
- O Mirandę Álvarez. Ta cała Vionnet była przekonana, że to ksywka. Podała nam jej rysopis i zawód, ale nic poza tym.

- Zaczniemy więc od jej wyglądu.
- Wysoka, ciemnowłosa, bardzo piękna.
- Wiek?
- Wtedy miała trzydzieści kilka lat.
- A jej zawód?
- Była marszandką.
- Z siedzibą gdzie?
- Może w Barcelonie. – Don wzruszył potężnymi ramionami. –

A może w Madrycie.

- Mało tych punktów zaczepienia.
- Przyjmowałem zlecenia z mniejszą ilością danych pod warunkiem, że klient zgadza się potwierdzić tożsamość celu, kiedy go już namierzemy.

– Żeby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

– W mojej branży błędy zdarzają się bez przerwy – przyznał don Orsati.

– Rozumiem, że nie udało ci się jej znaleźć?

Don pokręcił głową.

– Françoise Vionnet błagała, żebym nie przerywał poszukiwań, ale powiedziałem jej, że to bezcelowe. Oddałem jej pieniądze po potrąceniu zadatku i kosztów poszukiwań, i każde z nas poszło w swoją stronę.

– Czy zdradziła ci kiedyś, dlaczego jej partnera zamordowano?

– Zdaje się, że poszło o kłótnię w interesach.

– On też był marszandem?

– Właściwie to malarzem. Nie miał wzięcia, rozumiesz. Ale ona bardzo chwaliła jego prace.

– Pamiętasz może, jak się nazywał?

– Lucien Marchand.

– A gdzie Christopher i ja możemy znaleźć Françoise Vionnet?

- W Chemin de Joucas w Roussillon. Jeśli chcesz, znajdę ci adres.
- Jeżeli to nie kłopot.
- Najmniejszy.

Don Orsati wyjaśnił, że ma go w gabinecie na górze.  
W oprawionej w skórę księdze śmierci.

## LE LUBÉRON

Najbliższy prom samochodowy na kontynent odpływał z Ajaccio o wpół do dziewiątej następnego dnia wieczorem i przybijał do Marsylii krótko po świcie. Gabriel i Christopher, spędziwszy noc w sąsiednich kajutach, zjechali do portu wypożyczonym peugeotem i skierowali się na autostradę A7. Ruszyli na północ przez Salon-de-Provence do Cavaillon; potem wlekli się za kawalkadą autobusów wycieczkowych do Lubéron. W Gordes w krystalicznym świetle poranka skrzyły się domy w kolorze miodu, usadowione na wapiennym wzgórzu wychodzącym na dolinę.

– Tam mieszkał Marc Chagall – odezwał się Christopher.

– W prywatnej szkole dla dziewcząt przy rue de la Fontaine Basse. Ze swoją żoną Bellą nie chcieli wyjechać po niemieckiej inwazji. W końcu w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym uciekli do Stanów Zjednoczonych przy pomocy dziennikarza i naukowca Variana Frya i jego Komitetu Pogotowia Ratunkowego.

– Ja tylko próbowałem nawiązać rozmowę.

– Może lepiej podziwiamy widoki.

Christopher zapalił marlboro.

– Zastanawiałeś się, w jaki sposób ją podejdziesz?

– Françoise Vionnet? Pomyślałem, że zacznę od bonjour, licząc, że dalej jakoś pójdzie.

– Szalenie to przebiegłe.

– Może jej powiem, że przysłała mnie mityczna Korsykanka, która wyleczyła mnie z occhju. Albo lepiej, powiem, że jestem zaprzyjaźniony z korsykańskim szefem przestępczości zorganizowanej, którego wynajęła do zabicia hiszpańskiej marszandki.

– To ją powinno przekonać.

– Jak myślisz, ile don jej policzył? – zapytał Gabriel.

– Za taką robotę? Niewiele.

– To znaczy?

– Jakieś sto tysięcy.

– A ile wyniósł kontrakt na moje życie?

– Suma siedmiocyfrowa.

– Pochlebia mi to. A ile za Annę?

– Oboje byliście w pakiecie.

– Czy w takiej sytuacji dają jakiś rabat?

– Don nie zna tego słowa. Ale cieplej mi na sercu, odkąd po tylu latach rozpaliliście swój związek.

– Nie było żadnego rozpalania. I nie jesteśmy w związku.

– Pożyczyłeś od niej ten milion euro na zakup fałszywego krajobrazu rzeczno Cuypa czy nie?

– Trzy dni później dostała pieniądze z powrotem.

– Od mojej żony – zauważył Christopher. – A jeśli chodzi o twoje podejście do wspomnianej Françoise, proponuję wymachiwać fałszywą flagą. Wiem z doświadczenia, że szacowni obywatele Lubéron nie wręczają teczek pełnych gotówki takim jak Jego Świątobliwość don Anton Orsati.

– Sugerujesz, że Françoise Vionnet i Lucien Marchand, nieznanymi malarzami bez sprzedanych dzieł na koncie, mogli być zamieszani w jakąś działalność przestępczą?

– Postawiłbym na to mojego Cézanne’a.

– Ty nie masz Cézanne’a.

Pokonali zakręt na drodze i przed nimi ukazała się dolina Lubéron – kołdra patchworkowa zszyta z winnic, gajów i pól w feerii kolorów dzikich kwiatów. Na południowym skraju starożytnego centrum Roussillon wzgórze z bogatej w ochry gliny zajmowały budynki w kolorze cegły. Christopher dotarł do wioski wąską Chemin de Joucas i zjechał na trawiaste pobocze w miejscu, gdzie zbocze góry stykało się z dnem doliny. Z jednej strony drogi było świeżo zaorane pole uprawne. Z drugiej, częściowo zasłonięta przez zapuszczoną ścianę roślinności, stała niewielka parterowa willa. Rozległ się stłumiony baryton – szczekanie jakiegoś wielkiego psa.

– Jakżeby inaczej – mruknął Gabriel.

– Z dwojga złego lepszy pies niż kozioł.

– Kozły nie gryzą.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytał Christopher, skręcając na podjazd.

Natychmiast z drzwi frontowych wyskoczył pies o kształcie beczki i ze szczękami rottweilera. Za nim leniwie wyszła bosa dziewczyna; miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Była w legginsach i pomiętym bawełnianym swetrze. Jej długie, rozpuszczone jasnobrązowe włosy błyszczały w świetle Prowansji.

– Jest za młoda – orzekł Gabriel.

– A co powiesz o tej? – zapytał Christopher, gdy z willi wyszła starsza wersja dziewczyny.

– Na mój gust wygląda jak Françoise.

– Zgadza się. Jak chcesz to rozegrać?

- Zaczekam, aż któraś z nich poskromi tego psa.
- A potem?
- Pomyślałem, że zacznę od bonjour, licząc, że dalej jakoś pójdzie.
- Genialne – podsumował Christopher.

Zanim Gabriel otworzył drzwi i wyciągnął rękę, znowu był – z wyglądu i akcentu – Ludwigiem Zieglerem z Berlina. Ale ta wersja Herr Zieglera nie była doradcą do spraw sztuki tylko jednej, za to sławnej klientki. Był skautem – marszandem bez własnej galerii i zbiorów, który wyszukuje niedocenianych współczesnych malarzy i wprowadza ich dzieła na rynek. Twierdził, że od jednego ze swoich informatorów dowiedział się o Lucienie Marchandzie i zaintrygowała go koszmarna historia jego zaginięcia oraz śmierci. Christophera przedstawił jako Benjamina Recklessa, swojego przedstawiciela w Londynie.

- Reckless[5]? – powtórzyła sceptycznie Françoise Vionnet.
- To stare angielskie nazwisko – wyjaśnił Christopher.
- Mówi pan po francusku jak rodowity Francuz.
- Moja matka była Francuzką.

W czwórkę zasiedli w rustykalnej kuchni przy dzbanku czarnej jak smoła kawy i garnuszku spienionego mleka. Françoise Vionnet i bosonoga dziewczyna zapaliły papierosy z tej samej paczki gitanes'ów. Miały takie same oczy z opadającymi powiekami. Tyle że pod oczami dziewczyny widniały opuchnięte półksiężycy bez ani jednej zmarszczki.

– To jest Chloé – powiedziała Françoise Vionnet, jak gdyby dziewczyna była niemową. – Jej ojciec był niedocenionym rzeźbiarzem z Lacoste, zostawił nas krótko po jej narodzinach. Na szczęście Lucien zgodził się przyjąć nas pod swój dach. Trudno nas uznać za tradycyjną rodzinę, ale byliśmy szczęśliwi. Kiedy

zamordowano Luciena, Chloé miała siedemnaście lat. Ciężko przeżyła jego śmierć. Nie знаła innego ojca.

Dziewczyna ziewnęła, przeciągnęła się teatralnie i wyszła. Po chwili dobiegł ich odgłos smukłego kobiecego ciała zanurzającego się w wodzie basenu. Françoise Vionnet zmarszczyła czoło i zgasiła papierosa.

– Wybaczcie zachowanie mojej córki. Po śmierci Luciena chciałam się przenieść do Paryża, ale Chloé nie zgodziła się na wyjazd z Lubéron. Wychowywanie jej tutaj było koszmarnym błędem.

– Bardzo tu pięknie – powiedział Gabriel po francusku, z niemieckim akcentem Herr Zieglera.

– Oui – przytaknęła Françoise Vionnet. – Turyści i bogaci cudzoziemcy uwielbiają Prowansję. Zwłaszcza Anglicy – dodała, zerkając na Christophera. – Ale dla takich dziewcząt jak Chloé, bez wykształcenia uniwersyteckiego i bez ambicji, Lubéron to pułapka bez wyjścia. Latem podaje do stołów w restauracji w centre ville, a zimą pracuje w hotelu w Chamonix.

– A pani? – zapytał Gabriel.

Wzruszyła ramionami.

– Radzę sobie dzięki skromnemu majątkowi, jaki mi zostawił Lucien.

– Wzięliście ślub?

– Zawarliśmy rejestrowany związek partnerski. To taki francuski odpowiednik konkubinatu. Po zabójstwie Luciena Chloé i ja odziedziczyłyśmy willę. I jego obrazy, rzecz jasna. – Wstała raptownie. – Chciałby pan zobaczyć część z nich?

– Z największą przyjemnością.

Przeszli gęsiego do salonu. Na ścianach wisiało kilka nieoprawionych obrazów – surrealiści, kubiści, ekspresjonizm

abstrakcyjny. Brak oryginalności nadrabiała fachowością wykonania.

– Gdzie się uczył? – zapytał Gabriel.

– W Beaux-Arts de Paris.

– Widać.

– Lucien był znakomitym rysownikiem – oznajmiła Françoise Vionnet. – Niestety, nie odniósł większego sukcesu. Żeby związać koniec z końcem, malował kopie.

– Słucham?

– Lucien malował kopie impresjonistów i sprzedawał je w sklepach z pamiątkami w Lubéron. Pracował też dla firmy sprzedającej ręcznie malowane kopie w internecie. Za te płacili mu lepiej, ale też niewiele. Jakies dwadzieścia pięć euro. Robił je wyjątkowo szybko. Moneta potrafił namalować raptem w piętnaście, dwadzieścia minut.

– Ma pani może taki obraz?

– Non. Lucien bardzo się wstydził tej pracy. Gdy obrazy były suche, od razu przekazywał je klientom.

Na dworze dziewczyna wynurzyła się z basenu i wyciągnęła ciało na szezlongu. Gabriel nie widział, czy była ubrana, czy nie, ponieważ wpatrywał się w niewątpliwie najlepszy obraz w pokoju. Był zadziwiająco podobny do dzieła zatytułowanego „Les Amoureux aux Coquelicots” pędzla rosyjsko-francuskiego artysty przez pewien czas mieszkającego przy rue de la Fontaine Basse w Gordes. Nie była to wierna kopia, raczej pastisz. Oryginał był podpisany w dolnym prawym rogu. Wersja Luciena Marchanda nie była podpisana.

– On bardzo podziwiał Chagalla – powiedziała Françoise Vionnet.

– Ja również. I gdybym nie wiedział, że jest inaczej, pomyślałbym, że namalował to sam Chagall. – Gabriel zamilkł na chwilę. – A może właśnie o to chodziło.

– Lucien malował swoje Chagalle dla czystej przyjemności. To dlatego nie są podpisane.

– Byłbym skłonny złożyć pani hojną ofertę za ten obraz.

– Niestety, nie jest na sprzedaż, monsieur Ziegler.

– Dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Z powodów sentymentalnych. To ostatni obraz, jaki Lucien ukończył.

– Proszę mi wybaczyć, madame Vionnet, ale nie pamiętam dokładnej daty jego śmierci.

– Siedemnastego września.

– Pięć lat temu?

– Oui.

– Dziwne...

– Dlaczego, monsieur?

– Dlatego, że ten obraz wygląda na znacznie starszy. Na moje oko został namalowany pod koniec lat czterdziestych dwudziestego wieku.

– Lucien stosował specjalne techniki postarzania obrazów, tak żeby wydawały się starsze niż w rzeczywistości.

Gabriel zdjął obraz ze ściany i odwrócił. Płótno pochodziło co najmniej sprzed pół wieku, tak samo jak blejtram. Górna pozioma listwa blejtramu nosiła oznaczenie „6” oraz „F”. Na środkowej listwie pozostały ślady starej naklejki.

– A czy Lucien stosował też specjalne techniki postarzania płótna i blejtramów? A może miał chętnego dostawcę bezwartościowych starych obrazów?

Françoise Vionnet spoglądała na Gabriela spokojnie spod obwisłych powiek.

– Wynocha z mojego domu! – syknęła przez zęby. – Albo poszczuję na was psa!

– Jeżeli ten pies się do mnie zbliży, to go zastrzelę. A potem zadzwonię i zawiadomię francuską policję, że pani wraz z córką żyjecie z pieniędzy, które Lucien Marchand zarobił na fałszowaniu obrazów.

Jej pełne usta wygięły się w uśmiechu. Jak widać, niełatwo było ją nastraszyć.

– Kim pan jest?

– Gdybym pani powiedział, i tak by pani nie uwierzyła.

Spojrzała na Christophera.

– A on?

– On jest po prostu nierozważny.

– Czego pan chce?

– Chcę, żeby pomogła mi pani odnaleźć kobietę, która podawała się za Mirandę Álvarez. Poza tym chcę dostać pozostałe fałszywe obrazy, które się tu poniewierają, wraz z pełną listą wszystkich malowideł, jakie Lucien kiedykolwiek sprzedał.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo było ich zbyt wiele.

– Komu je przekazywał?

– Lucien sprzedawał większość fałszywych dzieł marszandowi z Nicei.

– Nazwisko tego marszanda?

– Edmond Toussaint.

Gabriel spojrzał na Christophera.

– To chyba jesteśmy w domu.

[5] Reckless (ang.) – nierozważny, lekkomyślny, brawurowy.

## ROUSSILLON

– Dlaczego po prostu od razu nie powiedział mi pan prawdy, panie Allon?

– Obawiałem się, że daruje sobie pani uprzejmości i od razu poszczuje mnie psem.

– Naprawdę by go pan zastrzelił?

– Non – odparł Gabriel. – Pan Reckless by mnie w tym wyręczył.

Françoise Vionnet przyjrzała się Christopherowi znad świeżo zapalonego gitane'a i przytaknęła powolnym ruchem głowy. Wrócili do stołu w rustykalnej kuchni, tyle że teraz stała na nim schłodzona butelka bandol rosé.

– Jaka część z tej pani opowieści jest prawdziwa? – zapytał Gabriel.

– Większość.

– A gdzie zaczęła się fikcja?

– Chloé nie spędza zimy w Chamonix.

– A gdzie?

– Na Saint-Barthélemy.

– Pracuje tam?

– Chloé? – Skrzywiła się. – Nie przepracowała w życiu ani jednego dnia. Mamy willę w Lorient.

– Lucien musiał namalować mnóstwo obrazów po dwadzieścia pięć euro za sztukę, żeby móc sobie pozwolić na takie miejsce.

– Wie pan, on nigdy nie przestał ich malować. Potrzebował jakiegoś legalnego źródła dochodu.

– Kiedy zaczęły się te fałszerstwa?

– Jakies dwa lata po tym, jak Chloé i ja się wprowadziłyśmy.

– To był pani pomysł?

– Mniej więcej.

– A konkretnie?

– Było oczywiste, że kopie Luciena były bardzo dobre – odparła. – Kiedyś go zapytałam, czy sądzi, że mógłby wyprowadzić kogoś w pole. I tydzień później pokazał mi swój pierwszy sfałszowany obraz. Przeróbkę „Place du village” francuskiego kubisty Georges’a Valmiera.

– I co pani z nim zrobiła?

Zawiozła go do Paryża i powiesiła na ścianie szycownego apartamentu przyjaciółki w Szóstej Dzielnicy. A potem zadzwoniła do jednego z domów aukcyjnych – nie chciała zdradzić, do którego – oni zaś przysłali swojego tak zwanego eksperta, by obejrzał obraz. Ekspert zadał kilka pytań o pochodzenie, oświadczył, że obraz jest autentyczny, i wypłacił Françoise czterdzieści tysięcy euro. Dwa tysiące dała swojej szycownej przyjaciółce z Paryża, a resztę Lucienowi. Za część pieniędzy powiększyli basen willi i odnowili mały budynek gospodarczy, w którym Lucien urządził sobie pracownię. Resztę wpłacili na konto w genewskiej filii Credit Suisse.

– A jeśli chodzi o tę przeróbkę „Place du village” Georges’a Valmiera, ostatnio poszła na aukcji w Nowym Jorku za dziewięćset tysięcy dolarów. To znaczy, że dom aukcyjny zarobił więcej na

opłatach i prowizji, niż Lucien dostał za namalowanie obrazu. I kto tu jest przestępcą, monsieur Allon? Czy dom aukcyjny naprawdę nie wiedział, że sprzedaje falsyfikat? Jak to możliwe?

W tym samym paryskim domu aukcyjnym sprzedała jeszcze kilka obrazów – wyłącznie mniej znanych kubistów i surrealistów, za każdego biorąc kwoty pięciocyfrowe – a zimą 2004 roku sprzedała Matisse’a w Galerie Edmond Toussaint. Kilka miesięcy później ten sam marszand kupił od Françoise drugiego Matisse’a, a krótko potem Gauguina, Moneta oraz pejzaż „Mont Sainte-Victoire” Cézanne’a. I wtedy Toussaint poinformował ją, że wszystkie pięć obrazów, które mu dostarczyła, to falsyfikaty.

– Przecież właśnie dlatego je kupił – zauważył Gabriel.

– Oui. Monsieur Toussaint chciał zawrzeć umowę na wyłączność. Koniec ze sprzedawaniem na własną rękę w paryskich domach aukcyjnych albo u innych marszandów. Powiedział, że to jest zbyt ryzykowne. Obiecał, że doskonale zadba o finanse Luciena.

– I zadbał?

– Lucien nie narzekał.

– Ile zarobił?

– Przez cały czas trwania tego układu? – Françoise Vionnet wzruszyła ramionami. – Jakies sześć, siedem milionów.

– Niech pani sobie daruje – rzekł Gabriel.

– No, może to było bliżej trzydziestu milionów.

– Bliżej z której strony? Od dołu czy z góry?

– Z góry – przyznała Françoise Vionnet. – Zdecydowanie z góry.

– A monsieur Toussaint? Ile wyniosła jego działka?

– Co najmniej dwieście milionów.

– Czyli zrobił Luciena w konia.

– To samo powiedziała ta Hiszpanka.

– Miranda Álvarez?

- Tak się przedstawiła.
- Gdzie pani się z nią spotkała?
- Tutaj, w Roussillon. Siedziała na tym samym krześle, na którym pan siedzi teraz.
- Była marszandką?
- Kimś w tym rodzaju. Ale o sobie mówiła z wielką powściągliwością.
- Czego chciała?
- Żeby Lucien pracował dla niej, a nie dla Toussainta.
- Skąd wiedziała, że Lucien zajmuje się fałszowaniem obrazów?
- Tego nie chciała zdradzić. Ale było widać, że zna ciemną stronę tej branży od podszewki. Powiedziała, że Toussaint sprzedaje więcej fałszywek, niż rynek sztuki jest w stanie wchłonąć, więc to tylko kwestia czasu, zanim Lucien i ja zostaniemy aresztowani. Twierdziła, że jest częścią wyrafinowanej siatki, która wie, jak sprzedawać fałszywe dzieła sztuki bez obawy o wpadkę. Obiecała nam płacić dwa razy więcej niż Toussaint.
- Jak do tego podszedł Lucien?
- Był zaintrygowany.
- A pani?
- Mniej.
- Ale zgodziła się pani rozważyć jej ofertę?
- Poprosiłam, żeby wróciła za trzy dni.
- A kiedy przyszła?
- Powiedziałam jej, że mamy umowę. Dała nam milion euro w gotówce i obiecała, że się odezwie.
- Kiedy ta umowa się posypała?
- Po tym, jak powiedziałam Toussaintowi, że odchodzimy.
- Ile wam zapłacił, żebyście zostali?
- Dwa miliony.

- Zakładam, że ten milion od Hiszpanki wpłaciliście do banku?
  - Oui. A sześć miesięcy później Lucien nie żył. Kiedy go zabili, malował kolejnego Cézanne’a. Policja nigdy go nie odnalazła.
  - Nie sądzę, żeby im pani powiedziała, że Lucien jest fałszerzem ani że niedawno odwiedziła go tajemnicza Hiszpanka przedstawiająca się jako Miranda Álvarez.
  - Gdybym tak zrobiła, sama bym się w to wplątała.
  - A jak pan wyjaśniła te trzydzieści milionów w genewskim Credit Suisse?
  - Wtedy było już trzydzieści cztery miliony – przyznała Françoise Vionnet. – Policja ich nie odkryła.
  - A co z willą na Saint-Barthélemy?
  - Właścicielem jest spółka krzak zarejestrowana na Bahamach. A Chloé i ja siedzimy tu w Lubéron i się nie wychylamy. Ale kiedy jedziemy na wyspę...
  - Żyjecie na wysokiej stopie za to, co Lucien zarobił na fałszerstwach.
- Zapaliła kolejnego gitane’a i nie odpowiedziała.
- Ile ich jeszcze zostało? – zapytał Gabriel.
  - Fałszywek? – Wydmuchała kłęb dymu w kierunku sufitu. – Tylko Chagall. Inne już poszły.
- Gabriel położył na stole swój telefon.
- Ile, Françoise?
- Na dworze Chloé leżała wyciągnięta na spalonych słońcem płytach chodnikowych obok basenu; wyglądała niczym wyjęta z aktu Modiglianiego.
- Gdyby jeszcze ktoś jej za to płacił, Chloé byłaby najbogatszą kobietą we Francji – zauważyła krytycznie matka.
  - Pani robiła za przykrywkę dla fałszerza – odparł Gabriel. – Nie dawała jej pani dobrego przykładu.

Zaprowadziła ich żwirowaną ścieżką do pracowni Luciena. Był to mały budynek w kolorze ochry, kryty dachówkami. Drzwi były zamknięte na kłódkę, tak samo jak drewniane okiennice.

– Krótco po zabójstwie Luciena ktoś się tu próbował włamać. Wtedy sprawiłam sobie psa.

Otworzyła drzwi i wpuściła Gabriela i Christophera do środka. Wilgotne powietrze trąciło płótnem, kurzem i olejem lnianym. Pod świetlikiem w dachu stały wiekowe sztalugi i zagracony stół do pracy, z półkami i szufladami na przybory plastyczne. Obrazy stały oparte o ściany, chyba po dwadzieścia w rzędzie.

– Czy to wszystkie? – zapytał Gabriel.

Françoise Vionnet przytaknęła ruchem głowy.

– Nie macie żadnego magazynu?

– Non. Wszystko jest tutaj.

Podeszła do najbliższego rzędu obrazów i zaczęła je przerzucać, jakby przeglądała staroświeckie winyle. Niechętnie wyjęła jeden z nich i pokazała Gabrielowi.

– Fernand Léger.

– Ma pan dobre oko, monsieur Allon.

Przeszła do następnego rzędu i wyjęła pastisz „Domów w l’Estaque” Georgesa Braque’a. W kolejnym rzędzie znalazł się Picasso i jeszcze jeden Léger.

– Po morderstwie policja z pewnością przeszukała ten domek – rzekł Gabriel.

– Tak, oczywiście. Ale na szczęście przysłali inspektora Clouseau.

– Wyjęła kolejny obraz, wersję „Kompozycji w błękicie” Rogera Bissière’a. – Ten zawsze mi się podobał. Naprawdę muszę go oddać?

– Idziemy dalej.

Następnym obrazem był Matisse. Potem doszedł Monet, Cézanne, Dufy i wreszcie drugi Chagall.

– Czy to już wszystkie?

Skinęła głową.

– Wie pani, co się stanie, jeśli znajdę ich więcej?

Westchnęła i wyjęła jeszcze dwa obrazy – drugiego Matisse’a oraz zachwycającego André Derain’a. W sumie dwanaście płócien, których rynkowa wartość grubo przekraczała dwieście milionów euro. Gabriel sfotografował je telefonem, razem z Chagallem z salonu. Potem wyjął trzynaście płócien z blejtramów i ułożył z nich stertę na kracie kominka. Christopher podał mu swoją złotą zapalniczkę marki Dunhill.

– Proszę, nie – powiedziała Françoise Vionnet.

– Wolałaby pani, żebym je przekazał francuskiej policji? – Gabriel pstryknął zapalniczką i przytknął płomień do płócien. – Trudno, te trzydzieści cztery miliony jakoś będą musiały pani wystarczyć.

– Zostało już tylko dwadzieścia pięć.

– I może je pani sobie zatrzymać, pod warunkiem że nigdy nikomu nie powie pani, że tu byłem.

Françoise Vionnet odprowadziła Gabriela i Christophera do drzwi, odczekała, aż wsiądą do renaulta, i dopiero wtedy spuściła psa. Zwiali z tego miejsca, nie uciekając się do przemocy.

– Powiedz mi coś – odezwał się Christopher, kiedy mknęli malowniczą doliną. – Kiedy wpadłeś na to, żeby znowu zgrywać Herr Zieglera?

– Przyszło mi to do głowy, kiedy niepotrzebnie pouczałeś mnie, że nie można wykluczyć, że Françoise Vionnet była przykrywką Luciena.

– Muszę przyznać, że było to jedno z twoich lepszych przedstawień. A mimo to zrobiłeś jeden poważny błąd taktyczny.

– Jaki?

– Spaliłeś te cholerne dowody.

- Nie wszystkie.
- Cézanne?
- Idiota – mruknął Gabriel.

## LE TRAIN BLEU

Zostawili wypożyczonego peugeota w Marsylii i złapali pociąg TGV odjeżdżający o drugiej z Gare Saint-Charles do Paryża. Na godzinę przed spodziewanym przyjazdem Gabriel zadzwonił do Antiquités Scientifiques przy rue de Miromesnil. Nikt nie odbierał, więc sprawdził, która godzina, po czym zadzwonił do pobliskiego antykwariatu sprzedającego wyroby szklane i posążki. Jego właścicielka, niejaka Angélique Brossard, podniosła słuchawkę wyraźnie zasapana. Nie zdziwiła się ani nie wykręcała, kiedy poprosił do telefonu Maurice'a Duranda. Ich trwający od lat cinq à sept był jednym z najgorzej strzeżonych sekretów Ósmej Dzielnicy.

– Dobrze się bawisz? – zapytał Gabriel, kiedy Durand odezwał się na linii.

– Bawiłem się – odparł Francuz. – Oby to było coś ważnego.

– Ciekaw jestem, czy znajdziesz czas na drinka o, powiedzmy, wpół do szóstej.

– Zdaje się, że o tej porze będę miał operację na otwartym sercu. Niech no zajrzę do kalendarza.

– Spotkamy się w Le Train Bleu.

– Skoro pan nalega.

Ta kultowa paryska restauracja z krzykliwymi połączanymi lustrami i malowidłami na sufitach wychodziła na halę biletową Gare de Lyon. O piątej trzydzieści Maurice Durand siedział w komfortowym ciemnoniebieskim fotelu w strefie barowej; przed nim stała otwarta butelka szampana. Wstał i po chwili wahania uścisnął rękę Christophera.

– No proszę, mój stary przyjaciel monsieur Bartholomew. Nadal się pan opiekuje wdowami i sierotami, czy znalazł pan sobie uczciwą pracę? – Durand odwrócił się do Gabriela. – A pana co sprowadza znów do Paryża, monsieur Allon? Szykuje się kolejny zamach bombowy? – Uśmiechnął się. – Niewątpliwie jest to jakiś sposób na wyeliminowanie nieuczciwej galerii z interesu.

Gabriel usiadł i podał Durandowi swój telefon komórkowy. Drobny Francuz włożył okulary do czytania i wpatrzył się w ekran.

– Bardzo ciekawa reinterpretacja „Domów w l’Estaque” Braque’a.

– Przerzuć na następny.

Durand spełnił polecenie.

– Roger Bissière.

– Dalej.

Durand przesunął czubkiem palca wskazującego poziomo po ekranie i uśmiechnął się.

– Zawsze miałem słabość do Fernanda Légera. Był jednym z moich pierwszych.

– A co powiesz o następnym?

– Mój stary przyjaciel Picasso. W sumie całkiem udany.

– Chagalle są lepsze. Monet, Cézanne i dwa Matissy też są niezłe.

– Gdzie pan je znalazł?

– W Roussillon – odparł Gabriel. – W pracowni niedoszłego malarza, nazywał się...

– Lucien Marchand?

- Znałeś go?
- Nie przedstawiono nas sobie, ale znałem jego prace.
- Skąd?
- Obaj robiliśmy interesy z tą samą galerią w Nicei.
- Galerie Edmond Toussaint?
- Oui. Całkiem możliwe, że to najbardziej szemrana galeria we Francji, a może i na całym Zachodzie. Tylko dureń kupiłby tam jakiś obraz.

Gabriel spojrział porozumiewawczo na Christophera, po czym wrócił wzrokiem do Duranda.

- A ja myślałem, że handlowałeś bezpośrednio z kolekcjonerami?
- Przeważnie. Ale czasami wykonywałem jakieś specjalne zlecenie dla monsieur Toussainta. Energicznie sobie poczynił na rynku kradzionych dzieł sztuki, a Lucien Marchand był jego kurą znoszącą złote jajka.

– I dlatego Toussaint za wszelką cenę pragnął zatrzymać Luciena, kiedy figurantka z konkurencyjnej siatki fałszerzy próbowała go podkupić.

Durand uśmiechnął się do Gabriela znad brzegu kieliszka szampana.

– Wyrabia się pan, monsieur Allon. Wkrótce do niczego nie będę już panu potrzebny.

- Kim ona jest, Maurice?
- Miranda Álvarez? Zależy, kogo zapytasz. Ma w sobie coś z kameleona. Powiadają, że mieszka w wiosce na jakimś zadupiu w Pirenejach. Mówi się też, że ona i fałszerz są kochankami, może nawet mężem i żoną. Ale to tylko plotka.

- Kim oni są?
- Ludźmi harującymi na brudnym końcu rynku sztuki.
- Czyli takimi jak ty?

Durand nie odpowiedział.

– Czy fałszerz też jest Hiszpanem?

– Tak się przypuszcza. Ale znów to tylko spekulacje.

W przeciwieństwie do niektórych fałszerzy goniących za złą sławą ten człowiek bardzo poważnie strzeże swojej prywatności. Podobno ta kobieta jest jedną z dwóch osób znających jego tożsamość.

– A druga to...?

– Mężczyzna, który w siatce zajmuje się transakcjami. Taka to niecna trójca.

– Jaka jest rola Hiszpanki?

– Nadzoruje dostawę obrazów do galerii, które je sprzedają. Głównie są to dzieła średniej jakości, które po cichu generują olbrzymie ilości gotówki. Ale co kilka miesięcy na rynku w cudowny sposób pojawia się kolejny tak zwany zaginiony mistrz.

– Ile galerii bierze w tym udział?

– Nie mam pojęcia.

– Pomyśl.

– Chodzą słuchy o galerii w Berlinie i jeszcze jednej w Brukseli. Poza tym plotkuje się o niedawnej ekspansji na rynki azjatyckie i na Bliski Wschód.

– Ciekawe, dlaczego nie podałeś mi tych informacji podczas naszej ostatniej rozmowy – mruknął Gabriel znacząco.

– Może gdyby mnie pan uprzedził, że zamierza kupić obraz w Galerie Fleury, byłbym bardziej rozmowny. – Durand uśmiechnął się. – „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”. Coś, co na pewno nie wyszło spod ręki malarza z holenderskiego złotego wieku Aelberta Cuypa.

– Skąd wiesz o tej transakcji?

– W niektórych sprawach Fleury był dyskretny, w innych niekoniecznie. Chwalił się tą sprzedażą swoim konkurentom,

choć pozwoił, żeby doradca do spraw sztuki madame Rolfe wywiózł obraz z Francji bez zezwolenia.

– Czyli mnie nie podejrzewał?

– Jak widać nie.

– To dlaczego zlecono zabicie mnie, kiedy cztery dni później wróciłem do galerii?

– Może należałoby o to zapytać człowieka, który podłożył bombę? Gabriel ponownie podał Francuzowi swój telefon.

– Poznajesz go?

– Na szczęście nie.

– Uważam, że niedawno zamordował pewną kobietę w Bordeaux.

– Tę Bérangar?

Gabriel westchnął ciężko.

– Maurice, czy jest coś, o czym nie wiesz?

– Informacja to klucz do mojej długowieczności, monsieur Allon.

I pańskiej też, jak sądzę. – Durand spojrział na telefon. – Bo jak inaczej można wytłumaczyć fakt, że posiada pan to zdjęcie?

– Dał mi je szef brygady do spraw kradzieży dzieł sztuki w Police Nationale.

– Jacques Ménard?

Gabriel skinął głową.

– A jaki właściwie jest charakter waszych relacji?

– Mniej więcej taki jak naszej.

vRepresyjny i obelżywy?

– Dyskretny i nieoficjalny.

– Czy on wie o naszej dawnej współpracy?

– Non.

– No to mi ulżyło. – Durand oddał telefon. – Co rzekłszy, uważam, że powinno to być nasze ostatnie spotkanie w przewidywalnej przyszłości.

- Niestety, to niemożliwe.
- Dlaczego?
- Bo mam dla ciebie zadanie.
- Nazwy tych galerii w Berlinie i Brukseli?
- Jeśli to nie kłopot.

Durand zdjął okulary i wstał.

– Niech mi pan powie jedno, monsieur Allon. Co się stało z tymi obrazami, które pan znalazł w pracowni Luciena?

- Poszły z dymem.
- A Picasso?
- Wszystkie.

– Szkoda – mruknął Durand z westchnieniem. – Znalazłbym dla nich dobry dom.

Nazajutrz o wpół do jedenastej rano, siedząc w Café Marly w Luwrze, Gabriel złożył pierwszy raport Jacques'owi Ménardowi. Sprawozdanie było dokładne i wyczerpujące, choć nie wnikało w szczegóły metod i źródeł. Podobnie jak siedzący przy sąsiednim stoliku Christopher Keller, Ménard uznał, że decyzja o zniszczeniu fałszywych obrazów znalezionych w pracowni Luciena Marchanda w Roussillon była ze strony Gabriela błędem. Ale i tak francuski śledczy od spraw sztuki był pod wrażeniem zakresu informacji zdobytych przez jego informatora.

– Muszę przyznać, że to wszystko ma sens. – Ménard wskazał lśniąca konstrukcję ze szkła i stali na Cour Napoléon. – Światek przestępczy w świecie sztuki jest trochę jak la pyramide. Na nielegalnym rynku działają dziesiątki tysięcy ludzi, ale kontroluje go kilka osób na samym szczycie. – Zamilkł na chwilę. – I jest oczywiste, że znasz co najmniej jednego czy dwóch z nich.

- A ty nie?

– Oui. Tylko jak widać, nie tych, co trzeba. Szybkość, z jaką zebrałeś tyle informacji w tak krótkim czasie, wprawia mnie w zakłopotanie.

– Edmond Toussaint nigdy nie pojawił się na twoim radarze?

Ménard pokręcił głową.

– Lucien Marchand też nie. Mam w nosie, co naobiecowałeś tej całej Vionnet. Rozpocznę śledztwo przeciwko niej i zarekwiruję wszelkie aktywa, w tym tę willę w Lubéron.

– Wszystko w swoim czasie, Ménard.

– Obawiam się, że nic się nie zmieniło – powiedział Francuz. – Wciąż mam związane ręce.

– Wobec tego podejrzewam, że będę musiał wymusić decyzję.

– Jak?

– Przekazując moje odkrycia jednemu z waszych europejskich partnerów.

– Któremu?

– Skoro szukamy Hiszpanki, która mieszka, albo i nie, w jakiejś wiosce na zadupiu w Pirenejach, to najbardziej logicznym wyborem będzie chyba Guardia Civil.

– Nie ufam im.

– A oni na pewno nie ufają tobie.

– To prawda.

– A co powiesz na Brytyjczyków?

– Scotland Yard kilka lat temu zlikwidował Brygadę do spraw Sztuki i Antyków. Kradzieże i podrabianie sztuki traktują tak samo jak każde inne przestępstwo przeciwko mieniu albo finansowe.

– W tej sytuacji zostają chyba tylko Włosi.

– Są najlepsi w branży – przyznał Ménard. – Ale kto jest łącznikiem z Włochami?

– Na razie go nie ma. Ale nie wątpię, że generał Ferrari i ja coś wymyślimy.

– Generał wyraża się o tobie w samych superlatywach.

– I słusznie. Kilka lat temu pomogłem mu rozbić siatkę przemytników antyków. No i pomogłem mu znaleźć zaginiony ołtarz.

– Chyba nie Caravaggia?

Gabriel skinął głową.

– Biały wieloryb – szepnął Ménard. – Jak ci się udało go odszukać?

– Wynająłem szajkę francuskich złodziei sztuki, żeby ukradli „Słoneczniki” z Muzeum van Gogha w Amsterdamie. Potem namalowałem ich kopię w kryjówce z widokiem na Pont Marie i sprzedałem ją za dwadzieścia pięć milionów euro Syryjczykowi imieniem Sam, w magazynie na peryferiach Paryża. – Gabriel zniżył głos. – A wszystko to bez twojej wiedzy.

Twarz Jacques’a Ménarda przybrała barwę obrusu.

– Ale tym razem nie będziesz kradł żadnych obrazów, co?

– Non. Co najwyżej kilka sfalszuję.

– Ile?

Gabriel się uśmiechnął.

– Cztery.

## MASON'S YARD

Niedawno Oliver Dimbleby nabrał przekonania, że ma w życiu dużo szczęścia. Owszem, jego galeria miewała wzloty i upadki – niewiele brakowało, a wielka recesja by go wykończyła – ale jakimś cudem niewidzialna ręka przeznaczenia zawsze interweniowała w samą porę, by uratować go przed bankructwem. Podobnie układało mu się w życiu osobistym, tak bałaganiarskim, że w londyńskim świecie sztuki drugiego takiego ze świecą by szukać, jak głosiła powszechna, niepozbawiona uznania opinia.

Pomimo zaawansowanego wieku i rosnącego bez przerwy brzucha Oliver nie narzekał na brak chętnych partnerek. Wszak był sprzedawcą doskonałym, mężczyzną o niezwykłym uroku i charyzmie, który, jak to z lubością powiadał, potrafiłby sprzedać piasek Sandom. Natomiast nie był kobieciarzem. Tak w każdym razie sobie powtarzał za każdym razem, gdy budził się obok nieznanego ciała po drugiej stronie łóżka. Oliver kochał kobiety. Wszystkie kobiety. I właśnie w tym tkwiło sedno jego problemu.

Na ten wieczór nie miał żadnych planów, chciał tylko wypić zasłużonego drinka... i może pośmiać się trochę z Juliana Isherwooda w Wiltons. By dotrzeć na miejsce, po wyjściu z galerii

musiał tylko skręcić w lewo i przejść sto czternaście kroków po idealnie gładkim chodniku na Bury Street. Po drodze mijał siedziby dziesiątki konkurentów, w tym potężną P. & D. Colnaghi & Co., najstarszą na świecie komercyjną galerię sztuki. Obok był sklep flagowy firmy Turnbull & Asser, na której koszule wydawał tyle, że jego deficyt osiągał rozmiar wręcz amerykański.

Po wejściu do Wiltons z przyjemnością zobaczył, że przy swoim stałym stoliku siedzi Sarah Bancroft. W barze zamówił kieliszek pouilly-fumé i przysiadł się do niej. Nieoczekiwanie uśmiechnęła się do niego tak ciepło, że niemal stanęło mu serce.

– Oliver – zamruczała. – Cóż za miła niespodzianka.

– Mówisz serio?

– A czemu miałabym kłamać?

– Bo od zawsze odnoszę silne wrażenie, że twoim zdaniem jestem odrażający.

– Nie wygłupiaj się. Ja cię wręcz uwielbiam.

– Czyli jest jeszcze dla mnie nadzieja?

Podniosła lewą rękę, pokazując pierścionek z trzykaratowym brylantem, a do kompletu obrączkę.

– Niestety, wciąż jestem mężatką.

– Jakaś szansa na rozwód?

– Nie w tej chwili.

– W takim razie – Oliver westchnął dramatycznie – chyba będę musiał się zadowolić rolą twojej seksualnej zabawki.

– Masz ich pod dostatkiem. Poza tym mój mąż raczej nie byłby zachwycony.

– Peter Marlowe? Ten zawodowy zabójca?

– Jest konsultantem biznesowym – sprostowała.

– Chyba wołałem go, kiedy był płatnym zabójcą.

– Ja też.

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszli Simon Mendenhall z Olivią Watson.

– Słyszałeś krążącą o nich plotkę? – szepnęła Sarah.

– Tę o ich gorącym romansie? Jeremy Crabbe chyba coś mi o tym wspominał. A może to był Nicky Lovegrove. Wszyscy o tym mówią.

– Straszny obciach.

– Chciałbym, żeby to samo mówili o nas. – Oliver z wilczym uśmiechem dopił wino. – Sprzedałaś coś ostatnio?

– Dwa Leonardy i Giorgionego. A ty?

– Tak po prawdzie mam chwilowy kryzys.

– Ty, Ollie? Niemożliwe.

– Wiem, trudno w to uwierzyć.

– Jak się ma twoja płynność finansowa?

– Trochę jak ciekący kran.

– A te pięć milionów, które ci dałam pod stołem za ten interes z Artemisią?

– Czy mówisz o tym świeżo odkrytym obrazie, który sprzedałem za rekordową sumę szwajcarskiemu inwestorowi, a potem się okazało, że jestem zamieszany w skandal z finansami prezydenta Rosji?

– Ale zabawa była przednia, przyznasz?

– Pięć milionów było milutkie. Ale jeśli chodzi o całą resztę, spokojnie mógłbym się bez tego obyć.

– Trele-morele, Oliverze. Niczego nie kochasz tak bardzo jak bycia w centrum uwagi. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi piękne kobiety. – Sarah zamilkła na moment. – Szczególnie Hiszpanki.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Wiem, że od lat kochasz się bez wzajemności w Penélope Cruz.

– Nicky – mruknął Oliver.

– Powiedział mi o tym Jeremy.

Oliver przyglądał jej się przez chwilę.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że mnie do czegoś werbujesz?

– Może dlatego, że tak właśnie jest.

– Chodzi o coś niegrzecznego?

– Szalenie.

– W takim razie zamieniam się w słuch – oświadczył.

– Nie tutaj.

– U mnie czy u ciebie?

Sarah uśmiechnęła się.

– U mnie, Ollie.

Niezauważeni wymknęli się z Wiltons i przeszli Duke Street do uliczki prowadzącej na Mason's Yard. Isherwood Fine Arts mieściła się na północno-wschodnim skraju czworokątnego dziedzińca, na trzech kondygnacjach podupadającego magazynu niegdyś należącego do luksusowego domu towarowego Fortnum & Mason. Przed wejściem stał srebrny bentley continental. Oliver czule pogłaskał błyszczącą maskę.

– To samochód twojego męża? – spytał, ale Sarah tylko się uśmiechnęła i otworzyła drzwi galerii.

W środku przeszli krytymi wykładziną schodami do ciasnej windy, która zawiozła ich do górnej sali wystawowej Juliana. Tam w półmroku Oliver dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden z nich w skupieniu oglądał „Chrzest Chrystusa” Parisa Bordone'a. Drugi obserwował Olivera. Ubrany był w ciemny jednorzędowy garnitur z Savile Row, pewnie od Richarda Andersona. Miał spłowiałe od słońca włosy i jasnoniebieskie oczy.

– Witaj, Oliverze – odezwał się przeciągle. I jakby po namyśle dodał: – Jestem Peter Marlowe.

– Płatny zabójca?

– Były płatny zabójca – odparł tamten z ironicznym uśmiechem. – Teraz jestem niesamowicie wziętym konsultantem biznesowym. To dlatego jeżdżę bentleyem i mam żonę, która wygląda tak jak Sarah.

– Ja nigdy jej nawet nie dotknąłem.

– Oczywiście, że nie.

Mężczyzna położył rękę na ramieniu Olivera i poprowadził go do Bordone'a. Stojący przed płótnem mężczyzna odwrócił się powoli. Wydawało się, że jego zielone oczy błyszczą w nikłym świetle.

– Mario Delvecchio! – zawołał Oliver. – A niech mnie! A może to Gabriel Allon? Często nie potrafię ich odróżnić. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrział najpierw na mężczyznę, którego znał jako Petera Marlowe'a, a potem na Sarah. W każdym razie przypuszczał, że tak miała na imię. W tej chwili jednak nie był pewien niczego, a zwłaszcza tego, na czym właściwie stoi. – Emerytowany szef izraelskiego wywiadu, były płatny zabójca, a do kompletu piękna Amerykanka, która być może pracowała dla CIA. Czego taka trójca może potrzebować od pulchnego Olivera Dimbleby'ego?

Odpowiedzi udzielił mu emerytowany izraelski szpieg.

– Pańskiej niewyczerpanej skarbnicy uroku osobistego, umiejętności wychodzenia obronną ręką z każdej sytuacji i reputacji człowieka, który czasami chodzi na skróty.

– Że niby ja? – odparł Oliver z udawanym oburzeniem. – Czuję się oburzony taką insynuacją. Jeżeli potrzebny wam jest szemrany marszand, to najlepiej wam się nada Roddy Hutchinson.

– Roddy nie ma pańskiego statusu gwiazdora. Potrzebny mi ktoś, kto potrafi narobić szumu.

– W jakiej sprawie?

– Chcę, żeby sprzedał pan dla mnie kilka obrazów.

– Coś dobrego?

– Tycjan, Tintoretto i Veronese.

- Źródło?
- Stara europejska kolekcja.
- A treść?
- Powiem panu, jak tylko je namaluję.

Pierwszym wyzwaniem dla każdego fałszerza sztuki jest zdobycie płócien i blejtramów w odpowiednim wieku, stanie i o właściwych wymiarach. Zanim Gabriel namalował swoją kopię „Słoneczników” Vincenta, musiał kupić trzeciorzędny pejzaż miejski jakiegoś impresjonisty w małej galerii niedaleko Jardin du Luxembourg. Tym razem nie musiał się uciekać do takich metod. Wystarczyło tylko zjechać windą do magazynu Juliana pękającego od apokaliptycznych rozmiarów zbiorów, który w branży czule nazywano kostnicą. Wybrał tam sześć pomniejszych dzieł szkoły weneckiej z szesnastego wieku – naśladowców takiego a takiego, w manierze tego czy owego, z pracowni jak mu tam było...? – i poprosił Sarah, by wysłała to ekspresem do jego apartamentu w San Polo.

- Dlaczego sześć, a nie trzy?
- Potrzebuję dwa zapasowe na wypadek, gdyby coś się zniszczyło.
- A ostatni po co?
- Zamierzam zostawić Gentileschiego u mojej przykrywki we Florencji.
- Głupie pytanie – mruknęła Sarah. – A jak wyjaśnimy Julianowi brak tych obrazów?
- Przy odrobinie szczęścia w ogóle się nie zorientuje.

Sarah przykazała firmie spedycyjnej, by stawili się nazajutrz nie później niż o dziewiątej rano, i zaleciła Julianowi, żeby wziął dzień wolnego. Mimo to o zwykłej porze, kwadrans po dwunastej, przybłąkał się na Mason’s Yard akurat w chwili, gdy ładowano zapakowane skrzynie z obrazami do forda transita. Wynikła stąd

tragikomedia nie obyła się bez kolejnego zderzenia z przedmiotem nieożywionym. Tym razem była to niszcarka do dokumentów Sarah, do której, w napadzie rozczulania się nad sobą, Julian usiłował się wpakować.

Gabriela ominęło to widowisko, ponieważ jechał już wtedy taksówką z lotniska Fiumicino na rzymski Piazza di Sant'Ignazio. Tam zajął stolik w Le Cave, jednej ze swoich ulubionych restauracji w centro storico. Mieściła się ona o kilka kroków od bogato zdobionego biało-żółtego palazzo, w którym swoją siedzibę miała Brygada Sztuki.

O wpuł do drugiej drzwi palazzo otworzyły się i pojawił się generał Ferrari w obwieszonym medalami niebiesko-złotym mundurze. Przeszedł po szarym bruku placu i bez słowa powitania przysiadł się do Gabriela. Kelner natychmiast postawił na stoliku lodowatą butelkę frascati oraz półmisek smażonych arancini.

– Dlaczego mnie tak nie traktują, kiedy wchodzę do restauracji? – spytał Gabriel.

– To na pewno zasługa munduru. – Generał wyłowił z półmiska jedną ryżową kulkę. – Nie powinieneś być przypadkiem w Wenecji, z żoną i dziećmi?

– Pewnie tak. Ale najpierw muszę zamienić z tobą słowo.

– Na temat?

– Chodzi mi po głowie zajęcie się działalnością przestępczą i jestem ciekaw, czy też chciałbyś wziąć w tym udział.

– Jakie nieczne czyny masz na myśli tym razem?

– Fałszowanie sztuki.

– No cóż, do tego masz niewątpliwy talent – przyznał generał. – A co ja z tego będę miał?

– Głośne śledztwo, które do cna wstrząśnie światem sztuki i zapewni, że hojne finansowanie oraz skład personalny Brygady

Sztuki przez wiele lat nie zostaną uszczuplone.

- Czy na włoskiej ziemi popełniono jakieś przestępstwo?
- Jeszcze nie – odparł Gabriel z uśmiechem. – Ale już niedługo.

## MOST WESTCHNIĘĆ

Umberto Conti, powszechnie uważany za największego konserwatora sztuki w dwudziestym wieku, przekazał Francesco Tiepolowi magiczny pęk kluczy, które otwierały wszystkie drzwi w Wenecji. Przy drinkach w Harry's Bar Francesco powierzył je Gabrielowi. Tego samego dnia, późnym wieczorem, Gabriel wśliznął się do Scuola Grande di San Rocco, gdzie spędził dwie godziny sam na sam z jednymi z największych dzieł Tintoretta. Następnie sforsował obronę pobliskiego kościoła Frari i stanął zauroczony przed apodyktycznym „Wniebowzięciem Najświętszej Marii Panny” Tycjana. W głębokiej ciszy przeogromnej nawy przypomniał sobie słowa, które Umberto skierował do niego, kiedy był jeszcze sponiewieranym przez życie siwowłosym dwudziestopięciolatkiem.

„Tylko człowiek, któremu zniszczono własne płótno, może zostać naprawdę wielkim konserwatorem...”

Umberto nie pochwaliby najnowszego zlecenia swego uzdolnionego ucznia. Francesco zresztą też nie, skoro już o tym mowa. A jednak zgodził się na rolę konsultanta w całym tym projekcie. Był przecież jednym z najlepszych na świecie ekspertów

od malarzy ze szkoły weneckiej. Jeśli Gabrielowi uda się wyprowadzić w pole Francesca Tiepolo, to zdoła oszukać każdego.

Francesco zgodził się także towarzyszyć Gabrielowi w jego nocnych eskapadach po Wenecji, choćby tylko po to, by nie dopuścić do kolejnego niefortunnego zdarzenia, takiego jak to z nieszczęsnym kapitanem Rossettim. Zakradali się do kościołów i scuole, włoczyli się po Accademia oraz Museo Correr, a nawet zaatakowali Pałac Dożów. Spoglądając przez obramowane kamieniem okna Mostu Westchnień, Francesco podsumował trudności związane z czekającym ich zadaniem.

– Cztery dzieła czterech z największych malarzy w historii. Jedynie szalenie mógłby się porwać na coś takiego.

– Skoro on to potrafi, to ja również.

– Fałszerz?

Gabriel przytaknął ruchem głowy.

– Wiesz, że to nie są zawody.

– Ależ są. Muszę im udowodnić, że byłbym dla ich siatki cennym nabytkiem. Inaczej nie spróbują mnie pozyskać.

– I dlatego dałeś się w to wciągnąć? Dla wyzwania?

– Skąd ci przyszło do głowy, że dla mnie to będzie wyzwanie?

– Nie brak ci pewności siebie, co?

– Jemu też nie.

– Wy, fałszerze sztuki, jesteście wszyscy tacy sami. Zawsze musicie coś udowodnić. On jest pewnie niedoszłym malarzem, który mści się na świecie sztuki, oszukując znawców i kolekcjonerów.

– Znawców i kolekcjonerów dopiero czeka niespodzianka – oświadczył Gabriel.

Całe dni spędzał w swojej pracowni nad monografiami, katalogami raisonné oraz zdjęciami swoich dawnych prac konserwatorskich, w tym kilku, które zrobił dla Francesca. Po

długich deliberacjach, nierzadko prowadzonych podniesionymi głosami, wspólnie uzgodnili tematykę i ikonografię czterech falsyfikatów. Gabriel wykonał serię wstępnych szkiców, które potem zamienił w szybko namalowane próbne obrazy. Francesco orzekł, że najlepszym z nich jest nowa wersja „Danaë w deszczu złota” Gentileschiego, a niewiele ustępuje mu „Zuzanna w kąpielni” Veronesego. Gabriel zgodził się z jego oceną dotyczącą pierwszego z tych obrazów, sam jednak bardzo lubił swoją reinterpretację „Wesela Bachusa i Ariadny” Tintoretta. Jego Tycjan, pastisz „Kochanków”, także nie był zły, choć uznał, że pociągnięcia pędzlem są nieco niepewne.

– Jak można się wyzbyć niepewności, fałszując Tycjana?

– Francesco, to byłaby oczywista wskazówka, że coś jest nie tak.

Ja muszę się stać Tycjanem. Inaczej będziemy w kropce.

– A co zamierzasz zrobić z tym?

– Spalić. Pozostałe też.

– Czyś ty postradał zmysły?

– Najwyraźniej tak.

Nazajutrz z samego rana Gabriel wyjął ze skrzyni jedno z płócien, które podgrandził z magazynu Juliana – obraz dewocyjny ze szkoły weneckiej z początku szesnastego wieku, bez żadnej wartości materialnej i artystycznej. A mimo to poczuł wyrzuty sumienia, kiedy zdrapywał z płótna pracę nieznanego artysty i nakładał na nie gips sztukatorski oraz imprimaturę z bieli ołowiowej, ze śladami barwnika sadzowego i żółtej ochry. Następnie wykonał podłoże malarskie – pędzlem, tak jak sam by to zrobił, malując własne dzieło – oraz drobiazgowo przygotował paletę. Biel ołowiowa, prawdziwa ultramaryna, kraplak, siena palona, malachit, żółta ochra, czerwona ochra, aury pigment, czerń kostna. Przed rozpoczęciem pracy raz jeszcze zadumał się nad tym, jak zmienne są losy jego kariery. Nie

był już szefem potężnej służby wywiadowczej ani nawet jednym z najwybitniejszych konserwatorów sztuki na świecie.

Był słońcem pośród mniejszych gwiazd.

Był Tycjanem.

Przez większą część następnego tygodnia Chiara i dzieci prawie go nie widywali. Jeśli już z rzadka wychodził z pracowni, był podenerwowany, zaabsorbowany i zupełnie nie przypominał siebie. Tylko raz przyjął zaproszenie Chiary na lunch. Jego dłonie zostawiły plamy farby na jej piersiach i brzuchu.

– Mam wrażenie, że kochałam się z jakimś innym mężczyzną.

– Bo to prawda.

– Kim jesteś?

– Chodź ze mną, pokażę ci.

Otulona prześcieradłem Chiara poszła za nim do pracowni i stanęła przed obrazem. W końcu szepnęła:

– Z ciebie jest wybryk natury.

– Podoba ci się?

– Jest absolutnie...

– Niesamowity, prawda?

– Dostrzegam w nim coś z Giorgionego.

– Tylko dlatego, że nadal byłem pod jego wpływem, kiedy malowałem to w tysiąc pięćset dziesiątym.

– Kim będziesz potem?

Jacobo Robusti, artysta znany jako Tintoretto, był wykształconym poważnym człowiekiem, który rzadko wyjeżdżał z Wenecji i mało kogo wpuszczał do swojej pracowni. Na pociechę można mu przyznać to, że należał do najszybszych malarzy w republice. Gabriel skończył swoją wersję „Wesela Bachusa i Ariadny” dwa razy szybciej, niż zajęła mu praca nad „Kochankami”. Mimo to Chiara

uznała, że obraz pod każdym względem jest lepszy od Tycjana, a jej zdanie podzielił Francesco.

– Niestety, twoja żona ma rację. Jesteś wybrykiem natury.

Następnie Gabriel wcielił się w osobowość i niesamowitą paletę Paola Veronesego. Na „Zuzannę w kąpeli” potrzebował największego z sześciu płócien zdobytych w Isherwood Fine Arts i kilku dni na ukończenie dzieła – głównie dlatego, że specjalnie uszkodził obraz i potem go odrestaurował. W trakcie pracy nad tym dziełem trzykrotnie odwiedził go Luca Rossetti. Gabriel z pędzlem w ręku zrobił młodemu oficerowi carabinieri wykład na temat wartości artystycznej i oszukańczych rodowodów jego czterech sfalszowanych arcydzieł. Z kolei Rossetti opowiedział Gabrielowi o stanie przygotowań do ich nadchodzącej operacji. Obejmowały one zdobycie dwóch nieruchomości – stojącej na uboczu willi dla prowadzącego pustelniczy tryb życia fałszerza oraz mieszkania we Florencji dla jego przedstawiciela.

– Mieści się na południowym brzegu Arno, na Lungarno Torrigiani. Zapchaliśmy je obrazami i antykami z magazynu dowodów Brygady Sztuki. Bez dwóch zdań wygląda na mieszkanie marszanda.

– A willa?

– Pański przyjaciel, Ojciec Święty, zadzwonił do hrabiego Gasparriego. Wszystko już załatwione.

– Kiedy może pan się wprowadzić do nowego mieszkania i przybrać nową tożsamość?

– Kiedy tylko pan uzna, że jestem gotowy.

– A jest pan?

– Znam swoje kwestie – odparł Rossetti. – I nigdy nie sądziłem, że będę miał taką wiedzę o malarzach ze szkoły weneckiej.

– Jak się nazywał Veronese za młodu? – zapytał Gabriel.

– Paolo Spezapreda.

– A dlaczego?

– Jego ojciec był kamieniarzem. W tamtych czasach tradycyjnie nadawano dzieciom nazwiska od zawodu ojców.

– A dlaczego zaczął się przedstawiać jako Paolo Caliari?

– Jego matka była nieślubnym dzieckiem szlachcica, który nazywał się Antonio Caliari. Młody Paolo uznał, że lepiej jest nosić nazwisko szlachcica niż kamieniarza.

– Nieźle. – Gabriel wyjął zza paska spodni berettę. – Ale czy dasz radę mówić o tym z taką pewnością siebie, kiedy ktoś przystawi ci coś takiego do głowy?

– Wychowałem się w Neapolu – odparł Rossetti. – Większość moich przyjaciół z dzieciństwa jest teraz w camorrze. Nie pękam, jeśli ktoś przy mnie wymachuje bronią.

– Słyszałem plotki, że jakiś podstarzały malarz ze szkoły weneckiej spuścił ci kiedyś niezły łomot w San Polo.

– Podstarzały malarz zaatakował mnie bez uprzedzenia.

– Bo tak to wygląda w prawdziwym świecie. Przestępcy rzadko uprzedzają o swoich zamiarach, zanim się uciekną do przemocy. – Gabriel schował pistolet za pasek na plecach i przyjrzał się wysokiemu obrazowi. – I co pan o tym sądzi, signore Calvi?

– Musi pan przyciemnić stroje obu starszych. Inaczej nie uda mi się przekonać Olivera Dimbleby’ego, że namalowano to pod koniec szesnastego wieku.

– Oliver Dimbleby będzie najmniejszym z pańskich problemów – odparł Gabriel.

Zanim rozpoczął pracę nad Gentilem, był już tak zmęczony, że ledwo mógł utrzymać pędzel w ręku. Całe szczęście, że Chiara zgodziła się pozować, ponieważ artysta, w którego próbował się wcielić, preferował metodę Caravaggia i wolał, by mu pozowali żywi

modele. Swojej Danaë nadał ciało i rysy twarzy Chiary, tyle że zmienił ciemne włosy żony na złote, a jej oliwkową skórę na lśniący alabaster. Większość ich sesji nie mogła się obyć bez intermezza w sypialni – pośpiesznego, bo czas Gabriela był ograniczony. Końcowym rezultatem ich współpracy był obraz zaskakujący pięknem i zawoalowanym erotyzmem. Oboje zgodnie przyznawali, że to najlepsze z czterech dzieł.

Podobnie jak pozostałe trzy obrazy, także i ten był nietknięty krakelurą, co jednoznacznie dowodziło, że jest to współczesne fałszerstwo, a nie dzieło któregoś z dawnych mistrzów. Rozwiązaniem okazał się wielki profesjonalny piec. Generał Ferrari zdobył go z zarekwirowanych zapasów zarządzanej przez mafię firmy handlującej sprzętem kuchennym i dostarczył go do magazynu Konserwacji Zabytków Tiepolo. Po zdjęciu czterech płócien z blejtramów Gabriel wypalał je przez trzy godziny w temperaturze stu stopni Celsjusza. Potem, przy pomocy Francesca, przeciągnął obrazy po krawędzi roboczego stołu, najpierw pionowo, potem poziomo. W rezultacie otrzymał piękną siatkę pęknięć powierzchni w stylu włoskim.

Wieczorem, gdy został w pracowni sam, polakierował obrazy. A rano, kiedy lakier już wysechł, sfotografował je umieszczonym na statywie nikonem. Tycjana i Tintoretta powiesił na ścianie salonu apartamentu, Gentileschiego przekazał generałowi Ferrarimu, a Veronesego wysłał do Sarah Bancroft w Londynie.

Fotografie przesłał mejlem bezpośrednio do Olivera Dimbleby'ego, jedyne go właściciela Dimbleby Fine Arts, galerii mieszczącej się przy Bury Street, na którego krągłych barkach spoczywało powodzenie całego przedsięwzięcia. Krótko przed północą jedno ze zdjęć pojawiło się na stronie internetowej „ARTnews” pod nazwiskiem autorki artykułu, Amelii March. Gabriel

przeczytał ten materiał swojej ciemnowłosej Danaë o karnacji oliwkowej. A ona kochała się z nim w deszczu złota.

## KURFÜRSTENDAMM

Artykuł oparto jakoby na słowach jednego informatora, który chciał pozostać anonimowy. Ale nawet to nie było prawdą, ponieważ pierwszy cynk dała Sarah Bancroft, informację zaś potwierdził nieoficjalnie Oliver Dimbleby, który także dostarczył zdjęcie – a zatem artykuł oparto na dwóch źródłach.

Dzieło, o którym mowa, miało podobno 92 centymetry wysokości i 74 szerokości. Przynajmniej to się zgadzało. Nie wyszło jednak spod ręki malarza z okresu późnego renesansu znanego jako Tycjan i nie sprzedano go po cichu wybitnemu kolekcjonerowi, który pragnął zachować anonimowość. Prawda wyglądała bowiem tak, że żaden kupiec, wybitny czy nie, nie istniał, i nie doszło do żadnej transakcji. A co do obrazu, wisiał teraz we wspaniałym piano nobile z widokiem na Canal Grande w Wenecji, ciesząc oczy żony i dwojga małych dzieci świeżego na rynku fałszerza dzieł sztuki, który go stworzył.

Marszandzi, kustosze i licytatorzy londyńskiego świata sztuki przyjęli tę wiadomość z zaskoczeniem i sporą dawką zazdrości. W końcu Oliver wciąż się pławił w blasku swojego ostatniego dokonania. W salach aukcyjnych i barach w St. James's i Mayfair

zadawano pytania, przeważnie konspiracyjnym szeptem. Czy ten nowy Tycjan ma wiarygodne pochodzenie, czy może spadł z paki ciężarówki? Czy pulchny Oliver był pewny atrybucji? Czy ktoś wie coś więcej niż to, do czego Oliver się przyznawał? I jaką właściwie rolę odegrał w tej transakcji? Czy rzeczywiście sprzedał obraz anonimowemu nabywcy? A może był jedynie pośrednikiem, który przy okazji zgarnął sutą prowizję?

Przez trzy niekończące się dni Oliver ani nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał, że to on dokonał sprzedaży rzeczzonego dzieła. W końcu potwierdził to w krótkim oświadczeniu, które na dobrą sprawę nie wyjaśniało nic więcej niż pierwotny artykuł Amelii March. Znalazły się w nim tylko dwie nowe informacje: że obraz pochodził ze starej europejskiej kolekcji i że zbadali go aż czterej czołowi eksperci od szkoły weneckiej. Wszyscy czterej uznali bez żadnych wątpliwości i zastrzeżeń, że obraz wyszedł spod ręki samego Tycjana, a nie pracownika jego warsztatu ani późniejszego naśladowcy.

Wieczorem tego dnia Oliver przeszedł sto czternaście kroków ze swojej galerii do baru w Wiltons i zgodnie z miejscową tradycją bezzwłocznie zamówił sześć butelek szampana. Sporo komentarzy wywołał fakt, że był to Taittinger Comtes Blanc de Blanc, najdroższy w karcie win. A jednak obecni twierdzili później, że jak na kogoś, kto właśnie ubił jedną z największych od lat transakcji w świecie sztuki, Oliver wydawał się przygaszony. Nie chciał ujawnić ceny, jaką osiągnął Tycjan, i udawał, że ogłuchł, kiedy Jeremy Crabbe domagał się od niego dodatkowych szczegółów na temat pochodzenia płótna. Około ósmej wziął Nicky'ego Lovegrove'a na stronę, by pogadać z nim od serca, co dało asumpt domysłom, że nieujawnionym kupcem Olivera był któryś z superbogatych klientów Nicky'ego. Nicky zaklinał się wprawdzie, że nic podobnego, Oliver jednak wymijająco uchylił się od komentarza. W końcu, ucałowawszy Sarah

Bancroft, która nadstawiła mu policzek, wyszedł na Jermyn Street i zniknął.

Następnego dnia, w długim artykule zamieszczonym w „Art Newspaper”, ujawniono, że nieznany nabywca złożył ofertę kupna od ręki po tym, jak zapewniono mu prywatne oględziny płótna w galerii Olivera. Według „Independent” oferta wyniosła dwadzieścia pięć milionów funtów. Niles Dunham, specjalista od dawnych mistrzów z National Gallery, zaprzeczył doniesieniom, jakoby badał autentyczność obrazu na zlecenie Olivera. O dziwo, tak samo postąpili wszyscy inni znawcy malarstwa szkoły włoskiej w Wielkiej Brytanii.

Największe zdziwienie wywołało jednak zdjęcie obrazu, przynajmniej w znanym z obmawiania konkurencji świątku St. James’s. Przez lata Oliver korzystał z usług tego samego fotografa – słynnej Prudence Cuming z Dover Street. Ale nie, jak się okazało, w przypadku nowo odkrytego Tycjana. Chyba jeszcze więcej podejrzeń wywołało jego twierdzenie, że sam wykonał zdjęcie. Powszechnie zgadzano się, że Oliver radzi sobie ze szklaneczką dobrej whisky albo z kształtnym tyłeczkiem, ale nie z aparatem fotograficznym.

A jednak nikt, nawet nieprzebierający w środkach Roddy Hutchinson, nie podejrzewał Olivera o przestępstwo. Panowała powszechna zgoda, że jego jedyną winą jest zaledwie ochrona tożsamości swojego źródła, co wśród marszandów jest codzienną praktyką. Wyszło więc jedyny logiczny wniosek, że wkrótce z tej samej europejskiej kolekcji wypłynie następny godny uwagi obraz.

I kiedy w końcu nastąpiło to, co nieuchronne, znów Amelia March z „ARTnews” napisała o tym jako pierwsza. Tym razem chodziło o „Wesele Bachusa i Ariadny” weneckiego malarza Tintoretta – sprzedaż całkowicie prywatna, ceny nie ujawniono.

Nikogo więc nie zdziwiło, że zaledwie dziesięć dni później galeria Dimbleby Fine Arts podała do wiadomości publicznej, że ma najnowsza pozycję w ofercie: „Zuzannę w kąpielni”, olej na płótnie, 194 na 194 centymetry, pędzla Paola Veronesego. Zrobienie zdjęcia galeria powierzyła Prudence Cuming z Dover Street. Świątek sztuki wpadł w zachwyty.

Pomijając, rzecz jasna, wpływowego dyrektora florenckiej Gallerii Uffizi, który nagłe pojawienie się trzech obrazów włoskich dawnych mistrzów uznał za, oględnie mówiąc, podejrzane. Zadzwoił więc do generała Ferrariego z Brygady Sztuki i zażądał natychmiastowego dochodzenia. Z pewnością, darł się przez telefon do Rzymu, płótna wywieziono z Włoch z pogwałceniem drakońskich przepisów Kodeksu Dziedzictwa Narodowego. Generał obiecał, że zajmie się sprawą, choć mówiąc to, miał mocno skrzyżowane palce. Ma się rozumieć, nie poinformował dyrektora, że wspomniane obrazy to współczesne falsyfikaty, a on sam działa ręką w rękę z fałszerzem.

Fikcyjny przedstawiciel fałszerza – kolekcjoner, a czasem też marszand przedstawiający się jako Alessandro Calvi – zajmował obecnie pełne dzieł sztuki mieszkanie w zasięgu wzroku z Gallerii Uffizi, na Lungarno Torrigiani. Tak się złożyło, że dwa dni później generał Ferrari miał powód, by zadzwonić do tego podejznanego osobnika w całkiem innej sprawie. Chodziło o wiadomość, którą fałszerz otrzymał od dobrze zakonspirowanego informatora w Paryżu – złodzieja dzieł sztuki i marszanda Maurice’a Duranda.

– Galerie Konrad Hassler. Mieści się na Kurfürstendamm w Berlinie. Po drugiej stronie ulicy jest kawiarenka. Pański wspólnik spotka się tam z panem jutro o trzeciej po południu.

I tak oto fikcyjny przedstawiciel fałszerza, którym był kapitan Luca Rossetti, z samego rana następnego dnia opuścił luksusowy apartament nad brzegiem Arno i pojechał taksówką na lotnisko we

Florencji. Jego skrojony na miarę włoski garnitur był nowy i drogi, podobnie jak ręcznie szyte buty i dyplomaska z miękkiej skóry. Na nadgarstku miał zegarek marki Patek Philippe. Tak jak jego kolekcja sztuki i antyków, został wypożyczony z magazynu dowodów carabinieri.

Plan podróży Rossettiego obejmował międzylądowanie w Zurychu, więc kiedy się zjawił w kafejce na Kurfürstendamm, dochodziła trzecia. Gabriel siedział przy stoliku na zewnątrz, w cętkowanym cieniu platanu. Szybko zamówił u kelnerki po niemiecku dwie kawy, po czym wręczył Rossettiemu szarą kopertę.

W środku były dwa zdjęcia. Pierwsze przedstawiało trzy obrazy bez ram, ustawione obok siebie pod ścianą pracowni malarza – Tycjana, Tintoretta i Veronesego. Drugie, wysokiej jakości, ukazywało „Danaë w deszczu złota”, rzekomo pędzla Orazia Gentileschiego. Rossetti doskonale znał ten obraz, bo obecnie wisiał on na ścianie apartamentu we Florencji.

– Kiedy on się mnie spodziewa?

– O trzeciej trzydzieści. Z tego, co wie, nazywa się pan Giovanni Rinaldi i jest pan z Mediolanu.

– Jak mam to rozegrać?

– Niech pan przedstawi Herr Hasslerowi niepowtarzalną okazję kupna zaginionego arcydzieła. Poza tym niech pan jasno da do zrozumienia, że to pan jest źródłem tych trzech obrazów, które ostatnio wypłynęły w Londynie.

– Mam mu powiedzieć, że są fałszywe?

– Nie będzie pan musiał. Na widok tych zdjęć sam to zrozumie.

– Dlaczego się zwracam do niego?

– Ponieważ szuka pan drugiego dystrybutora na oferowany przez pana towar, a słyszał pan, że jego uczciwość ma swoje granice.

– Jak pan sądzi, jak zareaguje?

– Albo złożę panu propozycję, albo wyrzuci pana z galerii. Ja stawiam na to drugie. Przed wyjściem niech pan nie zapomni zostawić tam zdjęcia Gentileschiego.

– A co będzie, jeśli zadzwoni na policję?

– Przestępcy nie dzwonią na policję, Rossetti. Przeciwnie, za wszelką cenę starają się jej unikać.

Oficer carabinieri spuścił wzrok na zdjęcie.

– Kiedy się urodził? – zapytał cicho Gabriel.

– W tysiąc pięćset sześćdziesiątym trzecim.

– Jak się nazywał?

– Orazio Lomi.

– Czym się zajmował jego ojciec?

– Był złotnikiem we Florencji.

– A kim był Gentileschi?

– Jego wujkiem, u którego mieszkał po przeprowadzce do Rzymu.

– Gdzie namalował „Danaë w deszczu złota”?

– Prawdopodobnie w Genui.

– A gdzie ja namalowałem swoją wersję?

– Nie pański interes.

Kapitan Luca Rossetti opuścił kawiarnię o trzeciej dwadzieścia siedem po południu i przeszedł na drugą stronę eleganckiej, wysadzonej drzewami alei. Gabriel spiął się, kiedy młody oficer carabinieri wyciągnął prawą rękę do interkomu Galerie Konrad Hassler. Minęło piętnaście sekund, dostatecznie dużo, by marszand mógł się dobrze przyjrzeć swojemu gościowi. A potem Rossetti naparł na szklane drzwi i zniknął.

Pięć minut później telefon Gabriela zawibrował, sygnalizując połączenie przychodzące. Dzwonił generał Ferrari.

– Nic nie wybuchło, co?

– Na razie nie.

– Daj mi znać od razu, kiedy on stamtąd wyjdzie – powiedział generał i się rozłączył.

Gabriel odłożył telefon na stolik i przeniósł wzrok na galerię. Do tej pory obaj mężczyźni powitania mieli już za sobą, więc przeszli do gabinetu marszanda zapewniającego prywatność. Na jego biurku leżała już fotografia. A może i dwie. Oglądane razem, zdjęcia te jasno dowodziły, że na scenę nielegalnego rynku sztuki wkroczył utalentowany nowy fałszerz. A właśnie taką wiadomość Gabriel pragnął przesłać.

W tym momencie telefon znowu zawibrował.

– Co tam się wyprawia? – zapytał generał Ferrari.

– Zaczekaj, przebiegnę przez ulicę i sprawdzę.

Tym razem to Gabriel przerwał połączenie. Dwie minuty później otworzyły się drzwi galerii i na ulicę wyszedł Rossetti, a za nim dobrze ubrany mężczyzna o szpakowatych włosach i czerwonej twarzy. Wymienili na koniec kilka słów, gniewnie celując w siebie palcami. A potem Rossetti dał nura do taksówki i odjechał, zostawiając purpurowego na twarzy marszanda na chodniku. Ten, zanim wrócił do galerii, rozejrzał się po alei na prawo i lewo.

Wiadomość dotarła, pomyślał Gabriel.

Wybrał numer Rossettiego.

– Wygląda na to, że się zakolegowaliście.

– Poszło dokładnie tak, jak pan przewidział.

– Gdzie jest fotografia?

– Całkiem możliwe, że chcąc jak najszybciej wyjść z galerii, w pośpiechu zostawiłem ją na jego biurku.

– Długo potrwa, zanim ją wyśle naszej dziewczynie?

– Niedługo – odparł Rossetti.

## QUEEN'S GATE TERRACE

Aż do końca tygodnia telefon w Dimbleby Fine Arts dzwonił właściwie bez przerwy. Pierwszą linię obrony stanowiła Cordelia Blake, mająca anielską cierpliwość recepcjonistka. Tych, których nazwiska знаła – wieloletnich klientów albo przedstawicieli najważniejszych muzeów – przełączała od razu do Olivera. Tych o mniejszej renomie prosiła o pozostawienie szczegółowej wiadomości, ale nie gwarantowała, że doczekają się odpowiedzi. Wyjaśniała, że ambicją pana Dimbleby jest znalezienie dla Veronesego odpowiedniego domu. Nie zamierzał sprzedawać obrazu pierwszemu lepszemu klientowi.

Za plecami Cordelii Oliver wysyłał każdą z jej różowych fiszek z wiadomościami do Sarah Bancroft w Mason's Yard, a ona z kolei przekazywała nazwiska i numery Gabrielowi do Wenecji. Do końca pracy w piątek Dimbleby Fine Arts dostała ponad dwieście próśb o możliwość obejrzenia fałszywego Veronesego – od dyrektorów największych muzeów na świecie, przedstawicieli znamienitych kolekcjonerów, a także od mnóstwa dziennikarzy, marszandów i znawców włoskich dawnych mistrzów. Z wyjątkiem kustosza muzeum J. Paula Getty'ego w Los Angeles żadne nazwisko na liście

nie było pochodzenia hiszpańskiego i żaden z pozostawionych numerów telefonów nie zaczynał się od kierunkowego do Hiszpanii. Pragnienie obejrzenia obrazu wyraziły czterdzieści dwie kobiety, przy czym wszystkie były doskonale znane w świecie sztuki.

Należała do nich dziennikarka z londyńskiego oddziału „New York Timesa”. Za zgodą Gabriela Oliver pozwolił, by obejrzała obraz w następny poniedziałek, a w środę wieczorem jej artykuł i towarzyszące mu zdjęcia były już na ustach całej branży. W rezultacie Dimbleby Fine Arts zalała kolejna lawina telefonów. Wśród nowych dzwoniących były dwadzieścia dwie kobiety. Ani ich nazwiska, ani numery telefonów nie wskazywały na Hiszpanię. A jeśli wierzyć Cordelii Blake, żadna z nich nie mówiła z hiszpańskim akcentem.

Gabriel obawiał się najgorszego – że kobieta stanowiąca przykrywkę dla siatki fałszerzy nie zamierzała wziąć udziału w przyjęciu, które tak drobiazgowo przygotował na jej cześć. Mimo to polecił Oliverowi, by sporządził rozpiskę oględzin obrazu. Miały trwać tylko przez tydzień. Widelki cenowe ustalono na piętnaście do dwudziestu milionów funtów, by oddzielić ziarno od plew. Oliver miał także wyraźnie zaznaczać, że rezerwuje sobie prawo do niesprzedawania dzieła temu, kto wylicytuje najwięcej.

– Tylko przypilnuj, żeby światła w sali wystawowej były przygaszone – dodał Gabriel. – Inaczej wśród klientów znajdzie się jakieś sokole oko, które zauważy, że twój nowo odkryty Veronese to falsyfikat.

– Nie ma mowy. Przynajmniej na pierwszy rzut oka obraz wygląda jak Veronese namalowany w szesnastym wieku.

– Bo to on go namalował, Oliverze. Ja tylko przypadkiem trzymałem wtedy pędzel.

Przez całą sobotę Gabriel żeglował po Adriatyku z Chiarą i dziećmi, a w niedzielę, dwa dni przed pierwszymi oględzinami, poleciał do Londynu. Zaraz po wylądowaniu udał się do mieszkania Christophera i Sarah przy Queen's Gate Terrace. A tam, na granitowym blacie kuchennej wyspy, czekało na niego zdjęcie z monitoringu na lotnisku Heathrow, skan hiszpańskiego paszportu oraz wydruk z książki meldunkowej gości hotelu Lanesborough.

Sarah z uśmiechem podała mu kieliszek szampana Bollinger Special Cuvée.

– Tagliatelle z ragù czy cielęcina alla Milanese?

Wysoka i smukła, miała szerokie ramiona pływaczki, szczupłe biodra i długie nogi. Ubrana była w ciemny oficjalny kostium, ale śmiały dekolt jej białej bluzki odsłaniał wspaniałą krzywizną delikatnie sterczących piersi. Jej niemal czarne włosy opadały długimi prostymi pasmami na plecy. Nawet w niekorzystnym świetle terminalu 5 na lotnisku Heathrow lśniły jak świeżo polakierowany obraz.

Jeśli wierzyć paszportowi, nazywała się Magdalena Navarro. Miała trzydzieści dziewięć lat i mieszkała w Madrycie. Przyleciała na Heathrow liniami Iberia, lotem 7459, i siedem po trzeciej po południu zadzwoniła do Dimbleby Fine Arts ze swojego pokoju w Lanesborough. Rozmowa od razu została przekierowana na telefon komórkowy Olivera. Odsłuchawszy wiadomość, zadzwonił do Sarah, która namówiła męża, agenta Secret Intelligence Service Jej Królewskiej Mości, aby nieoficjalnie zerknął na dane Hiszpanki. Christopher zrobił to za zgodą swojego dyrektora generalnego.

– Naszym kuzynom z MI5 skompletowanie akt zajęło całe dwadzieścia minut.

– Czy przyjrzeni się jej ostatnim podrójom?

– Wygląda na to, że często odwiedza Francję, Belgię i Niemcy. Dużo czasu spędza też w Hongkongu i Tokio.

Christopher zapalił marlboro i wydmuchał chmurę dymu pod sufit swojego elegancko urządzonego salonu. Miał na sobie obcisłe chinosy i drogi kaszmirowy sweter. Sarah była ubrana swobodniej, w stretchowe dżinsy i koszulkę z logo Uniwersytetu Harvarda. Wydłubała papierosa z paczki męża i przypaliła szybko, zanim Gabriel zdążył zaprotestować.

– Jeszcze jakieś ciekawe podróże? – zapytał.

– Mniej więcej raz w miesiącu lata do Nowego Jorku. Zdaje się, że mieszkała tam przez kilka lat w połowie pierwszej dekady tego wieku.

– Karty kredytowe?

– Służbowa American Express. Szemrana firma zarejestrowana w Liechtensteinie. Korzysta z niej tylko podczas podróży zagranicznych.

– Co pomaga ukryć miejsce jej zamieszkania w Hiszpanii. – Gabriel odwrócił się do Sarah. – Jak opisała się w wiadomości?

– Twierdzi, że jest pośredniczką, ale nie ma własnej strony w internecie ani nie znajdziesz jej w LinkedIn, a Oliver i Julian nigdy o niej nie słyszeli.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy naszą dziewczynę.

– Owszem – przytaknęła Sarah. – Pytanie tylko, jak długo każemy jej czekać?

– Dostatecznie długo, żeby stworzyć wrażenie, że ona jest zupełnie bez znaczenia.

– A potem?

– Będzie musiała przekonać Olivera, aby pozwolił jej obejrzeć obraz.

– Może być niebezpiecznie – powiedziała Sarah.

- Oliver da sobie radę.
- Nie o niego się martwię.

Gabriel się uśmiechnął.

- W miłości i fałszowaniu obrazów wszystkie chwytły są dozwolone.

## DIMBLEBY FINE ARTS

Nazajutrz o dziesiątej rano do Dimbleby Fine Arts dotarł dyrektor National Gallery w towarzystwie nieomylnego Nilesa Dunhama i trzech innych kustoszy specjalizujących się we włoskich dawnych mistrzach. Węszyli, szperali, obmacywali, badali od podszewki i oglądali płótno w ultrafiolecie. Nikt nie kwestionował autentyczności dzieła, a tylko jego pochodzenie.

– Stara europejska kolekcja? Trochę to naciągane, Oliverze. Ale tak czy siak, muszę go mieć.

– Wobec tego powinienes mi złożyć ofertę.

– Nie będę brał udziału w wyścigu, kto da więcej.

– Ależ oczywiście, że będziesz.

– Kto jest następny w kolejce?

– Getty.

– Ani mi się waż!

– No chyba że zaproponują dobrą cenę.

– Drań.

– Pochlebstwami daleko nie zajedziesz.

– Widzimy się wieczorem w Wiltons?

– Chyba że dostanę lepszą propozycję.

Muzealnicy z Getty'ego stawili się o jedenastej. Byli młodzi, opaleni i nadziani. Złożyli ofertę kupna w ciemno za dwadzieścia pięć milionów funtów, o pięć milionów więcej niż górna granica szacowanych widełek. Oliver z miejsca ją odrzucił.

- Już tu nie wrócimy – zarzekali się.
- A ja mam wrażenie, że wrócicie.
- Skąd pan wie?
- Poznaję to po wyrazie waszych oczu.

Gdy Oliver wypchnął ludzi z Getty'ego na Bury Street, była dwunasta. Wychodząc na lunch, Cordelia podała mu plik wiadomości telefonicznych. Przekartkował je szybko i zadzwonił do Sarah.

- Rano dzwoniła dwa razy.
- Wspaniałe wieści.
- Może powinniśmy skrócić jej cierpienia?
- Przeciwnie, chcemy, żebyś twardo grał na zwłokę.
- Twarda gra to nie jest moja typowa metoda działania.
- Zauważyłam, Ollie.

Popołudniowa sesja była powtórką porannej. Delegaci z Metropolitan Museum of Art byli zachwyceni, a ich konkurenci z Bostonu całkiem stracili głowę. Dyrektor Art Gallery of Ontario, skądinąd świetny znawca Veronesego, wręcz zaniemówił.

- Ile za niego chcesz? – wykrztusił.
- Ci z Getty'ego zaproponowali mi dwadzieścia pięć.
- Barbarzyńcy.
- Ale bogaci.
- Ja może wyskrobałbym dwadzieścia.
- A to ci nowatorska taktyka negocjacyjna.
- Oliverze, nie każ mi błagać.
- Wyrównaj ofertę Getty'ego i będzie twój.

- Słowo?
- Przyrzekam uroczyście.

I na tym skończyłyby się oględziny pierwszego dnia, gdyby nie jedna rzecz. Wyprowadziwszy delegację z Ontario z galerii, Oliver wziął najnowsze wiadomości telefoniczne z biurka Cordelii.

O czwartej piętnaście dzwoniła Magdalena Navarro.

- Była wyraźnie zirytowana – powiedziała Cordelia.
- I nie bez powodu.
- Jak myślisz, kogo ona reprezentuje?
- Kogoś dostatecznie dzianego, żeby opłacił jej pokój w Lanesborough.

Cordelia zabrała swoje rzeczy i wyszła. Gdy Oliver został sam, sięgnął po telefon i zadzwonił do Sarah.

- Jak minęło popołudnie? – spytała.
- Przebijali się ofertami za obraz, którego nie mogę sprzedać. Poza tym, że muszę sobie z tym radzić, to nic nowego.
- Ile razy dzwoniła?
- Tylko raz.
- Może straciła zainteresowanie?
- Jeśli tak, to tym bardziej powinienem do niej oddzwonić i mieć to z głowy.

– Pogadamy o tym w Wiltons. Czuję, że niosą martini.

Oliver odłożył słuchawkę i przystąpił do znanego rytuału zamykania galerii na noc. Opuścił w oknach wewnętrzne rolety antywłamaniowe. Włączył alarm. Zakrył suknem „Zuzannę w kąpeli”, olej na płótnie, 194 na 194 centymetry, pędzla Gabriela Allona.

Na dworze zamknął drzwi na trzy zamki i wyszedł na Bury Street. Powinien to być marsz triumfalny. Był przecież ulubieńcem świata sztuki, marszandem, który natknął się na od dawna ukrytą

kolekcję dzieł dawnych mistrzów. Co z tego, że wszystkie obrazy były fałszywe? Oliver przekonał sam siebie, że działa w szlachetnej sprawie. W najgorszym razie kiedyś będzie mógł opowiadać piękną anegdotę.

Przechodząc przez Ryder Street, uświadomił sobie, że ktoś za nim idzie. Ktoś w porządnych butach na szpilkach. Przystanął przed galerią Colnaghi i rzucił okiem na chodnik po lewej.

Wysoka, smukła, drogo ubrana, z lśniącymi czarnymi włosami spływającymi z przodu poniżej ramienia.

Niebezpiecznie ponętna.

Ku zaskoczeniu Olivera kobieta podeszła do niego i wbiła wielkie ciemne oczy w wystawiony w witrynie obraz dawnego mistrza.

– Bartolomeo Cavarozzi – powiedziała po angielsku z lekkim akcentem. – Wczesny naśladowca Caravaggia, który spędził dwa lata w Hiszpanii, gdzie jego prace cieszyły się wielkim uznaniem. Jeśli się nie mylę, namalował ten obraz po powrocie do Rzymu w tysiąc sześćset dziewiętnastym.

– Kim pani jest, u licha? – zapytał Oliver.

Kobieta z uśmiechem odwróciła się do niego.

– Jestem Magdalena Navarro, panie Dimbleby. Przez cały dzień próbuję pana złapać.

Wiltons opanowali kustosze muzeów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, podzieleni na wrogie obozy. Sarah uścisnęła dłoń urodzonego w Austrii dyrektora Met i przecisnęła się do baru, gdzie na martini przyszło jej czekać aż dziesięć minut. Harmider w sali był tak niesamowity, że nie od razu usłyszała, że brzęczy jej telefon. Na ekranie pokazał się numer komórki Olivera.

– Jesteś gdzieś w tym domu wariatów? – spytała.

– Niestety, zmiana planów. Musimy to przełożyć.

– O czym ty mówisz?

– Tak, jutro wieczorem mi pasuje. Cordelia zadzwoni do ciebie z rana i ustalicie szczegóły. – Połączenie zostało przerwane.

Sarah szybko zadzwoniła do Gabriela.

– Może się mylę, ale wydaje mi się, że nasza dziewczyna wykonała kolejny ruch.

## PICCADILLY

- Dokąd mnie pani zabiera?
- Tam, gdzie będzie pan tylko mój.
- Nie do Lanesborough?
- Ależ panie Dimbleby. – Spojrzała na niego z wystudiowaną naganą. – Nie na pierwszej randce.

Szli Piccadilly w oślepiających promieniach słońca. Był to jeden z tych przepięknych londyńskich wieczorów na początku lata, kiedy łagodny wietrzyk zapewniał przyjemny chłód. Odurzające perfumy kobiety przywodziły na myśl południe Hiszpanii. Kwiat pomarańczy, jaśmin, nuta manzanilli. Dwa razy musnęła grzbietem dłoni jego dłoń. Dotyk był elektryzujący.

Zwolniła i zatrzymała się przed Hide – jedną z najdroższych restauracji w Londynie, świątynią kulinarnego i towarzyskiego zbytku, którą szczególnie upodobali sobie rosyjscy miliarderzy, książęta z Emiratów i, jak się okazało, piękne Hiszpanki parające się przestępstwami w świecie sztuki.

- Nie należę do sfer, które bywają w tym lokalu – zaprotestował Oliver.

– Panie Dimbleby, świat sztuki leży dzisiaj u pańskich stóp. Bez dwóch zdań jest pan teraz najbardziej wziętym mężczyzną w Londynie.

Wejście mieli co się zowie – korpulentny marszand o różowej twarzy i wysoka, elegancko ubrana kobieta o połyskujących czarnych włosach. Krętymi dębowymi schodami sprowadziła go do słabo oświetlonego baru. Czekał tam na nich ustronny stolik z zapaloną świecą.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Oliver.

– Załatwił to mój lokaj w Lanesborough.

– Często się tam pani zatrzymuje?

– Tylko wtedy, kiedy rachunek pokrywa jeden z moich klientów.

– Klient zainteresowany zakupem Veronesego?

– Nie bądźmy tacy niecierpliwi, panie Dimbleby. – Nachyliła się nad ciepłym światłem świecy. – My, Hiszpanie, nie lubimy się śpieszyć.

Dekolt jej bluzki rozchylił się, ukazując krzywiznę piersi o kształcie gruszki.

– Czy jest taki dobry, jak mówią? – zapytał Oliver.

– O czym pan mówi, panie Dimbleby?

– O Lanesborough.

– Nigdy pan w nim nie był?

– Tylko w restauracji.

– Mam apartament wychodzący na Hyde Park. Widok jest wspaniały.

Oliver miał równie wspaniały widok, niemniej zmusił się, by spuścić wzrok na menu.

– Co pani poleca?

– Mikstura, którą tu nazywają Currant Affairs, jest boska.

Oliver odczytał jej skład.

– Szampan Bruno Paillard, wódka Ketel One, czerwona porzeczka i guajawa?

– Niech pan się nie naśmiewa, dopóki pan nie spróbuje.

– Ja zwykle nie łączę szampana z wódką.

– Mają znakomity wybór sherry.

Uniesieniem brwi przywołała kelnera i zamówiła butelkę Cuatro Palmas Amontillado.

– Był pan kiedyś w Hiszpanii, panie Dimbleby?

– Wielokrotnie.

– W interesach czy dla przyjemności?

– I jedno, i drugie.

– Pochodzę z Sewilli – poinformowała go. – Ale ostatnio mieszkam głównie w Madrycie.

– Pani angielski jest nadzwyczajny.

– Przez rok studiowałam na Oksfordzie historię sztuki, w ramach specjalnego programu. – Przerwało jej nadejście kelnera, który w wyszukany sposób zaprezentował wino, nalał do dwóch kieliszków i odszedł.

Uniosła swój kieliszek o centymetr.

– Na zdrowie, panie Dimbleby. Mam nadzieję, że będzie panu smakowało.

– Proszę mi mówić Oliver, koniecznie.

– Nie śmiałabym.

– Nalegam – powiedział i upił łyk wina.

– I co pan o nim sądzi?

– Boskie. Mam nadzieję, że rachunek pokryje pani klient.

– Oczywiście.

– Czy on ma jakieś nazwisko?

– Nawet kilka.

– Pani klient jest szpiegiem?

– Pochodzi z arystokratycznej rodziny. Oględnie mówiąc, na jego nazwisku można sobie połamać język.

– Jest Hiszpanem, jak pani?

– Możliwe.

Oliver westchnął ciężko i odstawił kieliszek na stół.

– Proszę wybaczyć, panie Dimbleby, ale mój klient to nadzwyczaj bogaty człowiek, który nie chce, żeby świat dowiedział się, jak ogromna jest jego kolekcja. Nie mogę ujawnić jego tożsamości.

– W takim razie może pomówimy o pani.

– Jak wyjaśniłam pańskiej asystentce, jestem pośredniczką.

– Wobec tego czemu nigdy o pani nie słyszałem?

– Wolę trzymać się w cieniu. – Zamilkła na chwilę. – Mam wrażenie, że pan również.

– Bury Street z pewnością nie jest w cieniu.

– Ale, jak by to powiedzieć, niechętnie udziela pan informacji na temat pochodzenia Veronesego. Że nie wspomnę Tycjana i Tintoretta.

– Niezbyt się pani orientuje w pracy marszanda, prawda?

– Przeciwnie, wiem o niej bardzo dużo, podobnie jak mój klient. To bardzo wyrobiony i przebiegły kolekcjoner. Oczywiście do czasu, aż zakocha się w jakimś obrazie. Bo wtedy pieniądze nie mają dla niego znaczenia.

– Rozumiem, że zabujał się w moim Veronesie?

– To była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Mam już dwie oferty na dwadzieścia pięć milionów każda.

– Mój klient przebije każdą ofertę, jaką pan dostanie. Rzecz jasna, czeka, aż starannie zbadam płótno i jego pochodzenie.

– A gdybym mu sprzedał ten obraz? Co z nim zrobi?

– Zawiesi go na eksponowanym miejscu w jednym z wielu swoich domów.

– Czy będzie gotów wypożyczać go na wystawy?

– W żadnym razie.

– Podziwiam pani szczerość.

Uśmiechnęła się bez słowa.

– Jak długo zamierza pani zostać w Londynie?

– Mam zabukowany lot powrotny do Madrytu na jutrzejszy wieczór.

– Szkoda.

– Dlaczego?

– Bo mam chyba wolne okienko w środę po południu.

A najpóźniej w czwartek.

– A może obejrzymy go teraz?

– Przykro mi, ale galeria jest już zamknięta na noc. Poza tym miałem ciężki dzień i jestem wykończony.

– Rzeczywiście szkoda – rzuciła swawolnie. – Bo już miałam nadzieję, że zje pan ze mną kolację w Lanesborough.

– Kuszące – przyznał. – Ale nie na pierwszej randce.

Na chodniku Piccadilly podał Hiszpance na pożegnanie rękę, ale w zamian dostał całusa. Nie dwa iberyjskie cmoknięcia, tylko pojedynczy, lecz gorący oddechem pocałunek wyrażający sympatię, który wylądował obok jego prawego ucha i pozostał tam długo po tym, gdy kobieta odeszła w kierunku Hyde Park Corner i swojego hotelu. Na zakończenie wieczoru rzuciła mu jeszcze uwodzicielskie spojrzenie przez ramię, jakby mówiła: „Głuptasie! Ty mały głuptasie!”.

Skręcił w przeciwną stronę i czując się nieco upojony, wyłowił telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki. Odkąd go ostatnio sprawdzał, przybyło kilka nieodebranych połączeń i esemesów, ale nic od Sarah. O dziwo, jej nazwisko zniknęło z listy ostatnich

połączeń. Sarah Bancroft nie było też w jego kontaktach, brakowało także numerów Juliana oraz Isherwood Fine Arts.

Nagle telefon zawibrował.

Oliver nie rozpoznał numeru, ale mimo to przyjął połączenie i przyłożył aparat do ucha.

– Na Bolton Street czeka na ciebie samochód z kierowcą – odezwał się męski głos i połączenie przerwano.

Oliver schował telefon do kieszeni i nadal szedł w swoją stronę. Bolton Street miał kilka kroków przed sobą, po lewej. Skręciwszy za róg, zobaczył srebrnego bentleya continental; samochód stał przy krawężniku na jałowym biegu. Za kierownicą siedział mąż Sarah. Oliver usadowił swoje okrągłe cielsko na tylnym siedzeniu. Po chwili jechali Piccadilly na zachód.

– Naprawdę nazywasz się Peter Marlowe?

– A co w tym dziwnego?

– Brzmi jak zmyślone.

– Tak samo jak Oliver Dimbleby. – Christopher z uśmiechem wskazał palcem wysoką kobietę o lśniących czarnych włosach mijającą właśnie wejście do hotelu Athenaeum. – Nasza dziewczyna.

– Nawet palcem jej nie tknąłem.

– Lepiej nie mieszać pracy i przyjemności, chyba się zgodzisz?

– Nie, nie zgodzę się – odparł Oliver, gdy piękna Hiszpanka zniknęła z widoku. – W żadnym razie.

## QUEEN'S GATE TERRACE

W ramach odprawy emerytalnej Gabriel dostał z Biura między innymi osobistą kopię izraelskiego wirusa o nazwie Proteus, służącego do hakowania telefonów komórkowych. Najbardziej podstępna cecha programu polegała na tym, że namierzany nie musiał nigdzie wejść przez pomyłkę – akceptując jakąś aktualizację bądź klikając na niewinnie wyglądające zdjęcie albo reklamę. Gabrielowi wystarczyło tylko wpisać numer ofiary ataku do aplikacji Proteusa na swoim laptopie i w ciągu kilku minut przejmował całkowitą kontrolę nad danym telefonem. Mógł czytać mejle i esemesy delikwenta, sprawdzać historię w jego przeglądarkach internetowych oraz metadane komórki, a także śledzić ruchy właściciela dzięki usłudze lokacji GPS. A co najważniejsze, mógł zdalnie aktywować mikrofon i kamerę telefonu, w ten sposób zmieniając aparat w całodobowy instrument inwigilacji.

Zwerbował Olivera Dimbleby'ego, na wszelki wypadek zainstalował Proteusa na jego samsungu galaxy, ale aktywował wirusa dopiero o piątej czterdzieści dwie tego dnia po południu. Jednym kliknięciem w touchpad laptopa – co zrobił, popijając

herbatę w kuchni Sarah i Christophera w Queen's Gate Terrace – ustalili, że jego zaginiony człowiek idzie właśnie Piccadilly na zachód w towarzystwie kobiety o zmysłowym głosie, mówiącej po angielsku płynnie, acz z hiszpańskim akcentem. Sarah czym prędzej wróciła z Wiltons do domu i dotarła tam w samą porę, by usłyszeć ostatnie minuty ich rozmowy w modnym barze Hive.

– Nasza Magdalena to godny przeciwnik. Nie wolno jej lekceważyć.

– Tym bardziej musimy trzymać pulchnego Olivera na wyjątkowo krótkiej smyczy.

W tym celu Gabriel wysłał Christophera na Mayfair, by zgarnął jego wędrującego na zachód człowieka. Kiedy przyjechali do domu, dochodziło wpół do ósmej. Raport po akcji rozpoczął się od tego, że zawstydzony Gabriel przyznał się do zhakowania telefonu marszanda.

Oliver zmarszczył brwi.

– To wyjaśnia, dlaczego Sarah i Julian zniknęli z moich kontaktów.

– Usunąłem ich na wszelki wypadek, kiedy nie uprzedzając nas, zgodziła się pójść na drinka z tą kobietą.

– Obawiam się, że nie zostawiła mi wielkiego wyboru.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i jest niesamowicie piękna. Mało tego, chyba wyjeżdżała z Madrytu w pośpiechu, bo najwyraźniej zapomniała stanika. – Oliver spojrzał na Sarah. – To chyba wypiję wreszcie tego drinka.

– Currant Affairs czy Grzmot Tropików?

– Whisky, jeśli masz.

Christopher otworzył kredens i wyjął butelkę Johnnie Walker Black Label oraz dwie kryształowe szklanki. Do jednej nalał whisky

na dwa palce i pchnął ją po wyspie kuchennej do Olivera.

Ten przyjrzał się szklance.

– Baccarat – powiedział z uznaniem. – Może jednak naprawdę jesteś niesamowicie skutecznym konsultantem biznesowym. – Odwrócił się do Gabriela. – Czy to za pomocą Proteusa saudyjski następca tronu szpiegował tego dziennikarza, którego potem kazał zabić?

– Ten dziennikarz nazywał się Omar Nawwaf. I owszem, premier Izraela wydał zgodę na sprzedaż Proteusa Saudyjczykom pomimo mojego stanowczego sprzeciwu. W rękach represyjnego rządu ten program może być groźnym narzędziem inwigilacji i szantażu. Wyobraź sobie, jak można go użyć do uciszenia wścibskiego dziennikarza albo obrońcy demokracji.

Gabriel kliknął ikonę odtwarzania.

– Dlatego, że ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i jest niesamowicie piękna. Mało tego, chyba wyjeżdżała z Madrytu w pośpiechu, bo najwyraźniej zapomniała stanika.

Gabriel zatrzymał nagranie.

– Dobry Boże! – mruknął Oliver.

– A co powiesz na to? – Gabriel znów włączył odtwarzanie.

Wobec tego czemu nigdy o pani nie słyszałem?

Wolę trzymać się w cieniu. Mam wrażenie, że pan również.

– Bury Street z pewnością nie jest w cieniu.

Gabriel kliknął pauzę.

– Nie puści pan tego, jak odmówiłem nocy niewiarygodnego seksu w apartamencie w Lanesborough?

– A mnie się zdawało, że w ofercie była kolacja.

– Musi pan częściej wychodzić na miasto, panie Allon.

Gabriel zamknął laptop.

– I co teraz? – zapytał Oliver.

– Jutro późnym popołudniem zaprosisz ją na oglądanie obrazu w środę o osiemnastej. Poprosisz też, żeby ci dała numer swojej komórki. Z całą pewnością odmówi.

– A kiedy już zjawi się w galerii w środę wieczorem?

– Nie zjawi się.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ zadzwonisz do niej w środę po południu i przełożysz spotkanie na czwartek o ósmej wieczorem.

– Dlaczego mam to zrobić?

– Żeby wiedziała, że ani trochę o niej nie myślisz.

– Gdyby to chociaż była prawda – mruknął Oliver. – A dlaczego o tak późnej porze?

– Nie chcę, żeby Cordelia Blake wciąż się tam kręciła, kiedy będziesz pokazywał obraz. To by mogło popsuć nastrój.

– Czy ona naprawdę jest zainteresowana kupnem?

– Ależ skąd. Po prostu chce mu się przyjrzeć, zanim zniknie na dobre.

– A jeśli spodoba jej się to, co zobaczy?

– Po zbadaniu pochodzenia poprosi cię o ujawnienie tożsamości człowieka, który ci go sprzedał. Ty, oczywiście, odmówisz, więc z braku wyboru będzie musiała wydobyć tę informację za pomocą innych środków.

– Miód na moje serce.

– Niewykluczone, że spróbuje cię uwieść – ciągnął Gabriel. – Ale nie bądź rozczarowany, jeśli zamiast tego zagrozi, że cię zniszczy.

– Zapewniam cię, że w razie czego nie będzie pierwsza.

Gabriel postukał w klawiaturę laptopa.

– Właśnie dodałem ci do kontaktów nowe nazwisko. Alessandro Calvi. Tylko numer komórki.

– Kto to jest?

– Mój przedstawiciel we Florencji. Zadzwoń do niego pod ten numer w obecności Hiszpanki. A signore Calvi zajmie się resztą.

Nazajutrz o dziesiątej rano przedstawiciel, który naprawdę nazywał się Luca Rossetti, opuścił Florencję i ruszył na południe autostradą E35. Maserati quattroporte, którym jechał, podobnie jak patek philippe na ręku, należały do jego pracodawcy, Arma dei Carabinieri.

Do celu, czyli na rzymskie lotnisko Fiumicino, dotarł o wpół do drugiej. Minęła kolejna godzina, zanim przez drzwi terminalu 3 wyszedł Gabriel, wrzucił torbę podróżną do bagażnika i klapnął na siedzenie obok kierowcy.

– A już się o pana martwiłem – rzekł Rossetti, ruszając od krawężnika.

– Kontrola paszportowa trwała prawie tyle czasu, ile lot z Londynu. – Gabriel rozejrzał się po wnętrzu luksusowego samochodu. – Niezła bryka.

– Należała do przemytnika heroiny z camorry.

– Twojego przyjaciela z dzieciństwa?

– Znałem jego młodszego brata. Teraz obaj są w Palermo, siedzą w więzieniu Pagliarelli.

Rossetti skręcił w autostradę A90, obwodnicę Rzymu, i skierował się na północ. Na chwilę oderwał wzrok od szosy, by zerknąć na stopklatkę z kamery monitoringu, którą Gabriel wsunął mu do ręki.  
Owca

– Jak się nazywa?

– Jeśli wierzyć jej paszportowi i kartom kredytowym, Magdalena Navarro. Wczoraj wieczorem zabrała się za Olivera Dimbleby’ego.

– Jak się trzymał?

– Tak jak można było się spodziewać. – Gabriel odebrał fotografię.  
– Ty będziesz następny.

– Kiedy?

– W czwartek wieczorem. Tylko szybka rozmowa telefoniczna. Chcę, żebyś jej podał godzinę i miejsce spotkania i rozłączył się, zanim zdąży cię o coś zapytać.

– Co to za godzina?

– Dziewiąta wieczorem w piątek.

– A miejsce?

– Pod arcone na Piazza della Repubblica. Zauważysz ją bez trudu.

– Gabriel schował zdjęcie do teczki. – W którym roku pojechał do Anglii?

– Kto?

– Orazio Gentileschi.

– W tysiąc sześćset dwudziestym szóstym, przeniósł się tam z Paryża.

– Czy była z nim Artemisia?

– Nie, tylko jego trzech synowie.

– Kiedy wrócił do Włoch?

– Nigdy. Zmarł w Londynie w tysiąc sześćset trzydziestym dziewiątym.

– Gdzie jest pochowany?

Rossetti zawahał się.

– W Kaplicy Królowej w Somerset House. – Gabriel zmarszczył czoło. – Czy tą twoją bryką da się jechać szybciej? Chciałbym dotrzeć do Umbrii za dnia.

Rossetti wcisnął gaz do dechy.

– Od razu lepiej – stwierdził Gabriel. – Teraz jest pan przestępcą, signore Calvi. Niech pan się nie wlecze jak gliniarz.

## VILLA DEI FIORI

Villa dei Fiori, posiadłość o powierzchni czterech kilometrów kwadratowych ulokowana pomiędzy Tybrem a Nerą, należała do rodziny Gasparri od czasów, kiedy Umbrią rządzą jeszcze papieże. Była tam wielka i bardzo dochodowa hodowla bydła, ośrodek jeździecki szkolący jednych z najlepszych dżokejów we Włoszech, a także stado wesołych kóz trzymany wyłącznie dla zabawy. Z tamtejszych gajów oliwnych pochodziła najlepsza oliwa w Umbrii, a mała winnica dostarczała lokalnej spółdzielni kilkaset kilogramów winogron rocznie. Na polach jaśniały słoneczniki.

Sama willa stała na końcu zakurzonego podjazdu ocienionego przez wysoką pinię. W jedenastym wieku mieścił się w niej klasztor. Do tej pory znajdowała się tam mała kaplica, a na otoczonym murem wewnętrznym dziedzińcu stały szczątki pieca, w którym braciszkanie wypiekali swój chleb codzienny. Przed domem był olbrzymi niebieski basen, do którego przylegał ogród z treliazem, a w nim wzdłuż ścian z etruskiego kamienia rosły rozmaryn i lawenda.

Obecny hrabia Gasparri, gasnący rzymski szlachcic blisko powiązany ze Stolicą Apostolską, nie wynajmował Villa dei Fiori, nie

udostępniał jej także przyjaciom ani rodzinie. W sumie ostatnimi gośćmi zaproszonymi do pobytu w tej nieruchomości byli ponury konserwator sztuki z Muzeów Watykańskich i jego piękna, urodzona w Wenecji żona; dla czteroosobowego personelu było to niezapomniane przeżycie.

Teraz pracownicy willi z zaskoczeniem przyjęli do wiadomości, że hrabia Gasparri zgodził się użyczyć willę na czas nieokreślony jakiemuś nieujawnionemu z nazwiska znajomemu. Tak, oznajmił hrabia, całkiem możliwe, że ten anonimowy znajomy zaprosi własnych gości. Nie, nie będzie korzystał z pomocy domowej, ponieważ jest z natury samotnikiem i nie życzy sobie, żeby zakłócano mu spokój.

W związku z tym dwie osoby z personelu – legendarna kucharka Anna i wybuchowa gospoia Margherita – z samego rana we wtorek opuściły Villa dei Fiori i udały się na niespodziewane krótkie wakacje. Ale kolejne dwie osoby z personelu pozostały na posterunku – Isabella, eteryczna półkrwi Szwedka, która prowadziła ośrodek jeździecki, oraz Carlos, argentyński kowboj, który zajmował się bydłem i płonami. Oboje zwrócili uwagę na nieoznakowaną czarno-niebieską furgonetkę Fiat Ducato, która krótko przed południem wjechała na wyboisty podjazd. Dwójka pasażerów wyładowała rzeczy tak szybko, jak złodzieje chowający łupy. Ten łup składał się z dwóch wielkich metalowych skrzyń podobnych do tych używanych przez rockmanów ruszających w trasę, prowiantu, którym można by wykarmić małą armię, i – o dziwo – profesjonalnych sztalug oraz wielkiego czarnego płótna.

Nie, pomyślała Isabella. To niemożliwe. Nie po tylu latach.

Wkrótce furgonetka odjechała i do willi powrócił pełen napięcia spokój. O trzeciej czterdzieści dwie po południu zburzył go przerażający ryk silnika maserati. Po chwili samochód śmignął obok

ośrodka jeździeckiego, wzbijając tumany pyłu. Mimo to Isabella zdołała rzucić okiem na pasażera. Najbardziej charakterystyczną cechą mężczyzny był pas siwych włosów na prawej skroni, wyglądający jak smuga popiołu.

To na pewno zbieg okoliczności, wmawiała sobie Isabella. To nie może być ten sam człowiek.

Dźwięk silnika maserati przeszedł w cichy warkot, gdy samochód pędził ku willi między podwójnym szpalerem pinii. Zatrzymał się przed murem starożytnego dziedzińca i wysiadł z niego mężczyzna z posiwiałymi skroniami. Średniego wzrostu, zauważyła Isabella z narastającym przerażeniem. Szczupły jak cyklista.

Z tylnego siedzenia wziął torbę podróżną i powiedział do kierowcy kilka słów na pożegnanie. Potem zarzucił torbę na ramię – jak żołnierz, pomyślała Isabella – i przeszedł kilka kroków podjazdem do bramy dziedzińca. To samo zgarbienie pleców w ramionach. To samo wykrzywienie nóg na zewnątrz.

– Dobry Boże – szepnęła, kiedy maserati śmignęło obok niej. A więc jednak to prawda.

Do Villa dei Fiori powrócił konserwator.

Następnego ranka wdrożył swój stały program dnia. Wybrał się na forsowny marsz wokół posiadłości. Popływał energicznie w basenie. Siedząc w cieniu ogrodowych treliazy, przekartkował książkę o flamandzkim malarzu z epoki baroku, Antoonie van Dycku. Carlos i Isabella obserwowali go z oddali. Zauważyli, że nastrój wyraźnie mu się poprawił. Zupełnie jakby ktoś zdjął mu z barków kolosalny ciężar. Carlos oświadczył, że bardzo się zmienił, ale Isabella poszła jeszcze dalej. On się nie zmienił, sprostowała. Teraz to jest całkiem inny człowiek.

Ale do pracy, jak zawsze, podchodził z żelazną dyscypliną. W środę harówkę przy sztalugach rozpoczął zaraz po spartańskim

lunchu i pracował do późnej nocy. W poprzednim wcieleniu podczas pracy słuchał muzyki. Teraz jednak był pochłonięty koszmarną audycją radiową, która brzmiała jak dźwięk ze schowanego w kieszeni telefonu komórkowego, gdy niechcący wybierzemy czyjś numer. W programie występował szelmowsko czarujący londyński marszand imieniem Oliver i jego rezolutna asystentka Cordelia. Przynajmniej tego Isabella była pewna. Bo poza tym słyszała w tle chaotyczny miszmasz ruchu ulicznego, odgłosy splukiwanej wody w toalecie, jednostronne rozmowy telefoniczne i wybuchy śmiechów w barze.

Odcinek nadany w czwartek rano przedstawiał rozmowę Olivera z Cordelią na pozornie błahy temat – ustalenia terminu wizyty w galerii kobiety, która nazywała się Magdalena Navarro. Gdy program dobiegł końca, konserwator wybrał się na morderczą wędrówkę po posiadłości. A Isabella, wbrew wyraźnym instrukcjom hrabiego Gasparri, ruszyła do niechronionej teraz willi. Weszła kuchennymi drzwiami i skierowała się do wielkiego pokoju, który konserwator ponownie przerobił na pracownię malarską.

Płótno spoczywało na sztalugach, połyskując nowo nałożoną warstwą farby olejnej. Był to portret do kolan kobiety w sukni ze złotego jedwabiu, obszytej białą koronką. Isabella, która zanim poświęciła się koniom, studiowała historię sztuki, poznała, że dzieło jest w stylu van Dycka. Twarz kobiety nie była jeszcze ukończona, jedynie jej włosy, niemal czarne. Barwnik sadzowy, pomyślała Isabella, ze wspaniale połyskującą bielą ołowiową oraz odrobiną lapis lazuli i cynobru.

Jego barwniki i oleje były ułożone na podręcznym stole. Isabella była na tyle sprytna, że niczego nie dotykała, wiedząc, że on zastawia pułapki, które wskazywałyby na obecność intruzów. Jego pędzel z sobola, Winsor & Newton z serii 7, leżał na palecie.

Podobnie jak obraz, był wilgotny. Obok stał laptop w stanie uśpienia, podłączony do dwóch głośników marki Bose. Żeby lepiej słyszał mordęgę Olivera i Cordelii, pomyślała Isabella.

Z powrotem odwróciła się do nieukończonego obrazu. W tak krótkim czasie zrobił niesamowite postępy. Ale dlaczego nie konserwował obrazu, tylko go malował? I gdzie jest modelka? Odpowiedź brzmi, że po prostu jej nie potrzebował, pomyślała. Pamiętała niesamowity obraz, dzieło jego rąk, który namalował, kiedy odniósł koszmarnie obrażenia oka – „Dwoje dzieci na plaży” w stylu Mary Cassatt. Ukończył go w kilku wyczerpujących sesjach, mając za przewodnika tylko własną pamięć.

– I jak ci się widzi na tym etapie? – zapytał spokojnie.

Isabella okręciła się na pięcie, łapiąc się za serce. Jakimś cudem zdołała się powstrzymać i nie wrzasnąć.

Zbliżył się do niej o krok.

– Co tu robisz?

– Hrabia Gasparri prosił, żebym sprawdzała, czy niczego panu nie trzeba.

– Skoro tak, to dlaczego przyszłaś wtedy, kiedy wiedziałaś, że mnie nie zastaniesz? – W zadumie spoglądał na barwniki i oleje. – Chyba niczego nie ruszałaś, co?

– Oczywiście, że nie. Byłam tylko ciekawa, nad czym pan pracuje.

– To wszystko? A może zastanawiałaś się też, dlaczego wróciłem tu po tylu latach?

– To również – przyznała.

Zrobił kolejny krok do przodu.

– Wiesz, kim jestem?

– Jeszcze przed chwilą myślałam, że jest pan konserwatorem sztuki pracującym czasami dla Muzeów Watykańskich.

– Ale już w to nie wierzysz?

– Nie – przyznała po chwili. – Już nie.

Zapadło milczenie.

– Przepraszam – mruknęła i ruszyła do drzwi.

– Zaczekaj! – zawołał za nią.

Zatrzymała się i odwróciła do niego powoli. Zieleń jego oczu wytrącała ją z równowagi.

– Tak, signore Allon?

– Nie odpowiedziałś mi jeszcze na pytanie, co sądzisz o tym obrazie?

– Jest absolutnie wyjątkowy. Ale kim jest ta kobieta?

– Jeszcze nie jestem pewny.

– A kiedy pan się dowie?

– Mam nadzieję, że niedługo. – Wziął paletę oraz pędzel i otworzył laptopa.

– Jaki ma tytuł? – spytała Isabella.

– „Portret nieznannej kobiety”.

– Nie obraz. Ten program z Oliverem i Cordelią.

Spojrzał na nią raptownie.

– Puścił go pan bardzo głośno. Na wsi dźwięk niesie się daleko.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadzało.

– Wcale – odparła i chciała odejść.

– Twój telefon – powiedział nagle.

Zatrzymała się.

– Tak?

– Zostaw go, proszę. I przynieś mi swój laptop i kluczyki do twojego samochodu. Powiedz Carlosowi, żeby też mi oddał swoje urządzenia i klucze. Do odwołania zakazuję wszelkich rozmów telefonicznych i mejli. I nie wolno wam opuszczać terenu posiadłości.

Isabella wyłączyła swój telefon i położyła go obok otwartego laptopa. Wymykając się z willi, usłyszała, jak szelmowski Oliver mówi jakiemuś Nicky'emu, że jego klient musi podnieść ofertę do trzydziestu milionów funtów, jeśli chce dostać Veronesego. Nicky nazwał Olivera złodziejem, a potem spytał go, czy znajdzie wieczorem czas na drinka. Oliver odparł, że nie.

Jak się nazywa?

Magdalena Navarro.

Hiszpanka?

Niestety tak.

Jak wygląda?

Podobna do Penélope Cruz, tylko ładniejsza.

## DIMBLEBY FINE ARTS

Pierwsza zauważyła ją Sarah Bancroft siedząca przy stoliku we włoskiej restauracji Franco przy Jermyn Street – wysoką smukłą postać o niemal czarnych włosach, w króciutkiej spódniczce i obcisłym białym topie. Kobieta skręciła w Bury Street i natychmiast zwróciła uwagę Simona Mendenhalla, który właśnie wychodził z Christie's po niekończącej się nasiadówce z kadrą kierowniczą. Simon swoim zwyczajem przystanął, by popatrzeć na damską pupkę, i z przerażeniem zobaczył, że kobieta zmierza wprost do Dimbleby Fine Arts. Wobec tego ruszył do Wiltons, gdzie poinformował wszystkich obecnych, łącznie z marszandką od sztuki współczesnej, z którą podobno miał namiętny romans, że dobra passa Olivera nieprzerwanie trwa.

Punktualnie o ósmej kobieta o kruczoczarnych włosach nacisnęła dzwonek do galerii. Oliver odczekał, aż zadzwoni po raz drugi, i dopiero wtedy wstał z obrotowego fotela marki Eames, by otworzyć drzwi. Przechodząc przez próg, znacząco musnęła ustami jego policzek. Podczas ich tygodniowej zabawy w kotka i myszkę Oliver dwukrotnie wymówił się od kolacji i odrzucił niemal jawną

propozycję seksualną. Bóg jeden wiedział, co mogą przynieść najbliższe minuty.

Starannie zamknął za nią drzwi na klucz.

– Może drinka?

– Bardzo chętnie.

– Whisky czy whiskey?

– Niech będzie whiskey.

Zaprowadził ją w półmroku do swojego gabinetu i nalał dwie szklaneczki whisky.

– Blue Label – zauważyła.

– Trzymam ją na specjalne okazje.

– Co świętujemy?

– Nadciągającą sprzedaż za rekordową sumę „Zuzanny w kąpeli” Paola Veronesego.

– Na czym stanęła licytacja?

– Na dziś wieczór mam dwie pewne oferty po trzydzieści każda.

– Muzea?

– Jedno muzeum i jeden prywatny kolekcjoner – odparł Oliver.

– Mam przeczucie, że obu tych licytujących czeka rozczarowanie.

– Oferta muzeum jest ostateczna. Kolekcjoner zarobił kupę szmalu podczas pandemii i tarza się w forsie.

– Tak jak mój klient. Który niecierpliwie czeka na wieści ode mnie.

– Wobec tego chyba nie powinniśmy mu kazać dłużej czekać.

Przeszli z drinkami do sali wystawowej na tyłach galerii. Wielki obraz stał na dwóch zakrytych sukrem sztalugach. W półmroku scenka była ledwo widoczna.

Oliver wyciągnął rękę do ściemniacza światła. Gdy Zuzanna i dwaj starcy wychynęli z mroku, kobieta uniosła rękę do ust i mruknęła coś po hiszpańsku.

– A tłumaczenie? – rzekł Oliver.

– Nie oddałoby istoty rzeczy. – Podeszła do obrazu powoli, jakby nie chciała zakłócić spokoju trzem postaciom. – Nic dziwnego, że ma pan u stóp cały świat sztuki, panie Dimbleby. To arcydzieło namalowane przez artystę będącego u szczytu swoich możliwości.

– Zdaje się, że dokładnie tymi słowami opisałem go w komunikacie dla prasy.

– Naprawdę? – Sięgnęła do torebki.

– Żadnych zdjęć, proszę.

Wyjęła małą latarkę na światło ultrafioletowe.

– Mógłby pan na chwilę zgasić światła?

Oliver znów sięgnął do ściemniacza i pokój na powrót pograżył się w ciemności. Kobieta omiotła fioletowoniebieskim promieniem powierzchnię obrazu.

– Straty są bardzo rozległe.

– Takie straty to jest dokładnie to, czego należy oczekiwać od obrazu ze szkoły weneckiej sprzed czterystu pięćdziesięciu lat – odparł Oliver.

– Komu pan zlecił restaurację?

– Dostałem obraz w takim stanie.

– Pan to ma szczęście – mruknęła, wyłączając latarkę.

Oliver odczekał, by ciemność utrzymała się przez chwilę, i dopiero potem zapalił światło. Kobieta trzymała teraz prostokątną lupę z podświetleniem LED. Zbadała przez nią skórę na odsłoniętej szyi i ramieniu Zuzanny, a następnie cynobrową suknię, którą ta przyciskała do piersi.

– Wyraźnie widać pociągnięcia pędzla – powiedziała. – Nie tylko na ubraniu, ale i na skórze.

– Pod koniec kariery Veronese stosował bardziej malarskie pociągnięcia pędzlem – wyjaśnił Oliver. – To dzieło odzwierciedla

zmianę w porównaniu z jego wcześniejszym stylem.

Schowała szkło powiększające do torebki i odsunęła się od obrazu. Minęła minuta. I kolejna.

Oliver odchrząknął cicho.

– Słyszałam – powiedziała.

– Nie chcę pani popędzać, ale robi się późno.

– Znajdzie pan chwilę, żeby mi pokazać dokumenty dotyczące proweniencji?

Zaprowadził ją z powrotem do swojego gabinetu. Tam wyjął z zamkniętej na klucz szafki świadectwo pochodzenia i położył je na biurku.

Kobieta przeczytała dokument z uzasadnionym sceptycyzmem.

– Stara europejska kolekcja?

– Bardzo stara – odparł. – I bardzo prywatna.

Kobieta pchnęła dokument po blacie biurka.

– Panie Dimbleby, muszę znać tożsamość poprzedniego właściciela.

– Poprzedni właściciel obstaje przy zachowaniu anonimowości, tak samo jak pani klient.

– Jest pan z nim w stałym kontakcie?

– Z nią – sprostował Oliver. – Ale odpowiedź brzmi: nie. Kontaktuję się z jej przedstawicielem.

– Prawnikiem? Marszandem?

– Przykro mi, ale nie mam prawa ujawnić nazwiska przedstawiciela ani opisać jego związków z tą kolekcją. Zwłaszcza wobec konkurencji. – Oliver zniżył głos. – Nawet tak atrakcyjnej jak pani.

Kokieteryjnie udała, że się dąsa.

– A może mogłabym coś zrobić, żeby pan zmienił zdanie?

– Obawiam się, że nie.

Kobieta westchnęła.

– A gdybym zaproponowała, powiedzmy, trzydzieści pięć milionów funtów za Veronesego?

– Moja odpowiedź byłaby taka sama.

Czubkiem palca wskazującego postukała w świadectwo pochodzenia.

– Czy innych pańskich potencjalnych klientów nie niepokoi kruchość łańcucha byłych właścicieli?

– Bynajmniej.

– Jak to możliwe?

– A tak, że nieważne, skąd wziął się ten obraz. Dzieło mówi samo za siebie.

– Do mnie niewątpliwie przemówiło. Było wręcz gadatliwe.

– I co powiedziało?

Pochyliła się nad biurkiem i spojrzała mu w oczy.

– Że nie namalował go Paolo Veronese.

– Bzdura.

– Czyżby, panie Dimbleby?

– Od czterech dni pokazuję ten obraz najwybitniejszym znawcom dawnych mistrzów z najbardziej szanowanych muzeów na świecie. I żaden z nich nie kwestionował autentyczności dzieła.

– Tylko dlatego, że nikt z nich nie wiedział o człowieku, który odwiedził Galerie Konrad Hassler w Berlinie kilka dni po tym, jak ogłosił pan znalezienie tego tak zwanego Veronesego. Ten człowiek pokazał Herr Hasslerowi zdjęcie tak zwanego Veronesego stojącego obok tak zwanego Tycjana oraz tak zwanego Tintoretta. Zdjęcie wykonano w pracowni fałszerza, który namalował te obrazy.

– To niemożliwe.

– Niestety tak.

– Zapewnił mnie, że obrazy są autentyczne.

– Signore Rinaldi?

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł Oliver, zresztą zgodnie z prawdą.

– Tak się przedstawił ten człowiek, odwiedzając Galerie Hassler. Giovanni Rinaldi.

– Ja go znam pod innym nazwiskiem.

– Jakim?

Oliver nie odpowiedział.

– On pana oszukał, panie Dimbleby. A może chciał pan być oszukany. Tak oczywiste, znalazł się pan w dość niepewnej sytuacji. Ale proszę się nie martwić, to będzie nasza mała tajemnica. – Zamilkła na chwilę. – Oczywiście w zamian za małe honorarium.

– Jak małe?

– Połowę sumy uzyskanej ostatecznie ze sprzedaży Veronesego.

Oliver nietypowo uniósł się honorem.

– Po tym, co mi pani powiedziała, nie będę mógł sprzedać tego obrazu.

– Jeśli teraz go pan wycofa, będzie pan musiał zwrócić miliony funtów, które pan dostał za Tycjana i Tintoretta. A potem...

– Będę bankrutem.

Podawała Oliverowi kartkę z hotelowej papeterii z Lanesborough.

– Chcę, żeby z samego rana przelał pan na ten rachunek piętnaście milionów funtów. Jeśli pod koniec dnia pieniędzy nie będzie na koncie, zadzwonię do tej dziennikarki z „New York Timesa” i powiem jej, jaka jest prawda z tym pańskim tak zwanym Veronesem.

– Pani jest zwykłą szantażystką.

– A pan, panie Dimbleby, ma o świecie sztuki dużo mniejsze pojęcie, niż się panu wydaje.

Spojrzał na numer rachunku.

– Dostanie pani pieniądze dopiero wtedy, kiedy sprzedam swojego Veronesego. Który, nawiasem mówiąc, jest autentyczny, nie fałszywy.

– Upieram się przy natychmiastowej zapłacie.

– Nic z tego.

– Wobec tego poproszę o kaucję jako zabezpieczenie – powiedziała.

– Ile?

– Nie chodzi mi o pieniądze, panie Dimbleby, tylko o nazwisko. Oliver wahał się przez chwilę.

– Alessandro Calvi – wydusił w końcu.

– A gdzie mieszka signore Calvi?

– We Florencji.

– Proszę zadzwonić do signore Calviego ze swojej komórki. Chcę z nim zamienić słówko.

Kiedy Oliver wyprowadził ją na Bury Street, było wpół do dziewiątej. Na pożegnanie podała mu rękę. A skoro jej nie uściśnęła, przysunęła usta do jego ucha i ostrzegła, że upokorzy go zawodowo, jeżeli nie prześle pieniędzy zgodnie z obietnicą.

– Kolacja w Lanesborough? – zapytał, kiedy ruszyła w kierunku Jermyn Street.

– Innym razem – rzuciła przez ramię i tyle ją widział.

Wrócił do galerii i poszedł do gabinetu. W powietrzu unosił się zapach kwiatów pomarańczy i jaśminu. Na biurku stały dwie niedopite szklaneczki whisky Johnnie Walker Blue Label, a obok nich leżały fikcyjne świadectwo pochodzenia obrazu Paola Veronesego i kartki z papeterii hotelu Lanesborough. Oliver zamknął świadectwo pochodzenia w szufladzie. Kartkę z papeterii sfotografował komórką.

Po chwili komórka zadzwoniła.

– Brawo! – powiedział człowiek po drugiej stronie. – Sam lepiej bym tego nie rozegrał.

## FLORENCJA

Następnego dnia o drugiej po południu do Villa dei Fiori przyjechał generał Ferrari. Towarzyszyło mu czterech oficerów taktycznych oraz dwóch techników. Oficerowie taktyczni dokonali przeglądu willi i otoczenia, technicy zaś przerobili jadalnię w centrum operacyjne. Generał, w garniturze i rozpiętej pod szyją koszuli, siedział w wielkiej sali i obserwował malującego Gabriela.

– Twoja dziewczyna krótko przed południem wylądowała we Florencji.

– Jak jej się to udało?

– Wyczarterowanym Dassault Falconem z lotniska London City. Four Seasons przysłał po nią limuzynę. Już jest w hotelu.

– I co robi?

– Nasze możliwości inwigilacji w hotelu są ograniczone. Ale będziemy ją mieli na oku, jeśli postanowi się wybrać na zwiedzanie miasta. I o dziewiątej z całą pewnością będziemy mieli dwie ekipy na Piazza della Repubblica.

– Jeśli je zauważy, to po nas.

– Może cię to zaskoczy, przyjacielu, ale Arma dei Carabinieri już to parę razy robiła. Bez twojej pomocy – dodał generał. – Z chwilą,

kiedy zakupi ten obraz, będziemy mieli podstawy, żeby aresztować ją pod zarzutem licznych oszustw związanych z dziełami sztuki i działania w zмовie przestępczej. We włoskim więzieniu dla kobiet czeka ją bardzo długa odsiadka. Nie jest to miła perspektywa dla bywalczyni londyńskiego hotelu Lanesborough.

– Nie chcę jej wsadzić do więzienia – odparł Gabriel. – Chcę ją mieć po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań i dowiedzieć się, co ona wie.

– Ja też. Ale zgodnie z włoskim prawem jestem zobowiązany zapewnić jej adwokata, jeśli sobie tego zażyczy. Inaczej wszystko, co powie, w sądzie zostanie odrzucone.

– A co mówi włoskie prawo na temat uczestnictwa w przesłuchaniu konserwatorów sztuki?

– Na ten temat włoskie prawo milczy, co mnie jakoś nie dziwi. Jeśli jednak ona wyrazi zgodę na obecność konserwatora, będzie to dopuszczalne.

Gabriel odsunął się od płótna, podziwiając swoje dzieło.

– Może ten portret wpłynie na jej decyzję.

– Na to bym nie liczył. W sumie może warto by ją zakuć w kajdanki, zanim pozwolisz jej go obejrzeć.

– Proszę, nie – rzekł Gabriel, maczając pędzel w farbie. – Nie chciałbym popsuć niespodzianki.

Popołudnie spędziła nad basenem, a o osiemnastej poszła do swojego apartamentu wykąpać się i przebrać. Starannie wybrała strój. Jasnoniebieskie džinsy ze stretchu. Biała luźna bluzka. Zamszowe mokasyny na płaskiej podeszwie. Od tokańskiego słońca jej twarz się świeciła, więc musiała nałożyć lekki makijaż. Włosy zwinęła w kok, zostawiając kilka kosmyków opadających na szyję. Wyglądam atrakcyjnie, a zarazem poważnie, uznała, przeglądając się w lustrze.

Tego wieczoru nie zamierzała flirtować. Żadnych gier w rodzaju tych, które uprawiała z londyńskim marszandem. Człowieka, z którym miała się spotkać na Piazza della Repubblica, nie dałoby się uwieść ani podstępem skłonić, by zastosował się do jej życzenia. Widziała nagranie z jego wizyty w berlińskiej Galerie Hassler. Był młody, przystojny, atletycznej budowy. Jej zdaniem niebezpieczny. Zawodowiec.

Zeszła do holu, skąd skromne wejście hotelu wyprowadziło ją na Borgo Pinti. Tłumy ludzi zniknęły z centrum miasta, zebrał też upał. Zajrzała na kawę do Caffè Michelangelo, po czym w chłodnym zmierzchu ruszyła na Piazza della Repubblica. Najbardziej dominującym elementem architektonicznym był tu strzelisty łuk triumfalny na zachodnim boku placu. Zgodnie z instrukcjami dotarła tam punktualnie o dziewiątej. Po minucie podjechał do niej skuter Piaggio.

Rozpoznała kierującego nim mężczyznę.

Młody, przystojny, atletycznej budowy.

Bez słowa przesiadł się na tylne siodełko. Magdalena wsiadła na skuter i zapytała, dokąd jechać.

– Na Lungarno Torrigiani. Trzeba...

– Wiem, gdzie to jest – przerwała mu i bezbłędnie zawróciła na wąskiej ulicy.

Kiedy pędziła w stronę rzeki, jego silne ręce przesunęły się po jej krzyżu, biodrach, kroczu, wewnętrznej stronie ud, piersiach. W tym dotyku nie było ani cienia seksualnego podtekstu. Po prostu sprawdzał, czy nie miała przy sobie ukrytej broni.

To zawodowiec, pomyślała. Na szczęście ona też jest zawodowcem.

Trzy minuty po dziewiątej w Villa dei Fiori rozległ się telefon. To spec carabinieri od inwigilacji dzwonił z Piazza della Repubblica.

Kobieta stawiała się na miejscu spotkania zgodnie z instrukcjami. Teraz ona i Rossetti jechali do apartamentu. Generał Ferrari szybko przekazał informacje Gabrielowi, który wciąż pracował przy sztalugach, ale teraz starannie oczyścił pędzel z farby i przeszedł do prowizorycznego centrum operacyjnego, by obserwować kolejny akt. Występ Olivera Dimbleby'ego odniósł fantastyczny sukces. Teraz przyszła kolej na Alessandra Calviego. Najmniejszy błąd, pomyślał Gabriel, i po nas.

## LUNGARNO TORRIGIANI

Budynek miał kolor sjeny palonej i balustradę biegnącą wzdłuż całego pierwszego piętra. Mieszkanie było na drugim. W ciemnym przedpokoju Rossetti zabrał kobiecie jej torebkę Hermès Birkin i wysypał zawartość na blat kuchenny. Była tam latarka na światło ultrafioletowe, profesjonalna lupa z podświetleniem LED oraz komórka Samsunga jednorazowego użytku. Telefon był wyłączony, a karta SIM usunięta.

Rossetti zajrzał do paszportu.

– Naprawdę nazywa się pani Magdalena Navarro?

– A pan naprawdę nazywa się Alessandro Calvi?

Otworzył jej portfel od Cartiera i obejrzał karty kredytowe oraz hiszpańskie prawo jazdy. Wszystkie opiewały na Magdalenę Navarro. W przegródce na banknoty znajdowało się około trzech tysięcy euro oraz sto niewydanych funtów brytyjskich. W zapinanej przegródce Rossetti znalazł kilka paragonów, wszystkie z pobytu w Londynie. O dziwo, w torebce i w portfelu nie było typowych śmieci.

Schował jej rzeczy do torebki, zostawiając na blacie jeden przedmiot – zdjęcie „Danaë w deszczu złota” pędzla Gabriela Allona.

– Skąd pani to ma? – zapytał.

– Niedawno byłam przypadkiem w Berlinie i jadłam lunch ze starym przyjacielem. Opowiedział mi ciekawą historię o kimś, kto właśnie odwiedził jego galerię sztuki. Wychodzi na to, że ten gość próbował sprzedać mojemu przyjacielowi obraz z tej fotografii. Twierdził, że pochodzi z tej samej kolekcji co płótna, które wzbudziły taką sensację w Londynie. Ich zdjęcia także pokazał mojemu przyjacielowi. Trzy obrazy, jedno zdjęcie. Mój przyjaciel uznał, że to bardzo dziwne, oględnie mówiąc.

– To zdjęcie zrobił mój konserwator.

– Wiem z doświadczenia, że najlepszymi fałszerzami sztuki są właśnie konserwatorzy. Zgodzi się pan ze mną?

– Pytanie z gatunku tych, które mógłby zadać gliniarz.

– Nie jestem policjantką, signore Calvi. Jestem pośredniczką, która kontaktuje kupujących i sprzedających dzieła sztuki, i żyję z ochłapów.

– Z tego, co słyszałem, żyje pani sobie całkiem nieźle.

Zaprowadził ją do dużego salonu. Trzy wysokie okna na zawiasach, otwarte, by wpuścić wieczorne powietrze, wychodziły na kopuły i dzwonnice Florencji. Ale kobieta patrzyła tylko na wiszące na ścianach obrazy.

– Ma pan nadzwyczajny gust.

– Ten apartament służy mi też za salę aukcyjną.

Wskazała kunsztowną etruską amfore z terakoty.

– Widzę, że handluje pan także antykami.

– To główna część moich interesów. Chińscy miliarderzy uwielbiają grecką i etruską ceramikę.

Przesunęła palcem wskazującym po krzywiźnie naczynia.

– Śliczny egzemplarz. Ale niech mi pan powie, signore Calvi, czy to też jest falsyfikat, tak jak te trzy obrazy, które pan sprzedał panu

Dimbleby'emu? Czy tylko pochodzi z kradzieży?

– Obrazy, które sprzedałem Dimbleby'emu, badali najwybitniejsi znawcy włoskich dawnych mistrzów w Londynie. I żaden nie zakwestionował ich atrybucji.

– Dlatego, że pański fałszerz sam jest największym żyjącym dawnym mistrzem.

– Nie ma czegoś takiego jak żyjący dawny mistrz.

– Oczywiście, że jest. Doskonale pan wie. Widzi pan, ja też pracuję dla takiego. On również potrafi wyprowadzić ekspertów w pole. Ale pana fałszerz jest bez porównania bardziej utalentowany niż mój. Ten Veronese to istne arcydzieło. Na jego widok omal nie zemdlałam.

– A mówiła pani, że podobno jest pośredniczką.

– Bo jestem. Tyle że obrazy, które oferuję, przypadkiem są fałszywe.

– Czyli że robi pani za parawan?

– Za parawan to robi pan, signore Calvi. Może pan nie zauważył, że ja jestem kobietą.

– Po co przyjechała pani do Florencji?

– Po to, żeby złożyć panu i pańskiemu fałszerzowi ofertę.

– Jaką?

– Niech mi pan pokaże Gentileschiego – powiedziała. – A wtedy wszystko panu wyjaśnię.

Rossetti zaprowadził ją do sąsiedniego pokoju i zapalił światła. Patrzyła na obraz w milczeniu, jakby zaniemówiła.

– Przynieść pani lupę i lampę na ultrafiolet? – spytał po chwili.

– To nie będzie konieczne. Ten obraz jest...

– Olśniewający?

– Łatwopalny – szepnęła. – I bardzo groźny.

– Doprawdy?

– Oliver Dimbleby zachował się lekkomyślnie, wprowadzając na rynek trzy obrazy z pana tak zwanej starej europejskiej kolekcji. W pewnych kręgach świata sztuki krążą już plotki, że te obrazy mogą być falsyfikatami. A pan spotęgował ten błąd swoim zachowaniem w Galerie Hassler. To tylko kwestia czasu, zanim pańska ściema wyjdzie na jaw. A wtedy trzeba będzie rzucić kogoś na pożarcie.

– Panią?

Kiwnęła głową.

– Rynek na dzieła dawnych mistrzów klasy muzealnej jest niewielki, signore Calvi. Liczba dobrych obrazów, kolekcjonerów oraz muzeów gotowych zapłacić za nie miliony jest ograniczona. Dwie duże siatki fałszerzy dawnych mistrzów nie mogą ze sobą konkurować i przetrwać. Jedna nieuchronnie musiałaby upaść. A wtedy pociągnęłaby tę drugą za sobą.

– Jaka jest alternatywa?

– Jestem gotowa zaproponować panu i pana partnerowi ochronę sprawdzonej sieci dystrybucyjnej, która zagwarantuje stałe dochody przez wiele lat.

– Nie potrzebuję pani sieci.

– Pańskie zachowanie w Berlinie świadczy o czymś przeciwnym. Obraz w sąsiednim pokoju u fachowego sprzedawcy jest wart trzydzieści milionów. A mimo to chciał go pan sprzedać Herr Hasslerowi za nędzne dwa miliony.

– A gdybym powierzył go pani?

– Sprzedałabym go w sposób przedkładający długoterminowe bezpieczeństwo nad krótkotrwałe korzyści finansowe.

– Nie usłyszałem ceny.

– Pięć milionów – odparła. – Ale przed zapłatą należałabym na spotkanie z pańskim fałszerzem w jego pracowni.

– Dziesięć milionów – podbił stawkę Rossetti. – I przeleje pani pieniądze na mój rachunek przed spotkaniem z fałszerzem.

– Kiedy jest możliwe takie spotkanie?

Rossetti spojrział na swój zegarek Patek Phillipe.

– Przypuszczam, że krótko po północy. Zakładając, rzecz jasna, że ma pani więcej niż te trzy tysiące euro schowane w portfelu od Cartiera.

– Z jakiego banku pan korzysta, signore Calvi?

– Z Banca Monte dei Paschi di Siena.

– Proszę mi podać numer konta i numer identyfikacyjny banku korespondenta.

– Przyniosę pani telefon.

Wprowadziła numer ręcznie i z pamięci. Gdy zadzwoniła pierwszy raz, nikt nie odebrał, więc rozłączyła się, nie nagrywając wiadomości. Druga próba zakończyła się tak samo. Ale za trzecim razem w końcu się dodzwoniła.

Do rozmówcy po drugiej stronie odezwała się bezbłędną angielszczyzną. Obyło się bez wymiany uprzejmości, zleciła tylko szybki przelew dziesięciu milionów euro na konto w najstarszym banku na świecie. Kilka minut po zakończeniu rozmowy przyszło potwierdzenie mejlem. Zakrywając kciukiem nazwisko nadawcy, pokazała je Rossettiemu. A potem podeszła z telefonem do najbliższego okna i cisnęła go w czarne wody rzeki Arno.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– Do miasteczka w południowej Umbrii.

– Oby tylko nie tym skuterem.

Przed budynkiem stało zaparkowane maserati. W mieście Rossetti nie szalał, ale kiedy wyjechali na autostradę, wcisnął gaz do dechy. Dopiero gdy minęli Orvieto, poinformował swojego fałszerza – przełączając rozmowę na samochodowe głośniki dzięki systemowi

Bluetooth – że jedzie omówić z nim ważną sprawę. Falszerza zirytowało takie naruszenie jego prywatności, bo liczył, że tego wieczoru ukończy obraz.

– Nie można z tym zaczekać do rana?

– Niestety nie. Poza tym mam dobre wieści.

– A skoro jesteśmy przy wiadomościach, czytałeś „Timesa”? Oliver Dimbleby ogłosił, że sprzedał Veronesego prywatnemu kolekcjonerowi. Za trzydzieści pięć milionów. W każdym razie chodzą takie plotki.

Na tym połączenie zostało przerwane.

– Chyba nie był zadowolony – powiedziała Hiszpanka.

– Miał powód.

– To nie była umowa konsygnacyjna?

– Zwyczajna sprzedaż.

– Ile Dimbleby wam za niego zapłacił?

– Trzy miliony.

– A ten nowy obraz? – spytała.

– To van Dyck.

– Naprawdę? Jaka tematyka?

– Nie będę pani psuł niespodzianki – odparł Rossetti i nacisnął gaz.

Krótko przed północą wściekłe ujadanie psów wyrwało Isabellę z przyjemnego snu. Zwykle winowajcą był któryś z dzików mieszkających w otaczających willę lasach. Jednak tego wieczoru źródłem zamieszania byli dwaj mężczyźni włóczący się w świetle księżycyca po pastwisku. Należeli do wielkiej grupy gości, wyłącznie mężczyzn, która przyjechała po południu. Isabella była zdania, że nie są to żadni goście, tylko funkcjonariusze policji. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że dwaj z nich szwendali się teraz w świetle księżycyca po pastwisku, uzbrojeni w niewielkie pistolety maszynowe?

W końcu psy się uciszyły, a Isabella wróciła do łóżka, lecz ponownie obudzono ją trzydzieści siedem minut po północy. Tym razem winowajcą było to przekłete sportowe maserati. Ten sam samochód, który na początku tygodnia przywiózł do Villa dei Fiori konserwatora, pomyślała. Śmignął pod oknami jej sypialni jak błyskawica i popędził otoczonym drzewami podjazdem do willi. Na skąpany światłem księżyca dziedziniec wysiadły dwie osoby. Jedną był atletycznie zbudowany mężczyzna, zapewne kolejny policjant. Drugą – wysoka kobieta o kruczoczarnych włosach.

Pierwsza do willi weszła kobieta, a mężczyzna deptał jej po piętach. Po kilku sekundach rozległy się krzyki, straszliwe pełne bólu zawodzenie, niczym ryk rannego zwierzęcia. Z pewnością miało to coś wspólnego z obrazem. „Portretem nieznannej kobiety”...

Może jednak się pomyliłam, pomyślała Isabella, zakrywając uszy. Może signore Allon to wciąż jednak ten sam człowiek.

**CZĘŚĆ TRZECIA**

# **PENTIMENTO**

## VILLA DEI FIORI

Nie poddała się bez walki, ale niczego innego się nie spodziewali. Luca Rossetti, który pierwszy próbował ją poskromić, stał się celem wściekłego kontrataku, więc Gabriel musiał porzucić obronę swojego obrazu i przyjść z pomocą swemu nowemu przyjacielowi. Kilka sekund później dołączyli do niego dwaj oficerowie taktyczni, którzy wpadli do pokoju z wyciągniętą bronią, niczym postacie z francuskiej farsy. Technicy nie mieszały się do rozróby, a Gabriel mądrze wycofał się na bezpieczny teren, skąd obserwował końcowy etap walki. Wreszcie Rossetti, z krwawiącym nosem, zakuł ją w kajdanki. Metaliczny chrzęst zatraskiwanego zamka w uszach Gabriela zabrzmiał jak muzyka.

Dopiero wtedy na scenę bez pośpiechu wkroczył generał Ferrari. Z zadowoleniem przekonał się, że podejrzana nie odniosła obrażeń, po czym przystąpił do wyliczania zarzutów przeciwko niej. Między innymi przelanie dziesięciu milionów euro do Banca Monte dei Paschi di Siena, jak też nagrane na wideo oświadczenie, że jest jednym z najważniejszych graczy w międzynarodowej siatce fałszerzy. Obecnie carabinieri próbowali namierzyć źródło przelewu. Ponadto usiłowali ustalić ostatnie trzy numery telefonów,

pod które dzwoniło z Samsunga leżącego teraz na dnie rzeki Arno. General zapewnił, że żadne z tych zadań nie nastreczy trudności.

Jednak nawet bez tych informacji, ciągnął, w świetle włoskiego prawa mają dostatecznie dużo dowodów, by przekazać podejrzaną sędziemu pokoju, który od razu postawi ją przed sądem. A skoro przyłapano ją in flagranti na próbie oszustwa dotyczącego dzieł sztuki i na związanych z tym procederem przestępstwach finansowych, nie było najmniejszych wątpliwości co do wyniku procesu. Prawdopodobnie zostanie ona skazana na wieloletni pobyt we włoskim więzieniu dla kobiet, które – co stwierdza z przykrością – należy do najgorszych w Europie Zachodniej.

– Po zwolnieniu czeka panią ekstradycja do Francji, gdzie niewątpliwie postawią pani zarzuty za udział w zabójstwach Valerie Béranger, Georges’a Fleury’ego i Bruna Gilberta. Jestem pewny, że hiszpańscy prokuratorzy także coś na panią znajdą. Dość powiedzieć, że zanim odzyska pani wolność, będzie pani staruszką na emeryturze. No chyba że skorzysta pani z koła ratunkowego, które zamierzam pani rzucić.

Umowa przewidywała, że podejrzana nie stanie przed sądem w związku z tajną operacją policji z tego wieczoru we Florencji. W zamian za to przekaże carabinieri nazwiska pozostałych członków siatki, pełny wykaz falsyfikatów będących obecnie w obiegu, a także, ma się rozumieć, nazwisko fałszerza. Każda próba migania się albo unikania odpowiedzi z jej strony spowoduje unieważnienie umowy i natychmiastowe wtrącenie do więzienia. Na powtórny ofertę nietykalności nie ma co liczyć.

Spodziewali się zapewnień, że jest niewinna, ale nic z tego. Nie zażądała też prawnika ani nie prosiła, by generał Ferrari dał jej umowę o współpracy na piśmie. Spojrzała tylko na Gabriela i zadała mu jedno pytanie:

– W jaki sposób pan mnie znalazł, panie Allon?

– Namalowałem cztery obrazy – odparł. – A pani wpadła wprost w moje ramiona.

I wtedy wybuchła kolejna bijatyka. Jedyłą ofiarą był kapitan Luca Rossetti.

Na początek rozwiała wszelkie wątpliwości związane z jej tożsamością. Owszem, zapewniła ich, naprawdę nazywa się Magdalena Navarro. I tak, urodziła się i wychowała w andaluzyjskiej Sewilli. Jej ojciec był marszandem, sprzedawał obrazy hiszpańskich dawnych mistrzów oraz antyki. Jego galeria mieściła się w pobliżu Plaza Virgen de los Reyes, kilka kroków od wejścia do hotelu Doña Maria przyjmującego najbogatszych mieszkańców Sewilli, którzy swoje fortuny odziedziczyli po arystokratycznych przodkach. Klan Navarro nie należał wprawdzie do tej elitarnej warstwy społecznej, ale galeria pozwalała Magdalenie rzucić okiem na to, jak żyją ci, dla których pieniądze nie stanowią problemu.

Poza tym galeria zaszczepiła w niej miłość do sztuki, zwłaszcza hiszpańskiej. Czciała Diego Velázquezę i Francisco de Goyę, ale jej prawdziwą obsesją był Picasso. Jako małe dziecko naśladowała jego rysunki, a mając lat dwanaście, wykonała niemal idealną kopię „Dwóch dziewczyn czytających”. Wkrótce rozpoczęła formalną edukację w prywatnej szkole artystycznej w Sewilli, a zdobywszy wykształcenie średnie, wstąpiła na Akademię Sztuk Pięknych w Barcelonie. Ku zdumieniu kolegów z roku swoje pierwsze obrazy sprzedała jeszcze na studiach. A liczący się autor z barcelońskiego magazynu o sztuce przewidywał, że niedługo Magdalena Navarro zostanie najsłynniejszą malarką w Hiszpanii.

– Kiedy ukończyłam studia w dwa tysiące czwartym, dwie znaczące galerie sztuki chciały wystawić moje prace. Jedna

z Barcelony, druga z Madrytu. Nie muszę chyba mówić, jak się zdziwiły, kiedy odrzuciłam ich oferty.

Posadzili ją na krześle z pionowym oparciem, w największej sali. Jej stopy spoczywały płasko na posadzce z terakoty, dłonie miała skute za plecami. Naprzeciwko niej siedział generał Ferrari mający u boku Rossettiego, a nad ramieniem zamontowaną na statywie kamerę wideo. Gabriel przyglądał się tymczasem rozdarciu w kształcie litery L, 15 na 23 centymetry, w dolnym lewym rogu „Portretu nieznannej kobiety”.

– Dlaczego pani to zrobiła? – zapytał.

– Dlaczego jako zaledwie dwudziestojednolatka odrzuciłam propozycję wystawienia swoich prac? Dlatego, że nie interesowała mnie kariera najsłynniejszej malarki w Hiszpanii.

– Hiszpania jest za mała na pani talent?

– Wtedy tak mi się wydawało.

– I dokąd pani pojechała?

Jesienią 2005 roku przybyła do Nowego Jorku i wynajęła kawalerkę przy Avenue C na dolnym Manhattanie. Wkrótce mieszkanie wypełniło się jej nowymi obrazami, bo żadnego nie zdołała sprzedać. Pieniądze, które przywiozła z Hiszpanii, wkrótce się skończyły. Ojciec przysyłał jej, ile mógł, ale to nie wystarczało.

Rok po przyjeździe do Nowego Jorku nie stać już jej było na przybory do malowania i groziła jej eksmisja. Znalazła pracę jako kelnerka w El Pote Español na Murray Hill oraz w Katz's Delicatessen przy East Houston Street. Nie minęło wiele czasu, a pracowała po sześćdziesiąt godzin tygodniowo, więc nie miała już siły malować.

Wpadła w depresję, zaczęła nadużywać alkoholu i nabrała upodobania do kokainy. Związała się ze swoim dilerem, przystojnym

Dominikańczykiem pochodzenia hiszpańskiego, Hectorem Martínezem, i wkrótce robiła w jego siatce za gońca i roznosicielkę.

Wśród jej stałych klientów było wielu maklerów z Wall Street zarabiających kokosy na sprzedaży instrumentów pochodnych i papierów wartościowych zabezpieczonych hipoteką – tymi samymi skomplikowanymi instrumentami inwestycyjnymi, które trzy lata później doprowadziły światową gospodarkę na skraj załamania.

– A poza tym, rzecz jasna, byli rockmani, scenarzyści, producenci z Broadwayu, malarze, rzeźbiarze i właściciele galerii. Może zabrzmiało to dziwnie, ale w Nowym Jorku fucha dilerki kokainy była znakomitą odskocznią do kariery. Wszyscy, którzy byli kimś, ćpali. I wszyscy wiedzieli, jak się nazywam.

Zarobki z handlu kokainą pozwoliły zrezygnować Magdalenie z pracy kelnerki i wrócić do malowania. Jedno z płócien dała marszandowi z Chelsea, który na kokę wydawał tysiąc dolarów tygodniowo. Ten nie zatrzymał obrazu, tylko sprzedał klientowi za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Połowę zysku dał Magdalenie, ale nie chciał jej zdradzić nazwiska kupującego.

– Wyjaśnił ci, dlaczego? – zapytał Gabriel.

– Powiedział, że klient pragnie pozostać anonimowy. Ale poza tym bał się, że go wyślizgam z interesu.

– Dlaczego miałyby cię o to podejrzewać?

– Bo jestem córką marszanda. Wiem, na czym polega ten biznes.

Marszand z Chelsea kupił od Magdaleny jeszcze dwa płótna i od razu je sprzedał temu samemu anonimowemu nabywcy. Następnie poinformował Magdaleny, że ów anonimowy klient jest bogatym inwestorem, który bardzo podziwia jej prace i chciałby zostać jej patronem.

– Ale tylko pod warunkiem, że przestanę dylować kokainą.

– Zakładam, że się zgodziłaś.

– Wyrzuciłam swój pager do studzienki kanalizacyjnej na Zachodniej Dwudziestej Piątej i nigdy więcej nie dostarczyłam nikomu ani jednej działki.

Jej nowy patron, mówiła dalej, dotrzymał słowa. W lecie dwa tysiące ósmego kupił od niej cztery obrazy za pośrednictwem tej samej galerii w Chelsea. Zarobiła na tym ponad sto tysięcy dolarów. W obawie, że patron przestanie ją wspierać finansowo, nie próbowała odkryć, kim jest. Ale pewnego lodowatego ranka w połowie grudnia obudził ją telefon od kobiety podającej się za sekretarkę jej patrona.

– Pytała, czy jestem wolna wieczorem na kolację. Kiedy odparłam, że tak, powiedziała, że o czwartej po południu podjedzie po mnie limuzyna.

– Dlaczego tak wcześnie?

– Mój anonimowy patron zamierzał mnie zabrać do Le Cirque, więc chciał być pewny, że mam co na siebie włożyć.

Limuzyna zjawiała się o umówionej porze i zawiozła Magdalenę do domu towarowego Bergdorf Goodman, gdzie osobista stylistka imieniem Clarissa wybrała jej stroje i biżuterię za dwadzieścia tysięcy dolarów, w tym złoty zegarek od Cartiera. A potem zaprowadziła ją do ich ekskluzywnego salonu fryzjerskiego na strzyżenie z modelowaniem.

Le Cirque mieściła się kilka ulic dalej, w hotelu Palace. Magdalena przyszła tam o ósmej i natychmiast zaprowadzono ją do stolika pośrodku tej kultowej sali restauracyjnej. W wyobraźni widziała swojego patrona jako dobrze zakonserwowanego, ubranego w marynarkę siedemdziesięciolatka z Park Avenue. Tymczasem czekał na nią wysoki blondyn mający góra czterdzieści pięć lat. Wstał, podał Magdalenie rękę i w końcu się przedstawił.

Powiedział, że nazywa się Phillip Somerset.

## VILLA DEI FIORI

Nie da się ukryć, że było to ostatnie nazwisko, jakie Gabriel spodziewał się usłyszeć z ust Magdaleny Navarro. Jako doświadczony śledczy nie pokazał po sobie zdziwienia ani niedowierzania. Odwrócił się do generała Ferrariego i Luki Rossettiego, którym to nazwisko nic nie mówiło, i podał ocenioną wersję życiorysu Phillipa Somerseta. Były makler w Lehman Brothers. Założyciel i dyrektor naczelny Masterpiece Art Ventures, obracającego sztuką funduszu hedgingowego stale dającego inwestorom zwroty roczne w wysokości dwudziestu pięciu procent. Widać było, że generał podejrzewa, że kryje się za tym coś więcej, ale pozwolił, by Gabriel wrócił do przesłuchiwanie podejrzanej.

Gabriel poprosił Magdalene, żeby opisała przebieg wieczoru w nigdyś najsłynniejszej restauracji na Manhattanie.

– Jedzenie było paskudne. A ten wystrój! – Wzniosła do nieba piękne ciemne oczy.

– A jak przebiegła randka?

– Nasza rozmowa była serdeczna i rzeczowa. To nie był romantyczny wieczór.

- To po co ta elegancka suknia i zegarek od Cartiera?
- To był pokaz jego siły i tego, jak może odmienić moje życie. Cały ten wieczór miał w sobie coś z teatru.
- Zrobił na tobie wrażenie?
- Wręcz przeciwnie. Uznałam, że jest skrzyżowaniem Jaya Gatsby’ego i Buda Foxa. Udawał kogoś, kim nie jest.
- Czyli?
- Człowieka niebywale bogatego i wyrafinowanego. Patrona sztuki na kształt Medyceuszy.
- Ale Phillip naprawdę był bogaty.
- Nie aż tak, jak twierdził. A o sztuce nie miał bladego pojęcia. Phillipa pociągał rynek sztuki, bo tam są pieniądze.
- A co go pociągało w tobie?
- Byłam młoda, piękna i utalentowana, w dodatku z egzotycznym nazwiskiem i hiszpańskim pochodzeniem. Oświadczył, że zrobi ze mnie globalną markę o wielomiliardowej wartości. Obiecał bogactwo, o jakim nawet mi się nie śniło.
- Czy cokolwiek z tego się spełniło?
- Tylko to, że uczyni mnie bogatą.
- Phillip kupował wszystkie obrazy Magdaleny tak szybko, że ledwo nadążała z malowaniem, a pieniądze wpłacał jej na konto w Masterpiece Art Ventures. Wkrótce jej saldo wynosiło dobrze ponad dwa miliony dolarów. Zrezygnowała z kawalerki i przeniosła się do kamienicy na Zachodniej Jedenastej. Dom należał do Phillipa, ale pozwalał jej tam mieszkać za darmo. Często ją odwiedzał.
- Żeby obejrzeć twoje najnowsze obrazy?
- Nie – odparła. – Przychodził do mnie.
- Byliście kochankami?
- To, co się działo między nami, niewiele miało wspólnego z miłością, panie Allon. Przypominało to raczej naszą kolację w Le

Cirque.

- Było paskudne?
- Serdeczne i rzeczowe.

Czasami Phillip zabierał ją na spektakl na Broadwayu albo otwarcie jakiejś galerii. Głównie jednak trzymał ją schowaną przed ludźmi w kamienicy, w której malowała całymi dniami, tak jak córka Rumpelsztyka przędła przy kołowrotku. Zapewniał ją, że szykuje efektowny wernisaz jej prac, po którym zostanie najbardziej wziętą malarką w Nowym Jorku. Ale obiecana wystawa jakoś nie mogła się zmaterializować, więc oskarżyła Phillipa, że ją oszukuje.

- I jak zareagował?
- Zabrał mnie do loftu w Hell's Kitchen, tuż przy Dziewiątej Alei.
- Co było w tym lofcie?
- Obrazy.
- Czy któryś z nich był prawdziwy?
- Nie – odparła Magdalena. – Ani jeden.

A jednak piękno i jakość tych prac zapierały dech w piersi; wykonał je fałszerz o niebywałym talencie i technice. On nie kopiował istniejących obrazów. Zamiast tego sprytnie naśladował styl jakiegoś dawnego mistrza i tworzył obraz, który mógł uchodzić za nowo odkryte dzieło. Wszystkie płótna, blejtramy i ramy pochodziły z właściwej epoki oraz szkoły, podobnie jak barwniki. I dlatego za pomocą naukowych ocen nie dało się wykryć fałszerstwa.

- Czy Phillip powiedział ci, jak się nazywa ten fałszerz?
- Oczywiście, że nie. Nigdy mi nie zdradził jego nazwiska.
- Chyba nie sądzisz, że w to uwierzymy, co?
- A po co miałyby mi mówić coś takiego? Poza tym nazwisko fałszerza nie miało nic wspólnego z tym, czego chciał ode mnie.
- To znaczy?

- Żebym sprzedawała te obrazy, a cóż by innego?
- Dlaczego akurat ty?
- A dlaczego nie? Byłam dyplomowaną historyczką sztuki i byłam dilerką, która potrafiła wnieść do pokoju ćwierć uncji kokainy i wyjść z pieniędzmi. No i córką marszanda z Sewilli.
- Znakomite miejsce, żeby się dostać na rynek europejski.
- A także idealne, żeby zawieźć tam kilka fałszywych obrazów na jazdę próbną – dodała.
- Ale po co tak niesamowicie skuteczny biznesmen jak Phillip Somerset miałby się pakować w fałszowanie sztuki?
- Może pan mi to powie, panie Allon.
- Widocznie ten biznesmen nie był jednak tak niesamowicie skuteczny.

Magdalena przytaknęła ruchem głowy.

- Masterpiece Art Ventures od samego początku był niewypałem. Nawet kiedy ceny dzieł sztuki poszybowały w górę, Phillip nie mógł pojąć zasad rządzących tym rynkiem. Żeby pokazać inwestorom zyski, musiał mieć jakiegoś pewniaka.
- I zgodziłaś się na ten jego plan?
- Nie od razu.
- Co cię skłoniło do zmiany zdania?
- Kolejne dwa miliony dolarów na moim koncie w Masterpiece Art Ventures.

Miesiąc później wróciła do Sewilli, wioząc z Nowego Jorku pierwsze sześć obrazów. W dokumentach przewozowych opisano je jako dzieła dawnych mistrzów o minimalnej wartości, wykonane przez późnych naśladowców albo imitatorów danego mistrza. Ale kiedy wystawiła je na sprzedaż w galerii ojca, podrasowała atrybucje do „z kręgu” albo „z pracowni”, co znacznie zwiększyło wartość dzieł. W ciągu sześciu tygodni wszystkie sześć obrazów

zostało rozchwywane przez bogatych sewilskich klientów ojca. Magdalena odpaliła mu dziesięć procent z zysku, a resztę przekazała do Masterpiece Art Ventures, na konto w Liechtensteinie.

– Ile?

– Półtora miliona. – Wzruszyła ramionami. – Marne grosze.

Po tej pierwszej jeździe próbnej obrazu z Nowego Jorku napływały już regularnie. Było ich zbyt wiele jak na możliwości sprzedaży galerii, dlatego też Magdalena została pośredniczką z siedzibą w Madrycie. Jedno z płócien – scenę biblijną namalowaną rzekomo przez weneckiego twórcę Andreę Celestiego – sprzedała najbardziej znaczącemu w Hiszpanii marszandowi od dawnych mistrzów, który z kolei odstąpił je muzeum na środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych.

– Gdzie wisi po dziś dzień.

Wkrótce jednak Phillip odkrył, że Magdalenie będzie dużo łatwiej odsprzedawać obrazu funduszowi Masterpiece Art Ventures po dziko zawyżonych cenach; rzecz jasna, nikt tu nikomu nie płacił. Następnie dorzucał obrazu do portfolio Masterpiece i je usuwał, dokonując fikcyjnych sprzedaży za pośrednictwem sieci spółek krzaków. A za każdym razem, gdy obraz rzekomo zmieniał właściciela, jego wartość rosła.

– Pod koniec dwa tysiące dziesiątego roku firma Masterpiece Art Ventures twierdziła, że kontroluje dzieła sztuki o wartości ponad czterystu milionów dolarów. Tyle że znaczną część obrazów stanowiły bezwartościowe falsyfikaty, których wartość sztucznie napompowano poprzez fikcyjną sprzedaż.

Phillip nie był jednak zadowolony ze skali operacji, mówiła Magdalena. Chciał pokazać swoim inwestorom kolosalny wzrost wartości portfolio Masterpiece i wyższe zarobki. W tym celu musiał wprowadzić na rynek dodatkowe obrazu. Dotychczas ograniczali się

głównie do dzieł średniej klasy, ale Phillip pragnął znacznie podnieść stawkę. Obecna sieć dystrybucji by nie wystarczała, chciał mieć pierwszorzędną galerię w którymś ze światowych centrów sztuki. Magdalena znalazła taką w Paryżu, na rue la Boétie.

– Galerie Georges Fleury.

Kiwnęła głową.

– Skąd wiedziałaś, że monsieur Fleury będzie chciał robić z tobą interesy?

– Kiedyś kupił obraz od mojego ojca, tylko przypadkiem zapomniał za niego zapłacić. Nawet według niskich standardów panujących w świecie sztuki monsieur Fleury to pozbawiona skrupułów gnida.

– Jak to z nim rozegrałaś?

– Szczerze.

– Nie miał oporów przed sprzedawaniem falsyfikatów?

– Najmniejszych. Ale zanim się zgodził, nalegał tylko, żeby jeden z tych obrazów poddać naukowej analizie.

– I co mu dałaś?

– Portret Fransa Halsa. A wie pan, co monsieur Fleury z nim zrobił?

– Pokazał przyszłemu dyrektorowi Luwru. A przyszły dyrektor Luwru dał obraz do Narodowego Centrum Badań i Konserwacji, które potwierdziło jego autentyczność. Obecnie fałszywy portret Fransa Halsa wchodzi w skład stałej kolekcji Luwru, razem z Gentilem, Cranachem i najwspanialszym van der Weydenem, jakiego oczy widziały.

– Nie takiego wyniku Phillip oczekiwał, ale i tak było to osiągnięcie co się zowie.

– Ile falsyfikatów wasz duet przepuścił przez Galerie Fleury?

– Jakoś tak między dwieście a trzysta.

- Jakie wynagrodzenie otrzymał Fleury?
- Na początku to były umowy konsygnacyjne.
- A potem?

– W dwa tysiące czternastym Phillip kupił tę galerię za pośrednictwem anonimowej firmy krzak. Czyli praktycznie rzecz biorąc, monsieur Fleury był pracownikiem Masterpiece Art Ventures.

- A kiedy przejęliście kontrolę nad Galerie Hassler w Berlinie?
- W następnym roku.
- Słyszałem, że macie też punkt dystrybucyjny w Brukseli.
- Galerie Gilles Raymond przy rue de la Concorde.
- O czymś zapomniałem?

– O Hongkongu, Tokio i Dubaju. A pieniądze z nich wszystkich płyną do kufra Masterpiece Art Ventures.

– Największy przekręt w historii świata sztuki – ocenił Gabriel. – I mogłoby się to ciągnąć w nieskończoność, gdyby Phillip nie kupił „Portretu nieznannej kobiety” w londyńskiej Isherwood Fine Arts.

– To była wina pana przyjaciółki Sarah Bancroft – oświadczyła Magdalena. – Gdyby nie pochwaliła się sprzedażą obrazu tej dziennikarce z „ARTnews”, Francuzka nigdy by się o tym nie dowiedziała.

I tak oto, o wpół do trzeciej nad ranem, doszli do madame Valerie Bérangar.

## VILLA DEI FIORI

Magdalena po raz pierwszy usłyszała o Valerie Bérangar w swoim stałym apartamencie w nowojorskim hotelu Pierre. Było zimne deszczowe popołudnie w połowie marca. Obok niej leżał zirytowany Phillip – był zły, bo przerwała stosunek, by odebrać telefon. Dzwonił Georges Fleury z Paryża.

– A co robiłaś w Nowym Jorku? – zapytał Gabriel.

– Wpadam tam przynajmniej raz w miesiącu, żeby omówić sprawy, których nie da się powierzyć poczcie elektronicznej ani szyfrowanym komunikatorom.

– Czy zawsze na koniec idziesz z Phillipem do łóżka?

– Ta część naszej znajomości nigdy się nie zmieniła. Nawet kiedy przez chwilę Phillip był zauroczony pana przyjaciółką Sarah Bancroft, sypiał na boku ze mną.

– A jego żona o was wie?

– Lindsay nie ma pojęcia. O niczym.

Za zgodą generała Ferrariego Rossetti zdjął jej z nadgarstków kajdanki. Splotła długie ręce na prawej nodze założonej na lewą. Ciemnymi oczami śledziła Gabriela, który krążył po pokoju.

– Wyobrażam sobie, że tego popołudnia w połowie marca monsieur Fleury był nieco zdenerwowany – powiedział.

– Był przerażony. W galerii zjawił się bez zapowiedzi francuski policjant Jacques Ménard i wypytywał go o „Portret nieznannej kobiety”. Bał się, że cały ten domek z kart się zawali.

– Dlaczego zadzwonił do ciebie, a nie do Phillipa?

– Ja jestem szefową sprzedaży i dystrybucji. Phillip jest właścicielem wszystkich galerii, ale od marszandów trzyma się z daleka. No chyba że jest jakiś problem.

– Taki jak Valerie Bérangar?

– Tak.

– I co zrobił Phillip?

– Zadzwonił.

– Do kogo?

– Do człowieka, który go uwalnia od kłopotów.

– A ten człowiek jakoś się nazywa?

– Jeśli tak, to ja nic o tym nie wiem.

– Czy to Amerykanin?

– Nie wiem.

– A co wiesz?

– Że jest to były agent wywiadu, który ma do dyspozycji całą siatkę świetnych zawodowców. Zhakowali telefon i laptopa madame Bérangar i włamali się do jej willi w Saint-André-du-Bois. Wtedy znaleźli ten wpis w jej kalendarzu na biurku. No i obraz, rzecz jasna.

– „Portret nieznannej kobiety”, olej na płótnie o wymiarach sto piętnaście na dziewięćdziesiąt dwa centymetry, przypisywany naśladowcy flamandzkiego malarza z epoki baroku, Antoona van Dycka.

– Ze strony Fleury’ego to był koszmaryny błąd – oświadczyła Magdalena. – Powinien był mi powiedzieć, że kiedyś sprzedał

oryginał tego płótna. Ale to było tak dawno temu, że wyleciało mu z pamięci.

– W jaki sposób fałszerz namalował kopię?

– Zdaje się, że korzystał ze zdjęcia, które znalazł w jakimś starym katalogu z wystawy. Był to drugorzędny obraz pędzla anonimowego artysty malującego w stylu van Dycka. Fałszerz wykonał po prostu jego lepszą wersję i voilà, nagle objawił się zaginiony van Dyck, od wieków leżący w ukryciu.

– W tej samej paryskiej galerii, w której mąż Valerie Bérangar kupił oryginał trzydzieści cztery lata wcześniej.

– Nie można wykluczyć takiej hipotezy, ale byłaby chyba mocno naciągana. Gdyby francuska brygada sztuki wszczęła śledztwo...

– Trafilibyście do aresztu. A imperium fałszerstw i oszustw Phillipa Somerseta zostałyby w spektakularny sposób zdemaskowane.

– Tyle że konsekwencje dla całego świata sztuki byłyby katastrofalne. Nastąpiłby przepadek wielu fortun, wizerunek niezliczonych osób ległby w gruzach. Żeby ograniczyć szkody, trzeba było zastosować środki nadzwyczajne.

– Wyeliminować madame Bérangar – rzekł Gabriel. – I dowiedzieć się, co takiego powiedziała Julianowi Isherwoodowi i jego współpracownicy Sarah Bancroft.

– Ja nie miałam nic wspólnego ze śmiercią tej Bérangar. To Phillip wszystko zorganizował.

– Wypadek samochodu jadącego pustą szosą. – Gabriel zamilkł na chwilę. – I problem rozwiązany.

– Na to wyglądało. Ale niecały tydzień po jej śmierci pan i Sarah Bancroft zjawiliście się w posiadłości Phillipa na Long Island.

– Powiedział nam, że sprzedał „Portret nieznannej kobiety”. Dodał też, że druga ekspertyza atrybucji potwierdziła, że obraz jest

autentycznym van Dyckiem.

– I nic z tego nie odpowiadało prawdzie.

– Ale po co właściwie kupił własny falsyfikat?

– Już to panu tłumaczyłam.

– Wyjaśnij ponownie.

– Przede wszystkim Masterpiece Art Ventures wcale nie zapłacił sześciu i pół miliona funtów za „Portret nieznannej kobiety”.

– Bo Isherwood Fine Arts nieświadomie kupiła go od Masterpiece Art Ventures za trzy miliony euro.

– Zgadza się.

– Tak czy owak, Phillip wydał mnóstwo pieniędzy na bezwartościowy obraz.

– Ale pieniądze nie były jego, tylko innych. A dla kogoś takiego jak Phillip ten obraz wcale nie jest bezwartościowy. Mógłby go użyć jako zabezpieczenie kredytu bankowego, a potem sprzedać innemu inwestorowi za sumę o wiele większą niż to, co sam wyłożył.

– A przypisując pierwotną sprzedaż Isherwood Fine Arts, mógłby się wiarygodnie wyprzeć odpowiedzialności, gdyby kiedyś okazało się, że obraz jest fałszerstwem – dodał Gabriel. – Bo przecież Sarah sprzedała falsyfikat właśnie jemu. I nie kto inny tylko Julian, uznany ekspert od holenderskich i flamandzkich dawnych mistrzów, orzekł, że obraz namalował Antoon van Dyck, a nie jego późny naśladowca.

– Błogosławieństwo Juliana Isherwooda znacząco podniosło wartość obrazu.

– Gdzie on teraz jest?

– W magazynach Chelsea Fine Arts Storage.

– Przypuszczam, że ta firma też należy do Phillipa.

– Phillip kontroluje całą infrastrukturę siatki, w tym Chelsea. Bał się, że pan i Sarah wszystko to zniszczycie.

– I co zrobił?

- Znowu zadzwonił.
- Do kogo?
- Do mnie.

Za drobną część tego, co zarobiła, pracując dla Phillipa Somerseta i Masterpiece Art Ventures, Magdalena kupiła luksusowy apartament przy Calle de Castelló w madryckiej dzielnicy Salamanca. Krąg jej znajomych obejmował malarzy, pisarzy, muzyków oraz projektantów mody, którzy nie mieli pojęcia, czym się naprawdę zajmuje. Jak większość młodych Hiszpanów do kolacji siadali około dziesiątej wieczór, a potem ruszali do klubów nocnych. Dlatego Magdalena wciąż spała, gdy Phillip zadzwonił do niej w poniedziałek o pierwszej po południu i kazał jej posprzątać bajzel w Galerie Fleury.

– Jakie sprzątanie miał na myśli?

– Zniszczenie falsyfikatów, które galeria miała na stanie, i w razie konieczności zwrot miliona euro, które pan i ta skrzypaczka zapłaciliście za „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”.

– Miałem rację, że to był falsyfikat?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Najwyraźniej powiedział pan Phillipowi, że zlecił naukową analizę obrazu Aidenowi Gallagherowi. Phillip był przekonany, że Aiden wykryje fałszerstwo.

– Dlatego że Aiden jest najlepszy w całej branży.

– Nic dodać, nic ująć – podsumowała Magdalena.

– A kiedy usłyszałaś, że w galerii wybuchła bomba?

– Od razu wiedziałam, że Phillip znów mnie oszukał. – Zamilkła. – I że popełnił koszmarny błąd.

Przez trzy tygodnie, ciągnęła, była więźniem we własnym apartamencie w Madrycie. Obsesyjnie śledziła wiadomości z Paryża, obgryzała paznokcie do skóry, namalowała autoportret w stylu

Picassa i zdecydowanie za dużo piła. W przedpokoju stały spakowane walizki. W jednej z nich miała milion euro w gotówce.

– Dokąd zamierzałaś się udać?

– Do Marakeszu.

– Zostawiając ojca, żeby poniósł konsekwencje twoich przestępstw?

– Mój ojciec nie zrobił nic złego.

– Wątpię, żeby hiszpańska policja widziała to w ten sposób – mruknął Gabriel. – Ale mów dalej, proszę.

Przykazała pozostałym galeriom należącym do siatki, by wstrzymały wszelką sprzedaż fałszywych obrazów, i ograniczyła kontakty telefoniczne i esemesowe z Phillipem do niezbędnego minimum. Ale pod koniec kwietnia wezwał ją do Nowego Jorku i kazał jej odkręcić kran.

– Jeden z jego największych inwestorów zażądał spłaty czterdziestu pięciu milionów dolarów. Taka suma znacząco wpływa na bilans. Masterpiece czym prędzej musiała uzupełnić swoje zapasy gotówki.

I w ten sposób falsyfikaty znów spłynęły na rynek, a pieniądze spływały na konto Phillipa na Kajmanach. W czerwcu sprawa wybuchu w Galerie Fleury znikła z czołówek gazet, teraz oczy świata sztuki skierowały się na Londyn, gdzie Dimbleby Fine Arts szykowała wystawę nowo odkrytej wersji „Zuzanny w kąpielni” pędzla Paola Veronesego. Obraz pochodził rzekomo z tej samej starej europejskiej kolekcji, z której wcześniej wypłynęli Tycjan i Tintoretto. Ale Magdalena wiedziała coś, o czym reszta świata sztuki nie miała pojęcia – że wszystkie trzy obrazy były fałszywe.

– Dlatego, że przedstawiciel fałszerza odstawił niezły cyrk w Galerie Hassler w Berlinie – rzekł Gabriel.

Magdalena spojrzała na Rossettiego.

– Miałam podejrzenia co do tych obrazów, jeszcze zanim pana człowiek próbował sprzedać Gentileschiego Herr Hasslerowi.

– Dlaczego?

– Potrafię rozpoznać lipną historię pochodzenia, panie Allon. Pańska nie była szczególnie sprytna ani oryginalna. Mimo to reakcja świata sztuki wcale mnie nie zdziwiła. To tajemnica naszego sukcesu.

– Czyli?

– Łatwowierność kolekcjonerów oraz tak zwanych ekspertów i znawców. Świat sztuki za wszelką cenę chce wierzyć, że istnieją zaginione arcydzieła, które czekają, aż ktoś je odkryje. Phillip i ja spełniamy te marzenia. – Zdobyła się na uśmiech. – Tak samo jak pan, panie Allon. Na widok pańskiego Veronesego zapało mi dech w piersi, ale za Gentileschiego dałabym się pokroić.

– Musiała go pani mieć?

– Nie – odparła. – Musiałam mieć pana.

– Dlatego, że rynek na dzieła dawnych mistrzów klasy muzealnej jest niewielki? Dlatego, że dwie duże siatki fałszerzy dawnych mistrzów nie mogą ze sobą konkurować i przetrwać?

– I dlatego, że fałszerz Phillipa nie jest w stanie dostarczyć dostatecznie dużo obrazów, żeby zaspokoić popyt w mojej sieci dystrybucji – dodała. – I dlatego, że chociaż ma niezwykły talent, to do pana nawet się nie umywa.

– W takim razie przyjmuję twoją ofertę.

– Jaką ofertę?

– Dołączenia do zespołu Masterpiece Art Ventures. – Gabriel wyłączył kamerę. – Przejdźmy się, Magdaleno. Jest kilka szczegółów, które musimy dogadać, zanim zadzwonisz do Phillipa i przekażesz mu dobre wieści.

## VILLA DEI FIORI

Ruszyli łagodnie opadającym podjazdem pod koronami pini. Nad wzgórzami od wschodu wyszły pierwsze smugi świtu, ale nad ich głowami nadal świeciły gwiazdy. Chłodne powietrze stało, najłżejszy powiew nie zakłócał bezruchu. Czuli zapach kwiatów pomarańczy, jaśminu oraz papierosa, którego Magdalena wyprosiła od Luki Rossettiego.

– Gdzie pan się nauczył tak malować? – spytała.

– W łonie.

– Pańska matka była malarką?

– I mój dziadek. Był uczniem Maxa Beckmanna.

– Jak się nazywał?

– Viktor Frankel.

– Znam prace pańskiego dziadka – powiedziała. – Ale same dobre geny nie wystarczą, żeby mieć taki talent jak pan. Gdybym nie wiedziała, jak się sprawy mają, sądziłabym, że terminował pan w pracowni Tycjana.

– To prawda, że praktykę odbyłem w Wenecji. Moim mistrzem był słynny konserwator Umberto Conti.

– I niewątpliwie był pan najlepszym uczniem signore Contiego.

- Chyba mam do tego smykałkę.
- Do odnawiania obrazów?
- Nie tylko obrazów. Także ludzi. Właśnie się zastanawiam, czy jesteś warta zachodu. – Zerknął na nią z ukosa. – Mam koszmarne wrażenie, że ciebie nie da się naprawić.
- Niestety, uszkodziłam się na własne życzenie.
- Nie do końca. To Phillip cię namierzył i zwerbował. Pielęgnował cię. Żerował na twojej wrażliwości. Uzależnił cię. Znam te techniki. Sam czasami z nich korzystałem.
- Teraz też pan ich używa?
- Troszeczkę – przyznał.
- Odwróciła się i wydmuchała cienką stróżkę dymu.
- A gdybym panu powiedziała, że z własnej woli wdepnęłam w pułapkę, którą Phillip na mnie zastawił?
- Bo zależało ci na pieniądzach?
- Na pewno nie chodziło o seks.
- Ile tego jest?
- Oprócz tego miliona euro w walizce w moim mieszkaniu? – Spojrzała w niebo. – Mam jeszcze cztery czy pięć rozrzucone po Europie, ale największą część pieniędzy zainwestowałam w Masterpiece Art Ventures.
- Obecne saldo?
- Jakies pięćdziesiąt pięć.
- Milionów?
- To ułamek tego, co mi się należy. Gdyby nie ja, Masterpiece Art Ventures w ogóle by nie było.
- Nie jest to powód do chwały, Magdaleno.
- A ile osób może o sobie powiedzieć, że zbudowało wielomiliardowej wartości ogólnoswiatową sieć falsyfikatów?
- Albo że ją zniszczyło – zauważył cicho Gabriel.

Zmarszczyła czoło.

– Jak mnie pan znalazł, panie Allon? Tym razem proszę powiedzieć prawdę.

– Twoja próba zwerbowania Luciena Marchanda dała mi cenne pojęcie o tym, w jaki sposób działasz.

Magdalena po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i pstryknięciem długiego palca wskazującego posłała rozżarzony niedopałek łukiem w ciemność.

– A jak się miewa Françoise? Nadal mieszka w Roussillon? A może przeniosła się na stałe do willi Luciena na Saint-Barthélemy?

– Dlaczego próbowałaś go wynająć?

– Phillip chciał powiększyć nasz inwentarz o impresjonistów i dzieła powojenne. Jego fałszerz nie umiał ich malować, dlatego poprosił, żebym mu znalazła kogoś, kto potrafi. Złożyłam Lucienowi hojną propozycję, a on ją przyjął.

– Razem z milionem euro w gotówce.

Nie odpowiedziała.

– Czy dlatego kazałaś go zabić? Z powodu marnego miliona euro?

– Ja się zajmuję sprzedażą i dystrybucją, panie Allon. Problemy rozwiązuje Phillip.

– Dlaczego Lucien stanowił problem?

– Naprawdę muszę to panu tłumaczyć?

– Skoro Lucien i Françoise wzięli pieniądze, a potem nie dotrzymali umowy, Phillip wystraszył się, że stanowią zagrożenie dla was i Masterpiece Art Ventures.

Magdalena przytaknęła ruchem głowy.

– Françoise ma szczęście, że Phillip nie kazał zabić także jej. To ona była mózgiem tego przedsięwzięcia. Lucien był pędzlem, a Toussaint kasą, ale to Françoise była klejem, który wszystko spajał.  
– Zwolniła i zatrzymała się przed małą kapliczką Maryi Panny, jedną

z kilku stojących na terenie posiadłości. – Gdzie my jesteśmy, u licha?

– W willi niegdyś był klasztor. A obecny właściciel jest blisko związany z Watykanem.

– Tak samo jak pan. Tak przynajmniej mówią. – Przeżegnała się i ruszyła dalej.

– Jesteś wierząca? – zapytał Gabriel.

– Jak dziewięćdziesiąt procent moich rodaków, nie uczestniczę już w mszach i od ponad dwudziestu lat nie byłam u spowiedzi. Ale tak, panie Allon. Wciąż jestem wierząca.

– A wierzysz w rozgrzeszenie?

– Zależy, ile zdrowasiek każe mi pan odmówić.

– Jeśli pomożesz mi zniszczyć Phillipa Somerseta, twoje grzechy będą odpuszczone – oświadczył Gabriel.

– Wszystkie?

– Kilka lat temu poznałem kobietę, która prowadziła galerię sztuki współczesnej w Saint-Tropez. Była to pralnia pieniędzy dla narkotykowego imperium jej chłopaka. Pomogłem jej i wyszła z tego czysta. Teraz jest wziętą marszandką w Londynie.

– Jakoś nie widzę swojej przyszłości w galerii sztuki – powiedziała Magdalena. – Ale co pan miał na myśli?

– Ostateczne spotkanie twarzą w twarz z Phillipem w Nowym Jorku w przyszłym tygodniu.

– W sprawie najnowszego członka zespołu Masterpiece Art Ventures?

– Otóż to.

– Wyobrażam sobie, że chętnie zobaczyłby pańskiego Gentileschiego.

– I właśnie dlatego wyślesz go na przechowanie do Chelsea Fine Arts Storage.

– Mam nadzieję, że pana przedstawiciel pokryje koszty transportu.

– Niestety, cena aukcyjna tego nie obejmuje.

– Podejrzewam, że dziesięć milionów euro to już nie jest tyle co kiedyś. Ale jak sobie poradzimy z włoskimi celnikami?

– W tej kwestii jesteśmy kryci. – Gabriel podał jej telefon komórkowy. – Ta rozmowa jest nagrywana, tak na wszelki wypadek. Jeśli spróbujesz dać mu cynk, przekażę cię generałowi Ferrariemu i się pożegnamy.

Wybrała numer i przyłożyła telefon od ucha.

– Cześć, Lindsay. Tu Magdalena. Przepraszam, że dzwonię o tak niehumanitarnej porze, ale sprawa jest pilna. Obiecuję, że nie zajmę Phillipowi dużo czasu.

## VILLA DEI FIORI

Rossetti odwiózł Magdalenę do Florencji, żeby zabrała swoje rzeczy z Four Seasons i uregulowała kolosalny rachunek. W południe byli już z powrotem w Villa dei Fiori. Magdalena, w okularach słonecznych i obłądnym dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, leżała na szezlongu nad basenem z kieliszkiem schłodzonego orviato w ręku. Z ocienionego ogrodu niechętnie patrzył na to generał Ferrari.

– Czy personel hotelu Carabinieri może jeszcze coś zrobić, żeby umilić jej pobyt u nas? – zapytał Gabriela.

– A co według ciebie powinienem zrobić? Zamknąć ją w pokoju, dopóki nie wyjedziemy do Nowego Jorku?

– W tej willi na pewno są jakieś lochy. W końcu zbudowano ją w jedenastym wieku.

– Zdaje się, że hrabia Gasparri przerobił je na piwniczkę na wina. Ferrari westchnął, ale nie odpowiedział.

– Czy Brygada Sztuki nigdy nie dogadała się z jakimś złodziejem albo paserem, żeby wspiąć się na wyższy szczebel?

– Robimy to cały czas. I najczęściej ów złodziej czy paser mówi nam tylko część prawdy. – Generał zamilkł. – Tak jak ta piękna istota

wylegująca się nad basenem. Jest sprytniejsza, niż ci się wydaje. I bardzo niebezpieczna.

– Jestem byłym agentem wywiadu, Cesare. Wiem, jak postępować z pozyskanymi ludźmi.

– Ona nie jest twoim nabytkiem, przyjacielu. To przestępczyni i oszustka, która ma pochowane po całym świecie miliony dolarów i lata prywatnymi samolotami.

– Dobrze chociaż, że nie ma tatuaży – zauważył Gabriel.

– Jej jedyna pozytywna cecha. Ale zapewniam cię, że nie wolno jej wierzyć.

– Mam na nią dość, żeby utrzymać ją w ryzach, w tym nagrane na wideo przyznanie się do winy.

– A, tak. Tragiczną historię dobrze zapowiadającej się malarki, którą nikczemny manipulator Phillip Somerset sprowadził na złą drogę. Liczę, że zdajesz sobie sprawę, że góra połowa z tego jest prawdą?

– Która połowa?

– Nie mam pojęcia. Ale trudno mi uwierzyć, że ona nie zna nazwiska fałszerza.

– Całkiem możliwe, że Phillip jej go nie zdradził.

– Powiedzmy. Ale jest równie możliwe, że to ona zabrała Phillipa do tego loftu w Hell's Kitchen i że nasz fałszerz wyleguje się właśnie pod słońcem Umbrii z kieliszkiem w ręku.

– Nie ma dostatecznego wykszolenia, żeby malować dawnych mistrzów.

– To ona tak twierdzi. Ale ja na twoim miejscu jeszcze raz bym się temu przyjrzał.

– Po lunchu ugotuję ją w jej olejku do opalania.

– A może jednak pozwolisz mi ją zabrać do Rzymu? Będzie mogła opowiedzieć swoją tragiczną historię attaché prawnemu FBI

w ambasadzie. Taki łup jak Magdalena zdziałałby cuda dla mojej pozycji w Waszyngtonie. Poza tym teraz to już problem Amerykanów, więc niech oni się tym zajmą.

– Wiesz, co robi attaché prawny FBI? – zapytał Gabriel. – Zadzwoń do swojego przełożonego w centrali FBI. Przełożony z kolei zawiadomi zastępcę dyrektora, który zadzwoni do dyrektora, a ten przejdzie na drugą stronę Pennsylvania Avenue do Departamentu Sprawiedliwości. Departament przydzieli sprawę prokuratorowi federalnemu Południowego Dystryktu Nowego Jorku, prokurator federalny zaś miesiącami będzie zbierał materiał dowodowy, zanim w końcu aresztuje Phillipa i zamknie jego firmę.

– Młyny sprawiedliwości miały powoli.

– I dlatego rozprawię się z Phillipem osobiście. A kiedy skończę, z Masterpiece Art Ventures zostaną dymiące ruiny. Federalni nie będą mieli innego wyboru, jak dokonać natychmiastowych aresztowań i konfiskaty majątków.

– Postawisz ich przed faktem dokonanym?

Gabriel się uśmiechnął.

– Po francusku brzmi to zdecydowanie lepiej.

O drugiej po południu generał Ferrari i reszta zespołu carabinieri opuścili Villa dei Fiori. Jednostka z posterunku Amelia pilnowała bramy, ale pomijając ich, Gabriel i Magdalena zostali sami. Ona przespała popołudnie, a potem uparła się, że przygotuje prawdziwą hiszpańską kolację – tapas i omlet z ziemniakami. Zjedli na zewnątrz, na tarasie willi, w chłodzie wieczornego powietrza. Między nimi leżała prywatna komórka Magdaleny, błyskając powiadomieniami o esemesach i wyciszonych połączeniach przychodzących, głównie od kręgu jej znajomych w Madrycie.

– Nie ma w twoim życiu żadnego mężczyzny? – zapytał Gabriel.

– Niestety, tylko Phillip.

– Kochasz go?

– Na Boga, nie!

– Jesteś pewna?

– Dlaczego pan pyta?

– Dlatego, że w przyszłym tygodniu w Nowym Jorku zamierzam cię zostawić z nim sam na sam na kilka godzin. I chcę wiedzieć, czy dotrzymasz naszej umowy, czy raczej z nim zwiejesz.

– Niech pan się nie martwi, panie Allon. Dam panu wszystko, czego panu trzeba, żeby pociągnąć Phillipa na dno.

Zapytał, gdzie mają się spotkać.

– To zależy od Phillipa – odparła. – Czasami spotykamy się w biurach Masterpiece przy Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej. Ale najczęściej widzimy się w kamienicy przy Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej. Ona pełni podwójną rolę i służy za galerię Masterpiece. To tam Phillip przyjmuje potencjalnych inwestorów i nabywców.

– W jaki sposób prowadzi sprzedaż?

– Lubi rozmawiać z klientami bezpośrednio, żeby uniknąć patrzenia mu na ręce i prowizji. Ale jeśli klient nalega na pośrednika, wtedy kieruje sprzedaż do innego marszanda albo do domu aukcyjnego.

– Ile osób jeszcze pracuje w firmie?

– Trzy młode ekspertki do spraw sztuki oraz Kenny Vaughan. Kenny kiedyś pracował z Phillipem w Lehman Brothers. Siedzi w tym po uszy.

– A te kobiety?

– Nie widzą świata poza Phillipem, a mnie uważają za pośredniczkę, która kupuje i sprzedaje obrazy w jego imieniu w Europie.

– Generał Ferrari jest przekonany, że to ty jesteś tym fałszerzem.

– Ja? – Roześmiała się. – Picassa może bym dała radę, ale nie dawnych mistrzów. Nie mam pana talentu.

Gabriel czytał do późnej nocy. Kiedy wstał rano, z ulgą stwierdził, że Magdalena nadal jest w łóżku. Wsypał do automatico kawę Illy i nalał wodę San Benedetto, po czym wysłał Proteusa na prywatny smartfon Phillipa i w ciągu kilku minut przejął kontrolę nad urządzeniem. Skalowalna mapa pokazała jego obecną lokalizację i wysokość, na jakiej się znajduje: wschodni brzeg półwyspu w kształcie jajka, trzy i pół metra nad poziomem morza.

Zgrał zawartość telefonu Phillipa na swój laptop i przez resztę przedpołudnia grzebał się w cyfrowych śmieciach twórcy jednego z największych przekrętów w historii. Magdalena pojawiła się dopiero o wpół do pierwszej. Weszła do kuchni, a po chwili wróciła z filiżanką kawy z mlekiem. Popijała ją w milczeniu, patrząc przed siebie bez mrugania powiekami.

– Nie jesteś rannym ptaszkiem? – zapytał Gabriel.

– Rannym ptaszkiem? Przeciwnie, jestem nocnym markiem.

– Czy nocny marek jest gotów trochę popracować?

– Skoro pan nalega – bąknęła i przeszła z kawą nad basen.

Gabriel z laptopem wyszedł za nią na dwór.

– Te sześć obrazów, które sprzedałaś w galerii ojca... Co to było?

– To było tysiąc lat temu – powiedziała z jękiem.

– Czyli akurat tyle, ile spędzisz we włoskim więzieniu, jeśli nie zaczniesz mówić.

Podawała nazwisko malarza, tematykę i wymiary każdego dzieła wraz z nazwiskiem kupca i osiągniętą ceną. Następnie wymieniła szczegółowe dane ponad stu obrazów, które przeszły przez jej firmę brokerską w Madrycie w pierwszym roku działania oszukańczej operacji. Większość płócien po prostu odsprzedawała Masterpiece Art Ventures. Następnie Phillip pompował ich wartość dzięki

kolejnym fikcyjnym sprzedażom, po czym wciskał je nieświadomym niczego klientom, zbijając na tych inwestycjach majątek. Poza tym dawał te dzieła w zastaw pod kolosalne pożyczki bankowe, a za uzyskane w ten sposób pieniądze kupował prawdziwe obrazy i wypłacał godziwe zyski inwestorom.

– Te kredyty są kluczem do wszystkiego – powiedziała Magdalena. – Bez takiej dźwigni finansowej Phillip i Kenny Vaughan nic by nie działali.

– Czyli oprócz sprzedaży fałszywych obrazów Phillip dopuszcza się także oszustw bankowych?

– Codziennie.

– Z jakich banków korzysta?

– Głównie kontaktuje się z Ellisem Grayem z JPMorgan Chase. Ale ma też układy z Bank of America.

– Jakie jest jego zadłużenie?

– Na to chyba nawet Phillip nie potrafiłby odpowiedzieć.

– A kto?

– Kenny Vaughan.

Następnie przeszli do tego, jak Magdalena rozwinęła sieć sprzedaży stacjonarnej, począwszy od jej współpracy z paryską Galerie Georges Fleury aż po najnowsze zakupy Masterpiece Art Ventures, czyli galerie w Hongkongu, Tokio i Dubaju. W sumie cała sieć wypuściła na rynek dobrze ponad pięćset sfalszowanych obrazów wartych na papierze grubo ponad miliard siedemset milionów dolarów – dzieł tych było zbyt wiele, by Magdalena mogła spamiętać je dokładnie. Była jednak pewna, że większość z nich przeszła przez mętne portfolio Masterpiece.

– Ile prac kontroluje w tej chwili?

– Trudno powiedzieć. Phillip nie ujawnia nawet liczby prawdziwych obrazów, które ma na stanie, a co dopiero

falsyfikatów. Najcenniejsze obrazy wiszą w jego domach na Manhattanie i Long Island. Pozostałe trzyma w magazynie przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej. To odpowiednik jego księgi handlowej.

– Możesz się dostać do środka?

– Tylko za zgodą Phillipa. Ale katalog obecnej zawartości magazynu powie panu wszystko, co musi pan wiedzieć.

Przy lunchu Gabriel zalogował się na konto Magdaleny w ProtonMail i przesłał jej zaszyfrowane mejle z kilku lat na swoją skrzynkę odbiorczą. Potem przejrzeni jej prywatne finanse, łącznie z rachunkiem w Masterpiece Art Ventures. Jej saldo wynosiło pięćdziesiąt sześć milionów dwieście czterdzieści pięć tysięcy pięćset trzydzieści dziewięć dolarów.

– Nawet nie myśl, żeby cokolwiek z tego wycofać – ostrzegł ją Gabriel.

– Mój najbliższy termin wycofania środków przypada dopiero we wrześniu. Choćbym chciała, wcześniej nie mogę nic wypłacić.

– Jestem pewny, że w twoim przypadku Phillip zrobiłby wyjątek.

– Niestety, jeśli chodzi o wypłaty, jest bardzo rygorystyczny. On i Kenny to chciwi megalomani. Gdyby większość dużych inwestorów chciała wycofać fundusze w tym samym czasie, musiałby sprzedać część inwentarza albo zaciągnąć kolejny kredyt.

– Pod zastaw jakiegoś obrazu?

– Kredyty pod zastaw obrazów są kluczem do wszystkiego – powtórzyła Magdalena.

Gabriel ściągnął na swoją komórkę jej wyciągi, a potem sprawdził, na jakim etapie jest wysyłka „Danaë w deszczu złota”. Obraz płynął właśnie na zachód przez Atlantyk. Noc miał spędzić w magazynie cargo na Kennedy International, a na miejsce, czyli do

Chelsea Fine Arts Storage, powinien dotrzeć najpóźniej w poniedziałek do południa.

Sprawdzanie lotów z Rzymu do Nowego Jorku dało kilka rezultatów.

– Co powiesz na wylot Deltą o dziesiątej na lotnisko JFK? – zapytał Gabriel.

– Trzeba by się obudzić kilka godzin przed południem.

– Wyśpisz się w samolocie.

– Ja w samolotach nie sypiam. – Sięgnęła po laptop. – Czy mogę zapłacić za pana bilet?

– Phillip uznałby to za podejrzanę.

– To może chociaż przekażę panu trochę darmowych mil?

– Mam ich mnóstwo.

– To znaczy ile?

– Wystarczy na lot na Księżyc i z powrotem.

– Ja mam więcej. – Zabukowała miejsca. – Pozostaje kwestia hotelu. Czy może być Pierre?

– Niestety, Sarah woli Four Seasons.

– Proszę mi powiedzieć, że ona nie leci z nami.

– Potrzebuję kogoś, kto będzie cię miał na oku pod moją nieobecność.

Magdalena zarezerwowała sobie swój stały apartament w Pierre i nadąsana jak dziecko wróciła na szezlong przy basenie. Jej rany powstały na własne życzenie, bez dwóch zdań, pomyślał Gabriel. Ale z pewnością nie jest tak, że nie dałoby się jej naprawić. Skoro potrafił uratować takiego płatnego zabójcę jak Christopher Keller, to z Magdaleną też powinien sobie poradzić.

Chwilowo jednak była tylko środkiem prowadzącym do celu. Teraz już Gabriel potrzebował tylko dziennikarza, żeby przerobił jej niezwykłą historię w potężną broń, która rozbije Masterpiece Art

Ventures w drobny mak. Najlepiej kogoś, kto już kiedyś przyglądał się Masterpiece.

Takie wymagania spełniała tylko jeden kandydatka. Na szczęście jej numer znajdował się w kontaktach Phillipa Somerset. Gabriel wybrał go i się przedstawił. Nie wymyśloną na poczekaniu ksywką, tylko swoim prawdziwym nazwiskiem.

– W porządku – powiedziała i się rozłączyła.

## ROTTEN ROW

Tego popołudnia Gabriel zadzwonił jeszcze do Sarah Bancroft. Złapał ją na Rotten Row w Hyde Parku, gdzie usiłowała zrzucić blisko pięć kilogramów, które weszły jej w biodra. Wiadomość z Włoch wstrząsnęła nią do tego stopnia, że poprosiła Gabriela, by powtórzył, bo bała się, że źle go zrozumiała. Za drugim razem była równie zdumiona. Masterpiece Art Ventures, inwestujący w sztukę fundusz hedgingowy, w który wpakowała część pieniędzy ze spadku, okazał się przekrętem na miliard dwieście milionów dolarów uzyskanych ze sprzedaży falsyfikatów obrazów, które służyły także jako zastaw pod kredyty bankowe. Jakby tego było mało, wyszło na jaw, że przez cały czas, gdy Sarah chodziła z Phillipem, on sypiał z Magdaleną Navarro, tą o błyszczących czarnych włosach i długą ciele. Już choćby z tego powodu chętnie skorzystała z okazji, by polecieć do Nowego Jorku i przyczynić się do jego upadku. Nawet za cenę konieczności nocowania w hotelu Pierre.

– Czy mam wziąć pana Marlowe’a? Uważam, że w takich sytuacjach bywa bardzo przydatny.

– Też o tym wiem. Ale mam dla niego inne zadanie.

– Mam nadzieję, że nic niebezpiecznego.

– No niestety nie.

Nazajutrz z samego rana Sarah wyleciała do Nowego Jorku i w południe wylądowała na lotnisku JFK. U Hertza czekał na nią nissan pathfinder. Zmarnotrawiła godzinę na darmowym parkingu dla oczekujących na pasażerów i kwadrans po drugiej podjechała do terminalu 1. Wkrótce pojawił się Gabriel w towarzystwie kobiety, którą Sarah ostatnio widziała na Jermyn Street.

Teraz, tak samo jak wtedy, kobieta ubrana była w króciutką spódniczkę i obcisły biały top. Gabriel wrzucił ich torby do bagażnika i usiadł na tylnym siedzeniu. Magdalena zajęła miejsce obok kierowcy, wnosząc ze sobą zapach kwiatów pomarańczy i jaśminu. Założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się. Sarah wrzuciła bieg i nissan ruszył na Manhattan.

Hotel Pierre stał na rogu Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej i Piątej Alei. Magdalena weszła do ozdobnego holu sama; dyrekcja hotelu powitała ją jak powracającą członkinię rodziny królewskiej. Jej apartament z szerokim widokiem na Central Park mieścił się na dziewiętnastym piętrze. Gabriel i Sarah dostali sąsiednie pokoje po drugiej stronie korytarza. Podobnie jak Magdalena, zameldowali się pod fałszywymi nazwiskami i przykazali w recepcji, by nie łączono żadnych rozmów z zewnątrz.

Na górze zebrali się we troje w salonie apartamentu Magdaleny, która otworzyła gratisową butelkę szampana Taittinger, a Gabriel podłączył się tymczasem do hotelowej sieci wi-fi i zalogował do Proteusa. Wyglądało na to, że Phillip nie wrócił do miasta, tylko pozostał w North Haven. Gabriel podkreślił dźwięk z mikrofonu i usłyszał stukanie w klawiaturę. Obraz z kamery pokazywał czarny prostokąt.

Gabriel podał Magdalenie jej telefon.

– Zawiadam go, że przyleciałaś i że chcesz się z nim zobaczyć jak najszybciej. I pamiętaj...

– Ta rozmowa jest nagrywana, tak na wszelki wypadek.

Gabriel przeszedł z laptopem do sypialni i zamknął ciężkie drzwi wewnętrzne. Phillip odebrał połączenie od Magdaleny natychmiast.

– To może jutro o pierwszej po południu? – zapytał. – Zjemy razem lunch.

– Czy będzie z nami Lindsay?

– Niestety, spędza ten tydzień na wyspie.

– Ty to masz szczęście.

– Przyślę po ciebie samochód – powiedział Phillip i połączenie zostało przerwane.

Gabriel jeszcze przez dłuższą chwilę słuchał stukania w klawiaturę, po czym wrócił do salonu.

– A teraz Gentileschi – zwrócił się do Magdaleny.

Numer do magazynu miała na liście kontaktów. Stuknęła w ekran i podniosła telefon do ucha.

– Cześć, Anthony. Mówi Magdalena Navarro. Czy obraz z Florencji dotarł zgodnie z planem?... Cudownie. Jutro rano wyślij go do rezydencji pana Somerseta... Tak, tej w mieście. Ustaw go na sztalugach w galerii. I dopilnuj, żeby się znalazł na miejscu jeszcze przed południem.

Rozłączyła się i oddała telefon Gabrielowi.

– Jeszcze twój portfel i paszport.

Wyjęła je z torebki Hermès Birkin i mu podała.

– Mam coś do załatwienia, więc ty i Sarah będziecie się mogli lepiej poznać. Ale nie martwcie się – dorzucił, wychodząc na korytarz. – Niedługo wracam.

Sarah zamknęła za nim drzwi na łańcuch i wróciła do salonu, gdzie Magdalena dolewała szampana do jej kieliszka. W końcu Sarah

spytała:

– Czy to prawda, że Phillip sypiał z tobą przez cały czas, kiedy chodził ze mną?

– Tylko kiedy byłam w Nowym Jorku.

– Od razu mi ulżyło.

– Jeśli już musisz wiedzieć, on cię tylko wykorzystywał – oświadczyła Magdalena.

– Do czego?

– Żebyś go przedstawiała bogatym darczyńcom Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

– I pomyśleć, że dałam mu do zainwestowania dwa miliony dolarów.

– Jakie jest twoje obecne saldo?

– Cztery i pół. A twoje?

– Pięćdziesiąt sześć i dwie dziesiąte.

Sarah uśmiechnęła się, nie otwierając ust.

– Widocznie byłaś lepsza w łóżku.

## LITERARY WALK

Na wiosnę 2017 roku w magazynie „Vanity Fair” ukazał się artykuł śledczy zatytułowany „Wielki Somerset”. Liczący dwanaście tysięcy słów tekst opisywał kolejne etapy kariery bohatera, który wydostał się z robotniczego miasteczka w północno-wschodniej Pensylwanii i doszedł na szczyt Wall Street oraz świata sztuki. Pod lupę wzięto każdy szczegół z jego życia prywatnego: brak stabilnego domu w dzieciństwie, osiągnięcia sportowe w młodości, krótką, ale błyskawiczną karierę w Lehman Brothers, paskudny rozwód, jego przedziwne upodobanie do tajemniczości. Informator opisany jedynie jako były przyjaciel stwierdził, że Somerset miał swoją mroczną stronę. Jakiś dawny kolega posunął się dalej, sugerując, że był socjopatą i złośliwym narcyzem. Obaj zgadzali się, że coś ukrywał.

Artykuł napisała laureatka wielu nagród dziennikarskich Evelyn Buchanan, której materiały dla „Vanity Fair” posłużyły za kanwę dwóch hollywoodzkich filmów oraz krótkiego serialu Netflixa. W tej chwili siedziała na ławce przy Literary Walk w Central Parku. Nad jej prawym ramieniem stał Robert Burns z długopisem w ręku

i patrzył w niebo, szukając inspiracji. Po drugiej stronie ścieżki rysownik czekał na klienta, który zamówi portret.

Evelyn Buchanan również czekała. Nie na klienta, tylko na informatora. Poprzedniego dnia zadzwonił do niej znieścaka, ale nie chciał wyjawić skąd. Nie, zarzekał się, to nie jest żaden psikus, on naprawdę jest tym, za kogo się podaje. Przylatuje po cichu do Nowego Jorku i chciałby się z nią spotkać. Ale zabronił jej mówić o tej rozmowie komukolwiek. Na koniec obiecał, że nie będzie rozczarowana.

– Ale bezpieczeństwo narodowe to nie moja działka – zaprotestowała Evelyn.

– Sprawa, o której chcę porozmawiać, ma związek ze światem finansów i rynkiem sztuki.

– A mógłby pan być bardziej konkretny?

– Wielki Somerset – powiedział i się rozłączył.

Wskazówka była intrygująca, zwłaszcza ze względu na osobę informatora. Wiosną uczestniczył w poświęconej książkom imprezie Phillipa w jego szpanerskiej posiadłości w North Haven. Tak przynajmniej twierdziła Ina Garten, która upierała się, że był z uwieszoną u ramienia seksowną małą blondynką. Obecna na tej imprezie Evelyn uznała, że to śmiechu warte. Ale teraz musiała przyznać, że to jednak możliwe. Bo jak inaczej wyjaśnić, że ktoś formatu Gabriela Allona miałby się zainteresować taką kreaturą jak Phillip Somerset?

Spojrzała na zegarek. Za minutę piąta. Za minutę miał się tu pojawić najsłynniejszy w świecie szpieg na emeryturze. Pasaż był pełen turystów, ubranych w spandex biegaczy oraz niań z Upper East Side pchających wózki spacerowe z przyszłymi rekinami biznesu. Nikt jednak nie wyglądał na kogoś, kto mógłby być Gabrielem Allonem. Właściwie jedynym możliwym kandydatem był

mężczyzna średniego wzrostu i budowy, z zamyśleniem wpatrujący się w tabliczkę u stóp pomnika Waltera Scotta.

Z wybiciem piątej przeszedł przez ścieżkę i usiadł na ławce Evelyn.

– Proszę odejść – powiedziała. – Lada chwila wróci mój mąż, który nie potrafi utrzymać nerwów na wodzy.

– Zdawało mi się, że wyraziłem się jasno: ma pani przyjść sama.

Evelyn odwróciła się spłoszona. Ale wzięła się w garść i spojrzała przed siebie.

– Kim była ta blondynka?

– Słucham?

– Kobieta, którą przyprowadził pan na promocję książki Carla Bernsteina.

– Kiedyś pracowała w MoMA. Teraz jest marszandką w Londynie. Pomagałem jej rozwiązać pewien problem.

– A co to był za problem?

– Wielki Somerset.

– Najwyraźniej czytał pan mój artykuł – powiedziała Evelyn.

– I to kilka razy.

– Dlaczego?

– Jak pani sobie pewnie wyobraża, umiejętność czytania między wierszami jest nieodzowna dla każdego oficera wywiadu. Czy informacja jest prawdziwa, czy może przeciwnik próbuje mnie wykiwać? Czy mój agent wyolbrzymia sprawę, czy tylko dmucha na zimne? Czy moje źródło z sobie wiadomego powodu nie zamieściło w raporcie najważniejszej informacji?

– A kiedy już skończył pan czytać mój artykuł o Phillipie?

– Wówczas nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że wie pani o nim więcej niż to, czym podzieliła się pani z czytelnikami.

– Dużo więcej – przyznała.

- Dlaczego nie zamieściła pani tych materiałów w artykule?
  - Najpierw pan, panie Allon. Dlaczego interesuje pana akurat Phillip Somerset?
  - Masterpiece Art Ventures to szwindel. I chcę, żeby to właśnie pani jako pierwsza opisała tę historię.
  - Co pan dla mnie ma?
  - Sygnalistę.
  - Pracownika firmy?
  - Ciepło.
  - Co to znaczy?
  - To znaczy, że wprowadzę bardzo surowe warunki brzegowe w celu ochrony tożsamości sygnalisty, a także ukrycia mojej roli w tej sprawie.
  - A jeśli nie wyrażę na nie zgody?
  - To znajdę kogoś, kto się zgodzi. A pani i pani magazyn będziecie daleko za konkurencją, kiedy Masterpiece runie jak domek z kart.
  - W takim razie posłucham, co pan i sygnalista macie do powiedzenia. – Zamilkła na chwilę. – Pod warunkiem, że powie mi pan, skąd ma numer mojej komórki.
  - Znalazłem go w kontaktach Phillipa.
- Evelyn Buchanan się uśmiechnęła.
- Głupie pytanie.

## CENTRAL PARK

– Jak pan ją znalazł?

– W ostatni weekend aresztowano ją we Włoszech, bo kupiła falsyfikat Gentileschiego od tajnego agenta carabinieri. A Włosi zatrudnili mnie jako konsultanta przy tym śledztwie.

– Konsultanta? – powtórzyła Evelyn z powątpiewaniem.

– Niewykluczone, że to ja im namalowałem tego Gentileschiego.

– Fałszywy obraz namalowany przez Gabriela Allona? Z każdą minutą robi się ciekawiej.

Spacerowali nieśpiesznie ścieżkami Central Parku. Dotąd notes Evelyn spoczywał spokojnie w jej torebce od Chanel. Dziennikarka była drobną kobietą w wieku około pięćdziesięciu lat, o krótkich ciemnych włosach, i nosiła ogromne okulary w szylkretowej oprawie. Te okulary były jej znakiem firmowym, podobnie jak cięty język, zgryźliwe poczucie humoru i nieokiełznana ambicja.

– Gdzie jest teraz ten obraz? – spytała.

– W magazynie przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej.

– W Chelsea Fine Arts Storage?

– Właśnie.

– Pamiętam, kiedy Phillip go kupił. Przyznaję, że wówczas nie widziałam w tym sensu. Po co takiemu nababowi jak Phillip Somerset jakaś podrzędna firma usługowa dla artystów, taka jak Chelsea?

– Po to, że ten nabab musiał mieć możliwość wysyłki i przechowywania fałszywych obrazów, tak żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Zalał rynek sztuki setkami falsyfikatów, cztery z nich wiszą nawet w Luwrze. A najlepsze w tym wszystkim jest to...

– Że pod zastaw tych fałszywych obrazów Phillip bierze kolosalne kredyty bankowe.

– Skąd pani wie?

– Trochę wiedza, trochę intuicja. – Evelyn uśmiechnęła się. – Mówiłam już, że mój mąż pracuje w Millennium Management? To jeden z największych na świecie funduszy hedgingowych. Wcześniej był prokuratorem w prokuraturze federalnej Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Kiedy pisałam ten materiał o Phillipie, Tom starannie przyjrzał się...

– Czy pani mężem jest Tom Buchanan?

– Chce pan usłyszeć dalszy ciąg tej historii czy nie?

– Przepraszam.

– Kiedy Tom przeanalizował sprawozdania roczne Masterpiece, był pod wrażeniem. A właściwie im zazdrościł.

– Bo Masterpiece wyprzedziło Millennium?

– I to jak! Więc Tom, jak to on, zaczął w tym grzebać.

– I?

– Był przekonany, że Phillip spłacał starych inwestorów z pożyczek i wpływów od nowych inwestorów. Krótko mówiąc, mój mąż uważa, że Phillip Somerset to Bernie Madoff świata sztuki.

– Że stworzył piramidę finansową?

– Otóż to.

– Na ile mogliście to udowodnić?

– Nie na tyle, żeby zadowolić mojego wydawcę. Ale Phillip niewątpliwie wiedział, że go rozszyfrowałam.

– Skąd?

– Jako ochroniarza zatrudnia niejakiego Leonarda Silka. Silk jest emerytowanym agentem CIA. Po odejściu z Agencji otworzył w Nowym Jorku prywatną jednoosobową firmę ochroniarską. Kiedy pracowałam nad artykułem, zadzwonił do mnie i zagroził procesem, jeśli w materiale znajdą się pomówienia o jakiegokolwiek przestępstwo. Dostawałam też wiadomości od człowieka, który jakimś cudem wiedział, że lubię spacerować długo w parku. Ostrzegał mnie, żebym była ostrożna. Bo kobietom chodzącym samotnie po Nowym Jorku przytrafiają się okropne rzeczy.

– Bardzo subtelne.

– Leonard Silk nie traci czasu na subtelności. To broszka Phillipa. W trakcie naszych rozmów był niesamowicie czarujący. Nic dziwnego, że pana sygnalistka zgodziła się dla niego pracować.

– Prawdę mówiąc, już na samym początku przejrzała Phillipa na wylot.

– Jak się poznali?

– Przez narkotyki. Kiedy nie mogła sprzedać żadnego swojego obrazu w Nowym Jorku, żeby zarobić na życie, zaczęła dilować. Większość jej klientów stanowili goście z Wall Street.

– Gdy Phillip pracował w Lehman Brothers, wciągał jak odkurzacz – powiedziała Evelyn. – Między innymi dlatego go wywalili. Ostro przesadzał, nawet jak na standardy Wall Street.

– W artykule napisała pani, że rozstali się z Lehmanem w dobrej komitywie.

– Taka była oficjalna wersja, ale to nieprawda. Phillipa praktycznie wyprowadzili z budynku siłą i dostał wilczy bilet. Więc

skoro nikt nie chciał go zatrudnić, założył własny fundusz hedgingowy o nazwie Somerset Asset Management. A kiedy ten fundusz upadł, Phillip wpadł na nowatorski pomysł.

– Przyciągnął go rynek sztuki, bo tam są pieniądze – wtrącił Gabriel.

Evelyn przytaknęła ruchem głowy.

– Phillip zaczął bywać na otwarciach galerii i zbiórkach funduszy dla muzeów, zawsze w towarzystwie pięknej kobiety i z zapasem firmowych wizytówek. Trzeba mu to oddać. Idea funduszu hedgingowego opartego na dziełach sztuki była intrygująca. Ceny wartościowych dzieł sztuki rosły szybciej niż zwykłe akcje czy inne aktywa. Więc jak mogłoby mu się nie udać?

– A jednak się nie udało. Właśnie dlatego zaczął podpierać swoje dochody fałszywymi obrazami.

Doszli do Grand Army Plaza.

– Nie powiedział pan, jak się nazywa ta sygnalistka – rzekła Evelyn.

– Magdalena Navarro.

– Gdzie jest teraz?

Gabriel zerknął w stronę hotelu Pierre.

– To jej nowojorski adres. Ma pięćdziesiąt sześć milionów dolarów zainwestowane w Masterpiece Art Ventures, a zarobiła je wyłącznie na sprzedaży fałszywych obrazów dla Phillipa.

– To ona tak twierdzi. Ale nie mogę oskarżyć Phillipa Somerseta o największe w historii oszustwo związane ze sztuką jedynie na podstawie zeznań byłej dilerki narkotyków. Muszę mieć dowód, że świadomie sprzedaje falsyfikaty obrazów.

– A gdyby usłyszała to pani bezpośrednio z ust Phillipa?

– Ma pan nagranie?

– Ta rozmowa jeszcze się nie odbyła.

- A kiedy do niej dojdzie?
- Jutro o pierwszej po południu.
- A co będzie tematem tej rozmowy?
- Ja.

Przecisnęli się przez korek na Piątej Alei i przez obrotowe drzwi hotelu Pierre weszli do chłodnego klimatyzowanego holu. Na górze Gabriel zapukał cicho do drzwi apartamentu Magdaleny. Sarah najpierw się upewniła, że to on, i dopiero potem im otworzyła.

– Jak nasza więźniarka? – zapytał.

– Wypoczywa w swoim pokoju. – Sarah podała rękę Evelyn, po czym odwróciła się do Gabriela. – Czy zanim zaczniemy, musimy ustalić warunki brzegowe?

– Pani Buchanan zgodziła się nie podawać twojego nazwiska ani nazwy twojej renomowanej galerii w Londynie. Opisz cię tylko jako kogoś związanego ze światem sztuki. – Gabriel zerknął na Evelyn. – Czy to się zgadza, pani Buchanan?

– A jak mam opisać pana?

– To nie jest historia o mnie. Dotyczy Phillipa Somerseta i Masterpiece Art Ventures. Wszelkie informacje, których dostarczam, służą wyłącznie naświetleniu tła. Nie może pani mnie cytować dosłownie. Nie wolno też pani zdradzić, gdzie się odbyła ta rozmowa.

– W nieujawnionym miejscu?

– Dobór słów pozostawiam pani. Nie jestem pisarzem.

– Jest pan tylko konsultantem włoskiej policji, który namalował fałszywy obraz?

– Otóż to.

– W takim razie chyba czas, żebym poznała więźniarkę.

Gabriel zapukał do drzwi sypialni i po chwili wyszła z niej Magdalena.

– Dobry Boże – mruknięła Evelyn Buchanan. – Z każdą minutą robi się ciekawiej.

## HOTEL PIERRE

Omówili to od początku. A potem powtórzyli po raz drugi, by mieć pewność co do istotnych faktów i dat. Dzieciństwo Magdaleny w Sewilli. Jej studia malarskie w Barcelonie. Lata spędzone na dilowaniu kokainą w Nowym Jorku. Poznanie Phillipa Somerseta w Le Cirque. Jej rola w budowaniu i prowadzeniu najbardziej zyskowego i wyszukanego przekrętu w historii dotyczącego sztuki i finansów.

Nie było żadnych rozbieżności między tym, co zeznała na przesłuchaniu w Umbrii, a tym, co opowiedziała Evelyn Buchanan z „Vanity Fair”. Jeśli już, pomyślał Gabriel, to wersja z hotelu Pierre była jeszcze bardziej fascynująca. Podobnie jak sama bohaterka tej historii. Sprawiała wrażenie osoby światowej, obytej i, co najważniejsze, wiarygodnej. Ani razu nie dała się wyprowadzić z równowagi, nawet gdy pytania wkroczyły w sferę prywatną.

– Jakim cudem ktoś z pani talentem został handlarzem narkotyków?

– Na początku robiłam to z braku pieniędzy. A potem odkryłam, że mi się to podoba.

– Była w tym pani dobra?

– Bardzo.

– Czy są podobieństwa między handlem narkotykami a fałszywymi obrazami?

– Większe, niż sobie wyobrażacie. Po pierwsze, dla niektórych ludzi dzieła sztuki są jak narkotyki. Muszą je mieć. Phillip i ja po prostu zaspokajaliśmy ich nałóg.

W relacji Magdaleny była jedna ziejąca dziura – konkretnie okoliczności, które doprowadziły do jej aresztowania we Włoszech. Evelyn próbowała wydusić szczegóły z Gabriela, on jednak uparcie podtrzymywał swoją pierwotną wersję. Magdalenę aresztowano po tym, jak zakupiła fałszywy obraz Gentileschiego we Florencji. Obraz znajdował się obecnie w magazynie przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej. Rano zostanie przewieziony do galerii w kamienicy Phillipa Somerseta przy Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej. A o pierwszej po południu będzie tematem rozmowy, która da Evelyn amunicję niezbędną do zdemaskowania Masterpiece Art Ventures jako przekrętu.

– Czy Magdalena będzie miała na sobie podsłuch?

– Nadajnikiem będzie jej komórka. Telefon Phillipa również jest pod naszą kontrolą.

– Nie przypuszczam, żeby wyraził zgodę na zhakowanie jego aparatu?

– Nie prosiłem o nią.

O dziewiątej zrobili przerwę na kolację. Sarah załatwiła, żeby z baru przysłano im po martini, a Magdalena zamówiła do pokoju jedzenie z Perrine, cenionej restauracji hotelowej. Za radą Gabriela Evelyn zaprosiła swojego męża, by do nich dołączył. Dotarł do hotelu w chwili, kiedy kelnerzy wtaczali stół do apartamentu. Tom Buchanan[6] był uprzejmym erudyta, całkowitym przeciwieństwem dobrze urodzonego gracza w polo, który mieszkał

jak panisko nad brzegiem zatoki w East Egg i martwił się upadkiem białej rasy.

Evelyn zobowiązała męża do zachowania tajemnicy, a następnie szczegółowo streściła mu niesamowitą historię, którą usłyszała po południu. Tom Buchanan wyładował swój gniew na sałatce Cezar.

– Takie coś mógł wymyślić tylko Phillip Somerset. Z drugiej strony, jego pomysłowość jest godna podziwu. Dostrzegł słaby punkt i sprytnie go wykorzystał.

– A co jest tym słabym punktem? – zapytał Gabriel.

– Rynek sztuki jest kompletnie rozregulowany. Ceny ustalane są arbitralnie, kontrola jakości praktycznie nie istnieje, a większość obrazów zmienia właścicieli w warunkach całkowitej tajemnicy. Wszystkie te czynniki powodują, że jest to idealne środowisko dla przekrętów. Rzecz jasna, Phillip doprowadził to do ostateczności.

– Jakim cudem nikt nie zwrócił na to uwagi?

– Cóż, nikt też nie zwrócił uwagi na to, że papiery wartościowe zabezpieczane hipoteką i obligacje oparte na długu lada chwila rozwalą światową gospodarkę.

– Wszyscy za dobrze na tym zarabiają?

Tom pokiwał głową.

– Nie tylko inwestorzy Phillipa. Także jego bankierzy. Kiedy ukaże się artykuł Evelyn, oni wszyscy poniosą kolosalne straty. Mimo to pochwalam pańskie metody. Czekanie, aż federalni wezmą się do roboty, nie wchodzi w rachubę. Chciałbym jednak, żeby mógł pan dostarczyć mojej żonie obciążający dokument, a najlepiej kilka.

– Mówi pan o wewnętrznej notatce, w której Phillip szczegółowo opisuje, jak stworzyć i prowadzić największy w historii przekręt z dziełami sztuki?

– Rozumiem, panie Allon. Ale co z dokumentami trzymanymi w tym magazynie na Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej?

- Chodzi panu o aktualny inwentarz Phillipa?
  - Właśnie. Skoro Magdalena jest absolutnie pewna, że Phillip ma w księgach fałszywe obrazy, to może się źle dla niego skończyć.
  - Czy były prokurator federalny sugeruje, żebym potajemnie zdobył pełną listę obrazów przechowywanych w tej nieruchomości?
  - Nawet by mi się nie śniło. Ale gdyby mimo wszystko wszedł pan w jej posiadanie, zdecydowanie powinien pan ją dać mojej żonie.
- Gabriel uśmiechnął się.
- Jeszcze jakieś rady, mecenasie?
  - Na pańskim miejscu pomyślałbym o przyciśnięciu Phillipa finansowo.
  - Namawiając garstkę jego najważniejszych inwestorów, żeby wycofali wkłady? To pan ma na myśli?
  - Odnoszę wrażenie, że pan już dawno ma taki plan – podsumował Tom.
  - W Londynie mieszka niejaki Nicholas Lovegrove. Nicky jest jednym z najbardziej wziętych doradców do spraw sztuki na świecie. Kilku jego klientów zainwestowało u Phillipa.
  - My,macherzy od funduszy hedgingowych, od razu nabieramy podejrzeń, kiedy inwestorzy nagle wycofują pieniądze. Dlatego należy to załatwiać dyskretnie.
  - Spokojna głowa – zapewniła go Sarah. – My,macherzy od obracania dziełami sztuki, jesteśmy uosobieniem dyskrecji.

[6] Odniesienie do postaci Toma Buchanana z „Wielkiego Gatsby’ego” Francisa Scotta Fitzgeralda.

## GALERIE WATSON

Zagłada Masterpiece Art Ventures rozpoczęła się następnego dnia rano o dziesiątej czterdzieści pięć czasu londyńskiego – czyli o piątej czterdzieści pięć nad ranem w Nowym Jorku – kiedy Christopher Keller zjawiał się w Galerie Olivia Watson przy King Street. W oknie wisiała tabliczka z napisem tylko umówieni klienci. Christopher się nie umówił, zakładając, że atak z zaskoczenia będzie skuteczniejszy. Nacisnął dzwonek i krzywiąc się, czekał na reakcję.

– No proszę – szepnęła namiętnie jakaś kobieta. – Kogóż to przyniosło w moje progi. Przecież to mój serdeczny przyjaciel pan Bancroft.

– Marlowe, zapomniałaś? A teraz otwieraj.

– Wybacz, ale chwilowo jestem zawałona robotą.

– To ją odwal i mnie wpuść.

Minęło jeszcze kilka sekund, po czym szczęknęła zasuwka i drzwi ustąpiły pod dotykiem Christophera. Gdy wszedł do środka, Olivia siedziała przy lśniącym czarnym biurku w głównej sali wystawowej galerii. Upozowała się starannie, jakby do niewidocznego aparatu fotograficznego. Jak zwykle, zwróciła brodę lekko w lewo, bo fotograficy i agencje reklamowe woleli jej prawy profil.

Christopherowi to akurat było obojętne. Olivia stanowiła dzieło sztuki bez względu na to, z jakiej strony się ją oglądało.

Wstała, wyszła zza biurka, skrzyżowała nogi w kostkach i oparła dłoń na biodrze. Miała na sobie modnie skrojony żakiet i dobrane do niego obcisłe spodnie, kolorem i lekkością materiału w sam raz na lato.

– Od Marksa i Spencera? – zapytał Christopher.

– Od Giorgia, zrobił ten drobiazg specjalnie dla mnie. – Uniosła brodę o kilka stopni i spojrzała na Christophera wzdłuż prostej linii nosa. – Co cię sprowadza w moje strony?

– Trzeba wyświadczyć przysługę wspólnemu znajomemu.

– Któremu?

– Temu, który wyczyścił twoją paskudną przeszłość i umożliwił ci otwarcie przyzwoitej galerii tutaj, w St. James's. – Zamilkł. – Galerii pełnej obrazów kupionych za forszę twojego chłopaka, zarobioną na narkotykach.

– Jeśli dobrze pamiętam, nasz wspólny znajomy tobie też wyświadczył podobną przysługę. – Olivia splotła ręce pod biustem. – Czy twoja urocza amerykańska żona wie, jak kiedyś zarabiałeś na życie?

– Moja urocza amerykańska żona to nie twój interes.

– Czy to prawda, że kiedyś pracowała dla CIA?

– Gdzieś ty usłyszała coś takiego?

– Takie sąsiedzkie gadanie. Krąży też paskudna plotka, że rznąę się jak głupia z Simonem Mendenhallem.

– A ja myślałem, że chodzisz z gwiazdorem popu.

– Colin jest aktorem – sprostowała Olivia. – Obecnie jest gwiazdą najgorętszej sztuki na West Endzie.

– I wy tak na poważnie?

– Jak najbardziej.

- To po kiego bzykasz się na boku z takim oblechem jak Simon?
- Tę plotkę wypuściła twoja żona – powiedziała Olivia spokojnie.
- Trudno mi w to uwierzyć.
- A za każdym razem, kiedy mnie widzi w Wiltons, szepcze „zdzira” albo „suka”.

Christopher mimowolnie się uśmiechnął.

– Cieszę się, że cię to bawi. – Olivia uważnie zlustrowała jego strój. – Kto cię teraz ubiera?

– Dicky.

– Ładnie.

– Powiem mu, że go chwaliłaś.

– Wolałabym, żebyś kazał swojej uroczej amerykańskiej żonie zaprzestać tych niecnych praktyk. – Olivia powoli pokręciła głową. – Szczerze mówiąc, nie pojmuję, że mogła się zniżyć do czegoś tak podłego.

– Po prostu jest trochę zazdrosna.

– Jeśli ktoś tu ma prawo być zazdrosny, to ja. Przecież to Sarah z tobą skończyła.

– Daj spokój, Olivio. Nie mówisz poważnie. Ja byłem dla ciebie tylko wygodnym oparciem, kiedy znalazłaś swoje miejsce w Londynie. Teraz prowadzasz się z gwiazdorem popu, a twoja galeria jest ostatnim krzykiem mody.

– I to wszystko zawdzięczam naszemu wspólnemu znajomemu?

Christopher nie odpowiedział.

– Myślałam, że przeszedł na emeryturę – mruknęła.

– Chodzi o prywatną sprawę związaną z facetem, który nazywa się Phillip Somerset.

– Ten Phillip Somerset?!

– Twój znajomek?

– Dwa lata temu siedziałam obok niego i jego żony w nowojorskiej filii Christie's na aukcji sztuki powojennej i współczesnej. Ta cała żona robiła w modelingu, zanim wygrała los na loterii i złapała Phillipa. Ma na imię Laura. A może Linda?

– Lindsay.

– O właśnie. Jest jeszcze młodziutka i niewiarygodnie głupia. Phillip wydał mi się ostrym graczem. Pytał, czy nie chciałabym zainwestować w jego fundusz. Powiedziałam mu, że nie gram w jego lidze.

– Mądry ruch z twojej strony.

– Czy jest jakiś problem?

– Phillip przypomina trochę twojego dawnego chłopaka. Na zewnątrz czysty jak łza, w środku uświniony. Mało tego, w Nowym Jorku chodzą słuchy, że jego finanse się chwieją.

– Kolejna plotka?

– Tym razem prawdziwa. Nasz wspólny znajomy chce, żebyś szepnęła o tym na ucho wybitnemu londyńskiemu doradcy do spraw sztuki, którego lista klientów obejmuje kilku najbogatszych kolekcjonerów na świecie.

– Jak mam to rozegrać?

– Wspomnisz o tym od niechcienia podczas skądinąd miłego lunchu w interesach.

– Kiedy?

– Dzisiaj.

Spojrzała na zegarek.

– Przecież dochodzi jedenasta. Nicky na pewno jest już umówiony na lunch.

– Coś mi mówi, że odwoła to spotkanie.

Olivia sięgnęła po komórkę.

– Zrobię to, ale pod jednym warunkiem.

– Porozmawiam z nią – obiecał Christopher.

– Dziękuję. – Wybrała numer i przyłożyła telefon do ucha. –  
Cześć, Nicky. Mówi Olivia Watson. Wiem, że cię zaskakuję  
w ostatniej chwili, ale może znajdziesz dziś dla mnie czas na  
lunch...? W Wolseley o pierwszej? To do zobaczenia, Nicky.

## WOLSELEY

I tak to się zaczęło, od rzuconej niby mimochodem uwagi podczas drogiego lunchu w jednej z najlepszych restauracji na Mayfair. Jak to w środku dnia, szczerk sztucców był taki, że Nicky nachylił się nad przystawką z kraba z Dorset i poprosił Olivie, by powtórzyła swoją kwestię. Zrobiła to szeptem, jak w konfesjonale, dodając, żeby nie cytował jej w tym kontekście. Było wpół do drugiej po południu. Tak przynajmniej twierdził Julian Isherwood, który zajadał się przy sąsiednim stoliku i zauważył, że Nicky zbladł jak ściana. Pulchny towarzysz Juliana niczego nie dostrzegł, ponieważ akurat przystawiał się do Tessy, najnowszego nabytku kelnerskiego w Wolseley.

Nicky naciskał na Olivie, żeby zdradziła mu nazwisko źródła. A gdy odmówiła, przeprosił ją na chwilę i natychmiast zadzwonił do Sterlinga Dunbara, bogatego dewelopera z Manhattanu, który kupował obrazy na tony, zawsze zasięgając rady u Nicky'ego. Sterling należał do pierwszych wielkich inwestorów w Masterpiece Art Ventures.

- Wiesz, jakie jest moje obecne saldo? – wyjąkał Sterling.
- Na pewno znacznie większe niż moje.

– Sto pięćdziesiąt milionów, pięciokrotnie więcej niż mój pierwotny wkład. Phillip powtarza, że inwestycja jest absolutnie pewna. Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy nie wpłacić mu jeszcze setki.

Konserwatywny przemysłowiec Max van Egan ulokował w Masterpiece dwieście pięćdziesiąt milionów. Oświadczył Nicky’emu, że nigdzie ich nie przeniesie. Simon Levinson – z tych Levinsonów od handlu detalicznego – też skłaniał się do pozostania w Masterpiece. Ale już Ainsley Cabot, kolekcjoner o niezwykłym guście, lecz posiadający tylko ośmiocyfrowy majątek, poszedł za radą Nicky’ego. O dziewiątej piętnaście czasu wschodniego zadzwonił do Phillipa, który właśnie wysiadał ze swojego śmigłowca Sikorsky na lądowisku helikopterów przy Wschodniej Trzydziestej Czwartej.

– Ile? – zawołał Phillip, przekrzykując zawroźnienie wirników.

– Całość.

– Jeśli się wycofasz, to nie ma powrotu. Rozumiesz, Ainsley?

– Daruj sobie te pohukiwania i przelej mi forszę.

Buffy Lowell złapał Phillipa o dziewiątej dwadzieścia cztery, gdy szofer wiozł go mercedesem Trzecią Aleją. Osiem minut później, kiedy ślamazarnie sunął ku centrum Wschodnią Siedemdziesiątą Drugą, dodzwonił się do niego Livingston Ford. Livingston ulokował w funduszu pięćdziesiąt milionów i chciał je wycofać.

– Pożałujesz tego – ostrzegł Phillip.

– To samo powiedziała mi trzecia żona, a nigdy nie byłem równie szczęśliwy jak teraz.

– Zastanów się może nad częściową spłatą.

– Chcesz powiedzieć, że masz kłopoty z płynnością finansową?

– Pieniądze nie leżą na rachunku w Citibanku. Żeby cię spłacić w całości, będę się musiał pozbyć kilku obrazów.

– Skoro tak, Phillipie, to radzę ci się za to zabrać.

I w ten oto sposób rzucona niby mimochodem uwaga – zaledwie czterdzieści pięć minut wcześniej podczas drogiego lunchu w Londynie – spowodowała w Masterpiece Art Ventures dziurę w wysokości stu milionów dolarów. Jednak założyciel firmy nie miał bladego pojęcia o tym, co wyszło na jaw. Gorączkowo pragnąc uzyskać jakieś informacje, pośpiesznie przeszukał internet, najpierw wpisując swoje nazwisko, a potem nazwę firmy. Nie znalazł jednak nic, co by wyjaśniało, dlaczego trzech z większych inwestorów nagle ucieka z jego funduszu. W mediach społecznościowych także nie znalazł nic niepokojącego. W końcu o dziewiątej czterdzieści dwie rano kliknął ikonę Telegramu – szyfrowanego, działającego w chmurze komunikatora – i wszedł w otwarty sekretny wątek. Wykrwawiam się na śmierć, napisał. Ustalcie dlaczego.

W 2014 roku, gdy Phillip Somerset kupił kamienicę przy Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej, trzydzieści milionów dolarów uchodziło za wielką sumę. Uzyskał kredyt w swoim oddziale banku JPMorgan Chase pod zastaw kilku fałszywych obrazów – między innymi w ten sposób jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przekształcał płachty bezwartościowego płótna w złoto. Kilka innych falsyfikatów ozdobiło ściany tej rezydencji, by zaimponować ewentualnym inwestorom i stworzyć wrażenie, że właściciel to ktoś niebywale bogaty i o wyrafinowanym guście.

Jego inwestorzy byli elitą świata sztuki. Ludźmi mającymi więcej pieniędzy niż rozumu. Phillip był wprawdzie oszustem i sprytnym fałszerzem, ale to dzięki głupocie jego inwestorów cały ten misterny plan mógł funkcjonować. I dzięki Magdalenie, pomyślał nagle Phillip. Bez niej nigdy by się to nie udało.

W przedpokoju na parterze rezydencji powitał go Tyler Briggs, szef ochrony. Tyler był kombatantem wojny irackiej. Pod ciemnym garniturem skrywał wytrenowane na siłowni ciało.

– Jak panu minął lot z wyspy? – zapytał Somerset.

– Lepiej niż jazda samochodem z lądowiska.

Jego telefon znowu zabrzączał. Dzwonił Scooter Eastman, inwestor, który wpakował w fundusz dwadzieścia milionów dolarów.

– Mamy na dzisiaj zaplanowane jakieś dostawy? – spytał Tyler.

– W każdej chwili może przyjechać obraz z magazynu.

– Klienci?

– Nie dzisiaj. Ale około pierwszej wpadnie panna Navarro. Kiedy się zjawi, przyślij ją do mojego gabinetu.

Phillip przełączył rozmowę Scootera Eastmana na pocztę głosową i wszedł na schody. Na pierwszym piętrze czekali Soledad i Gustavo Ramírezowie, peruwiańska para prowadząca mu dom. Phillip z roztargnieniem skwitował ich pozdrowienia, wpatrując się w telefon. Dzwoniła Rosamond Pierce. Błękitna krew. W Masterpiece Art Ventures zainwestowała dziesięć milionów.

– Lunch zjem dzisiaj w domu. Będzie ze mną pani Navarro. Poproszę sałatkę Cobb z owoców morza. Mniej więcej na wpół do drugiej.

– Tak jest, proszę pana – odparli Ramírezowie jednym głosem.

Po wejściu do gabinetu odsłuchał nowe wiadomości w poczcie głosowej. Scooter Eastman i Rosamond Pierce chcieli się wycofać. W ciągu trzydziestu minut stracił z powierzonych mu pieniędzy sto trzydzieści pięć milionów. Wyплаты na taką skalę zagroziłyby nawet najbardziej etycznie kierowanemu funduszowi hedgingowemu. A dla takiego jak Masterpiece Art Ventures były katastrofalne.

Podczas ich tradycyjnego połączenia wideo o dziesiątej przekazał te wieści Kenny'emu Vaughanowi, odpowiadającemu w firmie za inwestycje.

- No chyba se, kurwa, żartujesz?
  - Chciałbym.
  - Sto trzydzieści pięć milionów funtów zaboli, Phillipie.
  - A kiedy zaczniemy odczuwać ten ból?
  - Livingston Ford, Scooter Eastman i Rosamond Pierce są uprawnieni do wypłaty pieniędzy w tym miesiącu.
  - Osiemdziesiąt milionów?
  - Raczej osiemdziesiąt pięć.
  - Ile gotówki możemy uzbierać?
  - Pięćdziesiąt z kawałkiem. Jak dobrze pójdzie.
  - Mógłbym się pozbyć Pollocka.
  - Pod zastaw Pollocka wisimy w JPMorgan na sześćdziesiąt pięć baniek. Sprzedanie go nie wchodzi w rachubę.
  - Ile potrzebujesz, żeby to się udało, Kenny?
  - Osiemdziesiąt pięć byłoby cacy.
  - Bądź rozsądny.
  - A jest szansa, żebyś skombinował czterdzieści?
- Phillip podszedł do okna i patrzył, jak dwaj mężczyźni w takich samych niebieskich kombinezonach wyjmują wielką prostokątną skrzynię z paki furgonetki dostawczej Chelsea Fine Arts Storage.
- Tak, Kenny. Chyba jest taka szansa.

## HOTEL PIERRE

Evelyn Buchanan dotarła do hotelu Pierre o wpół do pierwszej. Na górze, w apartamencie Magdaleny, poinformowała Gabriela, że jej naczelny zaakceptował konspekt artykułu. Materiał pojawi się na stronie internetowej „Vanity Fair”, gdy tylko będzie gotowy, a potem, w najbliższym numerze, ukaże się również drukiem. Dział reklamy szykuje już plan szeroko zakrojonej kampanii w mediach społecznościowych. „New York Times”, „Wall Street Journal”, Reuters, Bloomberg News oraz CNBC zostały zawiadomione, że szykuje się wielki materiał, który będzie miał daleko idące skutki finansowe.

– To znaczy, że w kilka minut po zamieszczeniu na naszej stronie artykuł rozejdzie się lotem błyskawicy. Nie ma mowy, żeby Phillip był w stanie ograniczyć straty. Umrze nawet nie wiedząc, co go walnęło.

– Jak szybko możesz to opublikować?

– Jeśli dzisiaj wszystko pójdzie zgodnie z planem, tekst będzie miała gotowy już wieczorem.

– Sprawy toczą się w takim tempie, że Phillip może nie dożyć wieczora.

- Żądania wypłat?
- Już sto trzydzieści pięć milionów, a to nie koniec.
- Musiało nim nieźle wstrząsnąć.
- Posłuchaj sama.

Gabriel odtworzył nagranie rozmowy wideo Phillipa z Kennym Vaughanem.

- Ile gotówki możemy uzbierać?
- Pięćdziesiąt z kawałkiem. Jak dobrze pójdzie.
- Mógłbym się pozbyć Pollocka.
- Pod zastaw Pollocka wisimy w JPMorgan na sześćdziesiąt pięć baniek. Sprzedanie go nie wchodzi w rachubę.

Gabriel zatrzymał nagranie.

- Zdajesz sobie sprawę, co tu masz? – spytała Evelyn.
- Za chwilę będzie jeszcze lepiej.

Gabriel kliknął PLAY.

- Ile potrzebujesz, żeby to się udało, Kenny?
- Osiemdziesiąt pięć byłoby cacy.
- Bądź rozsądny.
- A jest szansa, żebyś skombinował czterdzieści?
- Tak, Kenny. Chyba jest taka szansa.

Gabriel wcisnął pauzę.

- Skąd zamierza wziąć te pieniądze?
- Nie wiadomo. Ale wygląda na to, że zamierza włączyć do gry mojego Gentileschiego.
- Jeśli to zrobi...
- Zdobędziemy niepodważalny dowód, że jest umoczony w oszustwa bankowe.

W tym momencie otworzyły się drzwi sypialni i weszła Magdalena – w białych spodniach ze stretchu, luźnej bluzce i na szpilkach.

Gabriel podał jej telefon.

– Nie rozstawaj się z nim ani na chwilę. I cokolwiek zrobisz...

– A dokąd miałabym pojechać bez paszportu, panie Allon? Na Staten Island?

Wsunęła telefon do torebki i wyszła, pozostawiając w pokoju upajający zapach perfum.

– Czy ona nosi czasami stanik? – spytała Evelyn.

– Widocznie zapomniała spakować.

Gabriel przełączył przekaz Proteusa z telefonu Phillipa na komórkę Magdaleny. Potem zadzwonił do Sarah, która czekała na dole w wynajętym terenowym nissanie.

– Nie martw się – zapewniła go. – Nie spuszczę jej z oka.

Dwie minuty później Sarah patrzyła, jak Magdalena wychodzi z drzwi hotelu Pierre przy Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej i wsiada na tylne siedzenie mercedesa klasy S przysłanego przez Phillipa. Kierowca trzykrotnie skręcił w lewo i pojechał Madison Avenue. Sarah trzymała się tuż za nim – złamała w ten sposób podstawowe zasady śledzenia samochodem, ale nie miała wyjścia. Pojazdy jechały zderzak w zderzak, a ona nie miała żadnego wsparcia poza telefonem w torebce Magdaleny.

Na Wschodniej Sześćdziesiątej Szóstej ruch się przerzedził i mercedes przyśpieszył. Sarah dwukrotnie musiała przejechać na czerwonym, żeby go nie zgubić, ale na Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej z braku wyboru musiała się zatrzymać. Gdy w końcu światła zmieniły się na zielone, mercedesa nie było widać. Dwa skręty w lewo zaprowadziły ją przed dom Phillipa na Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej.

Ani śladu mercedesa.

Ani śladu Magdaleny.

Sarah dojechała do następnej przecznicy i znalazła miejsce przy krawężniku. Potem chwyciła swój telefon i zadzwoniła do Gabriela w hotelu Pierre.

– Powiedz, proszę, że jest w tym domu.

– Właśnie jedzie na górę.

Sarah rozłączyła się i uśmiechnęła. Baw się, póki możesz, pomyślała.

Tyler Briggs skierował Magdalenę od razu do gabinetu Phillipa na trzecim piętrze. Ona jednak najpierw zajrzała do galerii. Gentileschi stał na sztalugach wystawowych. Zrobiła mu zdjęcie komórką, potem zrobiła jeszcze dwa ujęcia w szerokim planie, które nie pozostawiały wątpliwości, gdzie aktualnie znajduje się obraz – w pokoju szczegółowo opisanym w niepochlebny artykule w „Vanity Fair” przez kobietę siedzącą właśnie w apartamencie Magdaleny w hotelu Pierre.

Nagle uświadomiła sobie, że stojący w progu Tyler ją obserwuje. Jak nic złapała ją kamera monitoringu.

Zareagowała z wypracowanym spokojem dilerki narkotyków.

– Niesamowity, prawda?

– Skoro pani tak twierdzi, pani Navarro.

– Nie jesteś wielbicielem sztuki, Tyler?

– Szczerze mówiąc, w ogóle się na niej nie znam.

– Czy pan Somerset już go widział?

– Jego musi pani zapytać. A na razie pewnie się zastanawia, gdzie pani jest.

Magdalena wjechała na górę. Drzwi do gabinetu były otwarte. Phillip siedział przy biurku z telefonem przy uchu i przyciskał dłoń do czoła.

– Popelniasz wielki błąd – warknął i się rozłączył.

W pokoju zapanowała lodowata cisza.

- Kto popełnia błąd? – spytała Magdalena.
  - Warren Ridgefield. Jeden z naszych inwestorów. Niestety, kilku innych popełnia ten sam błąd.
  - Czy mogłabym jakoś pomóc?
- Phillip wziął ją za rękę i się uśmiechnął.

## UPPER EAST SIDE

Prysznic Phillipa był dwa razy większy od kuchni w dawnej kawalerce Magdaleny w Nowym Jorku: wodna kraina czarów z marmuru i szkła, prysznic mężczyzny, który ma wszystko. Magdalena nigdy nie zdołała zapamiętać, jakie funkcje pełnią liczne rączki z wypolerowanego chromu. Przekręciła jedną i ze wszystkich stron strzeliły w nią działka wodne. Gorączkowo poruszyła drugą i popieścił ją delikatny tropikalny wodospad. Umyła się mydłem Phillipa o męskim zapachu, wytarła się ręcznikiem z jego monogramem i przejrzała się naga w lustrze w złoconej ramie. Stwierdziła, że widok jest odrażający, że gwałtownie potrzebuje konserwacji. Portret dilerki narkotyków, pomyślała. Portret złodziejki.

Portret nieznannej kobiety...

W głównej sypialni nie było Phillipa, jedynym śladem po nim była plama na prześcieradle. Ich stosunek graniczył z gwałtem, a towarzyszyły mu nieustanne dźwięki wydawane przez jego komórkę. Telefon Magdaleny spoczywał w jej torebce od Hermèsà leżącej u stóp łóżka obok ubrania, które Phillip z niej zerwał. Mając

świadomość, że ich podsłuchują, przetrwała jego atak w ciszy, za to jej zgłodniały kochanek był w szczytowej formie wokalne.

Ubrała się, wzięła torebkę i poszła go szukać. Zastała go na dole w galerii, gdzie stał wpatrzony w falsyfikat Gentileschiego. Przybrał minę wyrafinowanego kustosa, którą zawsze częstował swoich prostodusznych inwestorów. Phillip Somerset, mecenas sztuki. Dla Magdaleny na zawsze miał pozostać prostackim ignorantem, którego poznała tamtego wieczoru w Le Cirque. Bud Fox z minimalną domieszką Jaya Gatsby'ego. Falsyfikat, pomyślała. I to rozpoznawalny na pierwszy rzut oka.

– Czy jest dobry? – zapytał ją w końcu.

– Lepszy niż ten, który wisi u Getty'ego.

– Cena?

– Jeśli nic się nie zmieni... trzydzieści milionów.

– Muszę się go pozbyć.

– Szczerze odradzam, Phillipie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ten obraz pochodzi z tego samego źródła co płótna, które Oliver Dimbleby sprzedał w Londynie. Jeżeli pojawi się kolejny obraz z tej tak zwanej starej europejskiej kolekcji, będzie to sygnał ostrzegawczy. Trzeba mu załatwić całkowicie nowe pochodzenie i odstawić na jakiś czas, żeby sprawa przyschła. Może też warto by obniżyć nieco jego atrybucję.

– Na „przypisywany” Gentileschiemu?

– Może na „z kręgu” Gentileschiego. Albo nawet na „naśladowcę”.

– Wtedy przy szczęściu dostanę za niego milion.

– Phillipie, ja nie kupiłam we Florencji obrazu. Kupiłam ci najlepszego fałszerza w historii. On będzie procentował przez całe lata. A Gentileschiego odłóż na razie do magazynu i bądź cierpliwy.

Phillip spojrział na swój telefon.

– Obawiam się, że cierpliwość to cnota, na którą chwilowo mnie nie stać.

– Kto tym razem?

– Harriet Grant.

– Co tu jest grane?

– Nie mam bladego pojęcia.

Zjedli sałatkę Cobb z owoców morza przy stole kuchennym; w tle leciały cicho wiadomości ze stacji CNBC. Magdalena piła do lunchu sancerre, Phillip zaś, spragniony po wysiłku w sypialni, żłopał mrożoną herbatę.

– Nie powiedziałaś mi, jak się nazywa – rzekł.

– Niestety nie mogę.

– Dlaczego?

– Istnieje coś takiego jak parytet. Ty masz swojego fałszerza, a teraz ja też mam własnego.

– Tylko że tego swojego kupiłaś za moje dziesięć milionów dolarów.

– Phillipie, gdyby nie ja, w ogóle nie miałbyś pieniędzy. Poza tym odszukanie go kosztowało mnie wiele trudu. Chyba zatrzymam go tylko dla siebie.

Odłożył sztucce i spojrzał na nią beznamiętnie.

– Delvecchio – dodała z westchnieniem. – Mario Delvecchio.

– Jak to z nim było?

– Jak zwykle. Niedoceniony malarz, który mści się na świecie sztuki za pomocą palety i pędzla. Mieszka w ustronnej willi na południu Umbrii. Jest niesamowicie wykształcony i doświadczony. I powiem ci jeszcze, że bardzo piękny. Podczas mojego pobytu tam zostaliśmy kochankami. W odróżnieniu od ciebie on wie, jak dać kobiecie rozkosz.

– Czy coś jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić?

– Z chęcią napiłabym się jeszcze tego sancerre.

Phillip dał znak señorze Ramírez.

– A ten twój kochanek nie ma przypadkiem innych skończonych dzieł?

– Nie takie, które chciałabym w tym momencie wprowadzić na rynek. Prosiłam go, żeby na jakiś czas przystopował z arcydziełami i skupił się na pracach ze średniej półki, które mogłabym puścić bez rozgłosu.

– A co zrobimy z jego współnikiem? Z tym Alessandro Calvim?

– Skoro już sypiam z Mariem, myślę, że przekonam go, żeby się rozstał z signore Calvim.

– Żartujesz, prawda?

– Wiesz, Phillipie, że dla mnie liczysz się tylko ty. – Uspokajająco poklepała go po grzbiecie dłoni. – Prawdę mówiąc, bardziej mnie martwi, co powie ten, którego nazwiska nie znam, niż signore Calvi.

– Jego zostaw mnie.

– Jak się poczuje, jeśli będzie miał konkurenta od dawnych mistrzów z tej samej stajni?

– Nigdy mu nie obiecywałem wyłączności.

Magdalena uniosła kieliszek do ust.

– Gdzieś już to słyszałam.

Phillip przybrał nową minę – troskliwego przyjaciela i partnera seksualnego. Był teraz jeszcze mniej autentyczny niż Phillip intelektualista i koneser sztuki.

– Co w ciebie wstąpiło?

– Poza tobą, tak? – Roześmiała się cicho ze swojego żarciku. – Chyba po prostu zaczęłam myśleć o swojej przyszłości, i tyle.

– Przyszłość masz zapewnioną.

– Czyżby?

– Sprawdziałaś ostatnio swoje saldo? Jutro możesz się wycofać i przez resztę życia wylegiwać się na plaży na Ibizie.

– A gdybym tak zrobiła?

Phillip milczał; znowu spoglądał na telefon.

– Kto tym razem?

– Nicky Lovegrove. – Przekierował połączenie na pocztę głosową.

– Kilku jego klientów próbuje wycofać forszę z mojego funduszu.

– Moje pieniądze też są w tym funduszu. Wszystkie!

– Twoje pieniądze są bezpieczne.

– Kiedyś zapewniałaś mnie też, że zrobisz ze mnie hiszpańskiego Damiena Hirsta. Ale to była z twojej strony tylko sprytna zagrywka, żeby dosypać mi trochę grosza do kieszeni.

– Jeśli dobrze pamiętam, to wcale nie były grosze.

– Gdzie one są? – spytała nagle Magdalena.

– Obrazy?

Kiwnęła głową.

– W magazynie.

– Chcę je odzyskać.

– Nie dostaniesz ich.

– Dlaczego?

– Bo należą do mnie. Tak samo jak ty, Magdaleno. Nigdy o tym nie zapominaj.

Jego telefon rozbłysł.

– Kolejny? No nie.

– Nie, to tylko Lindsay.

Magdalena się uśmiechnęła.

– Pozdrów ją ode mnie.

Po krótkiej rozmowie z żoną i pożegnaniu ze swoją partnerką w interesach i kochanką Phillip Somerset wrócił do gabinetu i zadzwonił do Ellisa Graya, szefa kredytów pod zastaw sztuki

w JPMorgan Chase. Phillip i Ellis wpadli na siebie podczas weekendu w Sag Harbor. Bez zbędnej gry wstępnej Phillip oznajmił, że potrzebuje trochę gotówki. Ellis, który zarobił miliony na interesach z Masterpiece Art Ventures, zapytał tylko, jaką sumę Phillip ma na myśli, i poprosił o opis obrazu, który dostanie jako zabezpieczenie.

– Suma to czterdzieści milionów.

– A obraz?

Phillip odpowiedział.

– Gentileschi namalowany przez Gentileschiego? – upewnił się Ellis.

– To nowy odkryty obraz. Zamierzam trzymać go w tajemnicy przez rok albo dwa i dopiero wtedy wypuścić na rynek.

– Jaka jest atrybucja?

– Kuloodporna.

– A pochodzenie?

– Takie sobie.

– Gdzie go kupiłeś?

– Od hiszpańskiego marszanda. Nie mogę zdradzić nic więcej.

Ellis Gray, który zarabiał na życie pożyczaniem pieniędzy pod zastaw obrazów, doskonale wiedział, jak mętny jest świat sztuki. Mimo to nie był skłonny wybulić czterdziestu milionów z pieniędzy banku JPMorgan Chase za obraz bez przeszłości nawet tak ważnemu i rzetelnemu klientowi jak Phillip Somerset.

– Ale dopiero po ekspertyzie naukowej – odparł. – Wyślij obraz Aidenowi Gallagherowi do Westport. Jeśli Aiden orzeknie, że płótno jest w porządku, wtedy uruchomię kredyt.

Phillip się rozłączył. A potem nawiązał połączenie wideo z Kennym Vaughanem i powiedział mu, żeby się nie spodziewał doraźnego zastrzyku gotówki.

– Może będziemy musieli rozważyć zawieszenie spłat.

- Nie możemy. Musisz to jakoś załatwić.
  - Pociągnę za kilka sznurków i zobaczę, co da się zrobić.
- Phillip rozłączył się z Kennym i odebrał następne połączenie.  
Dzwoniła Allegra Hughes.  
Bo chciała się wycofać.

## HOTEL PIERRE

Z samego rana Gabriel zwrócił się z prośbą do Juwala Gerszona. Tak, ma świadomość, że jest to nadużywanie uprzejmości, w dodatku nie całkiem legalne, skoro nie piastuje żadnej oficjalnej funkcji. Nie, nie może obiecać z choćby minimalną pewnością, że to już ostatni raz. Bo wygląda na to, że jest pierwszą instancją, do której dzwonią ludzie mający problemy, czy będą to cudzoźni brytyjscy premierzy, papież kościoła katolickiego czy londyńscy marszandzi. Podczas obecnego śledztwa, jak to często bywało, dokonano zamachu na jego życie. Juwal Gerszon oczywiście o tym wiedział. W sumie gdyby nie zareagował w samą porę, zamach mógłby się udać.

Powierzył tę robotę nowemu chłopakowi. Nic dziwnego, w ich branży nowi młodzi często okazywali się lepsi od starych wyg. Ten był artystą w pełnym sensie tego słowa. Pierwszy ruch wykonał o dziesiątej piętnaście czasu wschodniego, a o wpół do trzeciej był już właścicielem nieruchomości – konkretnie mającego siedzibę na Manhattanie przedsiębiorstwa o nazwie Chelsea Fine Arts Storage.

Zgodnie z instrukcją młody od razu wszedł w bazę danych: papiery ubezpieczeniowe, dokumenty podatkowe, akta osobowe,

dane ekspedycji obejmujące odbiór i wysyłkę za ostatni rok i wreszcie pełny wykaz obrazów trzymany w chronionym klimatyzowanym magazynie przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej koło York Avenue. Obrazów było w sumie siedemset osiemdziesiąt dziewięć. Każdy wpis zawierał tytuł pracy, nazwisko malarza, potwierdzenia, wymiary, datę powstania dzieła, jego szacunkową wartość, obecnego właściciela oraz dokładne miejsce składowania w magazynie, czyli numer piętra i regału.

Sześćset piętnaście obrazów rzekomo należało bezpośrednio do Masterpiece Art Ventures, która to firma przypadkiem była właścicielem Chelsea Fine Arts Storage. Pozostałe prace były pod kontrolą firm krzaków z tych, co to mają nazwy skrótowe składające się z trzech wielkich liter; takie firmy uwielbiają ci, którzy mają do ukrycia jakieś aktywa, albo kleptokraci na całym świecie. Najnowszym nabytkiem była „Danaë w deszczu złota” rzekomo Orazia Gentileschiego. Podana cena dzieła wynosiła trzydzieści milionów dolarów, czyli o trzydzieści milionów więcej niż jego prawdziwa wartość. Na razie obraz nie był jeszcze ubezpieczony.

W magazynie znajdowało się też szesnaście płócien niegdyś dobrze zapowiadającej się hiszpańskiej malarki Magdaleny Navarro. O trzeciej piętnaście po południu – po obciążającym ją lunchu z jakimś Phillipem Somersetem, założycielem i dyrektorem generalnym Masterpiece Art Ventures – wróciła do hotelu Pierre. Gdy weszła do apartamentu, natychmiast oddała telefon Gabrielowi. On zaś dał jej listę siedmiuset osiemdziesięciu dziewięciu obrazów i wzięli się do pracy.

Wpadli w przewidywalny, acz przygnębiający rytm. Magdalena miała przeglądać listę i wołać, kiedy zobaczy obraz, o którym wiedziała na pewno, że jest falsyfikatem. Potem, na użytek Sarah i Evelyn Buchanan, które wszystko pilnie notowały, miała podać

datę i okoliczności, w jakich dane dzieło znalazło się w inwentarzu Masterpiece Art Ventures. Przeważająca większość płócien pochodziła z fikcyjnych sprzedaży prowadzonych przez sieć dystrybucji Magdaleny, co oznaczało, że żadne pieniądze nie przeszły z rąk do rąk. Kilka jednak sprzedano za pośrednictwem renomowanych marszandów, by Phillip mógł się wiarygodnie wyprzeć odpowiedzialności, gdyby kiedykolwiek podważono autentyczność dzieła.

W katalogu rzucał się w oczy przede wszystkim brak „Portretu nieznannej kobiety”, oleju na płótnie o wymiarach 115 na 92 centymetry pędzla Sir Antoona van Dycka, który Masterpiece nabyła niedawno od Isherwood Fine Arts. Według rejestru wysyłek obraz ten w połowie kwietnia przesłano do Sotheby's w Nowym Jorku.

– Tydzień po podłożeniu bomby w Paryżu – zauważył Gabriel.

– Widocznie Phillip się go pozbył – odparła Magdalena. – A to znaczy, że jakiś niczego niepodejrzewający kolekcjoner jest teraz dumnym posiadaczem kompletne bezwartościowego obrazu.

– Jutro rano pogadam sobie z Sotheby's.

– Byle dyskretnie – przestrzegła go Sarah.

– Coś mi mówi, że to nie wchodzi w grę – odparł Gabriel, zerkając na Evelyn.

Do piątej po południu dwukrotnie zapoznali się z tą listą. Końcowy rezultat zapierał dech w piersi – dwieście dwadzieścia siedem falsyfikatów o deklarowanej wartości przekraczającej trzysta milionów dolarów albo dwadzieścia pięć procent aktywów znajdujących się rzekomo pod kontrolą Masterpiece. W połączeniu z resztą dowodów, które Gabriel i Magdalena zdobyli w Nowym Jorku – wliczając w to nagranie, na którym Phillip Somerset próbował pod zastaw fałszywego obrazu wyłudzić kredyt w JPMorgan Chase – mieli niezbite dowody, że Masterpiece Art

Ventures prowadzi działalność przestępczą, a kieruje nią jeden z największych kanciarzy finansowych w historii.

Gdy skończyli przeglądać rejestr, Evelyn zadzwoniła do swojego naczelnego w centrali „Vanity Fair” przy Fulton Street i powiedziała, że najpóźniej o dziewiątej wieczorem dostanie gotowy tekst. Potem usiadła do laptopa i zaczęła pisać.

– W pewnym momencie będę musiała poprosić Phillipa o komentarz – poinformowała Gabriela.

Na szczęście wiedzieli, jak go złapać. Według Proteusa, jego telefon znajdował się obecnie przy rogu Piątej Alei i Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej, czterdzieści metrów nad poziomem morza. Miał sześć nieodebranych połączeń, trzy nieodsłuchane wiadomości głosowe oraz dwadzieścia dwa nieprzeczytane esemesy. Kamera była wycelowana w sufit. Mikrofon nie zbierał żadnych dźwięków. Ten cholerny aparat po prostu sobie tam leży, pomyślał Gabriel. Jak przycisk do papieru z cyfrowym pulsem.

## SUTTON PLACE

Leonard Silk doskonale znał ciemną stronę ludzkiej natury. Jego klienci, dostatecznie bogaci, by było ich stać na jego usługi, składali się z oszustów, intrygantów, kanciarzy, złodziei, defraudantów, ludzi wykorzystujących poufne informacje, kobieciarzy i wszelkiej maści dewiantów seksualnych. Silk nigdy ich nie osądzał, bo też sam nie był bez grzechu. A skoro tak, to nie zamierzał pierwszy rzucać kamieniem.

Popadł w niełaskę pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy pracował w placówce CIA w Bogocie. Świeżo po rozwodzie, w trudnej sytuacji finansowej, nawiązał zyskowną współpracę z kartelem kokainowym z Medellín. Dostarczał baronom narkotykowym cennych informacji na temat tego, jak DEA i Kolumbijczycy próbują spenetrować ich organizację. W zamian za to baronowie narkotykowi dostarczali mu pieniędzy – dostał dwadzieścia milionów dolarów w gotówce, a całość pochodziła ze sprzedaży kokainy do kraju, którego przysięgał bronić.

Udało mu się wypłacić z tej współpracy, nie tracąc nielegalnie zdobytego majątku ani życia, przeszedł na emeryturę i zwolnił się z Agencji tuż przed zamachami z jedenastego września. Za część

funduszy kupił luksusowy apartament przy Sutton Place. A zimą 2002 roku, kiedy jego dawni koledzy zapoczątkowali ogólnoświatową wojnę z terroryzmem, został biznesmenem jako konsultant do spraw bezpieczeństwa i prywatny detektyw. Swoją jednoosobową firmę nazwał Integrity Security Solutions.

Swoim klientom oferował typowy zestaw usług doradczych, większość dochodów czerpał jednak z działań nielegalnych, takich jak wywiad gospodarczy, hakerstwo, szantaż, sabotaż oraz coś, co eufemistycznie określał jako „obronę reputacji”. Słynął ze swoich umiejętności usuwania problemów i, przede wszystkim, umiał zapobiec ich powstawaniu tam, gdzie to było możliwe. W ostateczności potrafił też sprawiać, że „problem” miał nagle śmiertelny wypadek drogowy, przedawkowywał narkotyki albo znikał bez śladu. Na liście płac nie miał żadnych agentów, w razie potrzeby wynajmował zawodowców pracujących na własną rękę. Dwie ostatnie operacje odbyły się we Francji, gdzie Silk miał dobre kontakty. Obie przeprowadził na zlecenie tego samego klienta.

Tego dnia o dziewiątej czterdzieści dwie tenże klient poprosił Silka, by ustalił, dlaczego kilku inwestorów zażądało wypłaty wielomilionowych wkładów z jego funduszu hedgingowego opartego na dziełach sztuki. Po paru telefonach do siatki swoich płatnych albo zmuszonych do współpracy informatorów Silk odkrył prawdopodobne wyjaśnienie. O takiej sprawie wolał nie rozmawiać przez telefon, więc wezwał szofera i pojechał do miasta. Dojeżdżając do rezydencji klienta przy Wschodniej Siedemdziesiątej Czwartej, zobaczył, jak dwaj robotnicy ładują zapakowany w skrzynię obraz do furgonetki dostawczej. Ochroniarz, Tyler Briggs, obserwował ich, stojąc w progu otwartych drzwi.

- Gdzie twój szef? – zapytał go Silk.
- Na górze, w gabinecie.

- Jest sam?
- Teraz tak. Wcześniej miał towarzystwo.
- Kogoś interesującego?

Briggs zaprowadził Silka do pokoju z systemem monitoringu. Pełną dzieł sztuki rezydencję chroniło mnóstwo kamer o wysokiej rozdzielczości. W tym momencie jedna wycelowana była w klienta Silka – siedział przy biurku z telefonem przy uchu i nie wyglądał najlepiej.

Briggs usiadł do komputera i bez słowa stuknął w kilka klawiszy. Po chwili na jednym z monitorów ukazała się wysoka ciemnowłosa kobieta. Stała przed obrazem w galerii. To Gentileschi, pomyślał Silk. Olśniewający, ale prawie na pewno fałszywy.

- Dlaczego ona robi zdjęcia obrazu?
- Nie pytałem.
- Dokąd poszła potem?

Ochroniarz puścił nagranie.

- Wystarczy – powiedział Silk po chwili.

Nagranie się zatrzymało.

– Skocz na górę do gabinetu pana Somerseta i powiedz mu, żeby spotkał się ze mną w ogrodzie.

Ochroniarz wstał i ruszył do drzwi.

- Jeszcze jedno, Tyler.
- Tak, panie Silk?
- Powiedz panu Somersetowi, żeby nie brał telefonu.

Silk przeszedł korytarzem na tył kamienicy – mijając piwniczkę na wino, salę projekcyjną oraz studio jogi – i wkroczył do otoczonego murem ogrodu. Ulistniona, jak to w lecie, korona wielkiego drzewa rzucała cień, a od wschodu i północy widać było stare bloki mieszkalne. Na nieskazitelnych kamiennych płytach stały smutne meble ogrodowe od znanych projektantów. Plusk fontanny w stylu

włoskim zagłuszał odgłosy popołudniowego ruchu ulicznego na Piątej Alei.

Minęło pięć minut, zanim w końcu pojawił się Phillip Somerset. Jak zwykle, miał na sobie strój żeglarski. Usiedli na niskich krzesłach z wikliny. Silk bez zbędnych wstępów i uprzejmości przedstawił mu swoje odkrycia. Był człowiekiem zajęтым, a Phillip Somerset miał poważne kłopoty.

– Będzie bardzo źle?

– Moje źródło nie zdołało nic ustalić na temat treści.

– A czy nie za to właśnie ci płacę, Leonardzie?

– Dział reklamy magazynu skontaktował się z wszystkimi redakcjami wiadomości gospodarczych w mieście. Nie robiliby tego, gdyby ona nie miała czegoś naprawdę mocnego.

– Czy to może być katastrofalne w skutkach?

– Niewykluczone.

– I jesteś pewny, że ten artykuł jest o mnie?

Silk skinął głową.

– Czy włączyło się w to FBI?

– Według mojego źródła, nie.

– To skąd się to wzięło? I dlaczego kilku moich inwestorów akurat dzisiaj postanowiło wycofać wkłady?

– Możliwe, że w świecie sztuki krążą plotki o szkodliwym artykule, który ma się ukazać. Ale bardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest takie, że jakiś twój zawzięty i pomysłowy przeciwnik przypuścił skoordynowany atak.

– Jacyś kandydaci?

– Tylko jeden.

Silk nie wymienił nazwiska, nie było takiej potrzeby. Jakiś czas temu był przeciwny wystawianiu na odstrzał kogoś takiego jak Gabriel Allon, ale ustąpił, kiedy Phillip zaproponował mu dziesięć

milionów dolarów. Znaczoną część tej kwoty Silk przekazał wówczas francuskiej organizacji znanej po prostu jako Grupa, tej samej, która podjęła się likwidacji Valerie Bérangar. Dostarczył też Grupie szczegóły planowanych podróży Allona – a konkretnie jego zamiar odwiedzenia galerii przy rue la Boétie w Paryżu. Mimo to Izraelczyk i jego przyjaciółka Sarah Bancroft wyszli z zamachu w galerii żywi.

– Zapewniałeś mnie, że Allon nie stanowi już problemu – powiedział Phillip.

– Nagranie z przyjazdu pani Navarro dziś po południu sugeruje, że jest inaczej.

Phillip zmarszczył czoło.

– Leonardzie, kto w końcu płaci Tylerowi Briggsowi, ja czy ty?

Silk puścił pytanie mimo uszu.

– Zrobiła kilka zdjęć obrazu wystawionego w galerii. Zbliżenia i w szerokim planie.

Phillip spochmurniał, ale nie odpowiedział.

– Czy rozmawialiście o interesach, kiedy skończyliście w sypialni?

– Dosyć szczegółowo – odparł Phillip.

– Czy miałeś telefon przy sobie?

– Tak, oczywiście.

– A gdzie była jej komórka?

– Zakładam, że miała ją w torebce.

– Prawdopodobnie nagrywała każde wasze słowo. Musisz założyć, że twój telefon też jest zhakowany.

Phillip zaklął pod nosem.

– Aż się boję zapytać.

– Miałem dwie bardzo szczere rozmowy z Kennym Vaughanem. I próbowałem załatwić kredyt pod zastaw obrazu u Ellisa Graya z JPMorgan Chase.

– Dlatego, że kilku twoich największych inwestorów przypadkiem chce się wycofać z twojego funduszu akurat w dniu, kiedy panna Navarro odwiedziła cię i sfotografowała obraz.

Phillip wstał ociężale.

– Siadaj – polecił spokojnie Silk. – Ani się waż do niej zbliżyć.

– Leonardzie, to ty pracujesz dla mnie, nie odwrotnie.

– I wołałbym, żeby FBI się o tym nie dowiedziało. Ani Gabriel Allon, skoro już o tym mowa. Dlatego zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

Phillip zdobył się na uśmiech.

– Czy ty mi właśnie groziłeś?

– Groźby to domena amatorów. A ja nie jestem amatorem.

Phillip usiadł z powrotem na krześle.

– Gdzie ona się zatrzymała? – zapytał Silk.

– Zwykle wynajmuje apartament w Pierre.

– Chyba się do niej wybiorę. A na razie idź na górę i się spakuj.

– Dokąd jadę?

– To się dopiero okaże.

– Jeżeli teraz wyjadę z kraju...

– To pozostali inwestorzy rzucą się do łodzi ratunkowych i twój fundusz upadnie w ciągu kilku godzin. Pytanie, czy chcesz być w Nowym Jorku, kiedy to się stanie? Czy wolisz się wylegiwać z Lindsay na plaży?

Phillip milczał.

– Ile masz gotówki w ręku? – zapytał Silk.

– Niewiele.

– W takim razie to chyba właściwy moment, żebyś uregulował swoje należności wobec Integrity Security Solutions. – Silk podał mu telefon. – Zalegasz nam piętnaście milionów.

– Nie przesadzasz troszeczkę?

– To nie czas, żeby się spierać o pieniądze, Phillipie. Tylko ja stoję między tobą a celą w Metropolitan Correction Centre.

Phillip zadzwonił do Kenny’ego Vaughna i polecił mu przelać piętnaście milionów dolarów na konto Silka w Oceanic Bank and Trust Ltd. w Nassau.

– Wiem, Kenny. Po prostu zrób, co trzeba.

Phillip rozłączył się i chciał oddać telefon.

– Zatrzymaj go – powiedział Silk. – Zostaw prywatną komórkę na biurku podłączoną do ładowarki i jedź do domu na wyspie. I nie rób nic, dopóki się nie odezwę.

## HOTEL PIERRE

Jadąc trzynaście ulic dalej, z domu Phillipa Somerseta do hotelu Pierre, Leonard Silk wykonał serię pośpiesznych telefonów. Pierwszy do Executive Jet Services na lotnisku MacArthura na Long Island. Drugi do człowieka, który szmugłował broń dla kontras i kokainę dla karteli. Na koniec zadzwonił do starego przyjaciela z Agencji, Martina Rotha. Marty dostarczał speców od cyberprzestępczości i inwigilacji, a w razie potrzeby także mięśniaków i broń palną. Jego prywatny biznes ochroniarski mieścił się w magazynie na Greenpoincie. Silk był jego stałym klientem.

– Na kiedy je potrzebujesz? – zapytał Marty.

– Na dwadzieścia minut temu.

– W centrum korki jak cholera. A już i tak mam w plecy.

– Postaraj się – rzekł Silk, podjeżdżając swoim escalade przed wejście do Pierre od strony Piątej Alei. – Mój klient będzie ci wdzięczny. Ja też.

W środku hostessa w Two E Bar & Lounge powitała Silka jak dobrego znajomego, zwracając się do niego po imieniu, i zaprowadziła go do stolika w rogu. Po chwili pojawiła się przed nim szklaneczka whisky single malt, a za nią Ray Bennett, były

śledczy z policji nowojorskiej, który po przejściu na emeryturę został szefem ochrony w Pierre. Nic, co się działo w hotelu, nie uchodziło uwagi Bennetta i dlatego Silk płacił mu co miesiąc sowite honorarium.

Bennett nie był sam. Tacy jak on pracowali w każdym z najlepszych hoteli w mieście i wszyscy karmili Silka wszelkimi brudami, w większości popartymi pokwitowaniami i nagraniami z monitoringu. Jednym z priorytetów były informacje o prywatnym życiu dziennikarzy. Bennett dał kiedyś Silkowi materiały, dzięki którym mógł utracić demaskatorski artykuł o jednym ze swoich najważniejszych klientów, mający się ukazać w magazynie „New York”. Silk w nagrodę wypłacił mu wtedy dwadzieścia pięć tysięcy dolarów premii, co pozwoliło Bennettowi nie wpaść w finansowe sidła ugody rozwodowej, a także opłacić czesne swojego dzieciaka w Holy Rosary.

Przepisy hotelowe zabraniały Bennettowi przysiadania się do klientów, dlatego stał, kiedy Silk wykladał mu swoją prośbę.

– W apartamencie na dziewiętnastym piętrze mieszka pewna kobieta. To znajoma mojego ważnego klienta. Ten klient się boi, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

– Jak się nazywa?

– Zameldowała się jako Miranda Álvarez. Naprawdę nazywa się...

– Magdalena Navarro. To stała klientka.

– Zauważyłeś coś niezwykłego?

– Jeśli się nie mylę, od przyjazdu tylko raz opuściła hotel.

– To jak spędza czas?

– Wczoraj miała proszoną kolację.

– Naprawdę? Z kim?

– Z przyjaciółmi mieszkającymi po drugiej stronie korytarza. Tamci zameldowali się jednocześnie z nią. Pod fałszywymi

nazwiskami. Tak samo jak panna Navarro.

- Potrzebne mi ich prawdziwe nazwiska – oświadczył Silk.
- Jak bardzo?
- Dziesięć tysięcy.
- Dwadzieścia.
- Stoi – obiecał Silk.

Ray Bennett wrócił do swojego biura, zamknął drzwi i usiadł przy komputerze. Jako szef ochrony miał nieograniczony dostęp do informacji o gościach bez względu na to, jak bardzo chcieli pozostać anonimowi. Po chwili zadzwonił do Leonarda Silka i odczytał mu nazwiska.

- Sarah Bancroft i Gabriel Allon.

iPhone Bennetta zasygnalizował nadejście esemesa.

– Przyjrzyj się zdjęciu, które ci właśnie wysłałem – powiedział Silk.

Bennett powiększył obraz.

- Poznajesz ją?
- To ta dziennikarka z „Vanity Fair”.
- Czy była w apartamencie panny Navarro?
- Zdaje się, że jest tam właśnie teraz.
- Dzięki, Ray. Czek jest w mejlu.

Połączenie przerwano.

Bennett spojrział na dwa nazwiska na ekranie komputera. Jedno z nich coś mu mówiło. Gabriel Allon... Był pewny, że już je widział. Ale gdzie?

Odpowiedź znalazł w Google.

- O w mordę – powiedział pod nosem.

Po wyjściu na dwór Leonard Silk wsiadł do swojego escalade'a i zadzwonił na komórkę na kartę, którą dał Phillipowi.

- Rozmawiałeś z nią?

– Nie mogłem. Chwilowo jest zajęta.

– Czym?

– Opowiada Evelyn Buchanan wszystko, co wie o Masterpiece Art Ventures. Są z nią Gabriel Allon i twoja przyjaciółka Sarah Bancroft. To koniec, Phillipie. Twój czarter odlatuje z MacArthura o dziesiątej piętnaście. Nie spóźnij się.

– Może jednak powinienem wziąć gulfstreama.

– Celem tej operacji jest wywiezienie ciebie i Lindsay z kraju bez pozostawiania śladów. Kiedy wylądujecie w Miami, samochód zawiezie was na Key West. Zanim wzejdzie słońce, będziecie w pół drogi na półwysep Jukatan.

– A ty, Leonardzie?

– To zależy od tego, czy kiedykolwiek wspomniałeś o mnie swojej przyjaciółce z Sewilli.

– Nie martw się, ona w nic cię nie wmiesza.

Silk usłyszał w słuchawce chór klaksonów samochodowych.

– Dlaczego nie jesteś jeszcze w śmigłowcu?

– Na Drugiej Alei jest korek.

– Tam, dokąd jedziesz, nie będziesz się musiał przejmować korkami.

Silk odłożył słuchawkę i spojrzał na górne piętra hotelu. Ona w nic cię nie wmiesza... Może i tak, ale nie zamierzał ryzykować.

Zadzwoił do Raya Bennetta.

– Mam kolejne zlecenie, jeśli cię to interesuje.

– Słucham.

Silk wyjaśnił.

– Ile? – zapytał Bennett.

– Pięćdziesiąt tysięcy.

– Żeby się zmierzyć z kimś takim jak Gabriel Allon? Leonardzie, zejdź na ziemię.

- Co powiesz na siedemdziesiąt pięć?
- Sto.
- Stoi – obiecał Silk.

## NORTH HAVEN

Lindsay Somerset, sama w olbrzymim pustym domu w North Haven, siedziała po turecku, opierając lekko dłonie na kolanach. Przed sobą miała sięgające od podłogi do sufitu okno wychodzące na miedziane wody zatoki Peconic. Ta panorama przeważnie napełniała ją poczuciem zadowolenia, ale nie teraz. Nie mogła odnaleźć spokoju wewnętrznego, żadnego shanti.

Obok maty leżał jej telefon, wyciszony; nagle rozbłysł, sygnalizując połączenie przychodzące. Nie rozpoznała numeru, więc je odrzuciła. Telefon natychmiast zadzwonił ponownie i znowu odrzuciła rozmowę. Ale po dwóch kolejnych próbach pozbycia się natręta podniosła komórkę do ucha.

– Czego, do cholery?!

– Miałem nadzieję na rozmowę z żoną.

– Wybacz, Phillipie. Nie rozpoznałam numeru. Z czyjego telefonu dzwonisz?

– Wyjaśnię ci, jak dojadę.

– Myślałam, że zostajesz dzisiaj w mieście.

– Zmiana planów. Powinniśmy wylądować w East Hampton o szóstej czterdzieści pięć.

- Wspaniale! Mam zarezerwować stolik na kolację?
- Dzisiaj chyba nie zniósłbym widok tłumu. Kupię coś po drodze do domu.
- W Lulu?
- Świetnie.
- Chcesz coś konkretnego?
- Zrób mi niespodziankę.
- Phillipie, czy coś się stało? Wydajesz się przybity.
- Ciężki dzień, to wszystko.

Lindsay wyłączyła telefon, wstała, włożyła sportowe najki i zapinaną do połowy bluzę z kapturem Lululemon. Potem zeszła na parter do wielkiego pokoju. Rothko, Pollock, Warhol, Basquiat, Lichtenstein, Diebenkorn... Obrazy warte niemal pół miliarda dolarów, a wszystkie kontrolowane przez Masterpiece Art Ventures.

Phillip starannie chronił Lindsay przed sprawami firmy, więc miała tylko podstawowe pojęcie o jej funkcjonowaniu. Kupował obrazy bardzo sprytnie i sprzedawał je z kolosalnym zyskiem. Część dochodów zatrzymywał dla siebie, a resztę wypłacał inwestorom. Banki chętnie pożyczaly mu pieniądze, bo nigdy się nie spóźniał ze spłatą i dawał w zastaw obrazy. Dzięki kredytom kupował jeszcze więcej dzieł sztuki, co tym bardziej zwiększało zyski inwestorów. Większość w ciągu zaledwie trzech lat podwoiła na papierze wartość swoich inwestycji. Mało kto kiedykolwiek wycofywał pieniądze. Masterpiece to był interes jak się patrzy.

Lindsay zapatrzyła się na Basquiata. Towarzyszyła Phillipowi, kiedy kupił go w Christie's za siedemdziesiąt pięć milionów dolarów. W sumie była to ich pierwsza prawdziwa randka. Potem zabrał ją do baru SixtyFive w Rainbow Room, gdzie świętował zakup ze swoimi pracownikami. Był to mały zespół – trzy młode kobiety z włosami związanymi w koński ogon, w butach na płaskim obcasie i z

dyplomami najlepszych uniwersytetów, a do tego Kenny Vaughan, który pracował z Phillipem w Lehman Brothers. No i była ta wysoka piękna Hiszpanka, Magdalena Navarro. Phillip mówił, że pracuje dla Masterpiece jako skautka i pośredniczka w Europie.

– Nadal z nią sypiasz? – spytała Lindsay, kiedy jechali do domu Phillipa.

– Z Magdaleną? Już nie.

To samo pytanie zadała, kiedy Phillip jej się oświadczył – i gdy się uparł, żeby podpisała intercyzę gwarantującą jej dziesięć milionów dolarów na wypadek rozwodu. Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie uwierzyła w jego zaprzeczenia. Co gorsza, była głęboko przekonana, że jej mąż i Magdalena są kochankami do dzisiaj. Każdy ich ruch i wyraz twarzy świadczyły o łączącej ich relacji seksualnej. Lindsay nie była ślepa. Ani tak głupia, za jaką ją uważali.

Wyjaśnię ci, jak dojadę...

Wróciło poczucie dysharmonii. Lindsay nie potrafiłaby powiedzieć, czy chodziło o ich małżeństwo, czy o interesy Phillipa. Ale coś było nie tak, coś tu nie grało. Tego była pewna.

Na dworze usiadła za kierownicą białego range rovera i ruszyła podjazdem. Gdy mijała domek dla personelu, ochroniarz od niechcienia pomachał jej ręką i otworzył bramę. Skręciła w lewo, w Actors Colony Road, i zadzwoniła do Lulu Kitchen & Bar w Sag Harbor. Przywitała się z hostessą po imieniu i złożyła zamówienie: smażone kałamarnice, ośmiorniczki z grilla, dwie sałatki z sałaty Bibba, halibut z rusztu i stek z łaty wołowej. Mieli tam dane karty kredytowej Phillipa, więc nie było dyskusji o sposobie płatności ani nawet o wysokości rachunku.

– Czy może być o siódmej piętnaście, pani Somerset? Mamy dziś duży ruch.

– O siódmej byłoby lepiej.

Pojechała Route 114 wzdłuż całego półwyspu, aż do centrum Sag Harbor. Lotnisko leżało jakieś sześć kilometrów na południe od wioski, przy Daniels Hole Road. Kiedyś należało do miasteczka East Hampton i było pod jego nadzorem, teraz jednak przeszło w prywatne ręce i obsługiwało takich ludzi jak Somersetowie z North Haven. Gdy Lindsay wjeżdżała przez bramę, sikorski Phillipa właśnie opadał z czystego wieczornego nieba. Ochroniarz pozwolił jej wjechać na pas startowy, oszczędzając panu Somersetowi afrontu, jakim byłaby piesza wędrówka na parking.

Usiadł na prawym siedzeniu range rovera, a personel naziemny wrzucił na tył samochodu dwie wielkie aluminiowe walizki firmy Rimowa. Obie były na oko bardzo ciężkie.

– Masz tam hantle? – spytała Lindsay, całując Phillipa w usta.

– W jednej są dwa miliony dolarów w gotówce. W drugiej złote sztabki po pół kilograma każda.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie jestem tym, za kogo mnie uważasz – odparł. – I mam kłopoty.

## HOTEL PIERRE

Krótko przed przejęciem bieżącego zarządzania galerią Isherwood Fine Arts Sarah Bancroft przeszła brutalne przesłuchanie przez wysokiego stopniem rosyjskiego oficera, który groził, że poda jej radiologiczną toksynę. Patrzenie, jak Evelyn Buchanan pisze artykuł, było nie mniejszą torturą. W miarę możliwości Sarah udzielała Evelyn wskazówek, głównie jednak siedziała ze zwieszoną głową, starając się schodzić z linii ognia wycelowanego przede wszystkim w Gabriela. Nie, powtarzał raz za razem, nie życzysz sobie, żeby jego nazwisko pojawiło się w artykule. Ustalonych zasad należy przestrzegać. Nie wolno ich zmieniać w ostatniej chwili.

– W takim razie mam jeszcze kilka pytań do Magdaleny – oznajmiła Evelyn.

– Na temat?

– Olivera Dimbleby’ego.

– Kogo?

– Magdalena wspomniała o nim, kiedy z Phillipem rozmawiali o twoim Gentileschim.

– Tak? Widocznie wtedy nie słuchałem.

– Poza tym zasugerowała, że wszystkie te nowo odkryte obrazy są fałszywe.

– No bo są.

– Kto je namalował?

– A jak myślisz?

– Po co?

– Po to, żeby wywabić Magdalenę z ukrycia.

– A czy ktoś naprawdę je kupił?

– Na Boga, nie. To by było nieetyczne.

– Proszę mi opowiedzieć resztę tej historii.

– Dokończ tę, którą masz przed sobą, Evelyn. O dziewiątej obiecałaś przesłać naczelnemu pierwszy szkic.

O wpół do siódmej Sarah miała już tego dość. Wstała i oświadczyła, że jedzie do baru na dole napić się porządnego martini belvedere. Magdalena poprosiła o zgodę, by z nią pójść.

– Prośba odrzucona.

– Gdybym chciała uciec, zrobiłabym to dziś po południu, kiedy byłam z Phillipem. Poza tym mieliśmy umowę, panie Allon.

Co racja, to racja.

– Ale tylko na jednego drinka – zastrzegł. – I nie bierz telefonu ani paszportu.

– Dwa drinki – sprostowała Sarah. I odwróciła się do Magdaleny.

– Za pięć minut widzimy się przy windach.

– Lepiej za dziesięć.

Sarah poszła do swojego pokoju, żeby się odświeżyć. Magdalena zrobiła to samo, więc Gabriel został sam na sam z Evelyn.

– Mam do pana jeszcze kilka pytań.

– Nie wątpię – odparł z roztargnieniem. A potem sprawdził przekaz z telefonu Phillipa Somerseta.

Od ponad trzech godzin komórka nie zmieniła miejsca położenia. Czternaście nieodebranych połączeń, osiem nowych wiadomości głosowych, trzydzieści siedem nieodczytanych esemesów.

Nie było obrazu.

Nie było audio.

Nie było Phillipa.

Później wszyscy zgodnie uznali, że to wina Christophera. Zadzwoił do Sarah z Londynu akurat w chwili, gdy wchodziła do swojego pokoju, i trzymał ją na linii, kiedy zrzucała pogniecione ubranie i przebierała się w coś bardziej stosownego. Doprowadzenie włosów do ładu i zrobienie makijażu okazało się większym wyzwaniem, niż sądziła, w rezultacie dotarła więc do wind dwie minuty po czasie. Na miejscu odetchnęła z ulgą. Wyglądało na to, że jej nowa przyjaciółka z Hiszpanii też się spóźnia.

Ale kiedy minęły kolejne trzy minuty i Magdalena nie dawała znaku życia, Sarah się zaniepokoiła. Jej przecucie nadciągającej katastrofy wzmogło się, gdy po naciśnięciu dzwonka zapaliło się światło, a winda nie przyjechała. Gorączkowo złapała słuchawkę hotelowego telefonu, wyjaśniła sytuację telefonistce, a ta zapewniła ją, że już za chwilę będzie jechała na parter.

W końcu kabina nadjechała. Zatrzymywała się na kilku piętrach, by zabrać menażerię poirytowanych gości hotelowych, aż w końcu dotarła do holu. Sarah poszła wprost do baru, lecz Magdaleny nie dostrzegła. Spytała kelnera, czy widział wysoką czarnowłosą kobietę, mniej więcej w wieku czterdziestu lat i bardzo piękną. Niestety nie widziałem, odparł kelner.

Taką samą odpowiedź Sarah dostała od dziewczyny w recepcji. I od stojącego obok ochroniarza w ciemnym garniturze. A także od portierów i parkingowych przy obu wejściach do hotelu.

W końcu wybrała numer Gabriela.

– Powiedz, proszę, że Magdalena jest z wami na górze.

– Wyszła kwadrans temu.

Sarah wykrzyczała przekleństwa, które odbiły się echem w wielkim holu hotelu Pierre. Zignorowała Magdalene. A teraz ona zniknęła.

## ŚRÓDMIĘSCIE

Magdalena poznała człowieka, który powitał ją przy wyjściu z windy. Widywała go za każdym pobytym w Pierre. Był szefem ochrony. Wielki facet z typowo irlandzką twarzą i akcentem z przedmieścia. W poprzednim życiu Magdalena unikałaby ludzi jego pokroju. Było oczywiste, że gość był gliniarzem. Emerytowanym, jasne. Ale mimo to gliniarzem.

Jednak tego wieczoru były policjant, którego nazwiska nie znała, przedstawił się jako jej opiekun. Po cichu, spokojnym i pewnym głosem zapytał, czy spodziewa się gości. A kiedy odparła, że nie, poinformował ją, że wczesnym popołudniem zauważył dwóch mężczyzn, którzy podejrzenie krążyli przed jej apartamentem. Dodał, że ci sami dwaj ludzie piją właśnie wodę sodową w barze w holu. W jego najgłębszym przekonaniu są to agenci jakiejś służby federalnej.

- FBI?
- Prawdopodobnie. I sędzę, że dwaj inni czekają na zewnątrz.
- Może mnie pan stąd wydostać?
- Zależy, co pani zrobiła.
- Zaufałam komuś, komu nie powinnam.

– Też mi się to przydarzyło raz czy dwa. – Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. – Musi pani coś zabrać z apartamentu?

– Nie mogę tam wrócić.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że jest tam ten człowiek, któremu zaufałam.

Ochroniarz wziął ją pod rękę i wprowadził przez drzwi wychodzące na korytarz z małymi pokoikami biurowymi po obu stronach, który z kolei prowadził na rampę załadunkową hotelu. Na Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej stał przy krawężniku czarny escalade; jego silnik pracował na wolnych obrotach.

– Czeka na innego gościa hotelowego, ale jeśli pani chce, może pani nim pojechać.

– Nie mam czym zapłacić.

– Znam kierowcę, sam to z nim załatwię.

Potężny były gliniarz z typowo irlandzką twarzą poprowadził Magdalенę chodnikiem i otworzył tylne boczne drzwi od strony kierowcy. Na kanapie z tyłu siedział siwy mężczyzna w szarym garniturze. Były glina wepchnął Magdalенę do środka i zatrzęsął drzwiami. Escalade wystrzelił do przodu i skręcił w Piątą Aleję.

Siwy mężczyzna w szarym garniturze patrzył beznamiętnie, jak Magdalena szamocze się z klamką. W końcu poddała się i odwróciła do niego.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Człowiekiem, który usuwa problemy Phillipa – odparł. – A pani stanowi dla niego problem.

Kierowca miał kark niczym hydrant przeciwpożarowy i ostrzyżone na krótką szczecinę włosy. Na rogu Wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej i Park Avenue Magdalena uprzejmie poprosiła go, by odblokował drzwi. Nie odpowiedział, więc zwróciła się z tym do siwego mężczyzny w szarym garniturze, który kazał jej

się zamknąć. Rozjuszona, spróbowała wydłubać mu oczy. Atak zakończył się tym, że chwycił ją za nadgarstek i wykręcił tak, że omal nie złamał jej ręki.

– Skończyła pani?

– Tak.

Nacisnął mocniej, zwiększając ból.

– Na pewno?

– Obiecuję.

Zmniejszył nacisk, ale tylko trochę.

– Dlaczego przyjechała pani do Nowego Jorku?

– Bo mnie aresztowali.

– Gdzie?

– We Włoszech.

– A co ma do tego Allon?

– Współpracował z włoską policją.

– Zakładam, że poszła pani z nimi na układ?

– Jak wszyscy, no nie?

– Na jakich warunkach?

– Obiecał, że nie postawią mi zarzutów, jeśli pomogę mu załatwić Phillipa.

– I dała się pani nabrać na taką bzdurę?

– Dał mi słowo.

– Wykorzystał panią, panno Navarro. I może pani być pewna, że zamierzał przekazać panią FBI, gdy tylko przestanie pani być mu potrzebna.

Magdalena oswobodziła rękę z jego uścisku i przesunęła się na skraj siedzenia. W żółwym tempie jechali właśnie przez skrzyżowanie Wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej i Trzeciej Alei. Po drugiej stronie jej przyciemnionego okna stał policjant z uniesioną ręką. Gdyby zdołała zwrócić jego uwagę, może

wyplątałyby się z obecnych kłopotów. Ale też uruchomiłyby łańcuch wydarzeń, które niewątpliwie doprowadziłyby do jej uwięzienia. Uznała, że lepiej będzie zaryzykować ze specem od rozwiązywania problemów Phillipa.

– Ile wie Allon? – zapytał.

– Wszystko.

– A dziennikarka?

– Aż nadto.

– Kiedy ukaże się artykuł?

– Dzisiaj późnym wieczorem. Do rana Masterpiece będzie ugotowane.

– Czy w tekście padnie moje nazwisko?

– A niby skąd? Przecież ja nie wiem, jak pan się nazywa.

– Phillip nigdy nie szeptał go pani na uszko, kiedy się...

– Wal się, gnoju!

Cios padł bez ostrzeżenia, szybkie jak błyskawica uderzenie grzbietem ręki. Magdalena poczuła smak krwi.

– Cóż za rycerskość. Nie ma nic równie ponętnego jak mężczyzna bijący bezbronne kobiety.

Zanim zdążył jej zadać kolejne pytanie, zadzwonił jego telefon. Uniósł go do ucha i słuchał w milczeniu. W końcu rzucił:

– Dzięki, Marty. Daj znać, gdyby Allon się ruszył. – Schował telefon do kieszeni płaszcza i spojrzał na Magdalенę. – Zdaje się, że komputer Evelyn Buchanan czeka niespodziewana awaria.

– To nie zatrzyma artykułu.

– Być może. Ale załatwi dość czasu, żebyście z Phillipem zdążyli opuścić kraj, zanim FBI wyda nakaz aresztowania.

– Ja nigdzie z nim nie pojedę.

– Sprawa jest prosta, albo to, albo płytki grób w Adirondacks.

Magdalena nie odpowiedziała.

– Mądry wybór, pani Navarro.

## SAG HARBOR

Lindsay uparła się, żeby zajechać do centrum Sag Harbor i odebrać jedzenie z Lulu. Phillip uznał to za przejaw szaleństwa, taki jak wkładanie przez samobójczynię sukni ślubnej przed przedawkowaniem środków nasennych. Ale teraz, stojąc na końcu ładnego baru restauracji i czekając na odbiór zamówienia, cieszył się, że ma chwilę tylko dla siebie.

Hałas w sali był całkiem miły, jak to w środku lata. Niezależnie od jego obecnej sytuacji, na Wall Street miał całkiem udany dzień. Zarobił pieniądze. Uścisnął rękę kilku grubym rybom, zamienił słówko z kilkoma ważniakami i dyskretnym ruchem głowy odpowiedział na pozdrowienie znanego kolekcjonera, który niedawno odkupił od Masterpiece Art Ventures płótno za cztery i pół miliona dolarów. Za kilka godzin ten kolekcjoner dowie się, że jego obraz niewątpliwie jest falsyfikatem.

Próbując oszczędzić sobie wstydu, że dał się zrobić w konia, zapewni bliskich przyjaciół i współników w interesach, że od zawsze wiedział, iż Phillip Somerset to oszust i kanciarz. Ten kolekcjoner raczej nie dostanie zwrotu pieniędzy, ponieważ w Masterpiece Art Ventures zostaną bardzo skromne środki, a lista roszczeń okaże się

bardzo długa. Utalentowany pan Somerset nie będzie mógł pomóc władzom, ponieważ jego miejsce pobytu będzie nieznane. Niektórzy przypomną sobie, że po raz ostatni widzieli go w Lulu Kitchen & Bar przy Main Street w Sag Harbor.

Poczuł, że ktoś go wziął za łokieć, odwrócił się i napotkał podobny do teriera wzrok Edgara Malone'a. Edgar żył jak panisko z zostawionego mu przez dziadka majątku, którego lwią część bezrozumnie powierzył Masterpiece Art Ventures.

– Słyszałem, że straciłeś dzisiaj kilku inwestorów – oświadczył.

– Ale wszyscy godziwie zarobili na współpracy z moim funduszem.

– Czy mam się martwić?

– A czy ja ci wyglądam na zmartwionego, Edgarze?

– Nie. Tak czy siak, chciałbym wycofać część pieniędzy.

– Prześpij się z tym. A rano zadzwoń i powiedz mi, co zdecydowałaś.

Hostessa poinformowała Phillipa, że jego zamówienie trochę się opóźni, i w ramach rekompensaty zaproponowała mu kieliszek wina na koszt firmy, był bowiem cennym klientem i wybitnym członkiem elity z East End – przynajmniej jeszcze przez kilka godzin. Za wino podziękował, za to odebrał połączenie na komórkę na kartę.

– Natychmiast odeślij swój śmigłowiec na Manhattan – powiedział Leonard Silk.

– Po co?

– Po ostatniego członka twojej wyprawy.

– Znam go?

– Zawiadom załogę – dodał Silk. – Niech wracają na Manhattan.

Pięć minut później z torbami w ręku Phillip wyszedł przez drzwi restauracji na ciepłe wieczorne powietrze. Wstawił jedzenie na tył range rovera, a sam usiadł obok kierowcy. Lindsay wycofała

samochód z miejsca parkingowego, nawet nie zerknąwszy w lusterko wsteczne. Z piskiem opon i rykiem klaksonu. Phillip podejrzewał, że pewnego dnia będzie to część legendy na temat jego zniknięcia – wypadek, do którego omal nie doszło na Main Street w Sag Harbor. Ale więcej będzie się mówić o tym, że to Lindsay siedziała za kierownicą.

Przestawiła dźwignię biegów na DRIVE i range rover wystrzelił do przodu.

– Wyjaśnij mi, jak to działało – zażądała.

– Nie ma czasu. Zresztą i tak pewnie byś nie zrozumiała.

– Bo jestem za głupia?

Phillip chciał jej dotknąć, ale się cofnęła. Prowadziła niebezpiecznie szybko.

– Gadaj! – krzyknęła.

– Na początku to był sposób na zebranie dodatkowej gotówki, żebym mógł pokazać inwestorom zyski. Ale z biegiem czasu cały interes oparłem na kupowaniu i sprzedawaniu falsyfikatów. Gdybym przestał, fundusz by upadł.

– Dlatego, że ten twój tak zwany fundusz to nic innego jak osławiona piramida finansowa?

– Nie, Lindsay. To była prawdziwa piramida finansowa. W dodatku niezwykle zyskowna.

I funkcjonowałyby w nieskończoność, pomyślał Phillip, gdyby nie ta Francuzka, Valerie Bérangar. Napisała list do Juliana Isherwooda w sprawie „Portretu nieznannej kobiety”. A Isherwood zwrócił się do wielkiego Gabriela Allona, żeby przyjrzał się sprawie, jakby już nie miał do kogo! Phillip może i zdołałby przechytrzyć FBI, ale Allon był o wiele groźniejszym przeciwnikiem – utalentowanym konserwatorem sztuki, a przypadkiem też emerytowanym oficerem

wywiadu. Jakie miał szanse? Popełnił błąd, pozwalając, by Izraelczyk żywy opuścił Nowy Jork.

Lindsay zignorowała znak stopu na końcu Main Street i ostro skręciła w Route 114. Phillip trzymał się oparcia fotela, kiedy śmigali przez wąski dwupasmowy most między Sag Harbor a North Haven.

– Naprawdę musisz zwolnić.

– Podobno śpieszysz się na samolot.

– Oboje się śpieszymy. – Puścił oparcie fotela. – Odlatujemy z MacArthura o dziesiątej piętnaście.

– Dokąd?

– Do Miami.

– Wiem, Phillipie, że nie jestem tak mądra jak ty, ale jestem prawie pewna, że Miami leży na terenie Stanów Zjednoczonych.

– To tylko pierwszy przystanek.

– A z Miami dokąd?

– Do pięknego domu z widokiem na ocean w Ekwadorze.

– Myślałam, że bogaci przestępcy, jak ty czy Bobby Axelrod, kiedy chcą uniknąć aresztowania, uciekają do Szwajcarii.

– Tylko na filmach, Lindsay. Będziemy mieli nową tożsamość i mnóstwo pieniędzy. Nikt nigdy nas nie znajdzie.

Roześmiała się gorzko.

– Ja nigdzie z tobą nie jadę, Phillipie.

– Wiesz, co się stanie, jeśli tu zostaniesz? Z chwilą upadku funduszu FBI zajmie domy, obrazy i zablokuje rachunki bankowe. Będziesz wyrzutkiem. Twoje życie legnie w gruzach. I nikt ci nigdy nie uwierzy, że nie wiedziałaś, że twój mąż był przestępcą.

– Uwierzą, jeśli cię wydam.

Phillip odłączył telefon Lindsay od ładowarki i wsunął go do kieszeni płaszcza.

– Niewątpliwie nie robiłeś tego wszystkiego sam – powiedziała.

– Kenny Vaughan pilnował, żeby cyferki się zgadzały.

– A Magdalena?

– Zajmowała się sprzedażą i dystrybucją.

– Gdzie ona teraz jest?

– W drodze na lądowisko helikopterów przy Trzydziestej Czwartej.

Lindsay wcisnęła gaz do dechy.

– Zwolnij albo kogoś zabijesz – powiedział Phillip.

– Może zabiję ciebie.

– Nie, jeśli to ja cię zabiję pierwszy, Lindsay.

## HOTEL PIERRE

Opuszczając po raz ostatni swój apartament na dziewiętnastym piętrze hotelu Pierre, Magdalena była ubrana w ten sam ciemny kostium, który nosiła tego wieczoru, gdy zgarnęła Olivera Dimbleby'ego z chodnika na Bury Street w Londynie. Miała przy sobie hiszpańskie prawo jazdy i banknot dwudziestodolarowy, ale nie wzięła telefonu ani paszportu. Torebki też nie. Ta leżała teraz u stóp jej nieposłanego łóżka, obok „Miłości w czasach zarazy” w wersji oryginalnej. Zdaniem Gabriela, był to najlepszy dowód jej zamiarów. Żadna z jego licznych przyjaciółek i znajomych nie uciekłaby, nie zabierając torebki. Był więc przekonany, że musi istnieć inne wyjaśnienie nagłego zniknięcia Magdaleny. Wyjaśnienie, które zapewne wiązało się z osobami Phillipa Somerseta i Leonarda Silka.

Cokolwiek się wydarzyło, monitoring hotelowy musiał to zarejestrować. Gabriel zadzwonił więc do Juwala Gerszona, wyjaśnił mu sytuację i poprosił o przejrzenie nagrań. Juwal zaproponował, żeby Gabriel pogadał lepiej z ochroną hotelu.

- Mam paskudne uczucie, że ochrona maczała w tym palce.
- Dlaczego tak sądzisz?

- W czasie, kiedy zniknęła, windy w tajemniczy sposób stanęły.
- Opisz ją.
- Wysoka, ciemne włosy, ciemny kostium, bez torebki.
- Zdaje się, że jesteście na dziewiętnastym piętrze.
- Tu to się nazywa dwudzieste, Juwal.
- Odezwę się, kiedy coś znajdę.

Gabriel się rozłączył. Sarah nerwowo krążyła po pokoju. Evelyn Buchanan wlepiała wzrok w swój laptop z miną kogoś, kto przed chwilą był świadkiem morderstwa.

– Czy coś się stało? – spytał Gabriel.

– Mój artykuł właśnie zniknął z ekranu. – Evelyn przesunęła palcem wskazującym po touchpadzie. – A folder z dokumentami jest pusty. Przepadła cała moja praca, w tym notatki i transkrypt wywiadu z Magdaleną.

Gabriel szybko odłączył swój komputer od hotelowej sieci wi-fi i kazał Evelyn zrobić to samo.

– Ile czasu zajmie pani wstukanie tego jeszcze raz?

– To nie jest kwestia samego stukania w klawisze. Muszę napisać artykuł na nowo, od początku do końca. Pięć tysięcy słów. Odtworzyć wszystko z pamięci.

– Wobec tego proszę się brać do roboty. – Gabriel sięgnął po swój telefon i spojrzał na Sarah. – Zamknij drzwi na oba zamki i nie otwieraj nikomu oprócz mnie.

Nie mówiąc nic więcej, wyszedł na korytarz i ruszył do wind. Od razu pojawiła się pusta kabina. Zjechał do holu i opuścił hotel wyjściem na Piątą Aleję.

Na dworze słońce zaszło już za korony drzew Central Parku, ale było jeszcze dość widno. Gabriel skręcił w lewo i znowu w lewo, we Wschodnią Sześćdziesiątą. Mijając wejście do legendarnego klubu Metropolitan, tego prywatnego placu zabaw nowojorskiej elity

finansowej, dostrzegł dwóch mężczyzn siedzących w zaparkowanym suburbanie. Obaj mieli słuchawki w uszach. Ten za kierownicą zauważył Gabriela pierwszy. Powiedział coś do swojego partnera, który odwrócił się, by także przyjrzeć się legendzie.

Tymczasem legenda skręciła na rogu w Madison Avenue i ruszyła do Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej. Druga ekipa parkowała dokładnie naprzeciwko hotelowego wejścia dla dostawców. Składała się z trzech ludzi – ten trzeci był hakerem, który włamał się do sieci wi-fi hotelu Pierre i pobrał dokumenty z laptopa Evelyn.

Gabriela korciło, żeby kazać mu zwrócić wykradzione materiały. Przeszedł jednak na drugą stronę Piątej Alei i wszedł do Central Parku. Tam usiadł na ławce, czekając, aż zadzwoni jego telefon, i nie po raz pierwszy zachodząc w głowę, jakim cudem jego życie tak się potoczyło.

Gabriel o tym nie wiedział, ale w tej samej chwili to samo pytanie dręczyło Magdalenę. Nie siedziała na ławce w parku, tylko na tylnym siedzeniu luksusowego SUV-a obok kogoś, kto zaledwie przed kilkoma minutami groził jej śmiercią, jeśli nie zgodzi się uciec z kraju z finansistą, którego fundusz hedgingowy właśnie zdemaskowała jako przekręt. Nie dostała informacji o tym, dokąd się udają, ale jej brak paszportu sugerował, że będzie to podróż nieschematyczna. Wyglądało na to, że na początek polecą gdzieś śmigłowcem, bo zaparkowali pod FDR Drive, obok jasnoszarego, przypominającego pudełko terminalu lądowiska dla helikopterów przy Wschodniej Trzydziestej Czwartej.

Spojrzała na zegarek – olbrzymi chronometr od Cartiera, który Clarissa, jej osobista stylistka w domu towarowym Bergdorf Goodman, wybrała owego lodowatego popołudnia w grudniu 2008 roku. Cóż za marnotrawstwo, pomyślała nagle, te wszystkie

kosztowne świecidełka. Liczy się tylko malarstwo... malarstwo, książki i muzyka. No i rodzina, rzecz jasna. Wmieszanie ojca w oszustwa Phillipa było błędem, mimo to była przekonana, że nie postawią mu zarzutów. Przestępcy parający się kradzieżą i fałszowaniem dzieł sztuki rzadko dostają karę, na jaką zasługują. Między innymi dlatego jest ich tak wielu.

Obok nich zatrzymał się drugi SUV i z tylnego siedzenia wysiadł Tyler Briggs. Najwyraźniej miał robić za przyzwoitkę Magdaleny w pierwszym etapie podróży, bo mogłaby się źle prowadzić na pokładzie i narazić załogę na niebezpieczeństwo. Zastanawiała się, jak by tu zbuntować się po raz ostatni przed opuszczeniem Manhattanu, by się zemścić za rozciętą i spuchniętą wargę.

Siedzący obok niej mężczyzna spoglądał na telefon.

– Za chwilę wyląduje pani transport – powiedział.

– Dokąd polecę?

– Do East Hampton.

– Mam nadzieję, że zdążę na kolację.

– To tylko pierwszy przystanek.

– A potem?

– Gdzieś, gdzie przyda się ten pani hiszpański.

– A jaki jest pański?

– Prawdę mówiąc, mówię całkiem płynnie.

– W takim razie bez trudu zrozumie pan, co mam do powiedzenia.

Na zimno wyrecytowała najbardziej ordynarne i podłe hiszpańskie obelgi, jakie przeszły jej przez usta. Siwy mężczyzna w szarym garniturze tylko się uśmiechnął.

– Phillip zawsze mówił, że jest pani pyskata.

Tym razem to Magdalena uderzyła bez ostrzeżenia. Cios spowodował małe rozcięcie w kąciku jego oka. Otarł krew lnianą

poszetką.

– Niech pani wsiada do śmigłowca, panno Navarro. Inaczej czeka panią płytki grób.

– Podejrzewam, że pana też.

Tyler Briggs otworzył Magdalenie drzwi i odprowadził ją do czekającego sikorsky’ego. Pięć minut później lecieli nad East River. Przed nimi rozciągała się robotnicza dzielnica Queens oraz leżące na przedmieściach okręgi Nassau i Suffolk.

Spojrzała na cartiera. Była dziewiętnasta pięćdziesiąt. A przynajmniej tak sądziła. Ten cholerny zegarek stale źle chodził.

## HOTEL PIERRE

Ray Bennett, szef ochrony hotelu Pierre, był mniej więcej tej samej postury co capitano Luca Rossetti. Grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ponad sto kilogramów wagi. Większość tego ciężaru była w całkiem dobrej formie jak na faceta w jego wieku, czyli kogoś po pięćdziesiątce. Miał zadbane włosy w kolorze szary metalik i szeroką, kwadratową twarz. Taką, która potrafi przyjąć solidny cios, pomyślał Gabriel i zapytał wielkoluda, czy mogą zamienić słówko na osobności. Ray Bennett odparł, że woli rozmawiać w holu.

– Błąd z pańskiej strony, panie Bennett.

– A to dlaczego, proszę pana?

– Dlatego, że koledzy usłyszą, co mam panu do powiedzenia.

Bennett mierzył Gabriela wszystkowidzącymi oczami gliniarza.

– A o co chodzi?

– O zaginionego gościa hotelowego.

– Nazwisko?

– Nie tutaj.

Bennett przeszedł z Gabrielem przez drzwi za recepcją i korytarzem zaprowadził go do swojego biura. Drzwi zostawił

otwarte. Gabriel zamknął je bezszelestnie i odwrócił się do większego mężczyzny.

– Gdzie ona jest?

– Kto?

Gabriel wyprowadził błyskawiczny cios w krtań Bennetta i dla pewności poprawił kopnięciem kolana w jego odsłonięte krocze. W końcu był od niego mniejszy i starszy. Należały mu się fory.

– Stałeś przy windzie, kiedy zjechała na parter. Powiedziałaś jej coś, co ją uspokoiło, i wyprowadziłaś na ulicę wejściem dla dostawców. Na zewnątrz czekał czarny escalade. Zmusiłaś ją, żeby usiadła na tylnym siedzeniu.

Bennett milczał. Nie mógł wydobyć głosu.

– Coś mi mówi, że wiem, kto cię w to zrobił, Ray. Mimo to chcę usłyszeć jego nazwisko z twoich ust.

– S-s-s-s-s...

– Przepraszam, nie zrozumiałem.

– S-s-s-s-s...

– Leonard Silk? To chcesz mi powiedzieć?

Bennett energicznie pokiwał głową.

– Ile ci zapłacił?

– S-s-s-s-s...

– Słucham?

– S-s-s-s-s...

Gabriel poklepał z przodu marynarkę garnituru Bennetta i znalazł jego iPhone'a. To był model 13 Pro. Pomachał nim przed twarzą Bennetta i telefon się odblokował. W ostatnich połączeniach trzykrotnie pojawiał się ten sam numer z kierunkowym Nowego Jorku. Jedno przychodzące, dwa wychodzące. Ostatnie było mniej więcej sprzed godziny, z szóstej czterdzieści jeden wieczorem. Wychodzące.

Gabriel pokazał ten numer Rayowi Bennettowi.

– To do Silka?

Bennett pokiwał głową.

Gabriel zrobił zdjęcie ekranu solarisem, następnie podał Bennettowi słuchawkę jego telefonu stacjonarnego.

– Każ parkingowemu podstawić samochód pani Bancroft przed wejście od Piątej Alei. Nie na Wschodnią Sześćdziesiątą Pierwszą. Na Piątą Aleję.

Bennett nacisnął klawisz szybkiego wybierania i wycharczał do słuchawki coś niezrozumiałego.

– Bancroft – powtórzył Gabriel powoli. – Wiem, że dasz radę, Ray.

Po powrocie na dziewiętnaste piętro Gabriel przekazał numer Leonarda Silka Juwalowi Gerszonowi, a potem wrzucił swoje rzeczy do torby podróżnej. W sąsiednim pokoju Sarah spakowała się z takim samym pośpiechem, po czym przebiegła korytarzem i upchała ciuchy oraz przybory toaletowe Magdaleny do jej kosztownej walizki podręcznej od Louisa Vuittona. Evelyn Buchanan siedziała przy biurku i bez przerwy waliła w klawisze laptopa, na pozór nieświadoma zamieszania wokół.

O dziewiętnastej czterdzieści zadzwonił telefon w pokoju Sarah. To parkingowy zawiadamiał, że zgodnie z życzeniem samochód pani Bancroft czeka przed wejściem do hotelu na Piątej Alei. Evelyn Buchanan wsunęła laptopa do torby i poszła za Gabrielem i Sarah do windy. W holu nie było Raya Bennetta. Sarah poinformowała młodą recepcjonistkę, że ona i pan Allon wymeldowują się wcześniej, niż przewidywali.

– Jakiś problem? – spytała kobieta.

– Zmiana planów – skłamała Sarah swobodnie i powiedziała, że nie potrzebuje rachunku.

Boy hotelowy wziął ich bagaż i włożył do nissana pathfindera. Evelyn Buchanan usiadła z tyłu i natychmiast wyjęła laptopa. Gabriel zajął miejsce za kierownicą, a Sarah obok niego. Mknąc przez skrzyżowanie Piątej Alei ze Wschodnią Sześćdziesiątą, odwrócił głowę, ukrywając twarz przed dwoma mężczyznami siedzącymi w suburbanie przed klubem Metropolitan. Nie ruszyli w ślad za nimi.

– Czy w Pierre porwania są gratis? – spytała Sarah. – Czy za dopłatą?

Gabriel roześmiał się cicho.

– Jak myślisz, gdzie ona jest?

– Mam niemiłe przeczucie, że lada chwila opuści ten kraj, niekoniecznie z własnej woli.

– Z Phillipem?

– A z kim?

– Ona nie ma paszportu.

– Może tam, dokąd się udają, nie będzie jej potrzebny.

– Phillip trzyma swojego gulfstreama w Teterboro – powiedziała Sarah.

– Jest za sprytny, żeby lecieć własnym samolotem. Ktoś wyczarterował mu jakąś maszynę na swoje nazwisko. – Gabriel zamilkł na chwilę. – Ktoś taki jak Leonard Silk.

– Może powinniśmy zadzwonić do pana Silka i zapytać, dokąd wybiera się jego klient?

– Wątpię, żeby pan Silk był otwarty na nasze zaczepki.

– W takim razie powinniśmy chyba zawiadomić FBI – oświadczyła Sarah.

– Zrobiłoby się niemiło.

– Dla Magdaleny?

– I dla mnie.

– Lepsze to niż alternatywa.

– FBI nie może aresztować Phillipa bez nakazu. A nie dostaną nakazu tylko na podstawie moich gołosłownych oskarżeń. Muszą mieć wiarygodne dowody na popełnienie przestępstwa.

– Wkrótce je dostaną. – Sarah obejrzała się przez ramię na Evelyn Buchanan, która pisała jak szalona. Potem odwróciła głowę i popatrzyła na Piątą Aleję. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybyśmy zostali w Four Seasons.

– Dostałem nauczkę.

– Za to ja nie dostałam martini.

– Postawię ci martini, kiedy powstrzymamy Phillipa przed ucieczką z kraju.

– Trzymam cię za słowo – powiedziała Sarah.

Nic dziwnego, że Ray Bennett nie poinformował Leonarda Silka, że numer jego prywatnej komórki wpadł w ręce najsłynniejszego na świecie szpiega na emeryturze. W rezultacie Silk nie zrobił nic, żeby uchronić swój aparat przed atakiem. Ten zaś nastąpił, gdy Silk jechał Pierwszą Aleją – podstępna, niewymagająca od użytkownika ani jednego kliknięcia, inwazja dokonana przez izraelskie oprogramowanie szpiegowskie o nazwie Proteus. Jak niezliczone ofiary przed nim, łącznie z wieloma głowami państw, Silk nie miał pojęcia, że jego telefon został zhakowany.

Już po chwili ten telefon wypluł gejzer cennych informacji. W tej chwili Juwala Gerszona najbardziej interesowały dane lokalizacyjne GPS i wykaz połączeń. Gerszon z własnej inicjatywy zaatakował jeszcze jedno urządzenie i dopiero wtedy zadzwonił do Gabriela. W Nowym Jorku była dwudziesta piętnaście. Gabriel pędził Broadwayem przez Dolny Manhattan. Rozmawiali po hebrajsku, żeby na pewno nic im nie umknęło w tłumaczeniu.

– Wyszedł z Pierre o osiemnastej czterdzieści cztery. Swoją drogą, dokładnie wtedy Ray Bennett wyprowadził naszą dziewczynę wejściem dla dostawców. Coś mi mówi, że to nie był przypadek.

– Dokąd pojechał?

– Na lądowisko helikopterów przy Wschodniej Trzydziestej Czwartej. Był tam do dziewiętnastej pięćdziesiąt dwie.

– Gdzie jest teraz?

– Wrócił do swojego apartamentu przy Sutton Place. Numer czternaście, gdybyś nie wiedział. Domyślam się, że piętnaste piętro.

– Jakież ciekawe rozmowy?

– Z Executive Jet Services. To firma czarterowa z siedzibą na lotnisku MacArthura na Long Island.

– Juwał, ja wiem, gdzie jest MacArthur.

– A wiesz, kiedy Silk tam dzwonił?

– Może ty mi powiesz?

– Po raz pierwszy dziś po południu o czwartej dwadzieścia trzy. Po raz drugi mniej więcej dwadzieścia minut temu.

– Wygląda na to, że ktoś się wybiera na wycieczkę.

– A i owszem. Silk dzwonił do niego dwa razy. Po raz ostatni około dziewiętnastej. Kilka minut temu zajrzałem na jego telefon. Nie ma w nim żadnych danych, czyli to pewnie numer na kartę. Ale udało mi się go zlokalizować.

– Gdzie on jest?

– Na wschodnim brzegu półwyspu North Haven.

– Cztery metry nad poziomem morza?

– Jak się domyśliłeś?

– Zawiadom mnie, gdyby się ruszył choćby na krok.

Gabriel rozłączył się i spojrzał na Sarah.

– Co powiedział? – zapytała.

– Że chyba powinniśmy wynająć śmigłowiec.

Sarah wybrała numer.

Redakcja magazynu „Vanity Fair” mieściła się na dwudziestym czwartym piętrze World Trade Center 1. Gabriel wysadził Evelyn Buchanan na Zachodniej koło pomnika ku pamięci ofiar jedenastego września i pojechał tunelem Battery Park na lądowisko Dolny Manhattan. Wcisnął nissana na wolne miejsce na małym parkingu dla personelu, dał ciciowi pięćset dolarów w gotówce, by przechował samochód przez noc, i zaprowadził Sarah do terminalu. Ich wynajęty bell 407 czekał na końcu pomostu w kształcie L. O dwudziestej pierwszej dziesiąt wzbił się w powietrze i błyskawicznie poleciał na wschód, w chłodny zmierzch.

## NORTH HAVEN

Somersetowie z North Haven byli właścicielami dwóch range roverów, po jednym dla męża i dla żony. Do Phillipa należał maksymalnie wypasiony model z roku 2022, czarny z brązową tapicerką. Przy pomocy ochroniarza umieścił pięć aluminiowych walizek firmy Rimowa z Madison Avenue w obszernej przestrzeni bagażowej z tyłu samochodu. W dwóch walizkach znajdowała się gotówka, w dwóch innych – sztabki złota. Największa była pełna ubrań, przyborów toaletowych i kilku pamiątek osobistych – a wśród nich znajdowała się kolekcja luksusowych zegarków naręcznych, wyceniana na dwanaście milionów dolarów.

W domu Phillip zastał Lindsay tam, gdzie ją zostawił, na stołku przy kuchennej wyspie; przed nią stały wyłożone na talerze potrawy. Zapaliła świece, naląła wina, jedzenia nie tknęła. W powietrzu pachniało liliami i ośmiornicą z rusztu. Phillipowi zaburczało w brzuchu. Spojrzał na wyświetlacz telefonu stacjonarnego. Pod jego krótką nieobecność Lindsay nigdzie nie dzwoniła.

– Spakować ci walizkę? – zapytał.

Pomimo jego starań w milczeniu patrzyła przed siebie. Od czasu, gdy nierozważnie zagroził jej śmiercią, nie odezwała się ani słowem. Ona pierwsza dobyła miecza, ale odpłacając jej tym samym, postąpił nieroztropnie. Prawie tak nieroztropnie jak wtedy, gdy zdradził jej, w jakim kraju postanowił szukać schronienia, pomyślał.

– Nie powiesz im, gdzie jestem, prawda?

– Przy pierwszej nadarzającej się okazji. – Uśmiechnęła się do niego fałszywie. – Ale jeszcze nie dzisiaj, Phillipie. Uznałam, że będzie najlepiej, jeśli po prostu znikniesz. Dzięki temu nigdy więcej nie będę musiała oglądać twojej gęby ani, Boże uchovej, odwiedzać cię w więzieniu.

Phillip wrócił do gabinetu i zrobił szereg przelewów mających na celu zatarcie śladów prowadzących do miejsca ukrycia pieniędzy. W sumie opróżnił konta bankowe Masterpiece Art Ventures co do centa. Nie zostało nic. Nic oprócz nieruchomości, zabawek, długów i obrazów. Autentyczne dzieła będące w posiadaniu funduszu były warte co najmniej siedemset milionów dolarów, ale wszystkie zastawił pod kredyty. Być może w Christie's urzędzą specjalną aukcję tych prac. „Kolekcja Somerset...”. Musiał przyznać, że brzmi to całkiem nieźle.

Wstał, podszedł do okna i po raz ostatni popatrzył na swoje królestwo. Na zatokę. Na swój jacht. Na wypielegnowany ogród. Na niebieski basen. Nagle uświadomił sobie, że przez całe lato ani razu z niego nie skorzystał.

Obsługujący kilka linii aparat telefoniczny na biurku rozbłysł zielonym światłem. Phillip chwycił słuchawkę i usłyszał, jak na dole Lindsay nagle przerywa połączenie. Najwyraźniej wciąż chodziło jej po głowie, by go wydać. Przełączył linię i zadzwonił na lotnisko East Hampton. Odebrał Mike Knox, który jak zwykle nadzorował loty na nocnej zmianie.

– Śmigłowiec wylądował jakieś dwadzieścia minut temu, panie Somerset. Pasażerowie postanowili poczekać na pokładzie.

– Spodziewasz się jeszcze jakichś przylotów?

– Jeden śmigłowiec Blade, dwa prywatne i czarter Zip Aviation ze śródmieścia.

– Jaki jest przewidywany czas przybycia tego czarteru?

– Mniej więcej dwadzieścia pięć minut.

– Czy mój helikopter jest zatankowany?

– Właśnie kończymy.

– Dzięki, Mike. Już jadę.

Phillip odłożył słuchawkę i wysunął dolną szufladę biurka. Trzymał w niej niezarejestrowany pistolet.

„Nie, jeśli to ja cię zabiję pierwszy, Lindsay...”.

Z pewnością zagwarantowałoby mu to bezpieczny odlot. Ale zarazem okryłoby go wieczną niesławą. Szczerze mówiąc, od jakiegoś już czasu marzyło mu się wygnanie. Prowadzenie piramidy finansowej przez te wszystkie lata wyczerpało jego siły i gwałtownie potrzebował wakacji. Teraz zaś wyglądało na to, że łóżko wygrzewała mu będzie piękna Magdalena, przynajmniej dopóki burza nie ucichnie, bo wtedy najpewniej bezpiecznie wróci do Hiszpanii.

A może nie, pomyślał nagle. Może razem spędzą w ukryciu resztę życia. Wyobraził sobie życie na podobieństwo Ripleya, z Magdaleną w roli Héloïse Plisson. Z biegiem czasu może będzie postrzegany bardziej życzliwie – jako urzekająca tajemnicza postać, filmowy czarny charakter. Wpakowanie kulki w Lindsay wszystko by popsuło. Cała Upper East Side domagałaby się jego śmierci.

Zamknął szufladę, skasował swoje dokumenty oraz mejle i opróżnił kosz w komputerze. Na dole oddał Lindsay komórkę. Patrzyła na niego, jakby był ze szkła.

– Wyjdz – powiedziała tylko.

Śmigłowiec Blade przywożący ludzi z pracy wylądował na East Hampton dziesięć minut po dziewiątej wieczorem. Sześciu pasażerów, wszyscy z Manhattanu, wyszło na płytę lotniska, wzięło bagaż i powlokło się do terminalu. Magdalena obserwowała ich przez okno sikorsky’ego. Naprzeciw niej siedział Tyler Briggs z rozchylonymi nogami. Zastanawiała się, czy ma szanse obezwładnić go kopniakiem w odsłonięte krocze i wyrwać mu telefon z ręki. Uznała, że szanse są całkiem spore, tyle że odwet byłby szybki i surowy. Tyler to były wojskowy, a ona i tak była naruszona po starciu z siwowłosym eminencją. Miała już dość wrażeń jak na jeden wieczór. Lepiej go uprzejmie poprosić.

– Tyler, pożyczysz mi na chwilę telefon?

– Nie.

– Chcę coś sprawdzić w internecie.

– Odpowiedź wciąż brzmi: nie.

– A możesz zajrzeć tam za mnie? Na stronę „Vanity Fair”.

– Tego magazynu?

– Nie słyszałeś? Lada chwila mają opublikować artykuł o twoim szefie. Jutro rano jego kamienica będzie obleżona przez kamerzystów i dziennikarzy. Kto wie? Jeśli to dobrze rozegrasz, może zarobisz trochę grosza ekstra. Tylko błagam, nie sprzedawaj tych nieprzyzwoitych filmików, które ściągnąłeś na komputer. Moja biedna matka by tego nie przeżyła.

– Pan Somerset po południu kazał nam wyczyścić cały system.

– Mądrze z jego strony. A teraz bądź taki kochany, Tyler, i sprawdź mi tę stronę. To „Vanity Fair”. Mogę ci przeliterować.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

– Tak, panie Somerset. Nie, nie sprawiała kłopotów... Tak jest, proszę pana, przekażę jej.

Rozłączył się i schował komórkę do kieszeni marynarki.

– Co mi przekażesz? – spytała Magdalena.

Ochroniarz wskazał czarnego range rovera pędzącego po lądowisku.

– Przed odlotem pan Somerset chce zamienić z panią słówko na osobności.

Wyhamował kilka metrów od ogona sikorsky’ego i otworzył tylne drzwi range rovera. Magdalena obejrzała ładunek, zanim usiadła na miejscu obok kierowcy. Phillip patrzył prosto przed siebie, mocno ściskając kierownicę. Na centralnej konsoli leżała niezablokowana komórka. Nie był to jego zwykły aparat.

W końcu odwrócił się i spojrzał na nią.

– Co ci się stało z twarzą?

– Widocznie powiedziałam coś, co uraziło twojego wrażliwego przyjaciela. – Magdalena zamilkła na chwilę. – Nie przedstawiono nas sobie jak należy.

– Silk – rzekł Phillip. – Leonard Silk.

– Gdzie go znalazłeś?

– W Smith and Wollensky.

– Przypadkowe spotkanie?

– Tam, gdzie we grę wchodzi Leonard, przypadki nie istnieją.

– Co to była za okazja?

– Hamilton Fairchild.

– Kupiec?

Phillip pokiwał głową.

– Który obraz?

– „Święty Hieronim”.

– Naśladowca Caravaggia?

– Z kręgu Parmigianina. Spuściłem go Hamiltonowi podczas prywatnej sprzedaży zorganizowanej przez Bonhams.

- Zawsze mi się podobał ten obraz – powiedziała.
- Hamiltonowi też, do czasu aż pozwolił, żeby obejrzał go marszand Patrick Matthiesen. Matthiesen powiedział Hamiltonowi, że o ile się zna na rzeczy, obraz jest dziełem, jak by to ująć, późniejszego naśladowcy.
- Domyślam się, że Hamilton zażądał zwrotu pieniędzy.
- Oczywiście.
- A ty odmówiłeś?
- A jakże.
- I jak wybrnąłeś z tej sytuacji?
- Niestety, Hamilton i jego żona zginęli w katastrofie jednosilnikowego samolotu u wybrzeży Maine.
- Dużo jeszcze było takich przypadków?
- Mniej niż sądzisz. Z większością Leonard uporał się za pomocą koperty pełnej świńskich fotografii albo obciążających informacji finansowych. I nie tylko w przypadku kupców. Także inwestorów. Jak myślisz, dlaczego Max van Egan nadal trzyma w funduszu ćwierć miliarda? – Phillip wziął telefon i odświeżył stronę przeglądarki. – Kiedy ukaże się ten artykuł?
- Dziwię się, że jeszcze go nie ma. Bo kiedy się pojawi, Masterpiece pójdzie z dymem.
- Wiesz, że jesteś równie winna jak ja.
- Coś mi mówi, że twoi kredytodawcy i inwestorzy nie będą patrzyli na to w ten sposób.
- Phillip ze złością odrzucił telefon.
- Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał.
- Aresztowali mnie godzinę po tym, jak kupiłam Gentileschiego. To był wyszukany przekręt zorganizowany przez Gabriela Allona i Włochów. Dali mi wybór. Mogłam spędzić następne kilka lat we włoskim więzieniu albo podać im twoją głowę na srebrnej tacy.

- Powinnaś była zażądać prawnika i trzymać buzię na kłódkę.
  - Przelałaś dziesięć milionów euro na konto kontrolowane przez carabinieri. Prędzej czy później śladem pieniędzy dotarliby do ciebie, z moją pomocą czy bez.
  - Podejrzewam, że te żądania spłaty wkładów to także robota Allona. Sprowokował mnie, żebym popełnił oszustwo bankowe przez zhakowany telefon.
  - Mówiłam ci, żebyś odłożył ten obraz na później – powiedziała. – Ale mnie nie posłuchałeś.
  - Nałożyłaś mi stryczek na szyję i zaprowadziłaś na szubienicę.
  - Nie miałam wyboru.
  - Kiedy cię znalazłem, byłaś dilerką narkotyków. I w taki sposób mi się odpłacasz?
  - Ale moje narkotyki były prawdziwe, prawda, Phillipie? – Uważnie obejrzała się przez ramię. – Nie sądzę, żeby Lindsay była w jednej z tych walizek.
  - Jesteśmy tylko my.
  - Jak romantycznie. Dokąd się wybieramy?
- Phillip spojrział na telefon, a Magdalena na swój zegarek od Cartiera.
- Było wpół do dziesiątej.

## ŚRÓDMIĘSCIE

Na dwudziestym czwartym piętrze World Trade Center 1, w sali konferencyjnej z widokiem na New York Harbor, wypowiedziano wojnę. Walczących było pięcioro, podzielonych na trzy przeciwne obozy. Dwóch starszych redaktorów, dwóch prawników oraz dziennikarka z nienaganną karierą, słynąca z precyzji i generowania klikalności. Obradowano nad artykułem stawiającym zarzuty o nierzetelność finansową wybitnej postaci nowojorskiego świata sztuki. Sytuację komplikowało to, że wynajęci przez wybitną postać siepacze skasowali jedyną istniejącą wersję artykułu. Mało tego, wyglądało na to, że właśnie w tym momencie wybitna postać próbuje uciec z kraju.

Mimo to prawnicy upierali się, że należy przestrzegać pewnych standardów prawnych i redakcyjnych. Inaczej bowiem wybitna postać świata sztuki, niejaki Phillip Somerset, będzie miał podstawy, by wytoczyć im proces, tak samo jak jego inwestorzy.

– Nie mówiąc o jego kredytodawcach z JPMorgan Chase i Bank of America. Krótko mówiąc, ma to wszelkie zadatki na prawny pierdołnik na wieki.

– Moją informatorką jest osoba pracująca dla Masterpiece Art Ventures na własny rachunek.

– O bardzo podejrzanej przeszłości.

– Mam nagrania.

– Które dostałaś od byłego oficera wywiadu izraelskiego posługującego się bardzo kontrowersyjnym oprogramowaniem do hakowania komórek.

– W stanie Nowy Jork na nagrywanie rozmowy wymagana jest zgoda tylko jednej strony. Ona wiedziała, że podczas spotkania z Phillipem będzie nagrywana.

– Ale ani Phillip, ani Ellis Gray z JPMorgan Chase nie wyrazili zgody na nagrywanie. Dlatego ich rozmowa na temat kredytu pod zastaw dzieł sztuki nie może być dopuszczona przez sąd.

– A co z obrazami w magazynie?

– Nawet o tym nie myśl.

W tym momencie zawarto czasowy rozejm i zabrano się do pracy. Dziennikarka pisała, redaktorzy redagowali, a prawnicy oglądali to od każdej strony – akapit po akapicie, w tempie zbliżonym do staroświeckiej agencji prasowej, a nie legendarnego miesięcznika poświęconego kulturze i bieżącym wydarzeniom. Ale takie były wymogi dotyczące publikacji magazynu w erze cyfrowej. Nawet stateczny „New Yorker” został zmuszony do dostarczania swoim subskrybentom codziennych treści. Świat się zmienił, niekoniecznie na lepsze. Phillip Somerset był na to najdobitniejszym dowodem.

O wpół do dziesiątej mieli gotową pierwszą wersję. Miała niewielką objętość, ale siłę rażenia druzgocącą. Tekst ukazał się na stronie internetowej „Vanity Fair” o dziewiątej trzydzieści dwie wieczorem, a kilka minut później robił już furorę w mediach społecznościowych. Najbardziej rozprawiano na temat ostatniego

zdania artykułu. A mówiło ono, że nie udało się uzyskać komentarza Phillipa Somerseta, bo był nieuchwytny.

Kiedy telefon Lindsay eksplodował serią esemesów, uznała, że są od Phillipa i je zignorowała. Po krótkiej przerwie jednak ogień zaporowy się powtórzył. I rozpętało się piekło.

Lindsay niechętnie sięgnęła po telefon i zobaczyła pełne jadu bluzgi oraz groźby, a wszystko to wysłali jej najbliżsi przyjaciele. W załączniku zawsze pojawiał się ten sam artykuł z „Vanity Fair”. Nagłówek brzmiał: oszust. Masterpiece Phillipa Somerseta to arcydzieło wśród piramid finansowych.

Lindsay kliknęła na link. Była w stanie przeczytać tylko trzy akapity.

Weszła w ostatnie połączenia, znalazła numer komórki na kartę Phillipa i zadzwoniła. Warkot silników turbowałowych w tle powiedział jej, że jeszcze nie odleciał z lotniska East Hampton.

– Czytałeś artykuł? – spytała.

– Właśnie czytam.

– Sama nie dam sobie z tym rady.

– O czym ty mówisz?

– Nie odlatuj beze mnie – rzuciła Lindsay i porwała kluczyki z blatu kuchennego.

Wycarterowany bell 407 leciał nad wodami cieśniny Long Island, gdy w telefonie Gabriela pojawił się artykuł Evelyn Buchanan. Szybko przebiegł go wzrokiem i z ulgą stwierdził, że ani jego nazwisko, ani Sarah nie pojawiło się w tekście. Magdaleny zresztą też nie. Stawiane przez nią zarzuty przypisano anonimowej osobie pracującej dla Masterpiece Art Ventures na własny rachunek. Nie podano jej płci ani narodowości. Przynajmniej chwilowo była wolna od podejrzeń. Natomiast Phillip Somerset był skończony.

Na pokładzie śmigłowca nie wolno było rozmawiać przez telefon, więc Gabriel wysłał esemesa do Juwala Gerszona, prosząc go o aktualny namiar na miejsce pobytu Phillipa. Odpowiedź nadeszła po minucie. Phillip nadal był na lądowisku East Hampton.

– Dlaczego jeszcze nie odleciał? – spytała Sarah, przekrzykując warkot silników.

– Zdaje się, że Lindsay zmieniła zdanie. Zadzwoiła do niego dwie minuty temu i poprosiła, żeby nie odlatywał bez niej.

– Może już czas, żebyś sobie pogadał z FBI.

– Niestety, jest pewna komplikacja.

– Tylko jedna?

– Na pokładzie jest Magdalena.

Śmigłowiec trzymał się cieśniny Long Island, aż dotarli do starej latarni Horton Point; tam skręt w prawo zaprowadził ich nad miasteczko Southold i wody zatoki Peconic. Przez wąski kanał oddzielający Shelter Island od North Haven płynął właśnie prom. Na wschodnim brzegu półwyspu w opuszczonej już posiadłości Phillipa paliły się światła.

– Zdaje się, że Lindsay wyjeżdżała w pośpiechu – zauważyła Sarah.

Przelecieli nad Sag Harbor i zaczęli zniżać się w kierunku East Hampton. Dokładnie pod nimi biały range rover pędził drogą Daniels Hole w kierunku lądowiska. To Lindsay Somerset, pomyślał Gabriel. I niewątpliwie się śpieszyła.

Ostatni zakręt na lotnisko wzięła wyjątkowo ostrożnie. Skrzyżowała ręce trzymające kierownicę, w połowie łuku delikatnie dodała gazu. Tak jak ją nauczył ojciec, gdy miała czternaście lat. Brama na skraju lądowiska była otwarta. Strażnik machnął ręką na znak, by jechała dalej. Obok sikorsky'ego stała Magdalena, a Phillip przy otwartych tylnych drzwiach swojego range rovera. Uniósł rękę

na powitanie, jakby pozdrawiał ją z pokładu jachtu. Lindsay zgasiła reflektory, wcisnęła gaz do dechy i zamknęła oczy.

**CZĘŚĆ CZWARTA**

# **PREZENTACJA**

## EAST HAMPTON

O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć rozległ się dzwonek na linii alarmowej policji miejskiej East Hampton. Sierżant Bruce Logan, który w tym wydziale przepracował dwadzieścia lat i od zawsze mieszkał na East Endzie, nastawił się na najgorsze. Dzwonił Mike Knox z lotniska.

- Śmigłowiec czy samolot? – zapytał Logan.
- Właściwie to dwa range rovery.
- Drobną stłuczka na parkingu?
- Wypadek śmiertelny na płycie lotniska.
- Jaja sobie ze mnie robisz, Mike?
- Chciałbym.

Komenda policji mieściła się na południowym skraju lotniska, przy Wainscott Road, więc pierwsi policjanci dotarli na miejsce zaledwie po trzech minutach od zgłoszenia. Ofiarą był biały mężczyzna po pięćdziesiątce. Leżał na płycie lotniska w kałuży własnej krwi, z niemal odciętymi nogami, otoczony przez kilkaset starannie zapakowanych półkilogramowych sztabek złota.

Kierownicą pojazdu, który przejechał mężczyznę, okazała się atrakcyjna, wysportowana kobieta po trzydziestce. Była ubrana

w legginsy, bluzę z kapturem marki Lululemon i zielone odblaskowe najki. Nie miała portfela i najwyraźniej nie potrafiła podać nazwiska. Wyręczył ją w tym Mike Knox. Kobieta to Lindsay Somerset, a mężczyzna z niemal odciętymi nogami był jej mężem, jakimś bogatym inwestorem posiadającym rezydencję weekendową w North Haven.

Oficjalnie stwierdzono zgon, dokonano aresztowania i wydano komunikat. O północy wiadomość podała stacja radiowa WINS, a nazajutrz o dziewiątej temat znalazł się na ustach wszystkich. Sterling Dunbar, potentat na rynku nieruchomości, był akurat pod prysznicem, gdy dowiedział się, że Lindsay Somerset przejechała swojego męża łajdaka. Posiadający sieć sklepów detalicznych Simon Levinson usłyszał o tym, będąc jeszcze w łóżku. Ellis Gray z JPMorgan Chase, mający za sobą bezsenną noc po lekturze artykułu w „Vanity Fair”, był już w swoim gabinecie z widokiem na Park Avenue. Dwie godziny później poinformował kierownictwo, że bank stracił czterysta trzydzieści sześć milionów dolarów na kredytach udzielonych Masterpiece Art Ventures – bo obrazy, którymi kredyty były zabezpieczone, najprawdopodobniej są fałszywe. Kierownictwo przyjęło jego rezygnację ze skutkiem natychmiastowym.

Do południa śledztwo zostało przejęte przez FBI. Agenci przeszukali domy Phillipa, opieczętowali jego magazyn i zrobili nalot na biuro przy Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej. Zatrudnione w firmie trzy ekspertki do spraw sztuki zabrano na Federal Plaza i poddano długim przesłuchaniom. Wszystkie wyparły się jakiegokolwiek wiedzy o nieprawidłowościach czy to finansowych, czy związanych ze sztuką. Kenny Vaughan, pomagier Phillipa od czasu ich pracy w Lehman Brothers, przepadł bez śladu. Agenci

przejęli jego komputery i wydruki akt, po czym wydali nakaz aresztowania.

Przestępstwa Phillipa miały zasięg ogólnoświatowy, tak samo jak efekt tych akcji. Dwaj znaczący europejscy marszandzi – Gilles Raymond z Brukseli oraz Konrad Hassler z Berlina – trafili do aresztu, a ich zapasy magazynowe skonfiskowano. Aresztowano również marszandów w Hongkongu, Tokio i Dubaju. W trakcie przesłuchań wszyscy przyznali się do udziału w rozległej sieci dystrybucyjnej od lat zarzucającej rynek wysokiej klasy falsyfikatami. Francuski minister kultury niechętnie przyznał, że cztery z tych falsyfikatów znalazły miejsce w stałej ekspozycji Luwru. Dyrektor muzeum znienacka podał się do dymisji, tak jak i dyrektor poważanego Narodowego Centrum Badań i Konserwacji, które potwierdziło autentyczność wszystkich tych obrazów.

Ale kto był tym genialnym fałszerzem, który zdołał oszukać najbardziej zaawansowane w świecie laboratorium badające autentyczność dzieł sztuki? I jak wiele jego obrazów krążyło teraz w krwiobiegu świata sztuki? W kontynuacji swojego demaskatorskiego tekstu Evelyn Buchanan donosiła, że w magazynie Phillipa znajduje się prawdopodobnie ponad dwieście fałszywych obrazów. I że kolejne sto wciśnięto już nieświadomym niczego klientom.

Kiedy częściowy wykaz tych dzieł ktoś wrzucił anonimowo na popularne forum internetowe, w świecie sztuki zapanowała panika. Kolekcjonerzy, marszandzi, kustosze oraz licytatorzy domów aukcyjnych – od pokoleń polegający na orzeczeniach znawców – zwrócili się do naukowców z prośbą o pomoc w uporządkowaniu tego pobojuwiska. Aiden Gallagher z Equus Analytics został zasypany taką lawiną próśb o ocenę dzieł, że przestał odbierać telefon i odpisywać na mejle.

„Jedynym wygranym tego skandalu jest pan Gallagher” – napisał zajmujący się sztuką dziennikarz „New York Timesa”.

Przegranymi, rzecz jasna, byli nadziani inwestorzy Phillipa, ci, którzy patrzyli, jak ich udziały warte na papierze setki milionów dolarów w ciągu kilku godzin znikają jak kamfora. Przepychanki sądowe oraz publiczne uzalanie się nad sobą nie przysporzyły im sympatii, zwłaszcza wśród purystów z branży, którzy samą koncepcję funduszy takich jak firma Phillipa uważali za odrażającą. Wielkie dzieła, oświadczyli, nie służą jako zabezpieczenie kredytów ani instrumenty pochodne, którymi obracają superbogacze. Miejsce tych obiektów piękna o wielkim znaczeniu dla kultury jest w muzeach. Nie dziwota, że ludzie żyjący z handlu obrazami uważali takie opinie za śmiechu warte. Bez bogaczy nie byłoby sztuki, dowodzili. Muzeów zresztą też.

Sędzia federalny mianował syndyka, by przeczesał aktywa Phillipa i rozdzielił zyski między oszukanych. Zwrotu pieniędzy domagało się trzystu czterdziestu siedmiu inwestorów. Największe roszczenie w wysokości dwustu pięćdziesięciu czterech milionów dolarów zgłosił przemysłowiec Max van Egan. Najmniejsze, raptem cztery miliony osiemset tysięcy dolarów – Sarah Bancroft, była kustosz w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, prowadząca obecnie galerię z dziełami dawnych mistrzów w Londynie.

I tylko jeden z inwestorów Phillipa nie wystąpił z żadnymi roszczeniami – Magdalena Navarro, lat trzydzieści dziewięć, obywatelka Hiszpanii zamieszkała w Salamance, zamożnej dzielnicy Madrytu. Według dokumentów zarekwirowanych w biurach Masterpiece Art Ventures – oraz złożonych pod przysięgą zeznań trzech współpracujących z FBI pracownic firmy – Navarro działała z Europy, kupując i sprzedając obrazy w imieniu Phillipa Somerseta.

Jej ostatnie saldo wynosiło pięćdziesiąt sześć milionów dwieście tysięcy dolarów, a to za dużo pieniędzy, by je ot tak zostawić.

Okazało się, że FBI wie o Magdalenie Navarro o wiele więcej, niż podało do wiadomości publicznej, a nie podało nic. Na przykład wiedziało, że europejscy marszandzi Gilles Raymond i Konrad Hassler zidentyfikowali ją jako łącznika między ich galeriami a Masterpiece Art Ventures. Poza tym Biuro wiedziało, że Navarro była w Nowym Jorku w czasie spektakularnego upadku funduszu hedgingowego – przyleciała liniami Delta z Rzymu, a niecałe dwanaście godzin po śmierci Phillipa Somerseta odleciała do Londynu. Co ciekawe, w samolocie siedziała obok Gabriela Allona, legendarnego byłego dyrektora generalnego izraelskiej tajnej służby wywiadowczej. Podczas lotu na Heathrow Allonowi i Navarro towarzyszyła marszandka Sarah Bancroft, niegdyś tajna agentka CIA.

Śledczy ustalili również, że na czas krótkiego pobytu w Nowym Jorku wszyscy troje zatrzymali się w osobnych pokojach na dziewiętnastym piętrze hotelu Pierre. Oraz że Magdalena Navarro prawdopodobnie była źródłem demaskatorskiego artykułu w „Vanity Fair”. A także iż opuściła hotel Pierre krótko przed publikacją tekstu – bez bagażu i torebki – i poleciała na lotnisko East Hampton na pokładzie śmigłowca Sikorsky należącego do Phillipa Somerseta. Potem zaś, korzystając z chaosu, jaki wybuchł po makabrycznej śmierci Somerseta, odleciała stamtąd śmigłowcem Bell 407 wycarterowanym przez Allona i Bancroft. Pilot dostarczył ich na lotnisko JFK i spędzili noc w tamtejszym Hiltonie. A o ósmej rano następnego dnia już ich nie było.

Wszystko to zasugerowało FBI, że należy odbyć przyjacielską pogawędkę z Allonem. Znalezienie go okazało się o wiele łatwiejsze, niż sądzili. Attaché prawny FBI w Rzymie po prostu zadzwonił do

biura Konserwacji Zabytków Tiepolo w Wenecji, a żona umówiła spotkanie z Allonem. Odbyło się ono w Harry's Bar, czyli tam, gdzie Allon wmieszał się w całą tę sprawę, o czym attaché prawny nie miał pojęcia.

Popijając bellini, Gabriel opowiedział agentowi FBI o prywatnym śledztwie, które prowadził na prośbę starej przyjaciółki; odmówił jednak wyjawienia jej tożsamości. Na koniec oświadczył, że to prywatne śledztwo doprowadziło go do Magdaleny Navarro i wreszcie do opartej na dziełach sztuki piramidy finansowej Phillipa Somerseta o wartości miliarda dwustu milionów dolarów.

– Gdzie ona jest teraz? – zapytał funkcjonariusz FBI, Josh Campbell.

– Gdzieś w Pirenejach. Nawet ja nie wiem gdzie.

– I co robi?

– Przypuszczam, że maluje.

– Jest dobra?

– Gdyby Phillip jej nie skaperował, byłaby znaną malarką.

– Chcielibyśmy ją przesłuchać.

– Nie wątpię. A ja bym chciał, żebyście się od niej odczepili w ramach osobistej przysługi dla mnie.

– Biuro nie zajmuje się wyświadczeniem osobistych przysług, Allon.

– W takim razie, skoro nie zostawiacie mi wyboru, muszę się zwrócić bezpośrednio do prezydenta.

– Nie ośmieli się pan.

– A to się pan zdziwi.

I tak agent specjalny Josh Campbell wrócił do Rzymu z pustymi rękami, za to z fascynującą opowieścią. Spisał ją w długiej notatce i wysłał jednocześnie do Waszyngtonu i Nowego Jorku. Ci, którzy znali poprzednie wyczyny Allona, powątpiewali – całkiem słusznie –

w rzetelność tej relacji. Na przykład notatka nie wspominała o sfałszowanym portrecie pędzla Antoona van Dycka. Ani o niedawno zmarłej Francuzce Valerie Bérangar. Nie było w niej też paryskiego marszanda i złodzieja sztuki Maurice'a Duranda. Ani szwajcarskiej skrzypaczki Anny Rolfe. Ani osławionego przestępcy z Korsyki, don Antona Orsatiego. Ani lubieżnego, ale uroczego londyńskiego marszanda Olivera Dimbleby'ego, który fikcyjnym odkryciem i sprzedażą za rekordowe sumy trzech arcydzieł ze szkoły weneckiej rozpalił niedawno cały świat sztuki.

Pod koniec lipca wszystkie trzy falsyfikaty wisiały w apartamencie fałszerza, który je stworzył, obok dwóch wersji „Aktu leżącego” Modiglianiego, obrazu Cézanne'a, płótna Moneta i kapitalnej wersji „Autoportretu z zabandażowanym uchem” van Gogha. Na sztalugach w pracowni stał obraz o wymiarach 15 na 23 centymetry, z rozdarciem w kształcie litery L w lewym dolnym rogu. Po naprawie uszkodzenia i retuszu ubytków fałszerz wysłał dzieło do małej galerii na Plaza Virgen de los Reyes w Sewilli. A nazajutrz z samego rana zniknął.

## ADRIATYK

Przez pierwsze pięć dni rejsu wiał maestral. Nie był to atak zimnej zawieruchy, jaka nawiedziła Korsykę poprzedniej wiosny, tylko łagodny i godny zaufania towarzysz bez wysiłku pchający bawarię C42 po Adriatyku. Na spokojnym morzu i na wietrze wiejącym w rufę przestronnego jachtu Gabriel mógł spokojnie i przyjemnie zapoznać Irene i Raphaela z urokami życia na morzu. Najbardziej zadowolona z tego była Chiara, która obawiała się, że w palącym słońcu czeka ją sześć tygodni jęczenia, marudzenia i choroby morskiej.

Każdy dzień mijał tak samo, bo taki był ich zamiar. Gabriel przeważnie budził się rano pierwszy i brał się do roboty, a Chiara i dzieci spali na dole w kajutach. Czasami około południa związał żagle, opuszczał pomost do pływania i zasiadali do długiego lunchu w kokpicie. Wieczorem chodzili na kolację do nadmorskich restauracji – a to we Włoszech, a to w Chorwacji albo Czarnogórze. Schodząc na ląd, Gabriel zawsze brał berettę. A Chiara nigdy nie zwracała się do niego po imieniu.

Gdy dopłynęli do portu Bari na południowym Adriatyku, spędzili noc w luksusowym hoteliku nad przystanią, zrobili duże pranie oraz

uzupełnili zapasy jedzenia i miejscowego białego wina. Nazajutrz przed południem, gdy okrążyli obcas Włoch, z południowego wschodu powiał ciepły i duszny jugo. Gabriel popłynął na zachód przez Morze Jońskie i dzień wcześniej, niż przewidywał, dopłynął do Mesyny na Sycylii. Z przystani do Museo Regionale był tylko krótki spacer nadbrzeżem. A tam, w sali numer 10, wisiały dwa monumentalne płótna, które Caravaggio namalował w trakcie swojego dziewięciomiesięcznego pobytu na Sycylii.

– Czy to prawda, że do pozowania wziął prawdziwego trupa? – spytała Chiara, przyglądając się „Wskrzeszeniu Łazarza”.

– Mało prawdopodobne – odparł Gabriel. – Chociaż nie można tego z całą pewnością wykluczyć.

– Nie jest to jedna z jego wybitniejszych prac, prawda?

– Większość z tego, co widzisz, namalowali asystenci z jego pracowni. Ostatniej konserwacji dokonano jakieś dziesięć lat temu. Jak możesz się zorientować z jej jakości, ja wtedy nie mogłem się tym zająć.

Chiara spojrzała na niego z naganą.

– Chyba wolałam cię, zanim zostałeś fałszerzem.

– I tak masz szczęście, że nie próbowałem sfalszować Caravaggia. Wyrzuciłabyś mnie na ulicę.

– Muszę przyznać, że nawet podobały mi się te popołudnia z Orazim Gentileschim.

– Nie tak bardzo, jak jemu się podobały popołudnia z Danaë.

– A jej się marzy lunch tylko z tobą, zanim ten rejs dobiegnie końca.

– Nasza kajuta jest za blisko kajuty dzieci.

– W takim razie co powiesz na przekąskę o północy? – Chiara z uśmiechem przeniosła wzrok na Caravaggia. – Myślisz, że dałbyś radę go namalować?

– Udam, że tego nie słyszałem.

– A ten twój rywal? Czy on potrafiłby podrobić Caravaggia?

– Tworzył obrazy dawnych mistrzów z wszelkich szkół i epok, a każde fałszerstwo było nie do wykrycia. Caravaggio to dla niego łatwizna.

– Jak myślisz, kim on jest?

– Kimś, kogo nikt na świecie by o to nie podejrzewał.

Przekąska o północy okazała się wystawną, trwającą kilka godzin ucztą, dlatego następnego dnia wyruszyli do Limpari dopiero przed dziesiątą rano. Kolejnym przystankiem była mała zatoczka na wybrzeżu Kalabrii. Potem, po nocnym rejsie, w trakcie którego skonsumowali przekąskę na pokładzie dziobowym bawarii, dotarli na wybrzeże Amalfi. Stamtąd, płynąc od wyspy do wyspy, najpierw na Capri, potem na Istrię, pokonali Zatokę Neapolitańską, a następnie ruszyli Morzem Tyrreńskim na Sycylię.

Na północ od nich leżała Korsyka. Gabriel wytyczył kurs na zachodnią stronę wyspy, gdzie srożył się coraz silniejszy maestral. A dwa dni później, w środę, w chłodny bezchmurny wieczór wprowadził bawarię do maleńkiej mariny w Porto. Na nabrzeżu, machając im rękami na powitanie, czekali na nich Sarah Bancroft i Christopher Keller.

Słońce już zaszło, kiedy dotarli do dobrze strzeżonego domu don Antona Orsatiego. Ubrany jak prosty korsykański paesanu, powitał Irene i Raphaela jak bliskich krewnych. Gabriel wyjaśnił swoim dzieciom, że ten potężny, wylewny pan o psim spojrzeniu ciemnych oczu produkuje najlepszą na wyspie oliwę z oliwek. Irene, która miała przedziwną moc jasnowidzenia, przyjęła to z powątpiewaniem.

Otoczony murem ogród dona oświetlały ozdobne światła, a w środku roiło się od członków jego rozległego klanu, w tym tych,

k którzy zajmowali się tajną częścią jego interesów. Wyglądało na to, że przybycie Allonów po długiej i niebezpiecznej morskiej podróży stało się powodem do świętowania, tak jak i pierwsza wizyta na wyspie amerykańskiej żony Christophera. Cytowano liczne korsykańskie przysłowia, wypito morze jasnego korsykańskiego rosé. Podczas kolacji Sarah bez zażenowania wpatrywała się w Raphaëla, urzeczona jego niesamowitym podobieństwem do ojca. Z kolei Gabriel gapił się na swoją żonę. Nigdy nie wydawała się równie szczęśliwa... i równie piękna, myślał.

Kiedy posiłek dobiegł końca, don zaprosił Gabriela i Christophera na górę do gabinetu. Na biurku leżało zdjęcie człowieka, który próbował zabić Gabriela i Sarah w Galerie Georges Fleury w Paryżu.

– Nazywał się Rémy Dubois. I miał pan rację, to były wojskowy – oznajmił Orsati. – Przez dwa lata walczył z szaleńcami w Afganistanie, gdzie zapoznał się z ładunkami wybuchowymi domowej roboty. Po powrocie do kraju nie mógł się pozbierać. – Don zerknął na Christophera. – Brzmi znajomo?

– Może powinien pan jemu powiedzieć o Réym Dubois, a mnie z tego wyłączyć.

– Organizacja, dla której pracował Dubois, znana jest tylko jako Grupa. Jej pozostali pracownicy to wyłącznie byli wojskowi albo agenci wywiadu. Większość ich klientów to bogaci biznesmeni. Są bardzo dobrzy w tym, co robią. I bardzo drodzy. Znaleźliśmy Rémy'ego w Antibes. W ładnym domku koło Plage de Juan les Pins.

– Czy muszę pytać, gdzie jest teraz?

– Prawdopodobnie przepływał pan nad nim, zbliżając się do Porto.

– Ile udało się wam z niego wycisnąć?

– Wszystko co do joty. Zdaje się, że zabicie pana było pilnym zleceniem.

- A nie mówił przypadkiem, kiedy dostał rozkaz?
- W niedzielę przed wybuchem bomby.
- W niedzielę wieczorem?
- W niedzielę rano. Musiał zmajstrować bombę tak szybko, że nie miał czasu kupić komórki na kartę, żeby jej użyć jako detonatora. Skorzystał więc z telefonu, który zgarnął przy innej robocie.
- Ten telefon należał do Valerie Bérangar. Dubois i jego wspólnicy zepchnęli jej samochód z drogi na południe od Bordeaux.
- Tak mówił. Poza tym brał udział w zabójstwie Luciena Marchanda. – Orsati ruchem głowy wskazał niedokończony pejzaż w stylu Cézanne’a, oparty o ścianę. – Znaleźliśmy to w jego mieszkaniu w Antibes.
- Kto zapłacił za kulę? – spytał Gabriel.
- Amerykanin. Najwyraźniej to były agent CIA. Dubois nie wiedział, jak się nazywa.
- Leonard Silk. Mieszka przy Sutton Place na Manhattanie. – Gabriel przerwał, a po chwili dorzucił: – Pod czternastym.
- Mamy przyjaciół w Nowym Jorku. – Orsati wsunął fotografię do niszczarki. – I to bardzo dobrych.
- Ile?
- Pan mnie obraża.
- Śpiewanie nie przynosi pieniędzy – rzekł Gabriel, cytując jedno z ulubionych przysłów dona.
- A rosą nie napełnisz basenu – odparł Korsykanin. – Ale zachowaj pieniądze dla swoich dzieci.
- Małe dzieci, małe troski. Duże dzieci, duże troski.
- Ale nie dzisiaj, przyjacielu. Dzisiaj nie mamy żadnych trosk. Gabriel z uśmiechem spojrzał na Christophera.
- Już my się o to postaramy.

Na dole Gabriel zobaczył, że Raphael i Irene pokładają się na Chiarze i patrzą szklanym, niewidzącym wzrokiem. Don Orsati błagał, by zostali dłużej, ale po ostatniej wymianie korsykańskich przysłów niechętnie pogodził się z tym, że muszą się zbierać. Nie potrafił jednak ukryć rozczarowania z powodu planów Gabriela. Allonowie zamierzali spędzić w willi Christophera tylko jedną noc i z samego rana wypłynąć do Wenecji.

– Na pewno moglibyście zostać z tydzień czy dwa.

– W połowie września dzieci zaczynają szkołę. I tak ledwo zdążymy wrócić na czas.

– A dokąd popłyniecie w przyszłym roku? – zapytał don.

– Chyba na Galapagos.

Na tym się pożegnali i wtoczyli do starego, przechodzonego renaulta Christophera, by pojechać do sąsiedniej doliny. Gabriel i Chiara siedzieli z tyłu, z wciśniętymi pośrodku dziećmi. Sarah zajęła miejsce z przodu, obok męża. Mimo że wieczór upłynął w radosnym nastroju, teraz była spięta.

– Czy Magdalena się odzywała? – spytała przesadnie wesołym głosem kogoś, kto spodziewa się nieuchronnej katastrofy.

– Jaka Magdalena? – odparł Gabriel, gdy reflektory samochodu oświetliły olbrzymiego rogatego kozła stojącego na środku drogi, obok trzech starożytnych drzew oliwnych należących do don Casabianki.

Christopher wcisnął hamulec, samochód łagodnie zwolnił i się zatrzymał.

– Bardzo by ci przeszkadzało, gdybym sobie zapaliła? – spytała Sarah. – Czuję, że będą kłopoty.

– To jest nas dwoje – mruknął Gabriel.

Irene i Raphael, jeszcze przez chwilą przysypiający, nagle się rozbudzili, podnieceni perspektywą kolejnej przygody. Christopher

siedział z rękami na kierownicy, a jego potężne ramiona zwisały bezwładnie – ot, obraz nędzy i rozpaczy.

W lusterku wstecznym napotkał wzrok Gabriela.

– Wolałbym, żeby twoje dzieci tego nie oglądały.

– Nie bądź śmieszny. Jak myślisz, po co żeglowałem taki kawał drogi aż na Korsykę?

– Mieliśmy ciężkie dwa tygodnie – wyjaśniła Sarah. – Ubiegłej nocy...

– Co było ubiegłej nocy? – zapytała Irene.

– Wolę nie mówić.

Wyręczył ją Christopher:

– Wyrznął mnie centralnie z byka. Miałem wrażenie, że walnął mnie kafar.

– Widocznie sprowokowałeś biedaka – powiedziała Chiara.

– W pojęciu tej bestii już samo moje istnienie to prowokacja.

Christopher nacisnął klakson i serdecznym ruchem ręki zaprosił kozła do zejścia na bok. A skoro tamten nie zareagował, zdjął nogę z hamulca i auto powoli ruszyło. Kozioł opuścił łeb i wbił rogi w atrapę chłodnicy.

– Mówiłam ci – powiedziała Sarah. – On jest niereformowalny.

– Jak ty się wyrażasz o Christopherze? – zganił ją Gabriel.

– Co znaczy niereformowalny? – zapytał Raphael.

– Taki, którego nie da się naprawić. Zdemoralizowany i zatwardziały. Nikczemnik do szpiku kości.

– Nikczemnik – powtórzyła Irene i zachichotała.

Christopher otworzył drzwi, zapalając światełka pod sufitem samochodu. Sarah siedziała jak porażona.

– Może jednak powinniśmy się wszyscy przenieść do hotelu? Albo lepiej, prześpijmy się na tej waszej pięknej łodzi.

– Tak zrobimy – przytaknęła Chiara, a samochód zatrzęsł się od kolejnego uderzenia. Wtedy spojrzała na Gabriela i powiedziała cicho: – Zrób coś, kochany.

– Ręka mnie boli.

– Ja pójdę – oświadczyła Irene.

– Ani się waż.

– Nie słuchaj tatusia – powiedziała Chiara. – Idź, skarbie.

Gabriel otworzył drzwi po swojej stronie auta i spojrzał na swoją piękną żonę.

– Jeśli coś jej się stanie, to będzie twoja wina.

Irene wdrapała się na kolana ojca i wyskoczyła z samochodu. Bez cienia strachu podeszła do kozła i głaszcząc go po rudej brodzie, wyjaśniła, że ona i jej rodzina z rana wypływają do Wenecji, więc muszą się porządnie wyspać. Widać było, że kozioł nie jest przekonany, lecz mimo to zaprzestał dalszej walki, zszedł z drogi i konflikt zakończył się pokojowo.

Irene wcisnęła się na tylne siedzenie, oparła głowę o ramię ojca i auto ruszyło do willi Christophera.

– Nikczemnik – szepnęła dziewczynka i roześmiała się na cały głos.

## BAR DOGALE

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Gabriel zgodził się zostać na Korsyce na weekend. Uparł się jednak, by niedzielną noc spędzić na pokładzie bawarii i kiedy Chiara i dzieci obudzili się w poniedziałek rano, zostawił już Ajaccio za sobą. Mając maestral wiejący od rufy i wydęty spinaker, we wtorek o zachodzie słońca dopłynął do południowego czubka Sardynii, a w czwartek późnym popołudniem byli już z powrotem w Mesynie.

Tego wieczoru, podczas kolacji w I Ruggeri, jednej z najlepszych restauracji w mieście, Gabriel z ulgą przeczytał, że prokuratorzy okręgu Suffolk w Nowym Jorku wycofali zarzuty wobec Lindsay Somerset w związku ze śmiercią jej męża. Odcięta od swoich domów, z zajętymi albo zamrożonymi kontami bankowymi, miała przed sobą niepewną przyszłość. W wychodzącym na Long Island tygodniku pojawiła się sugestia, że zamierza otworzyć studio fitness w Montauk i na stałe osiedlić się na East Endzie. Przychylna reakcja miejscowych świadczyła o tym, że Lindsay, która na lotnisku doznała ataku szału, ze skandalu związanego z oszustwami Phillipa wyszła bez skazy.

Trzy dni później, w Bari, Gabriel przeczytał, że Kenny Vaughan, zbiegły główny macher od inwestycji Phillipa, został znaleziony martwy w hotelu w Nowym Orleanie; podobno przedawkował narkotyki. Nadal nie było wiadomo, co stało się z pieniędzmi z rezerw gotówkowych firmy, które Phillip zagarnął w ostatnich godzinach życia. Według „New York Timesa” wszelkie próby sprzedaży obrazów posiadanych przez fundusz prawdopodobnie spełzną na niczym, ponieważ kolekcjonerzy i muzea obawiają się kupować cokolwiek, z czym Phillip miał do czynienia. Zespół ekspertów z Metropolitan Museum of Art zbadał magazyn przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej, próbując ostatecznie ustalić, które z siedmiuset osiemdziesięciu dziewięciu obrazów są fałszywe, a które autentyczne. Wypracowanie wspólnego stanowiska okazało się niemożliwe.

Artykuł zilustrowano zdjęciem ostatniego obrazu, który Phillip zakupił przed śmiercią – „Danaë w deszczu złota” – rzekomo namalowanego przez Orazia Gentileschiego. FBI ustaliło, że płótno wysłano do Nowego Jorku z Florencji w Toskanii, niewątpliwie z pogwałceniem włoskich praw dotyczących dziedzictwa kulturalnego. Znamy nie potrafili orzec, czy jest to falsyfikat, czy autentyczne zaginione arcydzieło – nie bez precyzyjnych naukowych badań w rodzaju tych, które prowadził Aiden Gallagher z Equus Analytics. Mimo to władze Stanów Zjednoczonych przystały na żądanie Włochów, żeby obraz natychmiast został zwrócony.

Tak się przypadkiem złożyło, że dzieło dotarło do Włoch rankiem tego samego dnia, kiedy Gabriel po ostatniej części rejsu w świetle księżycyca przez północny Atlantyk wprowadził bawarię na jej miejsce postojowe w weneckiej marinie Certosa. Cztery dni później patrzył, jak Chiara wsiada do vaporetto linii 2 na przystanku San Tomà, po

czym odprowadził Irene i Raphaela do scuola elementare, której patronem był Bernardo Canal, na rozpoczęcie semestru jesienno.

A kiedy po raz pierwszy od wielu tygodni został sam – i nie miał do roboty nic poza pójściem na targ Rialto – ruszył pustymi ulicami do Baru Dogale. Tam zaś, przy chromowanym stoliku nakrytym niebieskim obrusem, siedział generał Cesare Ferrari.

Kelner podał dwa cappuccino i koszyczek posypanych cukrem i nadzianych śmietaną cornetti. Gabriel wypił kawę, ale zrezygnował ze słodkiego pieczywa.

– Przez ostatnie półtora miesiąca nic, tylko jadłem.

– A mimo to wyglądasz, jakbyś nie przytył ani o kilogram.

– Dobrze to ukrywam.

– Jak wiele innych rzeczy. – Generał miał na sobie niebiesko-złoty mundur paradny. Obok jego krzesła stała pionowo teczka z rodzaju tych, w jakich profesjonaliści zajmujący się sztuką przenoszą rysunki lub małe obrazy. – Jakimś cudem udało ci się nawet ukryć swój udział w aferze Somerseta.

– Niezupełnie. Ten agent FBI nagadał mi do słuchu.

– O ile mi wiadomo, rozmowa odbyła się w Harry's Bar przy koktajlach bellini.

– Obserwowaliście nas?

– Chyba nie sądzisz, że pozwalamy agentom FBI chodzić tu samopas bez eskorty?

– Mam nadzieję, że nie.

– Do mnie agent specjalny Campbell również miał sporo krytycznych uwag – rzekł Ferrari. – Był przekonany, że Brygada Sztuki brała udział w twoich machlojkach. Zapewniłem go, że nic podobnego.

– Szybki zwrot „Danaë w deszczu złota” sugeruje, że ci uwierzył.

Generał upił cappuccino.

- Nawet jak na ciebie to niezwykle rozwój spraw.
- Gdzie on teraz jest?
- Nadal w palazzo – odparł Ferrari, mając na myśli rzymską centralę Brygady Sztuki. – Ale jeszcze dziś zostanie przewieziony do Galleria Borghese w celu przeprowadzenia analizy.
- Ojoj.
- Ile czasu zajmie im stwierdzenie, że to falsyfikat?
- Według „Timesa” w Nowym Jorku obraz zdał egzamin.
- Z całym szacunkiem, my się znamy na Gentileschim ciutkę lepiej niż Amerykanie.
- Pociągnięcia pędzla i paleta są jego – orzekł Gabriel. – Ale kiedy obraz prześwietlą promieniami rentgena i poddadzą reflektografii w podczerwieni, to będę spalony.
- I słusznie, bo sobie na to zasłużyłeś. Ten obraz należy zdemaskować jako falsyfikat i spalić. – Generał westchnął ciężko. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że twoja fikcyjna sprzedaż za pośrednictwem londyńskiej galerii Dimbleby Fine Arts wzbogaciła twórczość trzech z największych malarzy w historii o nowe dzieła.
- A jednak żaden z obrazów rzekomo sprzedanych przez Olivera nie znalazł się w katalogach raisonné tych artystów.
- A gdyby do tego doszło?
- Wtedy natychmiast się ujawnię. Ale póki co zamierzam nie zwracać na siebie uwagi opinii publicznej.
- A co będziesz robił?
- Przez najbliższe kilka miesięcy będę zbierał okruszki i rozmaite inne śmieci z mojej łodzi.
- A potem?
- Żona zastanawia się nad powierzeniem mi konserwacji obrazu.
- Dla Konserwacji Zabytków Tiepolo?

– Zważywszy na katastrofalny stan mojego konta, skłaniam się do przyjęcia najpierw jakiegoś lukratywnego zlecenia od osoby prywatnej.

General zmarszczył czoło.

– Wyszędłbyś lepiej, gdybyś zamiast tego zmalował jakiś falsyfikat.

– Moja krótka kariera fałszerza sztuki została oficjalnie zakończona.

– I pomyśleć, że wszystko na nic się nie zdało.

– Rozbiłem największą sieć fałszerzy sztuki w historii.

– Ale samego fałszerza nie znalazłeś – wytknął mu generał.

– Znalazłbym go, gdyby Lindsay Somerset nie rozbiła całkiem nowego range rovera, zabijając męża.

– Tak czy owak, trudno to uznać za zadowalające zakończenie tej historii. Zgodzisz się ze mną?

– Winny poniósł karę – odparł Gabriel.

– Ale fałszerz pozostaje na wolności.

– FBI z pewnością ma już jakieś podejrzenia co do jego tożsamości.

– Młody Campbell utrzymuje, że nie. Najwidoczniej twój fałszerz dobrze zatarł za sobą ślady. – Generał Ferrari sięgnął po teczkę i podał ją Gabrielowi. – Ale niewykluczone, że to pomoże rozwikłać tę tajemnicę.

– Co to jest?

– Prezent od twojego paryskiego przyjaciela Jacques'a Ménarda.

Gabriel położył teczkę na kolanach i otworzył zamki. Zawierała „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”, olej na płótnie, 36 na 58 centymetrów, rzekomo pędzla Aelberta Cuypa, malarza z holenderskiego złotego wieku. A także kopię raportu sporządzonego przez Narodowe Centrum Badań i Konserwacji

Luwru. Stwierdzał on, że centrum po tygodniach żmudnej analizy naukowej nie zdołało wydać ostatecznej opinii na temat autentyczności dzieła. W jednej kwestii jednak badacze byli pewni.

„Krajobraz rzeczny z młynami w oddali” nie zawiera ani jednego włókna granatowego polaru.

Gabriel schował raport do teczki i ją zamknął.

– Bon voyage – powiedział z uśmiechem generał Ferrari.

## SALAMANCA

Wbrew temu, co Gabriel powiedział agentowi specjalnemu Joshowi Campbellowi z FBI, Magdalena Navarro nie ukrywała się w wiosce na zadupiu w Pirenejach. Zaszła się w swoim madryckim apartamencie przy Calle de Castelló w eleganckiej dzielnicy Salamanca. Następnego dnia o wpół do pierwszej po południu Gabriel przycisnął kciukiem właściwy guzik domofonu i odwrócił się tyłem do kamery. Nie doczekał się reakcji, więc nacisnął przycisk po raz drugi. Po dłuższej chwili głośnik ożył z trzaskiem.

– Zrób to jeszcze raz, a zejde i cię zabije – odezwała się jakaś kobieta zaspanym głosem.

– Błagam, nie, Magdaleno. – Gabriel odwrócił się do kamery. – To tylko ja.

– Mój Boże – powiedziała, otwierając drzwi.

Gabriel ruszył schodami do jej mieszkania. Czekąca na niego w progu, w zwiewnym bawełnianym sweterku, i w zasadzie nie miała na sobie wiele więcej. Jej kruczoczarne włosy były potargane. Dłonie miała uwalane farbą.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – rzekł Gabriel.

– Nie, poza tym, że mnie pan obudził. Trzeba było mnie uprzedzić, że pan przyjeżdża.

– Obawiałem się, że spróbujesz uciec z kraju. – Spojrzał na dwie takie same walizki od Vuittona stojące na posadzce w holu wejściowym. – W której są pieniądze?

Wskazała tę bliższą drzwi.

– To wszystko, co mi zostało.

– A co z czterema czy pięcioma milionami, które masz w różnych bankach rozsianych po całej Europie?

– Rozdałam je.

– Komu?

– Głównie biedakom i imigrantom. Wpłaciłam też wyjątkowo hojną dotację na rzecz mojej ulubionej grupy obrońców środowiska i drugą, dla mojej dawnej akademii sztuk pięknych w Barcelonie. Rzecz jasna, anonimowo.

– Może jest jeszcze dla ciebie nadzieja. – Gabriel z dezaprobatą obejrzał jej przyodziewek. – Ale nie w takim stroju.

Z uśmiechem przeszła bosą korytarzem i po chwili wróciła w dzinsach ze stretchu i koszulce z napisem „Real Madrid”. W kuchni przygotowała café con leche. Wypili ją przy stole z widokiem na wąską ulicę. Po obu jej stronach stały luksusowe apartamentowce, butik najlepszych projektantów oraz modne bary i restauracje. Magdalena niewątpliwie jest tu u siebie, pomyślał Gabriel. Szkoda, że nie doszła do tego w uczciwy sposób.

– Czerę ma pan w kolorze hiszpańskiej skóry na siodła – poinformowała go. – Gdzie pan się podziewał?

– Opływałem świat swoim jachtem, z żoną i dziećmi.

– Dokonał pan jakichś wielkich odkryć?

– Odkryłem tylko tożsamość fałszerza. – Spojrzał na jej uwalane farbą dłonie. – Widzę, że znowu pracujesz?

Kiwnęła głową.

– Do późnej nocy.

– To coś dobrego?

– Madonna z dzieckiem przypisywana komuś z kręgu Rafaela, niedługo zostanie odkryta. A pan?

– Ja zacząłem nowe życie.

– Nie kusi pana?

– Co?

– Sfałszowanie jakiegoś obrazu czy dwóch – odparła. – Byłabym zaszczycona, mogąc pana reprezentować. Ale tylko pod warunkiem, że zyski dzielimy pół na pół.

– Chyba jednak się pomyliłem – mruknął Gabriel. – Raczej nie ma dla ciebie nadziei.

Uśmiechnęła się i dopiła kawę.

– Daleko mi do ideału, panie Allon. Ale ja również zaczęłam nowe życie. A jeśli wciąż pan się nad tym zastanawia, to nie ja fałszowałam tamte obrazy.

– Gdybym uważał, że to ty, zjawiłbym się z oddziałem Guardia Civil, żeby cię wpakowali do aresztu.

– Spodziewałam się ich. – Wzięła telefon i otworzyła przeglądarkę. – Czytał pan ostatnie doniesienia z Niemiec? Herr Hassler współpracuje teraz z prokuratorem federalnym. To tylko kwestia czasu, zanim wystąpią o moją ekstradycję.

– Niedawno zapobiegłem atakowi terrorystycznemu na katedrę w Kolonii. W razie potrzeby mogę się domagać odwzajemnienia przysługi.

– A co z Belgami?

– Bruksela i Antwerpia są europejskimi stolicami przestępczości zorganizowanej. Wątpię, żeby belgijska policja wystąpiła o twoją ekstradycję z powodu kilku sfałszowanych obrazów.

– Ale FBI na pewno o mnie wie.

– Tak samo jak o mnie – odparł Gabriel. – Lecz przynajmniej na razie nie chcą nas do tego mieszać. – Spojrzał na nieoprawiony obraz stojący pod ścianą. – Twój?

Kiwnęła głową.

– Namalowałam go po tym, jak Phillip i Leonard Silk próbowali zabić pana w Paryżu. Autoportret figurantki.

– Całkiem niezły.

– Moje nowe płótna są znacznie lepsze. Bardzo chętnie bym je panu pokazała, niestety moja pracownia jest teraz zavalona niedokończonymi falsyfikatami.

Oczywiście nie były to falsyfikaty, tylko niesamowicie oryginalne prace twórczyni o kolosalnym talencie i nieprawdopodobnej technice. Gabriel jak urzeczony przechodził od jednego płótna do drugiego.

– I co pan sądzi? – spytała Magdalena.

– Sądzę, że największą zbrodnią Phillipa Somerseta było pozbawienie świata twoich prac. – Gabriel w zadumie podparł ręką brodę. – Pytanie, co mamy z nimi zrobić?

– My?

– Byłbym zaszczycony, mogąc cię reprezentować. Ale tylko pod warunkiem, że nie dzielimy się zyskami.

– Twardy z pana negocjator, panie Allon. Tylko jak pan zamierza wprowadzić te prace na rynek?

– Urządzając wernisaż w prestiżowej galerii w jednym ze światowych centrów sztuki. Pokaz, który zrobi z ciebie globalną markę o wielomiliardowej wartości. Przyjdzie każdy, kto się liczy. I zanim wieczór dobiegnie końca, twoje nazwisko będzie na ustach wszystkich.

- Mam nadzieję, że z właściwych powodów – odparła Magdalena.
- A gdzie się odbędzie ten wernisaż?
  - W Galerie Olivia Watson w Londynie.
- Jej twarz pojaśniała.
- Naprawdę by pan to dla mnie zrobił?
  - Pod jednym warunkiem.
  - Że podam nazwisko fałszerza?
- Skinął głową.
- To ja, panie Allon. To ja namalowałam te doskonałe falsyfikaty obrazów dawnych mistrzów w przerwach między kelnerowaniem w El Pote Español i Katz's Delicatessen. – Zarzuciła mu ramiona na szyję. – Jak ja się panu odwdzięczę?
  - Sprzedając mi jeden ze swoich obrazów.
  - Pod warunkiem, że nie odsprzeda go pan dla zysku.
  - Stoi – obiecał Gabriel.

# 75

## EQUUS

Dokładnie czterdzieści osiem godzin później – po kolejnym locie przez Atlantyk na lotnisko JFK i krótkim pobycie w hotelu Courtyard Marriott w centrum Stamford w stanie Connecticut – Gabriel usiadł za kierownicą wynajętego amerykańskiego sedana i w oślepiającym słońcu pojechał do Westport. Kilka minut po siódmej dotarł do Equus Analytics. Szpanerskiego bmw serii 7 Aideny Gallaghera nigdzie nie było widać.

Gabriel postawił teczkę na obrazie na asfalcie, wyjął swojego solarisa i wybrał numer. Juwal Gerszon z Jednostki 8200 odebrał natychmiast.

– Gotowy? – zapytał.

– A czy inaczej bym dzwonił?

Juwal zdalnie otworzył mu drzwi.

– Baw się dobrze.

Gabriel schował telefon do kieszeni, podniósł teczkę i wszedł od środka.

Starannie zaciągnięte żaluzje powodowały, że laboratorium było pogrążone w ciemności. Gabriel zapalił latarkę w telefonie i skierował promień światła na obraz osadzony w urządzeniu do

obrazowania przestrzennego M6 Jetstream firmy Bruker. Portret kobiety w wieku dwudziestu kilku lat, góra nieco po trzydziestce, w sukni ze złotego jedwabiu obszytej białą koronką. Każdy głupi widział, że wymiary obrazu wynoszą 115 na 92 centymetry. Gabriel zrobił zdjęcie bladego policzka kobiety. Gdy spojrzał na krakelurę, poczuł znajome mrowienie na karku.

Postawił teczkę na obrazie na stole laboratoryjnym i wszedł na piętro. Znajdował się tam tylko jeden pokój, identycznych rozmiarów co laboratorium na parterze. Na końcu wychodzącym na Riverside Avenue stało około dwudziestu drewnianych skrzyń, z których każda zawierała obraz czekający na ekspertyzę cieszącego się powszechnym szacunkiem Aiden Gallaghera. Tylko jedna skrzynia była otwarta, ta, w której przyjechał obraz zamocowany teraz do brukera. Do firmy Equus Analytics wysłał go dział dawnych mistrzów nowojorskiej filii Sotheby's.

Po drugiej stronie pomieszczenia stały sztalugi, szafka na kółkach oraz przenośny pochłaniacz oparów. Szuflady szafki były puste i nieskazitelnie czyste. Na sztalugach także nic nie było. Gabriel oświetlił tackę na narzędzia. Biel ołowiana. Czerń węglowa. Kraplak. Cynober. Indygo. Ziemna zieleń. Lapis lazuli. Czerwona i żółta ochra.

Na parterze wyjął z teczki krajobraz rzeczny i położył go na stole laboratoryjnym, obok zaś dwa raporty. Jeden z Francji, z Narodowego Centrum Badań i Konserwacji, a drugi z Equus Analytics. Potem zgasił latarkę i czekał. Dwie godziny i dwanaście minut później na parking zajeżdżał samochód. Załatwimy to po cichu i nigdy do tego nie wrócimy, pomyślał Gabriel.

System alarmowy klasy muzealnej wydał osiem ostrych gwizdów i po chwili w drzwiach pojawił się Aiden Gallagher. Miał na sobie spodnie khaki i sweter z wycięciem w serek. Wyciągnął rękę do

włącznika światła, lecz zawahał się, jakby wyczuwając w laboratorium czyjąś obecność.

W końcu jarzeniówki na suficie ożyły i rozbłysły. Aiden Gallagher ze zdumieniem wciągnął powietrze i się cofnął.

– Jak pan się tu dostał, Allon?

– Zostawiłeś otwarte drzwi. Na szczęście byłem w pobliżu.

Gallagher zaczął wybierać numer na komórce.

– Nie radzę, Aiden. Tylko pogorszysz sytuację.

Gallagher opuścił telefon.

– Co pan tu robi?

– Jesteś winny mojej przyjaciółce Sarah Bancroft siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

– Za co?

Gabriel wskazał wzrokiem „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”.

– Zapewniłeś nas, że w górnej warstwie farby znajdują się włókna polaru, co jest niepodważalnym dowodem fałszerstwa. Ale druga analiza obrazu wykazała, że się myliłeś.

– Kto ją przeprowadził?

– Narodowe Centrum Badań i Konserwacji.

Gallagher skwitował to półuśmiechem.

– Czy mówimy o laboratorium, które błędnie uznało autentyczność czterech falsyfikatów wiszących obecnie w Luwrze?

– Oni popełnili błąd niezamierzony. Ty nie. A swoją drogą, gdy tylko rzuciłem okiem na tego Cranacha, wiedziałem, że jest fałszywy

– dodał Gabriel. Wskazał obraz przytwierdzony do brukera. – I absolutnie nie potrzebuję sprzętu do obrazowania przestrzennego, żeby stwierdzić, że ten van Dyck to też falsyfiikat.

– Z tego, co widziałem do tej pory, jestem skłonny uznać go za autentyk.

– Nie wątpię. Tyle że byś grubo się przeliczył.

– Niby czemu?

– Dużo mądrzej byłoby wycofać z obiegu wszystkie twoje falsyfikaty, jeden po drugim. Świat sztuki uznałby cię za bohatera. I przy okazji zbiłbyś jeszcze większy majątek. Na moje oko same tylko obrazy na piętrze dodałyby do salda Equusa półtora miliona dolarów.

– Dzięki aferze Somerseta za pilne zlecenie biorę teraz sto tysięcy. Według nowych stawek te obrazy są więc warte dwa miliony.

– Nie usłyszałem zaprzeczenia, Aiden.

– Że jestem fałszerzem? Bo nie uważam tego za konieczne. Pańska teoria jest absurdalna.

– Jesteś wykształconym malarzem i konserwatorem, specjalistą od ustalania proveniencji i autentyczności. Co oznacza, że wiesz, jak wybierać prace, żeby świat sztuki je zaakceptował, a co ważniejsze, potrafisz je wymyślić i namalować. Ale najlepsze w twoim przekręcie było to, że wyrobiłeś sobie jedyną w swoim rodzaju pozycję i mogłeś zatwierdzać własne falsyfikaty jako autentyczne. – Gabriel spojrział na „Krajobraz rzeczny z młynami w oddali”. – Gdybyś uznał autentyczność tego tutaj, być może ty i Phillip nadal moglibyście prowadzić interesy. – Zamilkł na chwilę. – A mnie by tu teraz nie było.

– Nie uznałem autentyczności tego obrazu, Allon, bo to jest ewidentne fałszerstwo.

– Ewidentne dla mnie, to oczywiste. Ale nie dla większości znawców. Właśnie dlatego ty i Phillip postanowiliście, że muszę zginąć. Powiedziałeś nam, że znalazłeś w obrazie włókna polaru, ponieważ jest to najbardziej powszechny błąd popełniany przez niedoświadczonych fałszerzy. Poza tym takie coś można odkryć, powiedzmy, w trakcie wstępnych oględzin podczas weekendu. Kiedy

odbieraliśmy obraz w poniedziałek po południu, zapytałeś, kiedy zamierzamy zgłosić się do Georges'a Fleury'ego. A Sarah niezbyt mądrze powiedziała prawdę.

– Uświadamia pan sobie, że mówi jak szaleniec?

– Jeszcze nie doszedłem do najlepszego. – Gabriel zbliżył się o krok do Gallaghera. – Należysz do bardzo elitarnego klubu, Aiden. Jego członkami są farciarze, którzy spróbowali zabić mnie albo kogoś z moich przyjaciół, a nadal chodzą po ziemi. Dlatego na twoim miejscu przestałbym się uśmiechać. Bo mogę stracić cierpliwość.

Gallagher patrzył na Gabriela beznamiętnie.

– Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze, Allon.

– Ja wiem, kim jesteś.

– Niech pan to udowodni.

– Nie mogę. Ty i Phillip byliście zbyt ostrożni. A stan twojego atelier na górze świadczy o tym, że podejmujesz nadzwyczajne środki w celu ukrywania dowodów swoich przestępstw.

Gallagher wskazał francuski raport.

– Mogę?

– Ależ proszę.

Dublińczyk wziął dokument i zaczął czytać. Po chwili oświadczył:

– Nie byli w stanie uzgodnić stanowiska w kwestii autentyczności. – W jego głosie pobrzmiwała lekka, ale wyraźna nutka dumy. – Nawet najlepsi eksperci od holenderskich malarzy z okresu złotego wieku nie mogli wykluczyć możliwości, że obraz jest prawdziwy.

– Ale my obaj doskonale wiemy, że nie jest. I dlatego chciałbym pożyczyć nóż laboratoryjny, jeśli łaska.

Gallagher zawahał się. A potem otworzył szufladę i położył na blacie nóż Olfa AK-1.

– Może sam powinienes to zrobić – zaproponował Gabriel.

– Niech pan się nie krępuje.

Gabriel ujął wysokiej jakości nóż za złotą rękojeść i przeciął obraz dwoma poziomymi cięciami nie do naprawienia. Już miał wykonać trzecie cięcie, gdy Gallagher chwycił go za nadgarstek. Dłoń Dublińczyka drżała.

– Wystarczy. – Zwolnił uścisk. – Nie musi pan maltretować tego draństwa.

Gabriel przeciął obraz po raz trzeci, a potem wydarł płótno z blejtramu. Następnie, z nożem w ręku, podszedł do „Portretu nieznaney kobiety”.

– Niech go pan nie rusza – powiedział spokojnie Gallagher.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że ten obraz to prawdziwy van Dyck.

– Ten obraz to jeden z twoich falsyfikatów – oświadczył Gabriel.

– Jest pan gotów postawić na to piętnaście milionów dolarów?

– Czy to tyle, ile Phillip wziął za niego?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gabriel zdjął obraz z brukera i pociął go na strzępy. Podniósł wzrok i zobaczył, że Aiden Gallagher z wykrzywioną z wściekłości twarzą gapi się na zniszczony obraz.

– Po co pan to zrobił?

– Ważniejsze jest pytanie, po co go namalowałeś? Tylko dla pieniędzy? Czy lubiłeś ośmieszać ludzi takich jak Julian Isherwood i Sarah Bancroft? – Gabriel odłożył nóż na stół laboratoryjny. – Wisisz im siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

– Umowa wyraźnie precyzowała, że pieniądze nie podlegają zwrotowi.

– W takim razie może dojdziemy do kompromisu.

– Jaką sumę ma pan na myśli?

Gabriel się uśmiechnął.

Ustalenie kwoty nie trwało długo – i nic dziwnego, ponieważ nie było żadnych negocjacji. Gabriel podał tylko jej wysokość, a Aiden Gallagher po chwili bełkotliwych protestów wystawił czek. Następnie poprosił o zwrot kosztów za van Dycka. Gabriel położył na stole banknot o nominale pięciu euro i z czekiem w ręku wyszedł na słoneczny poranek w Connecticut.

Nie śpieszył się w drodze na lotnisko JFK, ale i tak dotarł tam cztery godziny przed odlotem. W części restauracyjnej zjadł kiepski lunch, w strefie wolnocłowej kupił prezenty dla Chiary i dzieci, po czym przeszedł do odpowiedniej bramki. Z górnej kieszeni szytej na miarę włoskiej sportowej marynarki wyjął czek – na kwotę dziesięciu milionów dolarów, wystawiony na Isherwood Fine Arts.

Końcowe rozliczenie obejmowało siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za niezgodny z prawdą raport Equus Analytics, trzy miliony czterysta tysięcy za fałszywego van Dycka, milion sto tysięcy za fałszywego Alberta Cuypa, sto tysięcy za płótna dawnych mistrzów, które Gabriel zużył do namalowania własnych falsyfikatów, oraz pięćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na pokrycie rozmaitych wydatków takich jak bilety lotnicze pierwszej klasy, pięciogwiazdkowe hotele oraz martini belvedere z trzema oliwkami. No i, rzecz jasna, cztery miliony osiemset tysięcy dolarów, które Sarah Bancroft straciła na upadku Masterpiece Art Ventures.

W sumie, pomyślał Gabriel, to całkiem niezłe zakończenie tej historii.

Zadzwoił do Wenecji do Chiary i przekazał jej dobre wieści.

– Nikczemnik – powiedziała i roześmiała się na cały głos.

## OD AUTORA

„Portret nieznaney kobiety” to literatura rozrywkowa i nie należy się w niej doszukiwać niczego więcej. Przedstawione tu nazwiska, postacie, miejsca oraz wydarzenia są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących bądź martwych, przedsiębiorstw, firm, zdarzeń i miejsc akcji jest całkowicie przypadkowe.

Odwiedzający *sestiere* San Polo na próżno by szukali przerobionego palazzo z widokiem na Canal Grande, gdzie po długiej i burzliwej karierze w wywiadzie izraelskim Gabriel Allon zamieszkał z żoną i dwójką małych dzieci. Tak samo nie znajdzie się biur Konserwacji Zabytków Tiepolo, ponieważ firma taka nie istnieje. Piosenka, którą Andrea Bocelli śpiewa w kuchni Allonów w Rozdziale 6, nosi tytuł „Chiara” i pochodzi z wydanego w 2001 roku albumu „Ciel di Toscana”. Często słuchałem tej płyty w roku 2002, pisząc pierwszą wersję „Spowiednika”, i właśnie pod jej wpływem nadałem imię pięknej córce naczelnego rabina Wenecji, Jacoba Zolliego. Irene Allon nosi imię po babce, jednej z najważniejszych malarek państwa Izrael. Jej brat bliźniak dostał imię po włoskim malarzu z okresu późnego renesansu, Raffaello Sanzio da Urbino, powszechnie znanym jako Rafael.

Fikcyjna posiadłość w Umbrii o nazwie Villa dei Fiori po raz pierwszy pojawiła się w „Regułach Moskwy”, powieści, którą wymyśliłem, przebywając w podobnym majątku ziemskim. Jego personel wspaniale zajmował się mną i moją rodziną, a ja

odwdzięczyłem się, umieszczając ich jako pomniejszych, acz ważne postaci w książce. Niestety, podobny los spotkał kilku sklepikarzy z miasta Amelia w kontynuacji tej powieści, „Uciekinierze”.

W paryskim Hôtel de Crillon rzeczywiście istnieje apartament imienia Leonarda Bernsteina, a bistro Chez Janou bez dwóch zdań należy do jednych z najlepszych w mieście. Niemniej szwajcarska skrzypaczka Anna Rolfe nie mogła usłyszeć cichego pomruku przechodzącego przez jasno oświetloną salę restauracyjną, ponieważ Anna też jest wytworem mojej wyobraźni. Tak samo jak Maurice Durand i Georges Fleury, właściciele szemranych galerii sztuki w Ósmej Dzielnicy. Wydział sztuki Police Nationale naprawdę nazywa się Centralnym Biurem do Walki z Nielegalnym Handlem Dobrami Kultury – po francusku brzmi to zdecydowanie lepiej – ale jego funkcjonariusze nie pracują w historycznym budynku przy Quai des Orfèvres 36.

Na szczęście nie istnieje fundusz hedgingowy oparty o dzieła sztuki o nazwie Masterpiece Art Ventures, a przestępstwa popełnione przez fikcyjnego Phillipa Somerseta są wyłącznie moim wymysłem. Nazwy prawdziwych domów aukcyjnych włączyłem dlatego, że podobnie jak nazwiska wielkich malarzy tworzą one leksykon świata sztuki. Nie było moim zamiarem sugerowanie, jakoby firmy takie jak Christie’s czy Sotheby’s świadomie brały udział w handlu fałszywymi obrazami. Nie chcę też zostawić wrażenia, jakoby oddziały JPMorgan Chase oraz Bank of America udzielające kredytów pod zastaw sztuki przyjmowały falsyfikaty jako zabezpieczenie. Ze szczerego serca przepraszam szefa ochrony Pierre za brutalne zachowanie Gabriela podczas jego krótkiego pobytu w hotelu. Ten historyczny hotel przy Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej należy do najlepszych w Nowym Jorku i nigdy by nie zatrudnił kogoś takiego jak mój fikcyjny Ray Bennett.

Przewijająca się przez karty „Portretu nieznannej kobiety” ekscentryczna menażeria londyńskich marszandów, kustoszy, licytatorów i dziennikarzy jest od początku do końca zmyślona, podobnie jak jej czasami dyskusyjne wygłupy na niwie prywatnej i zawodowej. Na północno-wschodnim rogu Mason’s Yard rzeczywiście mieści się urocza galeria sztuki, ale jej właścicielem jest Patrick Matthiesen, jeden z najbardziej rozrywanych na świecie i renomowanych marszandów specjalizujących się w dawnych mistrzach. Jako genialny historyk sztuki z niezawodnym okiem Patrick nigdy by się nie połasił na falsyfikat van Dycka, nawet tak doskonały jak opisany w tej książce.

Niestety, tego samego nie da się powiedzieć o wielu kolegach po fachu i konkurentach Patricka. W ostatnim ćwierćwieczu globalnym, wartym miliardy dolarów biznesem znanym jako świat sztuki wstrząsnęła seria afer z fałszowaniem wielkich dzieł, które wzbudziły niepokojące pytania o często subiektywne kryteria oceny pochodzenia i autentyczności obrazów. Każda sieć fałszerzy korzystała z własnej wersji tej samej oklepanej pułapki dotyczącej proveniencji – nowo odkryte obrazy pochodziły jakoby z wcześniej nieznanymi kolekcji – a mimo to z zaskakującą łatwością udawało im się wyprowadzić w pole ekspertów i znawców komercyjnego świata sztuki.

John Myatt, autor piosenek i nauczyciel sztuki na pół etatu z talentem do naśladowania wielkich malarzy, samotnie wychowywał dwójkę małych dzieci na podupadłej farmie w Staffordshire, gdy poznał sprytnego oszusta Johna Drewe’a. Razem dokonali czegoś, co Scotland Yard określił jako „największy przekręt w historii sztuki w dwudziestym wieku”. Myatt dostarczał obrazy, a Drewe fałszywe świadectwa pochodzenia i w ten sposób

wypuścili na rynek ponad dwieście pięćdziesiąt falsyfikatów, za które Drewe skasował ponad dwadzieścia pięć milionów funtów.

Wiele z tych falsyfikatów sprzedano za pośrednictwem renomowanych londyńskich domów aukcyjnych; wśród nich było kilka dzieł rzekomo pędzla francuskiego malarza Jeana Dubuffeta, które poszły pod młotek podczas uroczystej aukcji w Christie's przy King Street. Wśród licytujących w sali obecny był – z przeświadczeniem, że jest źle ubrany – fałszerz, który stworzył te obrazy. Fundacja Dubuffeta, opiekująca się spuścizną po malarzu, oświadczyła, że wszystkie płótna są autentyczne.

Po drugiej stronie kanału La Manche dwaj inni fałszerze jednocześnie siali spustoszenie w świecie sztuki, przy okazji zarabiając miliony. Jednym był Guy Ribes, zdolny malarz potrafiący błyskawicznie machnąć przekonującego „Picassa” czy „Chagalla”. Według francuskiej policji i prokuratury Ribes i sieć nieuczciwych marszandów wprowadzili na rynek ponad tysiąc fałszywych obrazów, z których większość nadal pozostaje w obiegu.

Równie płodny był niemiecki odpowiednik Ribesa, Wolfgang Beltracchi, który produkował nawet do dziesięciu obrazów miesięcznie. To jego żona, Helene – a nie moja fikcyjna Françoise Vionnet – bez trudu sprzedała fałszywego „Georges'a Valmiera” znanemu domowi aukcyjnemu po zaledwie pobieżnych oględzinach.

W ciągu zaledwie kilku lat małżeństwo Beltracchich sprzedało swoje falsyfikaty poprzez większość głównych domów aukcyjnych, a wszystkie te dzieła pochodziły rzekomo z nieznannej wcześniej kolekcji. Przy okazji stali się bajecznie bogaci. Opływali świat swoim dwudziestopięciometrowym jachtem z pięcioosobową załogą. Do ich nieruchomości należała warta siedem milionów dolarów willa w niemieckim Freiburgu oraz olbrzymia posiadłość Domaine des Rivettes w słynącej z win francuskiej Langwedocji. Wśród ich ofiar

znalazł się aktor i kolekcjoner sztuki Steve Martin, który w roku 2004 za osiemset sześćdziesiąt tysięcy dolarów kupił fałszywego Heinricha Campendonka w paryskiej Galerie Cazeau-Béraudière.

Można by sądzić, że Knoedler & Company, najstarsza komercyjna galeria sztuki w Nowym Jorku, okaże się odporna na wirusa szerzącego się na rynkach europejskich. Jednakże w roku 1995, kiedy nieznana marszandka Glafira Rosales zjawiała się w tej galerii z zawiniętym w tekturę „Rothko”, Ann Freedman, szefowa Knoedlera i S-ki, nie widziała powodów do podejrzeń. W ciągu kolejnej dekady Rosales sprzedała bądź powierzyła galerii Knoedler & Company niemal czterdzieści dzieł ekspresjonizmu abstrakcyjnego, w tym płótna namalowane rzekomo przez takich twórców jak Jackson Pollock, Lee Krasner, Franz Kline, Robert Motherwell i Willem de Kooning.

Okazało się, że Glafira Rosales była tylko przykrywką dla sieci fałszerzy, w której skład wchodziła jej hiszpański chłopak, José Carlos Bergantiños Diáz, i jego brat. Fałszerzem był chiński imigrant, niejaki Pei-Shen Qian, pracujący w garażu w Queens. Zdaniem prokuratury Bergantiños Diáz odkrył Qiana, kiedy ten sprzedawał swoje kopie na ulicy na Dolnym Manhattanie, i go zwerbował. Za każdy fałszyfikat Qian dostawał około dziewięciu tysięcy dolarów, czyli ułamek tego, co siatka zarabiała u Knoedlera. W obliczu piętrzących się pozwów sądowych ta legendarna galeria w listopadzie 2011 roku zamknęła swe podwoje.

Z całym szacunkiem dla ekspresjonistów abstrakcyjnych, których podziwiam, czym innym jest sfałszowanie Motherwella albo Rothko, a czym innym namalowanie przekonującego Lucasa Cranacha starszego. Już choćby z tego powodu w marcu 2016 roku francuska sędzia wstrząsnęła światem sztuki, nakazując konfiskatę „Wenus z welonem”, głównej atrakcji obleganej wystawy w Caumont Centre

d'Art w Aix-en-Provence na południu Francji. Późniejsza, licząca dwieście trzynaście stron wyczerpująca naukowa analiza obrazu – perły w koronie olbrzymiej kolekcji będącej własnością księcia Liechtensteinu – stwierdzała, że dzieło to nie mogło powstać w pracowni Cranacha. Wśród wielu przytoczonych znaków ostrzegawczych znalazł się wygląd krakelury, jakoby „niezgodny z normalnym procesem starzenia”. Przedstawiciele Jego Spokojnej Wysokości nie zgodzili się z tymi odkryciami i zażądali natychmiastowego zwrotu płótna. W chwili, gdy to piszę, „Wenus” figuruje na oficjalnej stronie internetowej Książących Kolekcji i jest wystawiana w wiedeńskim Pałacu Ogrodowym.

Świat sztuki zdenerwowała jednak osoba poprzedniego właściciela obrazu – francuskiego kolekcjonera Giuliano Ruffiniego, który został marszandem. Niedawno bowiem ze zbiorów Ruffiniego wypłynęło kilka wcześniej nieznanymi dzieł, w tym „Portret mężczyzny” rzekomo pędzla Fransa Halsy, malarza z holenderskiego złotego wieku. W 2008 roku eksperci z Luwru zbadali obraz i uznali go za un trésor national, który nie ma prawa opuścić francuskiej ziemi. Równie entuzjastyczni byli ich odpowiednicy z Mauritshuis w Hadze, a jeden ze starszych kustoszy nazwał obraz „bardzo ważnym dodatkiem do spuścizny Halsy”. Nikt nie przejmował się niezwykle wątpliwym pochodzeniem. Płótno mówi samo za siebie, orzekli eksperci.

Z niewyjaśnionych powodów Luwr postanowił jednak nie kupować obrazu i w roku 2010 nabyli go londyński marszand oraz inwestor, podobno za trzy miliony dolarów. Już rok później para ta sprzedała ów portret znanemu amerykańskiemu kolekcjonerowi za ponad trzy razy więcej. Tenże wybitny kolekcjoner, dowiedziawszy się o konfiskacie „Wenus” przez Francuzów, mądrze oddał kupionego za dziesięć milionów dolarów „Fransa Halsy” do analizy

naukowej i dowiedział się, że bez najmniejszych wątpliwości jest to falsyfikat. W Sotheby's szybko zgodzili się oddać wybitnemu amerykańskiemu kolekcjonerowi pieniądze i postanowili odzyskać je od londyńskiego marszanda oraz inwestora. I wtedy zaczęła się wojna na pozwy.

Z tej samej kolekcji wypłynęło aż dwadzieścia pięć podejrzanych płócien dawnych mistrzów o wartości rynkowej szacowanej na dwieście pięćdziesiąt pięć milionów dolarów. Wśród nich był „Dawid z głową Goliata” rzekomo pędzła Orazia Gentileschiego, wystawiany w londyńskiej National Gallery. Nie po raz pierwszy to renomowane muzeum wystawiało dzieło o źle przypisanym autorstwie bądź sfalszowane.

W 2010 roku galeria przewietrzyła swoje brudy na obejmującej sześć sal wystawie zatytułowanej „Falszerstwa, błędy i odkrycia”. W sali numer pięć wisiała „Alegoria”. Kupiona przez muzeum w roku 1874, uchodziła za dzieło Sandra Botticelliego, florenckiego malarza z okresu wczesnego renesansu, a w istocie był to pastisz wykonany przez późniejszego naśladowcę. Niedawno szwajcarska firma badająca dzieła sztuki za pomocą pionierskiego oprogramowania wykorzystującego sztuczną inteligencję ustaliła, że „Samson i Dalila”, jeden z najcenniejszych obrazów w National Gallery, prawie na pewno nie jest dziełem sir Petera Paula Rubensa.

National Gallery kupiła ten obraz w roku 1980 na aukcji w Christie's w Londynie za pięć milionów czterysta tysięcy dolarów. Wówczas była to trzecia najwyższa suma zapłacona za dzieło sztuki. Dzisiaj sprzedaż za taką kwotę nie zainteresowałaby mediów, bo szybujące ceny sprawiły, że obrazy stały się tylko kolejnym rodzajem aktywów dla superbogaczy – albo, jak to ujął nieżyjący już marszand z Manhattanu Eugene Thaw, „takim samym towarem jak świńskie tusze czy pszenica”. A. Alfred Taubman, deweloper budujący centra

handlowe oraz inwestujący w sieci fast foodów, który w 1983 roku kupił dom aukcyjny Sotheby's, cynicznie zauważył, że „cenny obraz Degasa i oszroniony kufel piwa korzennego” wiele łączy, przynajmniej jeśli chodzi o potencjalne zyski. W kwietniu 2002 roku Taubman został skazany na rok więzienia za zмовę cenową z konkurencyjnym domem aukcyjnym Christie's, przez co okantowano klientów na ponad sto milionów dolarów.

Coraz częściej najcenniejsze dzieła sztuki na świecie nie znajdują się w muzeach ani w prywatnych rezydencjach, tylko w ciemnych klimatyzowanych sejfach. W Geneva Freeport, kompleksie magazynowym do przechowywania dzieł sztuki w Genewie, podobno ukryte jest ponad milion obrazów, w tym więcej niż tysiąc prac Pabla Picassa. Wielu kolekcjonerów i kustoszy niepokoi to, do jakiego stopnia obrazy stały się kolejnym instrumentem inwestycyjnym. Jednak ci, którzy parają się kupnem i sprzedażą dzieł sztuki dla zysku, są odmiennego zdania. „Obrazy nie są dobrem publicznym” – powiedział David Nash, właściciel nowojorskiej galerii, w wywiadzie dla „New York Timesa” w 2016 roku.

Większość z nich przechodzi z rąk do rąk w absolutnej tajemnicy, po coraz wyższych cenach i prawie albo całkiem bez nadzoru. Nic więc dziwnego, że światem sztuki wstrząsają kolejne afery związane z fałszerstwami na wielomilionową skalę. Niewątpliwie sytuację pogarsza bezczynność sądów i policji.

To niesamowite, ale wszyscy wymieni wyżej fałszerze za popełnione przestępstwa dostali ledwie po łapkach. Figurantkę Glafirę Rosales za rolę, jaką odegrała w aferze Knoedlera, sąd skazał na karę więzienia w wymiarze równym liczbie dni spędzonych w areszcie śledczym. John Myatt i Wolfgang Beltracchi odsiedzieli krótkie wyroki, a teraz zarabiają na życie, sprzedając „prawdziwe

falsyfikaty” oraz dzieła oryginalne w internecie. W wywiadzie dla programu „60 Minutes” stacji CBS News Beltracchi żałował tylko jednego – że wpadł, ponieważ użył błędnie opisanej tubki bieli tytanowej.

Francuski fałszerz Guy Ribes również spożytkował swój talent w legalny sposób. To on, a nie aktor Michel Bouquet, naśladuje pociągnięcia pędzlem Auguste-Pierre’a Renoire’a w filmie z roku 2012 o ostatnich latach życia malarza. Poza tym Ribes wykonał „Renoiry” użyte w filmie dzięki pomocy Musée d’Orsay, które zgodziło się pokazać mu posiadane dzieła Renoire’a, także te niewystawiane publicznie. James Ivory ubolewał nad tym, że osławiony francuski fałszerz nie mógł wziąć udziału w pracy nad filmem „Picasso – twórca i niszczyciel” z 1996 roku. „Wizualnie byłby to całkiem inny film” – stwierdził słynny reżyser.

## PODZIĘKOWANIA

Jestem wdzięczny mojej żonie, Jamie Gangel, która cierpliwie słuchała, jak obmyślam misterną akcję i intrygę „Portretu nieznannej kobiety”, a potem wprawnie zredagowała pierwszą wersję maszynopisu. Mój dług wobec niej jest równie bezgraniczny jak moja miłość.

Anthony Scaramucci, założyciel firmy inwestycyjnej Sky-Bridge Capital, pomimo nawału pracy znalazł czas, by pomóc mi stworzyć oszukańczy fundusz hedgingowy opierający się na sprzedaży falsyfikatów obrazów i zastawianiu ich pod kredyty. Londyński marszałek Patrick Matthiesen cierpliwie udzielał mi odpowiedzi na wszystkie pytania, podobnie jak Maxwell L. Anderson, który był dyrektorem pięciu amerykańskich muzeów, w tym nowojorskiego Whitney Museum of American Art. Nie pozostaje w tyle David Bull – na dobre i na złe w pewnych kręgach znany jako „prawdziwy Gabriel Allon” – który mój prawie sześciusetstronicowy maszynopis przeczytał od deski do deski, mimo że kończył wówczas pilnie konserwację płótna Jacopo Bassana, włoskiego malarza epoki renesansu.

Legendarna dziennikarka Marie Brenner, pisująca jako wolny strzelec do „Vanity Fair”, udzieliła mi bezcennych informacji na temat swojej pracy oraz nowojorskiego świata sztuki. David Friend, redaktor do spraw rozwoju kreatywnego tego miesięcznika, podzielił się ze mną wstrząsającymi historiami śledztw, które prowadzili w związku z interesami wpływowych osobistości. Bez

cienia wątpliwości mogę potwierdzić, że na dwudziestym czwartym piętrze World Trade Center 1 istnieje sala konferencyjna w newsroomie „Vanity Fair” – i że wychodzi na New York Harbor. Ale poza tym chaotyczna sekwencja wydarzeń opisana w kulminacji „Portretu nieznannej kobiety” nie ma wiele wspólnego z tym, w jaki sposób „Vanity Fair” obmyśla, redaguje i publikuje ważne materiały z gatunku dziennikarstwa śledczego.

Nie muszę mówić, że Michael Gendler, mój prawnik nad prawnikami z Los Angeles, był źródłem mądrych porad. Louis Toscano, mój serdeczny przyjaciel i wieloletni redaktor, wprowadził do powieści niezliczone poprawki, podobnie jak Kathy Crosby, moja osobista adiustorka o sokolim wzroku. To ja, a nie oni, odpowiadam za wszelkie błędy w druku, które przedarły się przez ich sito.

Pisząc „Portret nieznannej kobiety”, korzystałem z setek artykułów prasowych, zbyt wielu, by je tu wymienić. Szczególny dług mam wobec dziennikarzy „Artnet”, „ARTnews”, „Art Newspaper”, „Guardiana” oraz „New York Timesa” za artykuły na temat najnowszych skandali związanych z fałszerstwami dawnych mistrzów.

Jeśli chodzi o książki, szczególnie pomogło mi pięć książek: Anthony M. Armore: „The Art of the Con: The Most Notorious Fakes, Frauds, and Forgeries in the Art World”; Laney Salisbury i Aly Sujo: „Provenance: How a Con Man and a Forger Rewrote the History of Modern Art”; Noah Charney: „The Art of Forgery: The Minds, Motives and Methods of Master Forgers”; Thomas Hoving: „False Impressions: The Hunt for Big-Time Art Fakes” oraz Michael Shnayerson: „Boom: Mad Money, Mega Dealers, and the Rise of Contemporary Art”.

Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że mamy rodzinę i przyjaciół wypełniających nasze życie miłością i śmiechem w trudnych chwilach podczas pisania książki. Należą do nich zwłaszcza: Jeff Zucker, Phil Griffin, Andrew Lack, Noah Oppenheim, Esther Fein i David Remnick, Elsa Walsh i Bob Woodward, Susan St. James i Dick Ebersol, Jane i Burt Bacharach, Stacey i Henry Winkler, Pete Williams i David Gardner, Virginia Moseley i Tom Nides, Cindi i Mitchell Berger, Donna i Michael Bass, Nancy Dubuc i Michael Kizilbash, Susanna Aaron i Gary Ginsburg, Elena Nachmanoff, Ron Meyer, Andy Lassner i Peggy Noonan.

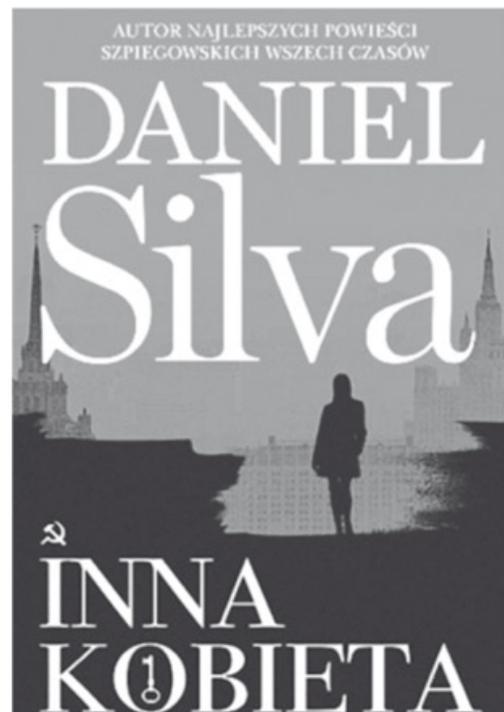
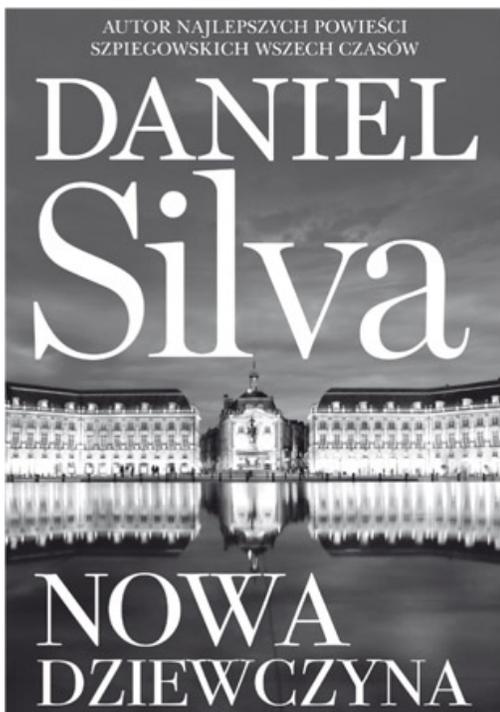
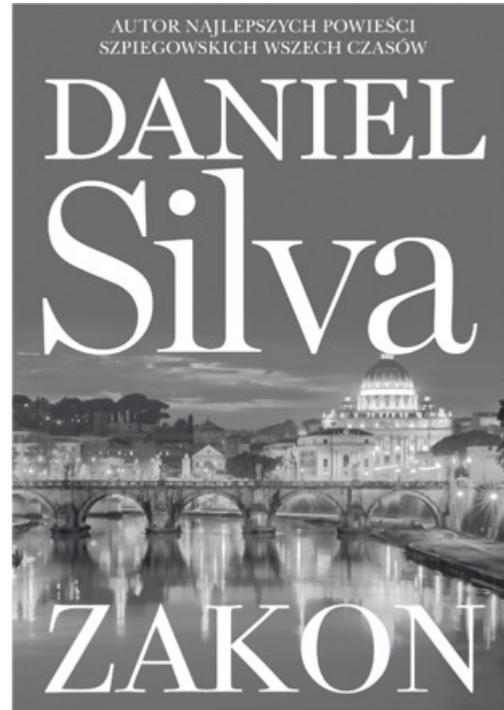
Podziękowania z głębi serca otrzymuje ekipa z wydawnictwa HarperCollins, a zwłaszcza Brian Murray, Jonathan Burnham, Doug Jones, Leah Wasielewski, Sarah Ried, Mark Ferguson, Leslie Cohen, Josh Marwell, Robin Bilardello, Milan Bozic, David Koral, Leah Carlson-Stanisic, Carolyn Robson, Chantal Restivo-Alessi, Frank Albanese, Josh Marwell i Amy Baker.

I wreszcie inspiracją i wsparciem były dla mnie moje dzieci, Lily i Nicholas. Nicholas, obecnie doktorant Programu Studiów nad Bezpieczeństwem w Szkole Służby Zagranicznej na Uniwersytecie Georgetown, pod raz kolejny został zmuszony do zamieszkania pod jednym dachem z ojcem, gdy usiłowałem kończyć tę dwudziestą piątą w moim dorobku książkę. Ciekawe, że ani on, ani jego siostra bliźniaczka, wzięta konsultantka biznesowa, nie wybrali kariery pisarskiej.

## O AUTORZE

DANIEL SILVA jest autorem wielokrotnie nagradzanych powieści, które zajmują pierwsze miejsca na listach bestsellerów „New York Timesa”: „Ostatni szpieg Hitlera”, „The Mark of the Assassin”, „The Marching Season”, „Artysta zbrodni”, „Angielski zabójca”, „Spowiednik”, „Śmierć w Wiedniu”, „Księżę ognia”, „Posłaniec”, „Tajny sługa”, „Reguły Moskwy”, „Uciekinier”, „Sprawa Rembrandta”, „Portret szpiega”, „Upadły anioł”, „Angielska dziewczyna”, „Wielki skok”, „Angielski szpieg”, „Czarna wdowa”, „Dom szpiegów”, „Inna kobieta”, „Nowa dziewczyna”, „Zakon” oraz „Wiolonczelistka”. Najbardziej zasłynął długą serią thrillerów o szpiegu i konserwatorze dzieł sztuki Gabrieli Allonie. Powieści Silvy stały się bestsellerami na całym świecie i zostały przetłumaczone na ponad trzydzieści języków. Daniel Silva mieszka na Florydzie z żoną, dziennikarką telewizyjną Jamie Gangel, oraz dziećmi, bliźniakami Lily i Nicholasem. Więcej informacji na stronie [www.danielsilvabooks.com](http://www.danielsilvabooks.com).

**POLECAMY RÓWNIEŻ:**



## SPIS TREŚCI:

Strona tytułowa

Część pierwsza. Krakelura

1. Mason's Yard
2. Wenecja
3. Harry's Bar
4. San Marco
5. Canal Grande
6. San Polo
7. San Polo
8. San Polo
9. Bar Dogale
10. Villa Bérangar
11. Villa Bérangar
12. Bordeaux – Paryż
13. Rue de Miromesnil
14. Paryski Le Bristol
15. Chez Janou
16. Rue la Boétie
17. Galerie Fleury
18. Jermyn Street
19. Queen's Gate Terrace
20. Westport
21. Equus
22. North Haven

23. Galeria 617

24. Galerie Fleury

Część druga. Szkicowanie

25. Quai des Orfèvres

26. San Polo

27. Musée du Louvre

28. Café Marly

29. Ajaccio

30. Villa Orsati

31. Haute-Corse

32. Haute-Corse

33. Le Lubéron

34. Roussillon

35. Le Train Bleu

36. Mason's Yard

37. Most Westchnień

38. Kurfürstendamm

39. Queen's Gate Terrace

40. Dimbleby Fine Arts

41. Piccadilly

42. Queen's Gate Terrace

43. Villa dei Fiori

44. Dimbleby Fine Arts

45. Florencja

46. Lungarno Torrigiani

Część trzecia. Pentimento

47. Villa dei Fiori

48. Villa dei Fiori

49. Villa dei Fiori

50. Villa dei Fiori

51. Villa dei Fiori
52. Rotten Row
53. Literary Walk
54. Central Park
55. Hotel Pierre
56. Galerie Watson
57. Wolseley
58. Hotel Pierre
59. Upper East Side
60. Hotel Pierre
61. Sutton Place
62. Hotel Pierre
63. North Haven
64. Hotel Pierre
65. Śródmieście
66. Sag Harbor
67. Hotel Pierre
68. Hotel Pierre
69. North Haven
70. Śródmieście

#### Część czwarta. Prezentacja

71. East Hampton
72. Adriatyk
73. Bar Dogale
74. Salamanca
75. Equus

Od Autora

Podziękowania

O Autorze